



KAPITAN
ROSS

MELISA BEL

MELISA BEL

KAPITAN
ROSS

LUBLIN 2022

Redakcja
Paulina Parys

Korekta
Paulina Parys, Ewelina Krzewicka

Projekt okładki
Melisa Bel

Zdjęcie na okładce
© Kiselev Andrey Valerevich, © LightField Studios

Skład i łamanie
PanDawer DPT Studio <http://www.pandawer.pl>

Copyright © by Melisa Bel
ISBN: 978-83-962815-7-9

Strona internetowa
www.melisa-bel.pl

ZNAJDZIESZ MNIE TEŻ TUTAJ:

Facebook: [@melisa.bel.autorka](https://www.facebook.com/melisa.bel.autorka)

Instagram: [melisa.bel.autorka](https://www.instagram.com/melisa.bel.autorka)

E-mail: melisa.bel.autorka@gmail.com

Wydanie I, Lublin 2022

Londyn, przyjęcie u państwa Hamiltonów, początek jesieni, rok 1819

– To doprawdy niesamowite, że ta niepozorna kobieta będzie teraz stałą bywalczynią w naszych kręgach. I to na jakiej pozycji! Z dnia na dzień stała się markizą! – Lady Amelia Williams nie kryła podziwu, wpatrując się w rzeczonołą damę. Trwało przyjęcie w nowo zakupionej posiadłości państwa Hamiltonów i towarzystwo było pełne uznania, że lordowi udało się połączyć swój wysoki status społeczny z funkcją dobroczyńcy i założyciela szkoły dla sierot, która mieściła się nie gdzie indziej jak pod jego dachem.

Ogólnie wiadano, że jego świeżo upieczona małżonka tuż przed zamążpójściem miała kłopoty finansowe i szukała nowych patronów dla swojego sierocińca, ale nikt się nie spodziewał, że znajdzie w trakcie tych poszukiwań tak wpływowego męża! I to samego „króla rozpusty”, jak go nieraz nazywano z racji tego, iż był właścicielem jednego z najbardziej ekskluzywnych klubów dla dżentelmenów.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, drogie dziecko, to Charlotte Summer jest bardzo zmyślną młodą kobietą – kontynuowała lady Amelia, z uznaniem kiwając głową.

Helen podążyła za jej spojrzeniem. Po przeciwległej stronie sali przechadzała się pod rękę z lordem Hamiltonem jej przyjaciółka, Charlotte, rozdając przy tym grzeczne uśmiechy swoim gościom i co chwilę zamieniając słowo z kimś innym. Nosila teraz nazwisko męża i jako pani domu miała

obowiązek zabawiać swoich gości, choć niewątpliwie było to dla niej nowe doświadczenie.

– Nie sędzę, żeby usidlenie Hamiltona było kiedykolwiek w gestii Charlotte, mamó – mruknęła kwaśno. – Nigdy nie zależało jej na zamążpójściu, zawsze priorytetem były dla niej dzieci, które wzięła pod opiekę wraz z przytulkiem.

Starsza dama spojrzała na nią protekcyjnie.

– Nie masz pojęcia, do czego zdolne są stare panny, żeby tylko korzystnie wyjść za mąż – pouczyła ją, po czym jednym ruchem dłoni rozłożyła wachlarz, by ochłodzić zarumienioną twarz. – Niech jej układne i skromne usposobienie cię nie zmyli, moja droga. Kobiętę bez majątku, koneksji czy nazwiska czeka marny los i jak widzę, nasza panna Summer doskonale zdawała sobie z tego sprawę i najlepiej, jak umiała, wykorzystała swoje szanse – dodała wszystkowiedzącym tonem.

Helen ściągnęła usta w ciup, słysząc zwrot „nasza panna Summer”. Niespełna dwa miesiące temu Lotty pracowała dla Williamsów jako przyzwoitka, która miała za zadanie odganiać co nachalniejszych kandydatów do ręki Helen. Matka nigdy nie zwracała na nią większej uwagi, traktując ją niewiele lepiej od służącej, natomiast teraz, odkąd Charlotte poślubiła markiza, nie szczędziła jej słów uznania. – Kto by pomyślał, jeszcze niedawno była tylko damą do towarzysztwa, a teraz patrz, jaka z niej pani. Mogłabyś brać z niej przykład.

– W jakiej kwestii dokładnie? Mam zaadoptować cały przytułek dzieci, czy, w co święcie wierzysz, podstępem zdobyć sobie bogatego męża? – Spojrzała na matkę swoimi pięknymi, lazurowymi oczami, udając, że jej nie zrozumiała.

Lady Amelia trzepnęła ją wachlarzem w ramię.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi, Helen – zbesztala ją, nie kryjąc niezadowolenia. – Ostatnio cię nie poznaję. Stałaś

się taka zadziorna i krnąbrna. To do ciebie zupełnie niepodobne. Jesteś taką śliczną dziewczyną, a język masz niewyparzony. Dobrze chociaż, że w towarzystwie zachowujesz się bez zarzutu i wiesz, co przystoi damie, a co nie.

Dziewczyna odwróciła wzrok, nie chcąc, by matka uważała jej grymas.

– Pewne zachowania wtłaczałaś mi od małości. Nie sposób teraz od tego uciec – mruknęła, siłąc się na lekki ton, choć mówiąc to, czuła nieprzyjemny ucisk w gardle.

Sama nie wiedziała, co się z nią działo. Zawsze była pupilką matki, lubiła spełniać jej wyobrażenie o „idealnej” córce. Złotowłosa, wysoka i szczupła, ku uciechu rodzicielki przyciągała rzeszę adoratorów swoją na wskroś angielską, nieskazitelną urodą.

Od dziecka była porównywana do swojej młodszej siostry, zamężnej już lady Devon, przy której zawsze wypadła korzystniej. Dziewczęta różniły się od siebie jak ogień i woda. Jedna korpulentna i odrobinę niezdarza, druga wręcz posągowo piękna i elegancka.

Z czasem przyzwyczaiła się, że to dzięki swojej urodzie i nienagannemu zachowaniu zyskuje aprobatę matki. Chlubila się tym, że potrafi sprostać wysokim standardom socjety i jest uważana za „kryształ czystej wody”. Jednak z biegiem lat zaczęło ją to dziwnie mierzić, irytować, nie wystarczać i ostatecznie... rozczarowywać, że jest jedynie śliczną marionetką, której prymarną rolę w społeczeństwie miała być odpowiednia „oprawa” dla jej przyszłego męża. W tym wypadku na jej niekorzyść działała umiętność samodzielnego myślenia, dalece wychodząca poza wybór koloru wstążek do czepka czy kroju nowej sukni.

– Nie wiem, dlaczego miałabyś uciekać przed dobrym wychowaniem, drogie dziecko. Zaraz po doskonałym urodzeniu to najważniejsza rzecz dla szanującej się młodej

damy – zauważyła jej matka bez cienia goryczy. – Jednak jak sądzę, da się obejść bez jednego lub drugiego, czego dowodem jest panna Summer.

– Mamo, Charlotte nie jest już ani panną, ani nie nosi nazwiska Summer... – przypomniała jej automatycznie. Bez większego entuzjazmu rozejrzała się po sali.

– Muszę ci przyznać, umiesz dobierać sobie przyjaciół – kontynuowała rodzicielka, zupełnie nie zwracając uwagi na jej spostrzeżenie. – Przyznaj – uśmiechnęła się porozumiewawczo – wiedziałas, co się święci, prawda?

– Naprawdę nie jestem aż tak interesowna, jak ci się wydaje... – mruknęła z niesmakiem.

– Nonsens! – prychnęła lady Amelia, znów bagatelizując jej zdanie. – Kobieta musi umieć o sobie zadbać. A ty po prostu wiesz, co jest dla ciebie korzystne. Nie mam racji? – zakończyła przymilnie.

– Czyżbyś przypisywała mi wyrachowaną manipulację?

– Skądże! Powiedziałabym raczej, że przypisuję ci... zdrowy rozsądek – poprawiła ją natychmiast. – W każdym razie zaprzyjaźnienie się z markizą było bardziej niż korzystne. Jej mąż ma szerokie wpływy, a ich niedawny ślub, mimo że minął już prawie miesiąc, wciąż jest na ustach wszystkich. To było wydarzenie sezonu! – Złączyła dłonie i uniosła uduchowiony wzrok w górę, jakby się spodziewała, że zaraz zostanie wniebowzięta. – Niewiarygodne, żeby jeden z najbogatszych kawalerów w Anglii ożenił się z biedną sierotą, biorąc jednocześnie pod swój dach cały przytułek dzieci! Wciąż nie mogę wyjść ze zdumienia, jak jej się to udało – dodała nieco ciszej i zrobiła taką minę, jakby próbowała właśnie rozgryźć tę zagadkę.

Helen miała ochotę wyrzucić oczami. Jej matka była dość egzaltowaną damą, która do niebotycznych wręcz

rozmiarów holdowała umiejętności schwywania przez kobietę odpowiedniej „partii” i doprowadzenia jej pod ołtarz.

Rynek małżeński był od wieków miejscem, w którym młode panny i ich matki stosowały najróżniejsze sposoby, by schwytać odpowiedniego kandydata, uciekając się nieraz do wyjątkowo złożonych i wykalkulowanych posunięć. A to znaczyło, że „niepozorna Charlotte” na liście najbardziej poważanych przez lady Williams dam, zajmowała bardzo wysokie miejsce.

– Muszę przyznać, że i ja byłam zaskoczona – odparła Helen. – Lord Hamilton zawsze sprawiał wrażenie takiego chłodnego i bezwzględneho. – Pokręciła głową i uśmiechnęła się leciutko. – Oto co miłość robi z człowiekiem.

– Cóż, jak widać ta kobieta zupełnie go omotała – dodała po swojemu matka, zdradzając tym samym, co sądzi o owej „miłości”. – Wszyscy byli w szoku, kiedy markiz przepisał na tę pannę rodową posiadłość Hamiltonów po tym, jak zmarł jego ojciec.

– Podejrzewam, że chciał po prostu ofiarować Charlotte to, czego ona, jak uważał, pragnie najbardziej. Sądząc po kolejnych wydarzeniach, chyba nie do końca miał rację...

– Być może było wręcz odwrotnie, ale nie mnie tego domniemywać. Chodźmy do stolika z przekąskami, moja droga, zgłodniałam. – Lady Amelia, nie czekając na odpowiedź, wzięła córkę pod rękę i ruszyła statecznym krokiem w stronę zastawionych jedzeniem stołów. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego w końcu sprzedali Mildmoon. Jestem przekonana, że ojciec Hamiltona nie pochwalalby tej decyzji.

– Według mnie mąż Lotty nie wygląda na człowieka, który ogląda się na czyjąkolwiek opinię – zauważyła Helen. – A w dodatku każdy wie, że jego ojciec był tyranem, a syn szczerze go nienawidził. Jak zresztą i całe towarzystwo.

Matka zatrzymała się na chwilę.

– Drogie dziecko, nie powinnaś się tak wyrażać o wysoko postawionych ludziach – oburzyła się.

– A o nisko już tak? – Dziewczyna nie mogła sobie darować tego komentarza.

Rodzicielka obrzuciła ją nieprzychylnym spojrzeniem.

– Nie zapominaj, że mówimy o nieboszczyku.

Helen wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Wiesz, że to prawda – mruknęła. – Wszyscy o tym wiedzą.

Matka podjęła spacer, a gdy mijaly znajomą damę, na jej wzburzonym obliczu natychmiast zagościł perfekcyjny uśmiech.

– Nie ma znaczenia, co jest prawdą, tylko co jest dobrze widziane – dodała, ledwie poruszając ustami i wciąż się uśmiechając.

– Doskonała nauka, mamó – dodała obojętnie dziewczyna. Była przyzwyczajona do tego, że lady Amelia bardziej dba o konwenanse niż o zasady moralne.

– Dziękuję – odparła tamta, nawet nie biorąc pod uwagę, że jej przykładna córka może być na tyle bezczelna, żeby używać w stosunku do niej sarkazmu.

– Myślę, że nikt się nie spodziewał, że osławiony Wilczy Lord się ożeni – stwierdziła, wróciwszy zaraz do tematu. Przypomniała sobie poruszenie, jakie wywołała w niej ta wiadomość.

– Słyszałam – nachyliła się odrobinę do córki – że to nie on się jej oświadczył, tylko ona jemu! Wyobrażasz to sobie? – szepnęła ze zgrozą.

– O tak, wyobrażam – zachichotała Helen. Oczywiście już dawno wydusiła z Charlotte wszystkie szczegóły tego wydarzenia i po namyśle przypisała ten występek

pomysłowości lorda Hamiltona, a nie poczciwej Lotty, która na samo wspomnienie tej chwili obficie się czerwieniła.

– Takie zachowanie jest nie do pomyślenia – kontynuowała matka. – Ale okazało się doskonałą strategią – zakończyła i Helen nie mogła się nie uśmiechnąć, widząc po mimice matki, jak drobne trybiki jej myśli łączą się w nowe powiązania.

Zerknęła na omawianą parę i zauważyła, że robią już kolejną rundkę wokół gości.

Wiedziała, dlaczego od czasu zaślubin lord Hamilton afizuje się wszędzie ze swoją małżonką. Chciał wprowadzić ją do towarzystwa tak, by została przyjęta jako jedna z nich. Wszyscy wiedzieli, że lady Hamilton nie posiada arystokratycznych korzeni, a to budziło ostrożność i niechęć. Każdy akceptował ją, gdy trzymała się z boku jako skromna dama do towarzystwa, jednak ta sytuacja była zupełnie inna.

Arystokracja nie lubiła przyjmować do swoich wysublimowanych kręgów kogoś z zewnątrz i dość mocno zaznaczała odrębność od reszty społeczeństwa.

Wszelkie dyskusje na temat pochodzenia lady Charlotte odbywały się oczywiście za jej plecami. Jednak każdy, kto miał śmiałość podzielić się swoją nieprzychylną opinią nieopodal Wilczego Lorda, musiał zmierzyć się z lodowatą pogardą świeżo upieczonego małżonka, który gotów był bronić honoru swej wybranki za wszelką cenę.

Helen westchnęła na samą myśl, że ktoś może dbać o dobro swojej żony do tego stopnia.

Nie chodziło o zazdrość. Miała tylko niejasne wrażenie, że coś ją w życiu omija. Już kolejny raz była świadkiem rodzącego się uczucia między dwojgiem ludzi, a sama, choć miała wielu adoratorów, nie zbliżyła się nawet do stanu zakochania.

Jej młodsza siostra Catherine jeszcze tego roku wyszła za mąż za lorda Devona, piętnaście lat starszego oficera, i gdy ostatnio cała rodzina zjechała się na ślub Hamiltonów, ta wręcz promieniowała szczęściem. Dodatkowo wszystkich niezmiernie ucieszyła nowina, że państwo Devon spodziewają się dziecka. To miał być pierwszy wnuk lub wnuczka w rodzinie Williamsów, toteż byli oni tym faktem bardzo podekscytowani.

Teraz jej najbliższa przyjaciółka, Charlotte, z którą przez ostatnie miesiące bardzo się zżyła, wyszła za mąż i emanowała taką radością, że nie sposób było nie zauważyć, jak wielkim uczuciem darzy swojego męża.

Każda z dziewcząt znajdowała dla siebie wyjątkowego, szarmanckiego i przystojnego kandydata, natomiast ona... cóż. Już kolejny sezon była otoczona wianuszkami firycykowatych dandysów albo podstarzałych wdowców i pochlebców.

Starala się z godnością odgrywać swoją rolę. Ale już dawno zrozumiała, że mężczyźni widzą jedynie jej urodę i okazały posąg. Nikt, kto się do niej zalecał, nie potrafił docenić tego, że pod tą burzą blond loków mieści się umysł równie atrakcyjny i żywy, jak jej powierzchowność.

Pochwały i komplementy przyjmowała lawinowo i jeśli miała być szczerą, niewiele dla niej znaczyły, a w zasadzie nawet coraz bardziej irytowały, bo wychwalały to, co nie było jej zasługą, a jedynie darem szczodrej natury.

Lady Amelia oczywiście zachwyciła się ilością napływających propozycji małżeństwa, ba, nawet szczyciła się tym, że córka może pozwolić sobie na wybór, którego z pewnością nie miała większość dużo bardziej pospolitych pańien. Mijał jednak już trzeci sezon i Helen nie była skora do ożenku bardziej niż na początku. Zaczęły też krążyć plotki

o tym, że jest zbyt piękna i wyniosła, by wybrać kogoś na męża, a zdarzali się i tacy, którzy uważali, że jest zimna jak sopel lodu i męskie towarzystwo nie przyprawia jej o żywsze bicie serca.

Helen zniosłaby te obelgi z godnością, nie pierwszy raz była tematem plotek, jednak te mocno w nią godziły, bo sądziła, że wcale nie są dalekie od prawdy.

Nie potrafiła wykrzesać z siebie cieplejszych uczuć względem jakiegokolwiek mężczyzny. Nikt dotąd nie sprawił, by jej serce przyspieszyło swój rytm, dla nikogo nie straciła głowy, jak to wielokrotnie słyszała od swoich rówieśniczek, które opowiadały o swoich miłostkach i zauroczeniach.

Więc jaki miała wybór? Nie mogła liczyć na szczęśliwe, romantyczne zakończenie jak w przypadku Catherine czy Charlotte.

Rozejrzała się po sali, szukając wzrokiem swoich dwóch najlepiej sytuowanych konkurentów.

Od zawsze wiedziała, że wyjdzie za mąż za kogoś odpowiedniego, stonowanego i ważnego. Sama była córką markiza, a jej uroda nie miała sobie równych. Już trzeci rok z rzędu została okrzyknięta pięknnością sezonu i już trzeci sezon uważała, że miłość nie jest jej pisana.

Była na to zbyt praktyczna i jak to uważało towarzystwo – zbyt zimna.

Dlaczego miałyby się z nimi nie zgodzić?

W tym samym czasie po drugiej stronie sali

– Dobrze się czujesz, Charlotte? Jesteś jakaś blada – szepnął Hamilton, obejmując opiekuńczo talię małżonki. Gdy nie odpowiedziała, ujął ją pod brodę i obrócił do siebie twarzą.

Nie uszło jego uwadze, że w ich stronę obróciło się wiele ciekawskich par oczu. Nie obchodziło go to. Są teraz małżeństwem i reputacja Charlotte nie była zagrożona.

– Nic mi nie jest, po prostu – spojrzała na niego dużymi, szarymi oczami – to wszystko nadal jest dla mnie takie nowe. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Mam wrażenie, że nigdy nie przywyknę do wystawnych przyjęć, służby i... tego, że ludzie zwracają się do mnie „markizo”.

– Chcesz powiedzieć, że małżeństwo ze mną ci nie służy? – Uniósł jedną brew, choć w jego oczach tliły się wesole iskielki.

Lotty momentalnie podjęła jego żart.

– Z tobą, mój drogi, jest wszystko w porządku, tylko nie wiem, po co musisz być tak okropnie bogaty. To bardzo komplikuje stan rzeczy. – Zmarszczyła zabawnie nosek.

– Wybacz, moja droga – ucałował nonszalancko opuszki jej palców – pieniądze zawsze były moją największą wadą.

– A co jest twoją największą zaletą, jeśli mogę spytać? – Uśmiechnęła się psotnie.

– Oczywiście uroda – odparł tak śmiertelnie poważnym tonem, że Charlotte omal nie parsknęła śmiechem.

Hamilton zmarszczył brwi, udając obrażonego.

– Wątpisz w moje słowa?

– Skądże znowu, mój panie. Gdyby nie twoja uroda, z pewnością nigdy bym za ciebie nie wyszła – stwierdziła szelmowsko, choć oboje doskonale wiedzieli, że tylko się z nim droczy.

– Skoro w ten sposób stawiasz sprawę, to myślę, że powinienem częściej pozwalać ci korzystać z przymiotów mojego ciała. – Nachylił się ku niej tak, że poczuła jego oddech na swoim karku. Momentalnie zabrakło jej tchu.

– James, jesteśmy na przyjęciu i to do tego naszym własnym! Wszyscy nas obserwują! – zganiała go, choć musiała

przyznać, że najchętniej wymknęłaby się stąd, by znaleźć się z nim sam na sam.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale to nie znaczy, że nie mogę cię pragnąć – szepnął wprost do jej ucha.

Dziewczyna zadrżała bezwiednie, z jej ust wydobyło się stłumione westchnienie.

– Jesteś rozpustnikiem. – Odsunęła się od niego odrobinę, mrugając zakłopotana.

– A ty jesteś śliczna. I moja – odparł, wpatrując się w nią drapieżnym wzrokiem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, czując tę niewyobrażalną chemię, jaka zawsze pojawiała się między nimi, ilekroć znajdowali się blisko siebie.

Minął już prawie miesiąc od ślubu i choć dużo czasu zajęło im urządzenie nowego domu, który zdecydowali się kupić nieopodal klubu, spędzali ze sobą każdą wolną chwilę.

James wciąż się udzielał w klubie, lecz teraz znaczną część dnia (i nocy) poświęcał swojej nowo upieczonej małżonce oraz jej podopiecznym, których zdążył już szczerze polubić.

– W takim razie musisz o mnie dbać. – Obróciła się nieznacznie, czując, że jeśli zaraz nie przeniesie tej rozmowy na inne tory, zapragnie go pocałować tu i teraz, na oczach wszystkich. Stanowczo wzięła męża pod rękę, kierując się w stronę otwartych drzwi balkonowych.

– Tak ci spieszo, moja droga? – Uśmiechnął się szeroko, pozwalając się prowadzić. – Widzę, że obudziłem w tobie prawdziwie nienasyconą wilczycę.

– Och, przestań już – zirytowała się. – Zamierzam po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Czyżby zrobiło ci się nagle duszno? – zapytał domyślnie, spoglądając na jej usta.

– Zaraz i tobie się zrobi, jak mocniej zacisnę ci ten twój wytworny halsztuk na szyi – mruknęła pod nosem.

– Co jest nie tak z moim halsztukiem? – Zmarszczył brwi, przepuszczając ją w prog. – Nie podoba ci się?

– Nie tak jest to – zatrzymała się obok, by spojrzeć mu w oczy – że wolalabym cię widzieć bez niego i bez czegokolwiek innego na ciele – wyznała, na co jego źrenice rozszerzyły się gwałtownie. Wciągnął ze świstem powietrze, ale ona uniosła dłoń, nie dając mu nic odpowiedzieć. – Niestety, będziemy musieli na to poczekać do końca przyjęcia – dodała zaraz lekkim tonem i nie czekając na niego, weszła na taras.

– Zaraz wyproszę wszystkich tych darmozjadów i nie będziemy musieli na nic czekać. – Dogonił ją natychmiast. Charlotte rzuciła mu przez ramię powłóczyście spojrzenie, specjalnie go drażniąc. Wiedziała, że uwielbiał tego typu grę.

– Bardzo bym chciała, ale... nie możesz tego zrobić, James. Sam mówiłeś, jak ważne jest, byśmy pokazywali się teraz w towarzystwie – przypomniała mu.

Hamilton zaklął cicho. Faktycznie postanowił skutecznie wprowadzić Charlotte do środowiska arystokracji, ale przy niej nieuleganie żądzy wymagało ogromnego samozaparcia.

– James, stary druhu, dobrze cię widzieć! – przerwał im nagle czyjś mocny, tubalny głos.

Mężczyzna obrócił głowę i dojrzał swojego przyjaciela Rossa Mortimera wylaniającego się z ciemności ogrodu i wskakującego na stopnie parterowego tarasu.

– Pojawiasz się znikąd, Ross, rozumiem, że wejście główne jest dla ciebie zbyt konwencjonalnym rozwiązaniem? – przywitał się z nim Hamilton.

– Wiesz, że nie znoszę przyjęć w wyższych sferach i dawno już zrezygnowałem z tych wątpliwej urody rozrywek. Co by powiedziało towarzystwo, gdybym znów pojawił się na salonach? Z pewnością poczuliby się skalani obecnością

kapitana, który skandalicznie się nosi, trudni handlem i nie stosuje się do ich regul.

– Na moje oko prezentujesz się dzisiaj całkiem elegancko... jak na ciebie, oczywiście – zauważył Hamilton, przesuwając wzrokiem po ciemnym surducie i białej koszuli, przy której jednak brak było typowej dla dżentelmena ozdoby, czyli halsztuka. – Może nie mieliby nic przeciwko twojej „skandalicznej” obecności?

Kapitan skrzywił się na tę ewentualność i puścił to mimo uszu.

– Lady Hamilton, wygląda pani zjawiskowo – zwrócił się do Charlotte i z szacunkiem ucałował jej dłoń.

Hamilton zmarszczył brwi.

– Bądź tak miły i puść już rękę mojej żony – powiedział, zanim zdążył pomyśleć, jak to zabrzmie.

Mortimer spojrzal na niego zdumiony, po czym roześmiał się głośno, ukazując przy tym rząd białych zębów.

– James, w ciągu ostatnich tygodni zmieniłeś się nie do poznania – powiedział wesolo. – Nigdy wcześniej nie widziałem cię tak zaborczego ani wojowniczego, ale widocznie właściwa osoba zdołała w końcu zburzyć tę fasadę stoickiego spokoju – dodał, po czym mrugnął szelmowsko do Lotty.

– Och, przestań – warknął Hamilton, z wysiłkiem utrzymując zimną krew. – Po prostu doskonale wiem, ile kobiet przewinęło się przez twoje ręce.

Ross wyszczerzył się jeszcze bardziej, jakby ten fakt wcale go nie peszył.

– Widzisz, a to ponoć ciebie nazywają „królem rozpusty”.

– W porównaniu z tobą jestem niemal święty.

– Niemal? – Uśmiechnął się domyślnie, zerkając na Charlotte, która pod jego baczny spojrzeniem zarumieniła się intensywnie.

– Ross... – ostrzegł lord.

– Nie wiem, dlaczego się tak denerwujesz, James. – Lotty nagle jakby odzyskała śmiałość, bo wysunęła się naprzód. – Kapitan powinien wiedzieć, że to nie ilość jest istotna, ale jakość.

Gdy tylko jej słowa dotarły do obu dżentelmenów, Hamilton zrobił minę, jakby próbował powstrzymać uśmiech. Obrzucił przyjaciela rozbawionym spojrzeniem.

– I co odpowiesz na te słowa, Ross?

– Wybacz mi, madame – sklonił się z galanterią – niewiele jest takich dam jak pani.

Charlotte machnęła niedbale dłonią.

– Nie o taką jakość mi chodziło, sir Rossie. – Uśmiechnęła się powściągliwie.

Oczy Hamiltona rozszerzyły się nieznacznie, gdy spoglądał na małżonkę.

– Chcesz powiedzieć, kochanie, że jestem większym rozpustnikiem niż kapitan? – spytał zdumiony.

– Myślę, że i owszem. – Spojrzała na niego szelmowsko. – A twoje umiejętności i zachowanie zdecydowanie nie zaliczają się do tych „stoickich” – dokończyła niewinnym tonem.

Ross wyglądał na szczerze rozbawionego, widząc wyraz twarzy Jamesa.

– No, no – poklepał go po ramieniu – nie dziwię się, że się z nią ożeniłeś.

– Co ty nie powiesz? – mruknął Hamilton podirytowany swobodnym zachowaniem kapitana.

– Gdybym nie był takim rozpustnikiem i większość czasu nie spędzał na morzu, sam bym to zrobił. Mógłbym pokazać jej, jak...

– Nie waż się kończyć tego zdania – przerwał mu Hamilton ostrym tonem.

– ... się żegluję – dokończył mimo ostrzeżeń i zaraz roześmiał się bardzo z siebie zadowolony.

– James, jesteś przewrażliwiony – zwróciła się Charlotte do męża. – Jestem pewna, że kapitan nie miał niczego złego na myśli.

– Oczywiście, że nie – tamten zrobił minę niewiniątka – ale widzi pani – przeniósł na nią spojrzenie – po mnie zawsze wszyscy się spodziewają niewłaściwego zachowania.

– I mają ku temu powody?

Mężczyzna nabral powietrza do płuc, po czym wypuścił je jednym tchem.

– Cóż, madame, pracuję na swoją nikczemną opinię już dobre kilkanaście lat i nie żałuję ani jednej swojej decyzji – odparł szczerze, choć Lotty miała wrażenie, że z jego przystojnej, ogorzałej twarzy zniknął nagle wyraz beztróski i pojawił się jakiś cień, mroczny i nienawistny.

– Nie tęsknisz za czasami pierwszej młodości? Zanim zacząłeś żeglować? – spytał Hamilton, przyglądając mu się bacznie. Ten wyprostował się dumnie i spojrzał mu prosto w oczy.

– Ani trochę – odparł poważnie i Charlotte już miała zamiar zapytać, o czym oni mówią, lecz wyczuła, że w powietrzu wisi tajemnica, która nie jest przeznaczona dla jej uszu.

Przez chwilę cała trójka milczała. W końcu ciszę przerwał James.

– Zdaje się, że już jutro wybierasz się w rejs? Znalazłeś w końcu odpowiedni statek? – zmienił temat i wyraz twarzy kapitana na powrót stał się przystępny, jakby echa poprzednich lat zupełnie go nie dotyczyły.

– Nie wiem, czy odpowiedni. – Skrzywił się. – Odkąd ten czort Devon się ożenił, zaprzestał handlu z Dalekim Wschodem i pozbawił mnie przygód. Od lat żeglowałem na jego statkach i zdążyłem się już przyzwyczaić do załogi,

a teraz na nowo musiałem szukać ekipy oraz firmy handlowej, która potrzebowała kapitana, by przewieźć im towar. Jutro mam wyruszyć na Kasjopei do Indii Zachodnich, także nie będzie mnie tu dobrych parę miesięcy. – Uśmiechnął się szeroko.

– Wygląda pan na zadowolonego – zauważyła Charlotte.

– Słusznie pani mówi, lady Hamilton. Zasiedziałem się na łądzie i brakuje mi morza. To tam czuję się bardziej w domu niż gdziekolwiek indziej na świecie – powiedział nostalgicznie.

Charlotte pomyślała, że ten człowiek nosi wiele twarzy. Na pozór wydawał się energicznym, swobodnym mężczyzną, który czerpie z życia same przyjemności, jednak pod tą gładką powierzchownością dostrzegła coś, co nie do końca współgrało z tym wizerunkiem.

– Oby wszystko ułożyło się po pana myśli – dodała przyjaźnie, na co Ross skinął tylko głową.

– I jak ci się podoba nasza nowa posiadłość? – Hamilton obrócił się w stronę budynku i wszyscy troje przez chwilę lustrowali wysokie mury ekskluzywnego apartamentu.

– Jak wiesz, nie do końca w moim stylu, ale wygląda na bardzo wygodną – odparł uprzejmie. – Mam nadzieję, że będziecie tutaj szczęśliwi.

– Nie w twoim stylu, co? Masz na myśli „zbyt arystokratyczna”? – James uniósł domyślnie brew.

– Zdecydowanie zbyt arystokratyczna. – Ross uśmiechnął się szeroko. – Nie wierzę, że w końcu pozbyłeś się swojej rodowej posiadłości. Stary Wilhelm pewnie teraz prze-wraca się w grobie.

Hamilton wzruszył obojętnie ramionami.

– To nie ja go sprzedałem, Lotty to zrobiła. – Zerknął na nią, ukrywając uśmiech.

– Słucham?! – Obróciła się do niego prędko.

– Ja tylko przepisałem na nią cały budynek, bo myślałem, że to dobre miejsce na sierociniec, ale jak rozumiesz, Ross, moja małżonka ani myślała mieszkać z dala ode mnie i sprzedała tę parszywą budę w diabły – wytłumaczył gładko.

– Ależ, James! – Charlotte omal nie zachłysnęła się na tę niekonwencjonalną przemowę. Spojrzała szybko na kapitana, którego zdawał się ubawić ten monolog.

Odetchnęła głęboko. Od ponad miesiąca dwoiła się i troiła, by stworzyć wizerunek idealnej damy i tym samym przekonać do siebie arystokratyczne towarzystwo. Wiedziała, że wkraczając do świata wyższych sfer, nie było miejsca na pomyłki ani skandale. A taki z pewnością by wybuchł, gdyby ci ludzie pomyśleli, że to ona, dziewczyna z przytułku, sprzedała rodową posiadłość Hamiltonów.

Cale szczęście nikt inny tego nie słyszał, a Ross Mortimer był długoletnim przyjacielem męża, toteż człowiekiem godnym zaufania.

– Nie martw się, kochanie, przy kapitanie możesz mówić otwarcie – pocieszył ją James.

– A więc – spojrzała na niego z namysłem – nie tęsknisz za Mildmoon?

Hamilton wyglądał na zdumionego.

– Ależ skąd! Prawdę mówiąc, nawet mi ulżyło, gdy to zaproponowałaś – zapewnił ją natychmiast.

– Cale szczęście. – Odetchnęła z ulgą. – Gdybyś po latach zaczął mi wypominać, że pozbawiłam cię rodowej posiadłości...

– Dobrze wiesz, że nigdy tego nie zrobię. – Uniósł jej dłoń i pocałował czule.

– A jak miewają się pani podopieczni? – spytał zaraz kapitan. – Zdaje się, że szkoła mieści się w tym samym budynku? – rzucił okiem na posiadłość.

– Dziękuję, że pan pyta, są w doskonałym zdrowiu i – zerknęła na męża – bardzo się cieszą, że mają nowy dom.

– Przyznam, Hamilton, że zupełnie się tego po tobie nie spodziewałem. Ty i dzieci? – Wywrócił oczami. – Nigdy bym nie przypuszczał.

– Szkoda, że nie widział go pan z Poppy albo z innymi dziewczynkami. – Charlotte nachyliła się ku niemu i wyszeptowała: – Połowa z nich jest w nim po uszy zakochana!

Ross pokiwał głową i przeniósł pełen zrozumienia wzrok na Jamesa.

– Aha. W takim razie już rozumiem. – Rzucił mu krzywy uśmiech. – I jak się z tym czujesz, James?

Tamten obrzucił go zbolalym spojrzeniem.

– Nawet nie zaczynaj. Nie masz pojęcia, jak niezręcznie jest człowiekowi, gdy pół tuzina rozanielonych dziewczynek wodzi za nim wzrokiem – westchnął.

– Nie mów mi, że ci to nie schlebia! – Roześmiał się serdecznie.

– Nie – uciał natychmiast. – Ale muszę przyznać, że polubiłem tę zgraję. Dzieci znacznie różnią się od tych rozpieszczonych córeczek i paniczyków, jakie znamy z naszych sfer, Ross. Te sieroty wiele przeszły i należy im się od życia trochę spokoju.

– Jestem pełen uznania dla twoich nowo nabytych, głęboko współczujących cech osobowości – wyrecytował teatralnie kapitan, na co James zgromił go wzrokiem.

Charlotte chwyciła męża pod ramię.

– Mój drogi, myślę, że powinniśmy już wracać na salę i zadbać o gości. Czekają na nas – przypomniała mu.

Hamilton odetchnął, skinął głową i oswobodziwszy się spod jej dłoni, zwrócił się do Rossa.

– W takim razie życzę ci spokojnej wyprawy i wracaj bezpiecznie do Londynu.

Choć sam należał do wysokich, niemal zniknął w niedźwiedzim uścisku kapitana. Pokleпали się przyjacielsko po plecach.

– Zaraz pomyślę, że będziesz za mną tęsknił. – Mortimer odstał od niego i uśmiechnął się krzywo.

– Ja nie – zaprzeczył natychmiast James. – Ale polowa dam w tym przeklętym mieście już z pewnością.

– Tylko polowa? – spytał rozbawiony Ross, po czym skłonił się Charlotte i puścił do niej oko. Po chwili para małżonków wróciła na salę balową.

Kapitan Ross Mortimer odwrócił się plecami do budynku i oparł o balustradę, próbując wzrokiem przeniknąć ciemność wonnego ogrodu.

O tej porze roku wieczorami robiło się już chłodno. Zaczynała się jesień i sezon w Londynie powoli się kończył.

To był dobry czas, by wyruszyć na morze.

Nie mógł się tego doczekać. Jutro o tej samej porze będzie już na Kasjopei, a jego skóra znów nasiąknie chłodną morską bryzą.

Przymknął powieki i odetchnął pełną piersią. Jeszcze tylko kilka godzin i opuści Londyn.

Przez tych kilka miesięcy, które spędził na lądzie, na szczęście nie dane mu było spotkać ojca czy swojego młodszego brata Gabriela. Rodzina rzadko uczestniczyła w rozrywkach sezonu i niechętnie opuszczała posiadłość na prowincji. Był im za to dozgonnie wdzięczny. Nie miał chęci się z nimi spotykać. Nigdy.

Lord Frederic Mortimer wyrzekł się najstarszego syna lata temu, gdy ten oświadczył, że nie ma zamiaru spełniać jego żądań związanych z dziedziczeniem majątku.

Od tej pory mężczyźni nie kontaktowali się ze sobą, a Ross rzucił się w wir podróży morskich.

Odpowiadało mu to, czasem tylko czuł się jak człowiek, który nie ma swojego miejsca, domu ani przynależności do konkretnej grupy społecznej. Był szlachcicem, ale niezbyt dobrze widzianym w swoich kręgach, na statku marynarze szanowali go, ale nie uważali go za swojego, bo nie wywodził się z prostego ludu.

Choć nie chciał tego przed sobą przyznać, doskwierała mu samotność. Taka, której nie mogło zapelnąć kolejne chętne kobiece ciało.

Oczywiście nie szczędził sobie uciech. Panie chętnie dzieliły z nim łoże, uważały go za doskonałego kochanka, który znał ich potrzeby lepiej niż niejeden dobrze urodzony dżentelmen. Był szarmanckim kompanem, niezwykle namiętnym i szczodrym partnerem i nie tylko dzielił z nimi łoże, ale także lubił ich towarzystwo.

Podobały mu się kobiety ze względu na ich subtelność, otwartość i swobodę, z jaką wyrażały swoje pragnienia. Nie było wtedy miejsca na pruderyjność, sztywne zasady, których tak serdecznie nienawidził i które kojarzyły mu się z domem rodzinnym.

Czy w ogóle istniało dla niego coś takiego jak „dom rodzinny”?

Nie sądził, by ojciec za nim tęsknił.

Rozstali się zaraz po kłótni, w której to odmówił rodzicowi podjęcia się obowiązków dziedzica, na co ten bez skrępulów przekazał wszystko młodszemu synowi – Gabrielowi – i zerwał z nim wszelki kontakt.

Ross zaczął się zastanawiać, czy Gabriel bardzo się zmienił. Gdy widział go po raz ostatni, chłopak miał zaledwie szesnaście lat, co znaczy, że teraz musiał być już dorosłym mężczyzną. Pamiętał go jako bardzo cichego i posłusznego ojcu młodzieńca.

Choć byli braćmi, mocno się od siebie różnili. Ross, starszy o cztery lata, nigdy nie ukrywał swoich odmiennych poglądów, które w większości nie były po drodze lordowi, natomiast Gabriel przyjmował kazania ojca jako prawdę najwyższą.

Nieczęsto zdarzało im się dochodzić do porozumienia. Lord Frederic Mortimer był mężczyzną o silnym, nieznośnym sprzeciwu charakterze, i nie sposób było mierzyć się z jego zdaniem. Wychowany w rodzinie pełnej zasad był wielkim zwolennikiem tradycji i w jego domu nie mogły mieć miejsca własne, rewolucyjne poglądy, jakimi odznaczał się jego starszy syn.

Miał wobec niego inne plany.

Gdy tylko Ross przekroczył stosowny do ożenku wiek, wybrał mu dobrze urodzoną narzeczoną, która miała wnieść do rodziny rozległe ziemie, sąsiadujące z ich posiadłością. Przyszły spadkobierca nie zamierzał jednak poddawać się woli ojca. Miał już swoją ukochaną, która – jak można się było spodziewać – nie przypadła do gustu rodzicowi. Frederic posunął się wtedy do tego, by za plecami syna przekonać dziewczynę, że nie nadaje się na przyszłą żonę dziedzica.

Na samo wspomnienie Ross poczuł ucisk w piersi.

Minęło już tyle lat, a on wciąż czuł głęboką urazę, że odebrano mu kobietę, którą kochał.

Parsknął niewesołym śmiechem.

W zasadzie nawet nie miał sposobności, by się z nią pożegnać, porozmawiać. Z pewnością znalazłby inny sposób na to, by mogli być razem.

Ale ona odeszła bez słowa.

Sam już nie wiedział, czy bardziej nienawidzi swojego ojca, czy ją, za to, że porzuciła go bez walki.

Anette. Tak brzmiało jej imię. Była drobną, ładną Francuzką o ślicznych, łagodnych oczach i dobrym sercu.

Ale to wszystko nie miało już znaczenia.

Teraz było już tylko smutną przeszłością, którą zostawił za sobą dawno temu.

Obrócił się w stronę budynku i przez drzwi balkonowe dostrzegł bawiące się towarzystwo. Kremowe suknie dam i czarne fraki dżentelmenów wirowały w tańcu.

Nie zamierzał wchodzić do środka. Nie zamierzał już nigdy więcej przebywać w tym pełnym wyniosłości i hipokryzji towarzystwie.

Wolał prostych marynarzy i portowe dziwki, które przynajmniej mówiły wprost to, co naprawdę myślały i czuły.

Uśmiechnął się na myśl o tym, że z pewnością niejedną z nich przyjdzie mu odwiedzić w porcie w trakcie tego kilkumiesięcznego rejsu.

Objął wzrokiem wykwintne, beznamiętne damy o pustych oczach widoczne w przeszklonych drzwiach budynku. Hamilton zaprosił go dzisiaj, choć wiedział, że nie bywa na tego typu przyjęciach. Nie mógł jednak nie przyjąć zaproszenia, wiedział, jak ważna jest dla przyjaciela ta nowa rola, której się podjął, poślubiwszy Charlotte.

Poza tym chciał się pożegnać. Jutro wreszcie wróci na morze i nie byłoby już ku temu sposobności.

Choć zazwyczaj ostatnia noc przed rejsem mijała mu w ramionach jakiejś ślicznotki, tym razem chciał ją spędzić samotnie.

Już się obracał, by wyruszyć na dłuższy spacer po opustoszałych ulicach Londynu, gdy zauważył jakąś młodą kobietę, która weszła na taras przez sąsiednie drzwi balkonowe.

Była wysoka, smukła i wydawała mu się dziwnie znajoma. Miała na sobie kremową suknię z małymi bufkami

i wysoko upięte jasne włosy. Z tej odległości wyglądała jak debiutantka, ale coś w postawie jej ciała mówiło mu, że nie jest jedną z tych czerwieniących się i chichoczących z byle powodu panienek.

Podeszła do balustrady i oparła o nią obie dłonie obleczone w długie, satynowe rękawiczki. Znieruchomiała i miał wrażenie, że wygląda teraz jak jeden z tych rzymskich posągów o idealnych proporcjach.

Zdawała się samotna i odrobinę zagubiona, jakby nie była tu szczęśliwa.

Tak jak i on.

Nogi same poniosły go w jej stronę.

Zbliżał się do niej powoli, bezszelestnie i sycił oczy jej eterycznym wdziękiem. Czuł się trochę jak intruz, który podgląda kobietę w jej prywatnej alkwie. Wiedział, że nie powinien zakłócać jej spokoju. Ale wiedział też, że nie potrafiłby teraz odejść.

Gdy kobieta poruszyła się nieznacznie, światło zza drzwi balkonowych oświetliło jej twarz. Wtedy ją rozpoznał.

Spotkał ją już kiedyś w klubie Hamiltona. Zjawiała się wówczas niespodziewanie w progu, jak zjawisko, jak anioł, który zgubił drogę i zawitał do przybytku, o którego istnieniu nie powinien nawet wiedzieć. Ale oczywiście to były tylko pozory.

Nie wątpił, że jest kurtyzaną. Po stroju i manierach mógł sądzić, że bardzo drogą i bardzo ekskluzywną. Jej uroda była tak zjawiskowa i niezaprzeczalna, że dziwiło go, iż w ogóle pracuje w takim miejscu.

Doskonale pamiętał, jak tamtego wieczora zareagowała na jego umizgi. Była chłodna, wyniosła i niedostępna. Zupełnie inna niż większość kobiet, które zazwyczaj, zupełnie się z tym nie kryjąc, okazywały zainteresowanie jego osobą i jawnie z nim flirtowały.

Dla niego, mężczyzny uwielbiającego zdobywać kobiety, była wyzwaniem, obok którego nie mógł przejść obojętnie. Wyzwaniem i zagadką, bo ostatecznie nic o niej nie wiedział.

Drgnęła gwałtownie, gdy spostrzegła, że nie jest na tarasie sama.

Sztywno wyprostowane plecy świadczyły, że faktycznie odebrała go jako intruza.

Gdyby była damą, prawdopodobnie pozostawiłby ją w spokoju, nie interesowały go kobiety z wyższych sfer, żeby nie powiedzieć, że nimi gardził. Ale ona, dzięki Bogu, była kurtyzana.

Tylko co kurtyzana robiła na takim przyjęciu?

Być może towarzyszyła jakiemuś dżentelmenowi?

Sądząc po tym, jak znudzona i przygaszona mu się zdawała, ów protektor chyba nie należał do zbyt zajmujących...

~

Helen zirytowała się, gdy zauważyła, że zbliża się ku niej jakiś mężczyzna.

Wyszła tutaj po to, by pobyć chwilę sama, ale jak widać, nie będzie jej to dane, chyba, że uda jej się szybko splawić natręta.

Odkąd Charlotte wyszła za męża, jej życie wróciło na swoje poprzednie tory. Wcześniej, gdy pomagała przyjaciółce znaleźć nowych patronów dla sierocińca, czuła się potrzebna. Częsty kontakt z dziećmi i potajemne wizyty w Hamilton's Club były czymś tak ekscytującym i występny, że na samą myśl chciało jej się żyć. Teraz jej egzystencja znów ograniczała się do niekończących się przyjęć, herbatek, wizyt i przechadzek po Hyde Parku.

Znów ciasnym wachlarzem otaczali ją ci sami adoratorzy, a koleżanki, choć zazwyczaj bardzo miłe, częściej pragnęły naśladować sposób jej bycia, niż się z nią zaprzyjaźnić.

Przyzwyczaiła się do tego, że jej znajomości zaliczały się raczej do tych powierzchownych, niewykraczających poza rutynowe rozmowy o modzie, najnowszych skandalach i tym, czy pogoda się poprawi, czy pogorszy. Jednym z najulubieńszych tematów jej adoratorów była jej uroda. Od trzech sezonów na każdym przyjęciu wysłuchiwała niezliczoną ilość tych samych, wyświechtanych komplementów, do których przywykła, a które z czasem coraz bardziej ją irytowały.

Oczywiście nie były niemiłe, po prostu okropnie... banalne. I takie przewidywalne!

Dosłownie przed chwilą udało jej się wyswobodzić od zgrai zarozumiałych bałwochwalców, którzy liczyli, że ich komplementy trafią na grunt próżności ich odbiorczyni.

Dawniej być może tak by było. Kiedyś sądziła, że wygrała los na loterii, otrzymując taką urodę, ale teraz, gdy obserwowała lorda Hamiltona i jego małżonkę, czuła, że w rezultacie nie posiada żadnego bogactwa. Prawdziwy skarb widziała w oczach zakochanych.

Jak by to było, gdyby potrafiła obdarzyć kogoś takim spojrzeniem? Uczuciem?

Zdawała sobie sprawę, że są to jedynie domysły, marzenia, których z pewnością nie będzie dane jej poznać. Była najstarszą córką markiza i jej rodzina oczekiwała jedynie, że wychodząc za mąż, podniesie ich prestiż. Matka zawsze wspominała, że jej uroda godna jest książęcej krwi. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała spełnić swoją powinność i wybrać kogoś... odpowiedniego, kto zadowoli wszystkich.

Prócz niej.

Nie każdy mógł pozwolić sobie na związek z miłości. Nie każdy też był do niej zdolny. Jej w udziale przypadła mniej wzniosła i romantyczna funkcja. Ta praktyczna, przyziemna rola, której nawet nie miała zamiaru się wystrzeżać.

Już dawno się z tym pogodziła.

Odwróciła się do nadchodzącego dżentelmena, licząc, że wystarczy obrzucić go chłodnym spojrzeniem, by zostawił ją samą, jednak gdy dojrzała jego sylwetkę, zeszytywniała. Pamiętała go.

To nie był kolejny wymuskany dandys, który krył się pod wymyślnym wiązaniem fularu.

Ten mężczyzna nosił ubranie... dość minimalistyczne, żeby nie powiedzieć, niekompletne. Jego szerokie barki wręcz rozsadzały materiał surduta, który choć doskonale skrojony, odznaczał się prostotą. Pierś zdobiła klasyczna, batystowa koszula, na której jednak brakowało halsztuka, przez co rozchyłała się na szyi, ukazując śniadą skórę. Kolejny niespotykany u dżentelmena element. Powszechnie uważano, że opalona skóra nie przystoi wyższym klasom. Jej własną, bardzo bladą poeci amatorzy nazywali „alabastrową jak światło księżycy”. Prawie nigdy nie wychodziła z domu bez parasolki, pod którą zawsze mogła się schronić w razie zbyt silnego słońca.

Gdy mężczyzna stanął tuż obok, sklonił się jej z uśmiechem.

Pamiętała, że poznali się w równie niekonwencjonalny sposób, w klubie Hamiltona. Odwiedzała wtedy Charlotte, która przeniosła się tam czasowo razem z dziećmi, gdy spłonął jej sierociniec.

Przypomniała sobie naprędce, że przedstawił się jako kapitan Ross Mortimer, choć według niej wyglądał raczej na jakiegoś barbarzyńskiego pirata. Brakowało mu tylko kolczyka w uchu i wsuniętych za pas pistoletów.

Musiała przyznać, że robił wrażenie.

Zupełnie nie przypominał typowego dżentelmena.

A może wcale nim nie był?

– Madame – wymruczał niskim barytonem, który zdawał się przedzierać aksamitnym dźwiękiem przez ciszę nocy.

Poza ich dwojgiem nie było na tarasie nikogo i przez chwilę się czuła, jakby miała z nim umówioną schadzkę.

Na Boga, jeśli ktoś ją z nim zobaczy, z pewnością właśnie to sobie o nich pomyśli! Jej reputacja...

– Nie został mi pan należycie przedstawiony – powiedziała, zadzierając wysoko podbródek, by spojrzeć mu w oczy. – Nie powinnam więc z panem rozmawiać.

– Poznaliśmy się już wcześniej, czy to nie wystarczy?

– Oczywiście, że nie – dodała, mierząc go nieprzychylnym spojrzeniem. – Nie w takich okolicznościach. – Poruszyła machinalnie ręką, wskazując na bawiących się nieopodal gości.

Mężczyzna nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Wyglądał, jakby jej odmowa bardziej go rozbawiła, niż speszyła.

– Może powinienem poprosić Jamesa, żeby oficjalnie nas sobie przedstawił? Panno...? – Uniósł jedną brew, jakby czekał, aż dokończy zdanie za niego.

– Mówi pan o lordzie Hamiltonie? – zapytała, ani myśląc o tym, by zdradzić mu swoje nazwisko. – Zna go pan?

– Jak najbardziej. Od wielu lat.

Helen przyjrzała mu się dyskretnie.

– Nawet gdyby nas sobie przedstawił – dodała po namyśle – i tak nie miałabym zamiaru z panem rozmawiać. Nosi się pan i zachowuje skandalicznie. To jedynie by mi zaszkodziło.

W oczach mężczyzny pojawił się jakiś błysk i wyraz jego twarzy wyostrzył się nagle.

– Nie sądziłem, że jest pani tak pruderyjna – stwierdził oschle.

Helen nie przejęła się jego tonem. Była mistrzynią etykiety i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co jej przystoi, a co nie. Dama na pewne znajomości po prostu nie mogła sobie pozwolić.

Niezależnie od tego, czy miałyby na to ochotę.

– Proszę mi wierzyć, bardzo bym chciała mieć w tej kwestii jakiś wybór. Niestety go nie mam.

– Rozumiem, że nawet panią więżą konwenanse? – spytał, jakby się z tym nie mógł zgodzić.

– Naturalnie – zdziwiła się. – Nie ma pan pojęcia, jak wiele zasad sporządzono z myślą o kobietach. Oczywiście w kwestii mężczyzn wykazano się znacznie większą wyrozumiałością...

– Czy usiłuje mi pani powiedzieć, że zawsze zachowuje się tak, jak się tego od niej oczekuje? – Pokręcił głową. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Po tych słowach przysunął się do niej nieznacznie, kładąc rękę na poręczu tuż obok jej ramienia. Spojrzała na niego niepewnie. Ostatecznie byli tu sami, a ten człowiek wydawał się mieć wszystkie zasady za nic. Był też niesamowicie męski i bardzo pewny siebie, a co gorsza niespecjalnie przejmował się jej oziębłym zachowaniem.

Szybko uznała, że jest niebezpieczny.

Dla niej. Dla jej reputacji.

Jednak z jakiegoś powodu wciąż tu stała i z nim rozmawiała.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się nad jego słowami. W końcu podniosła na niego wzrok.

– Mówi pan jak człowiek, który nie ma nic do stracenia – powiedziała niemal ze złością. Denerwował ją. Podważał wszystko, co do tej pory знаła i co wpajano jej, że jest słuszne.

– Bo nie mam – odrzekł i w jego oczach dostrzegła, że mówił prawdę.

– Nie ma pan nic, na czym mu zależy? – wyszeptala.

– Dawno już odrzuciłem wszystkie więzy, które były mi kamieniem u szyi.

Machinalnie spojrzała na wycięcie jego koszuli, po czym uśmiechnęła się leciutko.

– Tak, właśnie widzę – odparła gładko. – Czy jedną z tych rzeczy ciągnących pana w dół był właśnie halsztuk?

Ross odwzajemnił jej uśmiech.

– Zgadła pani. Ten cholerny przedmiot jest stworzony tylko po to, by odbierać mężczyźnie swobodę. A ja lubię oddychać pełną piersią.

– Odpowiednie wyrażanie się przy kobiecie też nie leży w pana gestii? – dodała, usłyszawszy przekleństwo w jego ustach. Jeszcze żaden dżentelmen nie ośmielił się odzywać przy niej w ten sposób.

– A czy obraziłem tym panią?

– Nie.

– W takim razie chyba nie ma się czym przejmować?

Helen stwierdziła, że właśnie w tym momencie go polubiła. Traktował ją jak równą sobie.

Powinna być oburzona, powinna zganić go za jego maniery, a raczej ich brak, i czym prędzej uwolnić się od jego towarzystwa.

Jednak była zaintrygowana.

Przedstawiał sobą niewymuszoną swobodę, o której tak marzyła. Nawet nie wiedziała, że tak bardzo, dopóki w prosty sposób nie wyjawił, jak ważna jest dla niego wolność.

– Jeśli jednak obstaje pani przy tym, by dbać o konwenanse, chyba niegrzecznie jest mnie dalej torturować i nie mówić swojego imienia?

– Proszę mi wybaczyć, ale zapomniałam, jaka jest pana godność – skłamała, udając, że wcale go nie pamięta. Może to choć trochę osłabi tę jego zuchwałą pewnością siebie.

– Kapitan Ross Mortimer. – Ujął natychmiast jej palce i uniósł do swych ust. Helen wstrzymała oddech. Jego ręka była duża i szorstka, czuła bijące od niej ciepło nawet przez rękawiczkę. Chciała wyrwać mu swoją dłoń, ale on przytrzymał ją mocno, po czym złożył na niej pocałunek.

Bardzo przykładowy, nie za długi, nie za krótki, jednak wystarczający, żeby przez jej ciało przebiegł niespodziewany dreszcz podekscytowania. Całe szczęście miała na sobie rękawiczki, bo gdyby poczuła jego usta na nagiej skórze...

Już miała powiedzieć coś opryskliwego, by zganić go za zbytnią poufalość, gdy on spojrzał jej głęboko w oczy i wymruczał ciche „do usług”.

Trwała tak chwilę na uwięzi tych słów, bo brzmiało to, jakby... jakby składał jej jakąś propozycję.

Na Boga, on śmiał z nią flirtować!

Wyrwała szybko rękę i odwróciła wzrok.

– Nie potrzebuję pana usług, dziękuję – odparła najchłodniej, jak tylko potrafiła.

– Rozumiem – odrzekł zupełnie niezrażony, a co gorsza, wydawał się nawet zadowolony z jej odpowiedzi.

Do diaska, większość mężczyzn, których знаła, szybko się obrażała. Młodzi dżentelmeni miewali dosyć wątle ego i byli wysoce wrażliwi na punkcie odrzucenia. Szczególnie gdy robiła to nieodparcie piękna kobieta.

Potrafiła być nieprzyjemna, jeśli tego chciała, jednak ten człowiek...

– Czekam – powiedział nagle.

Zamrugnęła bezwiednie.

– Na co?

– Na pani imię, rzecz jasna. Chyba, że jest pani szpiegiem i nie może mi tego zdradzić. – Udał, że się zastanawia. – Albo jeśli wisi nad panią jakaś klątwa. – Znow na nią spojrzal. – Czy wisi nad panią klątwa?

Helen prychnęła wyniośle, słysząc te niedorzeczności.

– Co też pan wygaduje...

– Jestem dosyć wrażliwy na klątwy i wołałbym ich serdecznie unikać – dokończył i dopiero po chwili zrozumiała, że sobie z niej żartuje.

Przystawiła dłoń do ust, by nie zauważył jej uśmiechu. Szybko się opanowała.

– Obawiam się, że odkrył pan moją tajemnicę, dlatego też oszczędzę panu kłopotu ze względu na pana ekhm... wrażliwość – odparła z westchnieniem, po czym zaczęła obracać się w stronę budynku.

– Proszę zaczekać – zatrzymał ją natychmiast.

Wiedziała, że to zrobi.

– A jakąż to klątwa nad panią wisi, jeśli wolno spytać?

Uśmiechnęła się psotnie. Ta konwersacja była coraz ciekawsza!

– Powiem panu, jeśli obieca nikomu jej nie zdradzić.

Przyłożył dłoń do piersi.

– Słowo kapitana – zapewnił ją.

Helen spojrziała na drzwi balkonowe, upewniając się, że nikt ich nie widzi.

– Moja uroda jest moją klątwą – odparła, nachylając się nieznacznie ku niemu.

Ross przyjrzał się jej ślicznemu profilowi.

– Jest pani przekonana o tym, że jest piękna – stwierdził bardziej, niż spytał.

Helen spojrziała na niego zdziwiona, ale po jego roziskrzonych oczach zrozumiała, że znow się z niej śmiał.

Och, co za okropny typ!

– Wygląda na to, że albo jest pan ślepy, albo niezbyt inteligentny – warknęła ostrzegawczo.

– Ależ skąd! – Uniósł obie dłonie w geście samoobrony. – Skoro jest pani o tym przekonana, nie wypada mi się z panią nie zgodzić. – Dolewał oliwy do ognia.

– Wielce to łaskawe z pana strony – odparła kwaśno.

– Dziękuję. W końcu jestem dżentelmenem.

– Chyba jego odwrotnością.

– Przepraszam, czy jestem w stosunku do pani niegrzeczny?

– Cóż... nie.

– Ale chciałaby pani, bym był, prawda? – dodał nagle innym tonem i przysunął się do niej tak blisko, że niemal zetknęli się czubkami butów.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i zamarła w bezruchu.

On pochylił się nieznacznie i wtedy poczuła zapach piżma, drzewa sandałowego i... morza.

Przeszło jej przez myśl, że tak pachnie prawdziwa wolność.

Zawisł nad nią, a ona chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co ma teraz począć.

Zrobiła więc to, co umiała najlepiej.

– Niech pan pozwoli sobie na jeszcze jeden ruch, a szybko tego pożałuje – syknęła.

Te słowa wypowiedziane lodowatym tonem potrafiły czynić cuda. Zazwyczaj działały jak kubek zimnej wody na nachalnych bawidamków.

– A może bardziej bym żałował, gdybym nic nie zrobił? – Chwycił długimi palcami jej podbródek i delikatnie uniósł ku sobie.

Oczywiście, nie na niego.

Helen poczuła, jak jej serce zaczyna wyrywać się z piersi. Ze złości? Z ekscytacji? Sama nie wiedziała. To było tak

nieznośne uczucie, jakby zawisła między młotem a kowadłem.

Zirytowała ją własna niepewność. Już otwierała usta, by wyrazić się bardziej dobitnie, gdy drzwi balkonowe się otworzyły.

Mężczyzna zareagował momentalnie.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę zacienionych schodów, prowadzących do ogrodu.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że pozwoliła mu się poprowadzić. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył...

Szybko zbiegli po schodkach i ukryli się za bujnym krzewem. Kapitan objął ramieniem jej talię i przyciągnął do siebie. Mimo znacznej różnicy wzrostu ich ciała naturalnie się do siebie dopasowały. Bezwiednie oparła dłonie na jego piersi.

– Jak pan śm...

– Ciiii. – Przyłożył palec do jej ust. – Chce pani, żeby nas odkryli? Wtedy wszyscy pomyślą, że zjawiała się pani na tarasie tylko po to, by mnie tu spotkać. – Spojrzał z bliska w jej oczy. – A może faktycznie marzy pani o schadzce ze mną?

– Ja wcale nie... – wymamrotała zdławionym szeptem.

– Oczywiście, że pani „wcale nie” – przerwał jej jakby odrobinę rozeźlony. – Ale ja już tak – dodał i zanim się spostrzegła, odchylił jej głowę i opadł ustami na jej wargi.

Krzyknęła cicho, do reszty zaskoczona jego zachowaniem, jednak pocałunek stłumił ten odgłos. Zwinęła dłonie w pięści, gotowa do ataku, ale wtedy poczuła coś zaskakująco przyjemnego.

Całowano ją wiele razy. Nie było to dla niej nowością.

Młodzi dandysi zazwyczaj chcieli skraść jej pospiesznego całusa, wytrawni uwodziciele, autorzy „różanych usteczek” pragnęli złamać jej opór swoim uwodzicielskim kunsztem,

a wreszcie i starsi kawalerowie, którzy ofiarowywali jej swoją rękę i obdarzali niemal ojcowską czułością.

Nic na nią nie działało. Pozwalała na te wszystkie pocałunki, mając nadzieję, że i jej przydarzy się w końcu „to coś”, o czym nieraz rozmawiały zakochane koleżanki.

Niestety, to uczucie wciąż zdawało się odległe i nieuchwytnie, tak że zaczęła tracić nadzieję.

Ostatecznie pogodziła się z tym, że nie jest zdolna do odczuwania ani namiętności, ani miłości. Że jest zimna. Obojętna. Bez serca.

Jednak to, jak całował ją kapitan, jak zagarniał jej usta i przyciskał do swej twardej piersi, sprawiło, że jej ciało drżało od niewypowiedzianej tęsknoty.

Sama nie wiedziała, czy nie wywołał tego szok, bo z jednej strony chciała uciec od niego jak najdalej, a z drugiej poddać się nieznanemu uczuciu.

Przez dłuższą chwilę trwała biernie w jego ramionach, pozwalając mu na ten intymny dotyk, ale gdy przeciągnął językiem po jej drżących ustach, westchnęła bezwiednie i przesunęła dłonie na jego szyję. Objęła go ciasno.

Mruknął z zadowoleniem, a ona badała palcami naprężone pod skórą mięśnie. Miał nieco przydługie włosy, w słabym świetle wydawały jej się niemal czarne, ale z tego, co pamiętała, były po prostu ciemnobrązowe. Opały mu miękką falą na szyję, przez co czuła ich dotyk na opuszkach palców.

Wbiła paznokcie w twarde mięśnie, jakby karcila go za to, że daje jej przyjemność. Syknął cicho, lecz przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej.

Teraz czuła, jak jego ciało ściśle do niej przylega. Muslinowa suknia nie stanowiła wielkiej przeszkody. Czuła jego długie, muskularne nogi tuż obok swoich, twarde brzuch

i szerokie ramiona, które otaczały ją tak ściśle, że ledwo mogła oddychać.

To było niesamowite!

Ruszyła mu na spotkanie, pragnąc się dowiedzieć, dokąd ją to zawiedzie.

Umiała się całować. Jeśli tego chciała.

Poddała się więc narastającemu uczuciu i pocałowała go nie jak struchlala panienka, ale jak kusicielka, którą się teraz czuła.

Gdy bez ostrzeżenia wsunęła język do jego ust, wyczuła, jak ten wielki mężczyzna zadrżał w jej ramionach. Uśmiechnęła się w duchu, badając wewnątrz jego ust i splatając się z nim językiem.

Słyszała jego urywany oddech, jego skóra była tak gorąca, że niemal ją parzyła.

Dłonią pogłaskała czerwone ślady na jego szyi, zadowolona, że potrafi sprawić, by pragnął jej do szaleństwa. Gdy palcami dotarła do krawędzi koszuli, zawahała się. Mogłaby bez problemu wsunąć swoje dłonie pod materiał i dotknąć twardych mięśni...

Jeszcze nigdy nie czuła się tak wspaniale kobieco, a jednocześnie tak krucho.

Gdy dłonią przycisnął ją do swoich bioder, wyczuła jego narastającą ekscytację. Nie była na to przygotowana, nie sądziła nawet, że ktoś mógłby ośmielić się zrobić coś tak okropnie nieprzyzwoitego i... podniecającego! Jednak tutaj kończyła się jej znajomość miłosnych igraszek. Gdy mężczyzna wsunął palce w jej misterną fryzurę i zaczął uwalniać ją od licznych szpilek, wyrwała się z jego ramion.

– Co pan robi! – oburzyła się półszepsem, mając na względzie dżentelmenów, których słyszała wcześniej na tarasie. Nie byli zbyt blisko, więc nie obawiała się, że ich odkryją.

– Całuję panią, naturalnie – odparł po chwili zachrypniętym głosem.

Spojrzała na niego, jakby widziała go po raz pierwszy. Jego pierś unosiła się w ciężkim oddechu, oczy zdawały się duże i wygłodniałe.

To jej pragnął.

Speszona opuściła wzrok. Nie miała pojęcia o takiej namiętności i było jej z tego powodu trochę wstyd. Lubiła panować nad sytuacją, a to, co się między nimi działo, wykraczało poza sferę jej doświadczeń. Nie chciała jednak wyjść na strachliwą i niedoświadczoną.

– Nie o tym mówię – rzuciła nonszalancko.

– Nie o tym? – zdziwił się. – A co innego zrobiłem?

Helen bez słowa odwróciła się do niego plecami, usiłując szybko znaleźć jakąś godną światowej damy odpowiedź. Odruchowo uniosła dłonie, by poprawić fryzurę.

– Ma pani na myśli... swoje włosy?!

Spojrzała na niego zza ramienia.

– Oczywiście, że tak – zgodziła się natychmiast, zadowolona, że sam podsunął jej doskonały pomysł.

Przecież damy z wyższych sfer mają obsesję na punkcie elegancji!

– Żebym się dobrze upewnił. – Podeszedł do niej o krok.

– Jest pani na mnie wściekła, bo zburzyłem pani fryzurę. Nie dlatego, że panią pocałowałem, czy tak?

– Nie ma pan pojęcia, ile czasu zajmuje układanie włosów. Jak ja teraz wrócę na salę? – zaczęła mamrotać pod nosem, wczuwając się w swoją rolę.

Usłyszała, jak westchnął, po czym stanął za jej plecami, bez słowa odsunął jej dłonie na bok i sam z niezwykłą wprawą zaczął układać miękkie pukle.

– Gotowe – dodał po chwili, a ona odwróciła się przodem do niego, jednocześnie badając dłońmi jego wysiłki.

Gdy doszła do wniosku, że wszystko jest na swoim miejscu, zmarszczyła brwi i przyjrzała mu się podejrzliwie. – Gdzie się pan tego nauczył? Chyba nie na statku?

Odchrząknął znacząco.

– Raczej poza nim.

Helen zarumieniła się na te słowa.

Oczywiście miał na myśli wszystkie kobiety, z którymi łączyły go bliższe kontakty!

Z tego, co słyszała od koleżanki, której mąż służył w marynarce, mężczyźni spędzający na statku wiele tygodni, mają potem wyostrzony apetyt...

– Skoro naprawił pan wyrządzoną szkodę, jestem skłonna panu wybaczyć – odparła w końcu wspaniałomyślnie.

– Ależ ja pani za nic nie przepraszam. Uważam, że każdy rozsądny człowiek zrobiłby na moim miejscu to samo.

– Nie przepraszam pan? Nawet za zniszczenie mojej fryzury?

Ross walczył przez chwilę z uśmiechem, ale szybko się poddał. Wyciągnął dłoń i palcem dotknął kosmyka jej włosów.

– Widzę, że jest pani w tym względzie wyjątkowo wrażliwa.

– Ja w ogóle jestem wrażliwa! – Trzepnęła go dłonią, co już do reszty go rozbawiło.

– Obawiam się, że jest pani dużo więcej niż po prostu „wrażliwa” – zauważył. – Raczej przypomina pani wulkan. Z zewnątrz chłodna i zdystansowana, a pod spodem temperamentna i pełna życia.

– Kompletnie brednie – prychnęła znów. – Pan za to jest bardzo niedżentelmeński.

– Zaryzykowałbym, że właśnie to się pani we mnie podoba.

– Nie podoba mi się pan – zaprzeczyła natychmiast.

– W takim razie wyraziła to pani przed chwilą w bardzo niekonwencjonalny sposób.

– I jest pan nieuprzejmy.

– A pani dramatyzuje.

– Nonsens! – zezłościła się. – Jestem uważana za bardzo opanowaną, elegancką i zrównoważoną.

– Dzięki Bogu, że to nieprawda. – Wsunął dłoń do kieszeni i wyglądał teraz, jakby bardzo dobrze się bawił. Jej kosztem.

Helen omal się nie zapowietrzyła z oburzenia.

– Pan jest doprawdy bezczelny! – krzyknęła w końcu dosadnie.

– Tylko szczery. – Wzruszył ramionami. – Wspaniale pani całuje, rozumiem, że ta umiejętność jest niezbędna w pani profesji, ale skoro sprawę z włosami mamy już opanowaną, z chęcią znów skosztowałbym pani „elegancji i zrównoważenia”.

– Spróbuj pan tylko zrobić krok w moją stronę! – postraszyła go znowu. Nie rozumiała, co miał na myśli, mówiąc „pani profesji”, ale była bardziej zajęta swoim wygrazaniem niż jego słowami.

Kapitan ostentacyjnie spojrzal na odległość, jaka ich dzieliła, po czym z premedytacją zrobił krok w jej stronę.

– Jest pani piękna, gdy się złości – powiedział pieszczotliwym tonem, uśmiechając się do niej z bliska. Ona popatrzyła na niego spod byka.

– No tak! Teraz usłyszę te wyświechtane komplementy – zaczęła lamentować. – Jeszcze tego mi brakowało.

– Nie lubi pani komplementów?

– Nienawidzę – wyznała gwałtownie, zanim zdążyła pohamować swój język.

Co się z nią działo?

– Rozumiem, że zbyt wiele ich już pani słyszała?

– Zgadł pan. Niech jeszcze raz usłyszę o alabastrowej skórze czy różanych usteczkach, a dosłownie zwymiotuję...

– Jest pani dosyć dosadna w słowach, jeśli wolno mi zauważyć – wtrącił.

Rzuciła mu złe spojrzenie.

– Zwymiotuję... na pana buty. – Uśmiechnęła się złośliwie.

– Ach, rozumiem! – Podrapał się nagle w policzek. – To musi być teraz ten pokaz chłodu i opanowania, zgadłem?

Helen nigdy nie czuła takiej wściekłości. Ten człowiek z premedytacją podburzał jej gniew, uniosła dłoń, by go spoliczkować, ale on jakby tylko na to czekał, bo złapał ją za przegub, wykręcił za plecy i przycisnął do swego ciała.

Ross podniósł jeszcze głowę, by dostrzec, jak dżentelmeni z tarasu wchodzą niespiesznie do budynku.

Spojrzał w dół na najpiękniejszą i najbardziej temperamentną kobietę, jaką kiedykolwiek przyszło mu spotkać.

Ciskała w niego roziskrzonym wzrokiem. Jej głęboki dekollet ledwie osłaniał piersi, które teraz we wzburzeniu unosiły się tuż przy jego klatce piersiowej.

Momentalnie poczuł podniecenie. Cała ich rozmowa wprowadzała go sukcesywnie w silny stan pobudzenia. Czy ona w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, jak na niego działa?

Gdyby tylko wiedział, że z radością przyjmie jego awanse, już teraz zabralby ją do swego domu.

Ostatecznie była kurtyzana, prędzej czy później by mu uległa.

Chyba, że jest ktoś inny.

Poczuł nagle ogarniającą go złość. Był pewien, że tam na sali czeka na nią jakiś mężczyzna, którego dzisiejszej nocy obdarzy swoimi wdziękami. A on jutro wypływał i nie będzie go kilka miesięcy.

Zaklął pod nosem i zaraz wypuścił ją z objęć.

Kobieta zachwiała się, po czym rozmasowała nadgarstek. Odetchnęła głęboko.

– Pana pocałunki były mile, ale proszę sobie wiele nie obiecywać. Nie jest pan dla mnie odpowiedni, ja dla pana również – oznajmiła mu królewskim tonem.

– Znowu chłodna i niedostępna – parsknął. – Doskonale, będę panią zdobywał po kawaleczku.

– Proszę nie być ordynarnym – zganila go i przez chwilę miał wrażenie, jakby rozmawiał z prawdziwą damą. – Nie jestem jakąś dziewczką w porcie, której może pan po prostu zdrzeć spódnicę. Nie otrzyma pan ode mnie nic więcej.

– Och, doprawdy? Tak wysoko się pani ceni? – Uśmiechnął się drapieźnie. – Nie słyszała pani, że w łóżku wszyscy są sobie równi? A może jest pani nazbyt dumna, by sypiać z kapitanem?

– Z nikim nie mam zamiaru sypiać! Pan się zapomina! – Spojrzała na niego oszołomiona.

– Ach, więc to jest jedna z pani gierek, najpierw pani zachęca, a potem odrzuca. – Pokiwał głową. – Teraz to rozumiem. Doprowadza pani mężczyzn do oblędu, żeby potem jak najwięcej od nich zyskać, czy tak?

Helen otworzyła usta w niemym szoku.

– Za kogo pan mnie ma! – krzyknęła cicho. Zrobiła krok w tył, lecz on za nią podążył.

– Oczywiście za tą, kim pani jest – dodał z goryczą. Wiedział, że jest teraz nieprzyjemny, ale fakt, że będzie się nią musiał z kimś dzielić, działał mu na nerwy. – Ach, zapomniałem. Czy dosięgnie mnie jeszcze pani uprzejmość i dowiem się chociaż, jak ma pani na imię?

– Niczego panu nie powiem. – Uniosła dumnie podbródek, jak to już miała w swoim zwyczaju.

– No tak, piękna nieznajoma, która obdarza mnie w ciemnościach namiętym pocałunkiem – zawołał prześmiewczo. – A ja nawet nie znam jej imienia!

– Jakże to ma dla pana znaczenie? Doskonale dał mi pan do zrozumienia, co ma mi do zaoferowania. Dziękuję, ale nie skorzystam – rzuciła sztywno. – Zresztą sam pan powiedział, że jutro wypływa. Jestem pewna, że ma pan z tego powodu mnóstwo zajęć. Życzę milej podróży! – Obróciła się na pięcie, lecz on zagroził jej drogę.

Znów.

Przymknęła oczy, próbując opanować złość.

Odczekał chwilę, aż jej oddech się uspokoił. W końcu rozchyliła powieki i spojrzała na niego.

– Nie wiem, jak pan to robi, ale dawno nie byłam tak rozzłoszczona.

Uśmiechnął się krzywo.

– Ja bym raczej powiedział, że jest pani po prostu porywczą – powiedział cicho, wędrując wzrokiem po jej twarzy. – Ale w jednym muszę się z panią zgodzić. Jutro wypływam w długi rejs. Nie będzie mnie tutaj, a pani ma swoje życie. Proszę wybaczyć, jeśli nadszarpnąłem jej cierpliwości.

Helen lustrowała podejrzliwie jego twarz, jednak wydawał się szczery.

– To wszystko nie powinno się w ogóle zdarzyć.

– Ale się zdarzyło i z pewnością na długo pozostanie w mojej pamięci. – Ujął jej dłoń i nonszalancko ucałował koniuszki palców.

– Teraz znów jest pan dżentelmenem? – Uśmiechnęła się leciutko.

– A pani znów jest damą – odparł. – Nawet jeśli nie posiada imienia.

Skinęła głową na znak zgody, wyglądało na to, że nawet teraz nie zamierzała mu go wyznać.

– Być może kiedy spotkamy się po raz trzeci, wyjawi mi je pani? – spytał.

– Wątpię, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

Kapitan pokręcił głową.

– Zdaje się, że to samo powiedziała pani za pierwszym razem. Nie ma pani chęci mnie więcej zobaczyć?

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę, jakby nie potrafiła się zdecydować.

– Czuję, że nie wyszłoby mi to na dobre – wyznała w końcu.

– A ja myślę wręcz odwrotnie.

– Musi być pan zatem optymistą – zawyrokowała.

– A pani? Kim jest?

– Posiadam raczej praktyczną naturę. Nie jestem romantyczką i rzadko pozwalam sobie na marzenia.

Ross pomyślał, że biorąc pod uwagę jej zawód, powinien się spodziewać takiej odpowiedzi.

– W takim razie wierzę pani na słowo. – Skłonił się grzecznie, choć jego postawa w niczym nie przypominała sztywności, jaką widzi się u dżentelmenów z wyższych sfer.

– Życzę panu przyjemnej podróży – odparła uprzejmie, na powrót zamieniając się w nieprzystępną kobietę, jaką była na początku. Można by odnieść wrażenie, że chwilę wcześniej wcale się nie całowali. Poprawna aż do bólu. Musiał przyznać, że odrobinę go to ubodło. Wolalby, żeby go zatrzymywała i żeby wypytywała, kiedy znów się zobaczą.

Jak widać, nie było jej z tym po drodze, bo teraz zdawała się zupełnie obojętna na jego wdzięki.

– Nie pływa się po morzach atlantyckich po to, by mieć przyjemną podróż, droga pani – dodał nieco opryskliwie. – Ale doceniam gest. A czego powinienem życzyć pani?

Zastanawiała się chwilę, wyginając swoją łabędzią szyję w taki sposób, że ledwie się powstrzymywał, by znów jej do siebie nie przyciągnąć.

Opanował się jednak.

– Myślę, kapitanie, że na każdego czekają jego własne sztormy. Proszę mi życzyć godnego przetrwania w warunkach, jakie przyszykowało mi życie – odpowiedziała w końcu i znów dojrzał w niej ten głęboki smutek, który zauważył już wcześniej.

– Życzę więc pani, droga wojowniczo, przetrwania godnego damy – wyszeptał, patrząc jej głęboko w oczy.

Po chwili już go nie było, a Helen została sama na zwirowej ścieżce w ogrodzie Hamiltonów.

Odetchnęła kilka razy, starając się delektować chwilą i zapamiętać ją na jak najdłużej. W powietrzu wciąż unosił się zapach kapitana.

Ten mężczyzna wydawał się niebezpieczny, niczego nie obiecywał, ale był też najbardziej ekscytującym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia.

Oczywiście matka nie pochwalałaby takiej znajomości, ale nie wszystko musiało iść zgodnie z jej życzeniami.

Ostatecznie Helen już dawno się przyzwyczaiła, że odda swoją wolność jakiemuś obcemu człowiekowi w imię „wyższego dobra”.

Kapitan stanowił część tego, za czym będzie mogła wtedy tęsknić.

Wolny, niezależny i zuchwały.

Przejechała językiem po wargach, na których wciąż czuła smak jego szorstkich pocałunków. Po chwili przygryzła je, uśmiechając się do siebie psotnie.

Obróciła się na pięcie, gotowa się dowiedzieć, kim właściwie jest ten człowiek.

Być może Charlotte będzie coś wiedziała na jego temat. Kapitan twierdził, że od wielu lat przyjaźni się z jej mężem.

Gdy tylko zrobiła krok w stronę sali balowej, usłyszała chrzęst żwiru za swoimi plecami.

Rozciągnęła wargi w uśmiechu satysfakcji i nie odwracając się, powiedziała:

– Bardzo szybko pan za mną zatęsknił. Czyżby i pana objęła moja klątwa?

Gdy nikt jej nie odpowiedział, próbowała zerknąć do tyłu, ale było już za późno.

Zakapturzona postać przytknęła jej do ust jakiś materiał. Odurzył ją ostry zapach eteru. Nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy świat usunął się spod jej stóp.

Następnego dnia

Gdy zaczęła odzyskiwać przytomność, pierwsze, co poczuła, to silny ból głowy. Dodatkowo miała zakneblowane usta i ledwo była w stanie zebrać myśli. Poruszyła zdrętwiałymi dłońmi, które jak się okazało, miała związane w przegubach. Nic nie krępowало jej nóg, co przyjęła z wielką ulgą.

Zdołała w końcu otworzyć oczy i spostrzegła, że znajduje się w jakiejś klatce. Dużej i drewnianej, jakich używa się w cyrku dla dzikich zwierząt. Ale ona nie była zwierzęciem, tylko damą!

Zdenerwowała się momentalnie, że ktoś ośmielił się ją traktować jak... jak... tuczne zwierzę, albo worek fasoli!

W głowie jej zawirowało, gdy powoli podniosła się na nogi. Ledwie utrzymała równowagę, bo podłoga pod jej stopami nagle się poruszyła!

Przez chwilę stała i tylko nasłuchiwała.

Do jej uszu dobiegł zgrzyt drewnianych desek, jakiś nie-zidentyfikowany chrzęst i... hmm... szum fal?

Gdy znów rzuciło ją w bok, pojęła, że znajduje się na statku!

Na Boga, ktoś ją porwał!

Czy to możliwe, że...

Zapłonila się z wściekłości.

To musiał być ten przeklęty kapitan! Jak on śmiał! Po tym, jak była dla niego taka wyrozumiała i uprzejma! A nawet więcej niż uprzejma!

Rozejrzała się dookoła, gotowa rozerwać klatkę gołymi rękami. Niestety miała je związane, więc tylko z całej siły naparła swoim ciałem na kraty.

Ani drgnęły.

Spróbowała jeszcze raz, lecz wciąż z marnym rezultatem.

Zauważyła, że do klatki prowadzą drzwi, które były zamknięte na klódkę.

– Żalosa edukacja – mruknęła pod nosem. – Oczywiście nikt nie uczy panien na wydaniu, jak wylamywać drzwi, jeśli ktoś przypadkiem zamknie je w klatce dla zwierząt.

Zupełnie zdegustowana pociągnęła nosem.

Włosy opadały jej na twarz i zasłaniały widok.

– Okropny, oślizgły pirat! – warknęła znów, próbując je zdmuchnąć. – Nie ma pojęcia, z kim zadarł – wygrażała mu w myślach przekonana, że to jego sprawka.

Kłapnęła na małym zydelku, który umieszczono w kącie klatki. Choć jej organizm nie był przyzwyczajony do żeglowania, żołądek nie czynił żadnych rewelacji.

Rozejrzała się po pomieszczeniu.

Wywnioskowała, że znajduje się w ładowni statku. Zewsząd otaczały ją różnego rodzaju pakunki, wielkie skrzynie obwiązane sznurami, a ona została wciśnięta między nimi.

Jakby sama była towarem!

Gdy usłyszała zgrzyt otwieranych drzwi, dojrzała, że w suficie znajduje się właz. Do środka wpadło odrobinę światła, a ona przygotowała się na konfrontację z kapitanem.

Ku jej zdziwieniu do pomieszczenia po schodkach zszedł jakiś zupełnie jej obcy mężczyzna. Obserwowała go czujnym wzrokiem, nie wiedząc, jakie ma wobec niej zamiary. Czy on ją tu sprowadził? A może tylko wykonuje rozkazy kapitana?

Naraz obląła się zimnym potem, gdy pomyślała, że może przyszedł, by ją zgwałcić.

Ale nie, pocieszyła się natychmiast, gdyby tylko na tym mu zależało, już dawno by to zrobił. A może uwięził ją właśnie po to, by w trakcie długiego rejsu umilać czas sobie i swoim kompanom?

Strach podszedł jej do gardła, gdy nieznajomy zbliżył się do krat. Nie wyglądał jak dżentelmen. Z jego niechlujnego stroju wywnioskowała, że musi być marynarzem niższego szczebla. Szpakowate, pozlepiane włosy, niedogolone policzki, podłużna twarz.

Ubrany w koszulę i wiszące na nim spodnie, przez co wydawał się szczupły, jeśli nie wychudzony.

Chciała się do niego odezwać, ale chusteczka kneblująca jej usta była mocno zawiązana.

Zebrała w sobie całą odwagę. Cokolwiek zamierzał, musiała zachować zimną krew. Wstała z krzesła i stanęła na mocno rozstawionych nogach, żeby się nie chwiać. Pogniecioną suknią balowa nosiła ślady zabrudzeń, włosy wily się wokół jej ramion w kompletnym nieładzie. Trudno było teraz wyglądać dumnie. Stała więc tylko i mierzyła go nienawistnym spojrzeniem.

Czekała, aż zacznie rozmowę, wyjawi jej, dlaczego się tutaj znalazła, ale on tylko przykucnął, zrzucił na ziemię z pleców jakiś tobolek i zaczął go przeszukiwać.

Podeszła do niego niepewnie i gdy na nią spojrział, wyciągnęła przed siebie związane ręce, żądając tym samym, by ją rozwiązał.

Podniósł się powoli i ruchem głowy nakazał, by zbliżyła się do krat. Chwycił za zwisający koniec sznura i zanim zdążyła się spostrzec, przywiązał jego koniec do jednej z belek. Szarpnęła się z krzykiem, ale on zdawał się tego nie zauważać, umocnił jedynie węzeł, po czym wyciągnął klucz z kieszeni spodni i otworzył klatkę.

Nie miała szans na ucieczkę, zakneblowana i przywiązana była zupełnie bezbronna. Przygotowała się do konfrontacji.

Mężczyzna jednak podniósł tylko tobolek, wniósł go do środka i zaczął rozpakowywać. Musiałaby się mocno obrotić, by dostrzec, co z niego wyciąga, ale zauważyła, że jednym z przedmiotów było sporej wielkości metalowe wiaderko.

Po chwili w narożniku klatki zaczął rozwieszać hamak. Dopiero teraz zauważyła, że w drewniane, grube belki wbite były wcześniej haki.

Aha, czyli to będzie teraz jej łóżko. Doskonale.

Przynajmniej przestanie się turlać po podłodze za każdym razem, gdy statek się przechyli.

Wkrótce nieznamy wyszedł z klatki i znów ją w niej zamknął, a ona zaczęła wołać i szarpać więzy, by przypadkiem nie zapomnial jej uwolnić. Mężczyzna podszedł blisko krat i patrząc jej w oczy, schylił się, po czym wyciągnął krótki, zakrzywiony nóż zza cholewy buta.

Helen zamarła.

– Nawet nie myśl, że stąd uciekniesz – powiedział cichym, złowieszczym tonem, owiewając jej twarz cuchnącym oddechem. – Nie ma dokąd uciec. Jest tylko ten statek i morze. Możesz krzyczeć, wołać, ale i tak nikt, kto mógłby cię uwolnić, nie usłyszy twoich wrzasków. Korzystaj więc z tego, co dostałaś i nie utrudniaj podróży. Jasne? – Gdy nie zareagowała, wyciągnął ku niej rękę i szarpnął za włosy

tak, że w jej oczach pojawiły się lzy bólu. Na szyi poczuła lodowate ostrze noża.

– Jeśli będziesz próbowała grać bohaterkę, tylko pogorszysz sprawę. Szkoda by było, żeby ta śliczna główka straciła swoją właścicielkę. – Zaśmiał się nieprzyjemnie, po czym wzmocnił uchwyt i nacisnął mocniej ostrze, raniąc jej delikatną skórę. – To jak? Będziesz grzeczna?

Strwożona pokiwała szybko głową na znak, że się zgadza.

Nie doceniła tego człowieka.

Z początku wydawał się niegroźny, nawet łagodny, ale okazał się znacznie bardziej niebezpieczny, niż przypuszczała. Był nieobliczalny. Zupełnie nie spodziewała się ataku z jego strony, a on nie wahał się grozić jej bronią przy nawet najłżejszej niesubordynacji.

Jeśli tak zachowywali się wszyscy ludzie kapitana, to chyba i jego źle oceniła. Dwulicowa żmija, pomyślała zjadliwie. Tylko udawał przyjaznego.

Gestem dłoni kazał jej się obrócić, po czym mocnymi szarpnięciami rozplątał knebel na jej ustach. Kaszlnęła kilka razy, dłonią rozmasowując zeszywniałe szczęki.

Obróciła się zaraz w jego stronę. Patrzył na nią nieodgadnionym, mętnym spojrzeniem, jakby czekał na jej niewłaściwy ruch.

Musiała mieć się na baczności.

– Nie będę sprawiała kłopotów, jeśli odpowiesz na kilka moich pytań – powiedziała odważnie, starając się, by głos jej przy tym nie zadrżał. Oczywiście nie zamierzała dotrzymać słowa, ale nie musiał tego jeszcze wiedzieć.

Kiedy nie zaprzeczył, od razu przeszła do sedna.

– Dlaczego mnie tu więzicie?

– My? – spytał zaraz, po czym splunął na podłogę.

Opanowała odruch obrzydzenia.

– Rozumiem, że jest pan tylko jednym z ludzi kapitana, bo to on kazał mnie panu porwać, czy tak?

Mężczyzna nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– A jeśli tak, to co? – Oparł ręce na biodrach i rzucił jej drwiący uśmiech.

– Jeśli tak, to chciałabym z nim porozmawiać. Jak najszybciej – dodała stanowczo.

Jej ton najwyraźniej nie spodobał się mężczyźnie, bo uśmiech zaraz zniknął mu z twarzy.

– Nie będziesz z nikim rozmawiać – syknął. – Tylko ja cię pilnuję i tak już zostanie.

– Jeśli oczekujecie, że moja rodzina zapłaci za mnie okup, to z pewnością się nie mylicie. Najlepiej od razu wysłać im list. Jestem pewna, że będą kooperować – zapewniła go, na oślep szukając jakiegoś wyjścia i tym samym próbując wy badać możliwe opcje. Marynarz nie należał do gadatliwych, co znacznie utrudniało zbieranie informacji.

– Mam... to znaczy kapitan ma w stosunku do ciebie inne plany. Twoja parszywa rodzina nikogo nie obchodzi – dodał.

Helen zaczęła się gorączkowo zastanawiać. Wciąż nie wiedziała, dlaczego ją porwano. Skoro nie chcieli okupu, być może wcale nie chodziło o pieniądze? Albo może sądzili, że kontaktowanie się z jej bliskimi jest zbyt ryzykowne?

Rodzina musiała zauważyć jej nieobecność jeszcze podczas balu u Hamiltonów. Z pewnością już jej szukają, jednak prawdopodobnie śledczy będą najpierw przeczesywać miasto. Zanim wpadną na jej trop, może minąć dużo czasu.

Każdego dnia z Tamizy odpływało mnóstwo statków. Skąd będą wiedzieć, że jest akurat na tym? Czy powiążą jej zniknięcie z kapitanem Rossem? Helen nie zdążyła nawet powiedzieć swojej przyjaciółce, że go poznała, nikt też nie widział ich razem...

W dodatku nie miała pewności, czy kapitan w ogóle mówił prawdę, sugerując, że dobrze się zna z lordem Hamiltonem. Być może kłamał i nie jest tym, za kogo się podaje?

Do diaska. Nie pozostawiła po sobie żadnych śladów, by ktokolwiek mógł ją odnaleźć.

– Czy daleko mnie zabieracie? Rodzice z pewnością będą mnie szukać...

– Zapomnij o Anglii. Będziesz miała inny dom.

Serce podeszło jej do gardła, zapomnieć o Anglii?!

– Inny dom? Gdzie? – dopytywała, póki marynarz nie tracił cierpliwości.

– Za parę tygodni się dowiesz. Mam nadzieję, że lubisz ciepły klimat.

Helen przelknęła z wysiłkiem ślinę. Ciepły klimat? Za parę tygodni? Nie знаła się zbyt dobrze na żeglowaniu, ale wiedziała, że musi mieć na myśli kontynent afrykański.

Dobry Boże...

Zanim zdążyła jeszcze o coś zapytać, mężczyzna wyszedł z ładowni, zostawiając ją samą. Helen oparła się ciężko o drewniane kraty. Zaczęła pospiesznie analizować to, czego się dowiedziała.

Dlaczego ktoś miałby ją porwać i wywieźć na Czarny Łąd?

– Po kolei, po kolei. – Odetchnęła głęboko, przytykając dłonie do skroni.

Czy to z powodu jej urody? Z pewnością jej blada skóra i złote włosy cieszyłyby się powodzeniem w Afryce. Zerknęła na przedmioty, które zostawił jej marynarz. Jakies naczynie z wodą, puste wiaderko, szmatka, coś do jedzenia i... grzebień?

Komuś zależało na tym, żeby dobrze wyglądała.

Skoro więc chodziło o jej urodę, z pewnością wiązało się to w jakiś sposób z mężczyzną.

Nowa myśl spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

Czyżby kapitan uprowadził ją dla siebie? I nawet nie zapytał jej o zdanie?!

Być może chce osiąść w innym kraju, bo jest przestępcą? A to by znaczyło, że całowała się... z kryminalistą?!

Helen oderwała się od belek i zaczęła chodzić po klatce w tę i z powrotem.

Pewnie myśli sobie, że po prostu podporządkuje się jego woli, bo jest kobietą! A może nawet sądzi, że będzie mu wdzięczna za to, że ją ze sobą zabrał?

Naraz poczuła, jak budzi się w niej niepoohamowana złość. Teraz już była pewna. Pewnie uknuł ten plan po tym, jak pierwszy raz się spotkali, a potem przyszedł pod osłoną nocy, tak by nikt go nie widział, i ją porwał!

Kopnęła ze złością drewnianą belkę.

Poprzysięgła sobie, że jak tylko go spotka, pokaże mu, że targnął się na niewłaściwą osobę.

Będzie cierpliwa.

Z natury nie była skłonna do paniki, choć prawdopodobnie większość kobiet na jej miejscu truchlałaby ze strachu. U niej strach mieszał się z uporem i złością, co tworzyło wybuchową mieszankę.

Jej egzystencja należała raczej do przerażająco przewidywalnych i jakikolwiek podmuch świeżości sprawiał, że budziła się do życia. A nic tak nie motywuje do działania jak niebezpieczeństwo.

I pomimo iż to wszystko trochę ją przerażało, czuła niezrozumiałą... ciekawość. Podekscytowanie, które mieszało się z niepewnością i wzburzeniem.

Miała wrażenie, że jest jak jedna z tych bohaterek popularnych powieści gotyckich, w której to ona miała odegrać rolę nieskalanej dziewicy.

Cóż, owszem, faktycznie nią była, ale jeśli ktokolwiek liczył, że będzie łagodna i układna, to się bardzo pomylił.

Sięgnęła dłonią do włosów, które teraz mogły uchodzić bardziej za ptasie gniazdo niż elegancką fryzurę. Przypomniała sobie, jak ostatniej nocy w kilka chwil kapitan Ross doprowadził jej włosy do porządku. A ona mu na to pozwoliła!

Nikczemnik. Jak śmiał ją teraz traktować w ten sposób!

Z rozmachem usiadła na niewielkim stoleczku. Niechętnie przyjrzała się przedmiotom, które leżały na ziemi.

Sięgnęła po grzebyk i zaczęła rozczesywać splecione włosy. Nie miała zamiaru przypominać zahukanej ofiary losu. Jeśli miała szansę, by wyjść z tej sytuacji obronną ręką, potrzebowała spokoju i opanowania.

Nie pozwoli, by ktokolwiek złamał jej ducha.

Była przecież damą. A damą się nie bywa: albo się nią jest zawsze, albo się nią nie jest wcale.

A ona była nią w każdym czasie i w każdych okolicznościach.



Kapitan Ross stał na pokładzie rufowym wpatrzony w horyzont. Czekala go długa podróż.

Wszystkie plany dotyczące trasy Kasjopei jeszcze przed wypływem omówił ze swoim nowym pracodawcą, prywatnym inwestorem z Nowej Anglii panem Davisem oraz oficerem nawigacyjnym.

Był podekscytowany nowym zadaniem, choć jeśli miałby wybierać, wolałby swoją załogę. Marynarzy, których znał od podszewki i którzy byli wobec niego lojalni w każdych warunkach. Niejeden sztorm ich połączył, niejedno niebezpieczeństwo. Tym razem jednak nie dane im było razem podróżować.

Załoga została wybrana dużo wcześniej, brakowało w niej tylko kapitana, dlatego dostał tę fuchę. Czuł pewien dyskomfort, że teraz kilka miesięcy spędzi z marynarzami, których zupełnie nie znał. Z tego, co wiedział, pan Davis dość przyzwoicie im płacił i jak do tej pory doskonale wywiązywali się ze swoich obowiązków. Być może niepotrzebnie się martwił.

Odetchnął świeżym, morskim powietrzem i wrócił myślami do ostatniego wieczoru, jaki spędził na lądzie. Pod powiekami zamajaczył mu obraz pięknej kobiety, którą jeszcze wczoraj trzymał w ramionach.

Przymknął oczy, przypominając sobie jej powabne ciało przylegające do niego ciasno, wąską kibić i pachnące, złote włosy, które czuł między palcami, gdy poprawiał jej uczesanie.

Och, szkoda mu było ją zostawiać, tam, w Anglii. Jednak nigdy nie pozwalał, by jakakolwiek kobieta, nieważne jak piękna, przeszkodziła mu w realizacji jego planów. Był wolnym duchem i nie zamierzał tego zmieniać. Dla nikogo.

Cóż, może kiedy wróci, postara się ją odnaleźć i tym razem nie pozwoli jej odejść. Uśmiechnął się do siebie w duchu. W jego myślach już snuła się wizja ich nagich ciał i splątanych nóg.

Westchnął głęboko, zadowolony, że w Londynie po powrocie czeka na niego niesamowicie pociągające wyzwanie.

Ostatecznie, ile może się zmienić w przeciągu zaledwie paru miesięcy?

Kilka dni później

Helen zaczęła tracić cierpliwość.

Od pierwszego dnia niewiele się zmieniło. Jedyłą osobą z załogi, jaką widziała, był ten sam chudy marynarz, który

dbał o jej podstawowe wygody. Codziennie, chyba pod wieczór (z trudem mogła to stwierdzić, bo w ładowni było dość ciemno), dostawała pożywienie, świeżą wodę i co było dla niej najbardziej uwłaczające – puste wiaderko, by mogła spełniać swoje fizjologiczne potrzeby.

Mężczyzna nie rozmawiał z nią prawie w ogóle.

Zaczynały męczyć ją myśli, że być może cała podróż będzie tak wyglądać. Ona, uwięziona w tej okropnej klatce, trzymana pod kluczem, nawet przez chwilę nie pooddycha świeżym powietrzem.

Czuła coraz większą nienawiść do kapitana Rossa, trudno jej było uwierzyć, że tak bardzo pomyliła się co do jego charakteru.

Zastanawiało ją też, czego on się spodziewa. Że niby kim ona dla niego będzie, gdy dotrą do końca podróży.

Żoną? Kochanką? A może chce ją upodlić i zrobić z niej służącą?

Była pewna, że pragnie jej dla siebie.

Ich ostatnie spotkanie i jego niepoahamowana namiętność udowodniły to, a ona aż za dobrze знаła „zakochanych” mężczyzn, których uwielbienie przypominało bardziej fanatyzm niż zdrowe uczucie.

Prychnęła na tę myśl.

Leżała właśnie w swoim hamaku, który bujał się spokojnie w rytm fal. Myślała o swoich rodzicach, siostrze i o tym, jak przejęci muszą być jej zaginięciem.

Gdyby tylko mogła wysłać im wiadomość, że żyje i nic jej nie jest...

Mimo zapewnień marynarza była pewna, że wróci do Anglii, nawet jeśli zajmie jej to trochę czasu. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby się ot tak poddać, ani tym bardziej podporządkować. To nie w jej stylu. Znajdzie jakieś rozwiązanie.

Gdy usłyszała zgrzyt otwieranego włazu, podniosła się na lokciach i zaraz zeszła z hamaka.

W pierwszych dniach sprawiało jej to trudność, ale że nie należała do niezgrabnych, szybko nauczyła się, jak wykorzystywać ciężar swojego ciała, by swobodnie wchodzić na swoje posłanie i z niego schodzić.

W milczeniu obserwowała, jak ponury mężczyzna pokonuje stopnie, niosąc w ręce nowe wiaderko i zwitek z jedzeniem. Przez chwilę zamarł w bezruchu, jakby nasłuchiwał, co się dzieje na górnych pokładach, po czym bardzo ostrożnie zamknął wejście.

Helen wystawiła dłonie za kraty, by, jak to miał już w zwyczaju, związał je w przegubach, wszedł do klatki i zamienił pojemniki.

Nawet na nią nie spojrzął, gdy podszedł bliżej.

– Pan w ogóle ma jakieś imię? – zapytała zirytowana tym, że zupełnie ją ignoruje.

– Nie twoja sprawa – warknął.

Helen nie przestraszyła się jego tonu. Prócz incydentu z pierwszego dnia nigdy więcej jej nie groził ani też nie podnosił głosu. W ogóle wykonywał swoje zajęcie tak, jakby udawał, że jej tu nie ma.

Skrzywiła się na jego odpowiedź.

– Oczywiście, jakie to ma znaczenie – parsknęła wyniosłe. – Traktujecie mnie jak zwierzę. A przecież nawet przetrzymywane w klatkach zwierzęta czasem wychodzą – zaczęła narzekać, choć podejrzewała, że on tego nie skomentuje.

Zauważyła jednak po jego ruchach, że go zdenerwowała. Znów zamarł, gdy usłyszeli czyjeś głosy na górnym pokładzie.

Korzystając z tego, że nie podziela jej pełnej uwagi, rozsunęła odrobinę dłonie, aby związał na jej nadgarstkach lżejszy węzeł.

Być może gdy wejdzie do środka, uda jej się uciec z klatki?

Serce zadudniło jej w piersi z ekscytacji.

By utrzymać jego rozkojarzenie, paplała dalej.

– Ładownia to nie jest miejsce dla damy, jeśli jeszcze tego nie wiecie. Nie ma tu świeżego powietrza i nawet jeśli jestem przetrzymywana, to powinno się to odbywać w godziwych warunkach.

Tak jak się spodziewała, nic jej nie odpowiedział. Nie sprawdził nawet wiązania, jak to zazwyczaj robił. Gdy podszedł do drzwiczek, żeby otworzyć klatkę, poruszyła nieznacznie dłońmi, z radością odnotowując, że prawdopodobnie uda jej się wysliznąć z więzów.

Tymczasem mężczyzna wszedł, nie zamknąwszy za sobą wejścia, i skierował się do wiaderka.

Nie miała wiele czasu.

Z duszą na ramieniu wyciągnęła dłoń z wiązania, po czym rzuciła się ku drzwiom. Dopiero kiedy je za sobą zatrzasnęła, marynarz zdał sobie sprawę z jej działań. Z przekleństwem na ustach doskoczył do wejścia. Ona jednak prędko włożyła klódkę w otwór, przekręciła kluczyk i w ostatniej chwili cofnęła się do tyłu.

Gdy po chwili dotarło do niej, że udało jej się go przechytrzyć, wydała z siebie dziki okrzyk radości.

– I kto jest teraz w klatce, co? – zapytała, uśmiechając się szeroko. Była z siebie taka dumna! Och, nadawałaby się na bohaterkę powieści przygodowej.

– Chodź tutaj i oddaj mi klucz, przekłeta babo! – wygrażał jej.

– Ani mi się śni – odparła, chwytając się pod boki. – Nie mam zamiaru tam wracać!

– Obiecywałaś, że nie będziesz robić problemów! – wypomniał jej.

Helen cmoknęła i pokręciła głową.

– Naiwniak – odparła współczująco.

Jeszcze przez chwilę napawała się swoim zwycięstwem, ale gdy mężczyzna wyciągnął z buta nóż, ukryła się za jedną ze skrzyni. Powoli przesunęła się w stronę włazu, tak by nie mógł jej dosięgnąć.

– W klatce ma pan wszystko, co najpotrzebniejsze! – krzyknęła, nie mogąc powstrzymać się przed złośliwością. – Aha, i jak zacznie się panu nudzić, może pan dla rozrywki użyć grzebienia! Przyda się to panu – dodała jeszcze, po czym zaczęła się wspinać po stopniach do wyjścia.

Zamierzała jak najszybciej rozmówić się z kapitanem, dać mu do zrozumienia, co myśli o nim i o jego pomysły, a potem zażądać, by niezwłocznie odesłał ją do Anglii.

Adrenalina dodała jej pewności siebie. Uniosła brzeg sfatygowanej sukni i napała na ciężki właz, żeby dotrzeć do mężczyzny, który zgotował jej to piekło...

W tym samym czasie na pokładzie

Był piękny zachód słońca. Ross uwielbiał wpatrywać się w pomarańczowo-złote pasma promieni kąpiące się w morskich falach. Mimo iż nie przyznałby się do tego, nawet gdyby go torturowano, wiedział, że tkwi w nim dusza romantyka.

Odetchnął pełną piersią i złapał mocniej za ster. Wiatry im sprzyjały, jak do tej pory utrzymywała się dobra pogoda. Gdy usłyszał dzwonek oznajmujący zmianę wachty, rozejrzał się po pokładzie. W jego stronę zmierzał pierwszy oficer John McFitz, który miał teraz przejąć ster.

Ross przyjrzał mu się uważnie.

Coś mu się nie podobało w tym człowieku.

Był kompetentny, co do tego nie miał wątpliwości, ale miał wrażenie, że nie jest z nim szczery.

Niewiele młodszy od niego, wysoki i dobrze zbudowany, mógł się podobać kobietom. Ale było też w jego aparycji coś, co jego marynarze opisaliby jako „oślizgły”.

Na łodzi nie zdołał się o nim zbyt wiele dowiedzieć, ale zdawało się, że jego pracodawca, pan Davis nie po raz pierwszy robił z nim interesy i całkowicie mu ufał.

Ross jednak wolał mieć na niego oko, w imię zasady „przyjaciół trzymaj blisko, a wrogów jeszcze bliżej”, dlatego codziennie zapraszał go do swojej kajuty na wspólny posiłek. Trudno było zarzucić mu cokolwiek, był nawet sympatyczny, ale czasem bez większego powodu robił się nagle nerwowy.

A może Mortimerowi się tylko zdawało?

Mężczyźni skinęli głowami na przywitanie, po czym Ross pokrótce streścił, co się działo podczas ostatniej wachty.

– Jak dotąd spokojnie – odparł po chwili McFitz. – Oby tak było jak najdłużej.

– Znam te wody dosyć dobrze. Pogoda potrafi się zmieniać z godziny na godzinę, nie wspominając już, że za kilka tygodni będziemy mieli większe zmartwienia – westchnął. – Nabrzeżnych piratów, którzy czekają tylko, by obrabować statek handlowy. Na szczęście Kasjopeja jest szybkim i zwrotnym żaglowcem i jeśli tylko wcześniej ich wypatrzmy, prawie na pewno zdołamy im uciec.

– Właśnie dlatego lubię pływać fregatami. Są lekkie i zwinne – dodał od siebie McFitz.

Ross poklepał go po ramieniu i wkrótce się pożegnali. Powolnym krokiem ruszył do burty, bo chciał jeszcze chłonąć ostatnie promienie zachodzącego słońca.

W pewnej chwili podszedł do niego Danny, jego chłopiec kajutowy.

– Czy przynieść już panu kolację do kajuty, sir?

Mortimer odwrócił się do niego, by mu odpowiedzieć, kiedy zauważył jakiś ruch za jego plecami.

Wychylił się nieznacznie i zastygł w bezruchu. Przez moment myślał, że ma zwidy i widzi ducha. Nawet kiedy ów duch podszedł do niego i wymierzył mu siarczasty policzek, nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Wywnioskował, że musiał umrzeć, bo innego wytłumaczenia nie znalazł.

A teraz, w zaświatach, odwiedził go jego złotowłosego anioła.

Tylko dlaczego to tak cholernie bolało?

– Ty podła, parszywa, nędzna, podstępna kreaturo! Jak śmiałaś mi to zrobić! – wykrzyknęła, po czym znów podniosła rękę na kapitana, by go spoliczkować. On jednak opamiętał się i chwycił jej przegub, bez trudu go przytrzymując.

Chłopiec okrętowy odskoczył jak oparzony i z otwartymi ustami wytrzeszczał oczy na rozgrywającą się przed nim scenę.

– P...panie kapitanie, to chyba syrena! – wrzasnął zaraz, gapiąc się na jej twarz. Zaraz jednak jego spojrzenie zsunęło się na dół jej sukni, jakby tam szukał dowodu swoich domniemywań.

Gdy Helen usłyszała te słowa, zmrużyła oczy i spojrzała szybko na chłopca.

– Czy widzisz, żebym miała ogon, durniu?!

Danny zamrugł nieprzytomnie i wyglądał teraz tak, jakby chciał uciec z tego miejsca, ale nie mógł się ruszyć.

– Ka... ka... kapitanie – wymamrotał sparaliżowany. – Ja... ja rozumiem, co ona do mnie mówi. Ta syrena.

– Uspokój się, chłopcze – stonował go Ross. – To tylko kobieta...

– Tylko kobieta?! – Helen natychmiast spiorunowała go wzrokiem. – Jestem damą, ty baranie, i to nie byle jaką! A ty jesteś nikim więcej jak nadętym balwanem. Puszczaj mnie, glisto! – Wyszarpnęła rękę z jego uchwytu.

– Bardzo wściekłą kobietą – dodał kapitan.

Danny tylko nerwowo się roześmiał i czmychnął, kryjąc się za grubym zwojem lin nieopodal grotmasztu.

Przez chwilę Ross i Helen mierzyli się wzrokiem. Każde na swój sposób zaskoczone obecnymi okolicznościami. Kapitan zmarszczył czoło, jakby starał się zrozumieć swoje położenie. Po chwili odchrząknął.

– Czy... może mi pani powiedzieć, co tu u diabła robi? – spytał, siląc się na lekki ton, choć widać było, że jest poruszony.

Helen zamrugła nieprzytomnie i przybrała wojowniczą pozę.

– Jak to, co ja tu robię! To pan mnie porwał i wymyślił sobie, że mnie jak jakieś zwierzę...

Gdy tylko przypomniała sobie, w jakich warunkach ją przetrzymywał, znów wezbrała w niej złość. Ledwie nad sobą panując, zrobiła kilka kroków w jego stronę.

– Na litość boską! – krzyknął skonsternowany, cofając się przed jej naporem. – Chce mnie pani wyrzucić za burtę? Dziewczyna się zatrzymała.

– Chcę pana śmierci. Powolnej i w torturach – syknęła, dając upust swoim długo wstrzymywanym uczuciom, po czym się wyprostowała, bardzo zadowolona ze swoich gróźb, które najwyraźniej wywarły zamierzony efekt.

Kapitan przez chwilę przyglądał się jej, po czym szeroko się uśmiechnął.

– To najslodsze przywitanie, jakie kiedykolwiek slyszalem z ust kobiety. – W jego oczach pojawiły się wesole

iskierki. – Wracając do tematu, jeśli dałaby mi pani chwilę, bym mógł wyjaśnić...

– A co tu wyjaśniać, jest pan najgorszym z nikczemników! Tak porywać damę!? Jak tak można! Bez ostrzeżenia?!

Ross zmarszczył brwi.

– Zaraz, zaraz... czyli porwanie z wcześniejszym ostrzeżeniem jest już na miejscu? – upewnił się.

– Doskonale pan wie, o co mi chodzi! – Ze złością tupnęła nogą.

– Staram się, ale proszę mi wybaczyć, sprawiła mi pani nie lada niespodziankę – zauważył, nie kryjąc sarkazmu.

– I jeszcze śmie kłamać – prychnęła, biorąc się pod boki. – Żmija.

Uniósł dłoń, by przerwać ten potok słów.

– Radzę złapać choć jeden oddech między tymi obelgami, bo się pani zapowietrzy.

– Ty parszywy... – już podnosiła rękę.

– Spokojnie, spokojnie – wtrącił szybko Ross. – Chciałem tylko uzgodnić, co tutaj właściwie zaszło. Żeby było jasne. Ja – przytknął palec do swojej piersi – pani nie porwałem. Nie jestem idiotą.

– Jest pan.

Kapitan westchnął ciężko.

– Proszę się rozejrzeć. – Chwycił ją za ramiona i obrócił delikatnie. – Widzi pani tych przerażonych marynarzy? Żaden z nich nie uważa, że kobieta na pokładzie to dobry pomysł. Wszyscy są przekonani, że przynosi pecha.

Helen dopiero teraz spostrzegła, że przygląda im się niemal grupka zaciekawionych mężczyzn. Po ich twarzach wywnioskowała, że nie są zbyt zadowoleni z jej obecności.

Gdy znów spojrziała na kapitana, ten wzruszył ramionami jak chłopiec, który nic nie może poradzić na te żeglarskie przesady.

– Jak to wszyscy? – mruknęła do siebie. – Nic już nie rozumiem! Przecież ktoś mnie tutaj zabrał. Porwał. W trakcie balu! – Zamrugwała zmieszana.

– Widziała go pani? – Zmarszczył czoło.

– Nie, ale wiem, kto mnie doglądał, tam w ładowni. – Helen wskazała palcem na pokład.

– Przez ten cały czas była pani w ładowni? – Uniósł brwi. – I dopiero teraz zdecydowała się pani wyjść? Trochę to dziwne...

Przystawił dłoń do podbródka i przyglądał się jej z niedowierzaniem. Helen momentalnie odgadła jego myśli.

– Niech pan nawet nie sądzi, że ja...

– Czy pani przypadkiem nie schowała się tam specjalnie, by znaleźć się ze mną razem na statku? – Przerwał jej, po czym nachylił się nieznacznie i dodał już ciszej: – Być może zrobiłem na pani ostatnio niemalże wrażenie?

Helen przymknęła oczy, starając się uspokoić.

Jesteś damą, nie zapominaj o tym, powtarzała sobie. To nie twoja wina, że kapitan jest kompletnym idiotą.

– Niech pan mnie uważnie posłucha, kapitanie – powiedziała po chwili lodowatym tonem. – Nigdy, przenigdy nie niżylabym się do tego poziomu, by ubiegać się o uwagę mężczyzny. A tym bardziej o – tu machnęła dłonią w powietrzu, wskazując na jego półodkrytą pierś – takiego... takiego nieokrzesanego jaskiniowca!

Ross rozstawił szerzej nogi i wyprostował się dumnie, jakby chcąc ją jeszcze bardziej sprowokować. Helen uznała, że wygląda przy tym wulgarnie, ale też jakże męsko.

– To bardzo ciekawe określenie, chyba je sobie zapiszę i powieszę w ramce nad łóżkiem, zaraz obok „żmii, imbecyla” i... jak to było? Podleń, parszywej, nędznej i podstępnej kreatury?

Helen omal się nie zakrztusiła z oburzenia. Ten okropny człowiek z niej żartował! A jego największą wadą, zaraz po

tej demonstracyjnej swobodzie, było to, że jej groźby najwi-
doczniej go bawiły!

Zasepila się.

– To wszystko nic w porównaniu z tym, jak pan mnie
nazwał. – Dźgnęła go palcem w odkrytą pierś.

– A jak panią nazwałem? Bo nie przypominam sobie...

– Krótką ma pan pamięć – prychnęła znów. – „Tylko
kobieta” – przypomniała mu więc, wpatrując się w prze-
strzeń tuż obok, jakby oczyma wyobraźni już widziała ten
napis w ramce na ścianie.

Kapitan wyglądał, jakby ledwie wstrzymywał śmiech.

– Wolalaby pani być rybą? – Natychmiast się opanował.
Sądząc po jej minie, właśnie ważyły się jego losy.

– Jaką rybą?

– Danny nazwał panią syreną – odparł, ręką wskazując
na głowę chłopca wystającą ze zwoju lin. – I jak na mój gust
wciąż wygląda na nieprzekonanego.

Helen pokręciła gwałtownie głową. Złote włosy rozsypa-
ły się po jej ramionach, co nie uszło uwagi kapitana.

– Czy to jest w tej chwili ważniejsze niż ustalenie, kto
mnie tutaj u diabła zamknął?! – wrzasnęła w końcu. Ten
człowiek okropnie ją denerwował!

– Proszę mi wybaczyć, tracę głowę, gdy z panią rozmawiam – odparł z powagą, choć jego oczy się śmiały.

Helen tego nie zauważyła, tylko dumnie mruknęła:

– Nie pan pierwszy.

– W takim razie zna pani mężczyznę, który się nią
opiekował w przeciągu tych kilku dni, odkąd odbiliśmy
od brzegów Tamizy, czy tak? – podjął zaraz rzeczowym
tonem. Ostatecznie to on był kapitanem statku i nie po-
dobało mu się, że coś ewidentnie się działo za jego ple-
cami. Ktokolwiek ją tu przetrzymywał, musiał należeć do
załogi.

Do diaska. Wiedział, że żeglowanie z nieznanymi sobie ludźmi może nie być dobrym pomysłem.

– Znam go – potwierdziła. – Ale go nie znam – poprawiła się od razu.

Kapitan uniósł jedną brew.

– To z pewnością wiele tłumaczy.

– Ale wiem, jak wygląda i gdzie jest – dodała zaraz, nie zważając na jego przytyk.

– W takim razie gdzie jest?

– W klatce.

– Jakiej klatce? – Poruszył się nerwowo.

– Tej samej, w której mnie przetrzymywano.

Kapitan nabral powietrza, po czym wypuścił je jednym tchem.

– I przez te wszystkie dni tam panią przetrzymywano?! – krzyknął zdjęty oszołomieniem, że na jego statku uwięziono kobietę, o czym on nie miał najmniejszego pojęcia.

Teraz już nie było mu do śmiechu.

Helen cofnęła się, widząc jego minę. Jeszcze nigdy go takim nie widziała. Naraz z beztroskiego lekkoducha stał się poważnym, złowrogim wojownikiem. Zauważyła, jak dłonie zwinął w pięści.

– Danny! – ryknął po chwili gromkim głosem tak, że niemal podskoczyła. Chłopak wygrzebał się z lin i podbiegł natychmiast, jednak stanął w pewnej odległości od Helen, jakby nie do końca jej ufał.

– Tak, kapitanie?

– Zabierz tę pannę do mojej kajuty i – obrzucił Helen uważnym spojrzeniem od góry do dołu – wypełnij balie ośmioma wiadrami słodkiej wody. Ma być ciepła. Znajdź też świeże ręczniki i powiedz Owenowi, żeby przyszykował solidny posiłek. I to wszystko migiem!

– Tak jest, sir! – Chłopak zasalutował, po czym wciąż z niejaką bojaźnią spojrzal na „syrenę”.

– Proszę za mną, jeśli eee... można – wydukał, siłąc się na wyszukany ton, po czym splonił się po same końcówki uszu.

Helen uniosła jedną brew, momentalnie dostrzegając wrażenie, jakie robi na chłopcu. Spojrzała na kapitana, uśmiechając się chłodno, niczym dostojna królowa.

– Cóż, przynajmniej nie jestem już rybą... – rzuciła. – Rozumiem, że odpowiednio rozprawi się pan z tym człowiekiem? Znajdzie go pan w ładowni.

Spojrzał na nią ponuro.

– Zajmę się tą sprawą, proszę się o to nie obawiać – zapewnił ją natychmiast.

Ona podziękowała mu skinieniem głowy, po czym z wysoko uniesionym podbródkiem ruszyła za chłopcem.

Gdy tylko znalazła się w kajucie kapitana, dopadło ją ogromne zmęczenie. Była zdezorientowana, rozdygotana i nie miała pojęcia, czego może się po nim spodziewać.

Mechanicznie usiadła na jednym z foteli, opierając głowę na oparciu.

Danny tymczasem metodycznie nalewał wody do wielkiej miedzianej balii, ukrytej po prawej stronie w rogu kabiny, za parawanem.

Marzyła o kąpeli, o czystym ubraniu i porządnym posiłku, jednak zdecydowała, że najpierw poczeka na kapitana, który z pewnością dowie się czegoś od tego okropnego człowieka przetrzymującego ją tyle czasu w ładowni.

Czuła się teraz trochę głupio, że tak go zaatakowała. Wydawał się szczerze zszokowany, gdy ją zobaczył, i niemal natychmiast zrozumiała swoją pomyłkę.

Był jednak do diaska kapitanem i powinien wiedzieć, co się dzieje na jego statku!

Wciąż rozeźlona, ale znacznie bardziej zmęczona, przy-
mknęła na chwilę oczy. Zanim zdołała dokończyć ostatnią
myśl, zmorzył ją sen.

Pół godziny później

Ross uchylił nieco drzwi swojej kajuty, uprzednio jednak
zapukał cicho i dopiero gdy nikt nie odpowiedział, wszedł
do środka.

Dojrzał ją zwiniętą w kłębek śpiącą na jego fotelu, wciąż
w tej samej, brudnej sukni. Włosy opadały jej na ramiona,
jeden kosmyk drgał poruszany podmuchem wydychanego
powietrza.

Ostrożnie przymknął za sobą drzwi.

Chciał z nią porozmawiać o tym, czego dowiedział się
od Tally'ego, jednego z marynarzy, którego to owa kobieta
zdołała przechytryć i zamknąć w klatce. Nie śmiał jej jed-
nak budzić. Wyglądała teraz tak niewinnie.

Zajął miejsce na fotelu naprzeciwko i zaczął się jej przyglą-
dać.

Kiedy jak burza zjawiała się niespodziewanie na jego po-
kładzie, był kompletnie skołowany. Jego męska próżność
podsunęła mu nawet ewentualność, że schowała się na stat-
ku, by być blisko niego, ale jej chłodna odpowiedź i „roz-
mowa” z Tallym szybko rozwiały te wątpliwości.

Położył łokcie na oparciu fotela i złączył przed sobą
dłonie. Zauważył, że miała na sobie tę samą suknię, którą
pamiętał z przyjęcia u Hamiltonów.

Musiała mówić prawdę, gdy wspomniała, że porwano ją
podczas balu.

Odetchnął głęboko. Jeszcze nigdy nie spotkał się z taką
sytuacją. Nie wiedział wobec tego, co powinien teraz po-
cząć.

Gdy przesłuchiwał Tally'ego, dochodziły do niego niepokojne słowa załogi, że jeśli ta kobieta zostanie na pokładzie, to nie dotrą bezpiecznie do celu.

Zaklął w myślach.

Musi znaleźć jakiś sposób, żeby odesłać ją z powrotem do Londynu. Tylko jak? Płynęli już niespełna tydzień i żaden z marynarzy nie będzie chciał wracać tylko po to, by odstawić ją na ląd.

Jego myśli przerwało ciche westchnienie, jednak dziewczyna nie obudziła się, tylko podłożyła dłoń pod głowę i dalej spała.

Wydawała mu się teraz taka zagubiona. Choć suknię i włosy miała w nieładzie, wciąż była porażająco piękna.

Po raz pierwszy pozwolił sobie na niespieszne oględziny. Prosty, lekko zadarty nosk doskonale odzwierciedlał jej charakter – buntowniczy, a jednocześnie dumny. Jasne łuki brwi, długie i o kilka tonów ciemniejsze rzęsy tworzyły delikatną oprawę wokół dużych oczu. Choć przy ostatnim spotkaniu zdążyła wyjawic mu z niejaką pogardą, co sądzi o określeniu „różane usteczka”, po namyśle musiał przyznać, że ci wszyscy durni poeci mieli rację.

Jej usta miały w sobie kuszącą słodycz, ale i lekką zadziorność. Nie były ciemnoczerwone, ani też anemicznie blade. Miały kolor ciepłego, kremowego różu, kąciki unosiły się odrobinę ku górze, sprawiając, że wyglądała trochę jak zadowolony, mały kotek, który dobrał się do śmietanki, albo jak... bardzo usatysfakcjonowana kobieta.

Momentalnie przypomniał sobie, że jeszcze kilka dni temu czuł ich miękkość pod swoimi wargami, badał ich wnętrze językiem, a teraz...

Zaklął znowu, tym razem pod nosem.

Przez tę obserwację zaczął naraz odczuwać przemożną chęć zagarnięcia jej w ramiona. Zbesztal się natychmiast za

te myśli. Przecież ta kobieta była wycieńczona, poza tym jasno dała mu do zrozumienia, co o nim myśli.

Uśmiechnął się na samo wspomnienie jej ognistej przemowy.

Lubił kobiety z temperamentem i był pewien, że te pełne złości słowa potrafiłby przemienić w niepohamowaną namiętność w łóżku.

Jego wzrok pieśczośliwie przesunął się po drobnych ramionach zwieńczonych długą szyją. Kiedy przekręciła się na bok, dojrzał miękką wypukłość jej piersi, wylaniającej się z kwadratowego dekoltu sukni.

Nie mógł odwrócić od niej wzroku. Niczym zahipnotyzowany przyglądał się, jak jeden ze złotych kosmyków zsuwa się powoli z jej ramienia na obojczyk, by w końcu wylądować w dolinie między piersiami.

Nie musiał zgadywać, że są pełne i równie idealne jak całe jej ciało.

Przelknął z wysiłkiem ślinę, bo jego wyobraźnia zaczęła podsuwać mu obraz, jak do niej podchodzi, a ona pozwala mu się rozbierać, zdejmować powoli suknię z jej ramion, potem biustu, aż do pasa, gdzie muślin opadłby miękkimi falami na pełnych biodrach i tam się zatrzymał.

O Boże, jęknął w myślach, czując ucisk pod zapięciem bryczesów.

Nie mógł w to uwierzyć. Lubił kobiety, ale jeszcze nigdy nie miał ochoty rzucić się na jedną, gdy ta ewidentnie potrzebowała tylko jego opieki.

– Jestem bez serca – mruknął do siebie, ubolewając nad swoją naturą. Gdy znów na nią spojrzal, dostrzegł lazurowe źrenice wpatrzone w jego twarz.

Zamarł w bezruchu, jak uczeń przyłapany na gorącym uczynku.

Ona tymczasem zamrugła rozkosznie i przez chwilę się zdawało, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

Po chwili jednak poprawiła się gwałtownie na fotelu i uniosła dłonie do biustu, jakby chciała się przed nim zakryć.

– Nie musi się mnie pani obawiać, chyba już to pani wie? – odrzekł nieco schrypniętym głosem. Do diabła, wyglądała tak, jakby doskonale zdawała sobie sprawę z jego niecnym myśli. A co gorsze, miała rację!

– Mam na to pana słowo?

– Oczywiście – przysiągł natychmiast. Ostatnie, czego teraz chciał, to tego, by ta kobieta się go obawiała.

Ta kobieta?

Zaraz. Przecież on wciąż nie ma pojęcia, jak ona się nazywa.

– A więc – zaczął – spotykamy się po raz trzeci. Obiecała pani, że zdradzi mi wtedy swoje imię.

Dziewczyna przez chwilę milczała, po czym spojrzała na niego wyniośle i wyprostowała na tyle, na ile pozwalało jej oparcie fotela. Widać za wszelką cenę chciała uchodzić za damę, pomyślał Ross. Niech jej będzie, musiał przyznać, że była wyjątkowo dobrze wyuczoną kurtyzaną.

– Jestem lady Helen Williams. – Skinęła lekko głową, jakby była na salonach. – Córka markiza Ralfa Williamsa.

– Córka markiza? – Zmarszczył naraz brwi, gdy dotarł do niego sens jej słów. – Pani żartuje?

– Słucham? – Helen spojrzała na niego, nie kryjąc oburzenia. – To, że nie prezentuję się w tej chwili jak dama, nie znaczy, że nią nie jestem.

– Pani jest damą?! – krzyknął wstrząśnięty.

Panna Williams zdenerwowała się momentalnie.

– Czy pan jest przygluchy? A może ja mówię niewyraźnie? – Przytknęła rękę do czoła w melodramatycznym odruchu. – Doprawdy, to wszystko mi się chyba śni. Czy ja mam gorączkę?

– To mnie się chyba to wszystko śni!

Helen zmrużyła oczy.

– Tylko niech pan teraz nie mówi, że od dawna jestem pana marzeniem sennym, bo...

– Bo pani zwymiotuje. Na moje buty – przerwał jej roz-targniony. – Tak, pamiętam, że jest pani uczulona na ro-mantyzm – rzucił niedbale, po czym gwałtownie wstał z fo-tela i zaczął chodzić w tę i z powrotem po kajucie.

Dziewczyna przez chwilę wodziła za nim wzrokiem, zu-pelnie nie rozumiejąc jego zachowania. Powinien być chyba zaszczycony tym, że przyszło mu gościć na swoim statku damę?

Z jej doświadczenia tak właśnie było, gdziekolwiek się nie pojawiła, widziano ją chętnie, a mężczyźni? W takich sytuacjach gotowi byli jej dziergać dywaniki z samych po-chlebstw i rzucać prosto pod nogi.

Ale oczywiście ten prostak był zupełnie inny. Prychnę-ła, rozprostowując nogi i zsuwając je na ziemię. Chyba jeszcze nigdy nie znajdowała się w takiej sytuacji z żadnym mężczyzną.

– Czy mogę panu przeszkodzić? Czy mam jeszcze przez chwilę pozostawić pana w tym szoku? – rzuciła zuchwale.

Kapitan przystanął i spojrzal na nią niechętnie.

– Nie jestem w szoku – stwierdził i na nowo zaczął przemierzać kajutę.

– Ach, przepraszam. Widocznie nerwowe chodzenie w tę i z powrotem to pokaz opanowania i chłodu – powie-działa uprzejmym tonem, nawiązując do ich poprzedniego spotkania, gdy to on naigrywał się z jej zachowania.

Ross momentalnie stanął w miejscu.

– Jak widzę, jest pan zaskoczony moim pochodzeniem? – spytała chłodno.

– Delikatnie mówiąc – mruknął.

– Pozwolę sobie spytać, sądził pan, że kim jestem? Bo to było chyba jasne, że rozmawia pan z damą? – dodała znacząco. – Kim innym, na Boga, mogłabym być? – prychnęła z niedowierzaniem. W myślach zobrazowała jej się zszokowana mina matki, gdyby ta w jakiś metafizyczny sposób przysłuchiwała się tej rozmowie.

Kapitan poruszył się niespokojnie.

– Nie, nie sądziłem, że jest pani damą.

– W takim razie kim? Kim mogłabym być, jeśli zostałam zaproszona na przyjęcie do Hamiltonów? Kim mogłabym być, chodząc ubrana w ten sposób? Czy brakowało mi elegancji? Dobrych manier? – dopytywała coraz bardziej niespokojnym tonem.

On zaczerwienił się nieznacznie, zdawało się, że odrobinię się zmieszał. Po chwili oczy Helen rozszerzyły się gwałtownie, gdy do głowy przyszło jej okropne przypuszczenie.

– Chyba nie myślał pan, że ja... że ja jestem...

Ross spojrzal na nią z rezygnacją i westchnął ciężko.

– Niestety. Tak właśnie myślałem – odparł, unosząc bezradnie dłonie. Sprawiał wrażenie, jakby autentycznie zamierzał ją teraz przeprosić.

Nie zrobił tego jednak.

– Niesłychane! – ciągnęła Helen. – Pan naprawdę myślał, że jestem służącą! – krzyknęła w końcu, dając upust wszystkim emocjom.

Mortimer zamrugał zdezorientowany, po czym zbladł, gdy zrozumiał, że panna Williams opacznie go rozumiała.

Stwierdził, że i tak gorzej już być nie może, więc postanowił szybko wyznać niewygodną prawdę.

– Nie myślałem, że jest pani służącą – powiedział bezbarwnym tonem. – A przynajmniej nie w oczywistym tego słowa znaczeniu...

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła z ulgą, wznosząc oczy ku górze. – Już myślałam, że sprawiam wrażenie tak ordynarnej i niegustownej, że wziął mnie pan za pospolitą dziewczkę! – Zaczęła wachlować się dłonią. Jej matka z pewnością dostałaby na jej miejscu waporów.

– Sądziłem – bąknął niepewnie – że pani jest kurtyzaną...

Gdy Helen usłyszała jego słowa, zastygła w bezruchu. Ross miał przez chwilę wrażenie, że jego słowa zadziałały jak zakłęcie i dziewczyna zamieniła się w słup soli. Po chwili jednak bardzo powoli obróciła się w jego stronę i wbiła w niego wielkie jak spodki oczy.

A potem zrobiła coś, czego nigdy by się po niej nie spodziewał.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się głośnym śmiechem. Obserwował ją niepewny, czy przypadkiem nie jest to jakaś pułapka, ale gdy zobaczył, że dziewczyna zaśmiewa się do łez, podszedł kilka kroków bliżej. Zachował jednak odpowiedni dystans. Tak w razie czego, na przykład gdyby postanowiła wydrapać mu oczy.

– Nigdy nie słyszałam czegoś podobnego! Moja matka byłaby ze mnie teraz taaaaka dumna! – wstała i wykrztusiła między kolejnymi salwami śmiechu. – Jej kochana, idealna, wychuchana córeczka kurtyzaną!

Ross uśmiechnął się krzywo, po czym wyciągnął z kieszeni spodni chusteczkę i podał jej.

– Cała ta staranna edukacja, wychowanie, dziesiątki ograniczeń, zasad, wymagań, wszystko na nic! Jej córkę pomyłono z kur-ty-za-ną! – sylabizowała rozbawiona, jednocześnie osuszając lzy chusteczką. Pociągnęła w końcu nosem i spojrzała na Mortimera z łagodną przyganą. – Jest pan doprawdy wyjątkowo błyskotliwy.

Ross nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, więc skłonił się jej tylko w niemych przeprosinach.

Helen tymczasem kręciła głową, jakby wciąż nie mogła uwierzyć w tę pomyłkę. Było to tak absurdalne, że musiała znać szczegóły.

– W jaki sposób doszedł pan do tych wniosków? Coś musiało przecież pana o tym przekonać – drażyła.

Kapitan, czując, że kryzys został już zażegnany, usiadł na powrót w fotelu.

– Pierwszy raz widziałem panią w klubie Hamiltona – spojrzął na nią wymownie – a to zdecydowanie nie jest miejsce dla damy...

– Odwiedzałam Charlotte, żonę lorda Hamiltona, która jest moją przyjaciółką – sprostowała natychmiast. – A pan myślał, że...

– ...że wraca pani z całonocnych łowów, albo od swego bogatego patrona...

– Od bogatego patrona, coś podobnego! – zakrzyknęła wesoło, po czym podeszła bliżej i swobodnie usiadła na przeciwległym fotelu. – Ale przecież byłam na balu... – podjęła, lecz zaraz urwała, gdy zaczęło do niej docierać, jak mógł ją postrzegać w świetle ich pierwszego spotkania. – To dlatego na balu mnie pan pocałował! Myślał pan, że jestem kobietą, która odda się panu za pieniądze! – krzyknęła znów, jakby ją olśniło.

– Cóż... – mruknął strapiiony Ross. – Brałem to pod uwagę.

Helen westchnęła głośno, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Gwoli wyjaśnienia, nie uważałem pani za zwykłą kurtyzanę, tylko za bardzo ekskluzywną – sprostował, choć nie sądził, by to wiele pomogło.

Te słowa jednak przykuły uwagę dziewczyny. Uniosła jasne brwi.

– Ach, ekskluzywną! – zawołała po chwili, machając niedbale dłonią. – W takim razie moja matka byłaby w pełni usatysfakcjonowana.

– To był, rozumiem, sarkazm? – Skrzywił się.

Helen obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

– Pana błyskotliwość nie zna granic – dodała kwaśno.
– Ale zaraz, ekskluzywną, pan mówi. To znaczy, że musiałabym mieć odpowiednią prezencję, maniery i umiejętności, zgadza się? Czy wyglądam panu na kogoś, kto posiada wszystkie te cechy?

Ross przesunął dłonią po twarzy.

– Czy musimy o tym rozmawiać?

– Tak – odparła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mężczyzna westchnął, jakby próbował pozbyć się z pleców niewygodnego balastu.

– Myślę, że posiada pani wszystkie te cechy, jest pani niewyobrażalnie piękna i elegancka, potrafi owinać sobie mężczyznę wokół palca – wyznał, kapitulując pod jej natarczywym spojrzeniem. – Poza tym doskonale pani całuje, co pozwala sądzić, że i na reszcie zna się pani znakomicie.

– Na jakiej reszcie? – Zamrugła szybko, ale zaraz się splonila, gdy uzmysłowiła sobie, o czym on mówi. – Na Boga, ja przecież nie mam o tym pojęcia! – wykrzyknęła. – Jestem panną na wydaniu!

– O Boże – jęknął jeszcze bardziej przybity.

– No właśnie. O Boże. – Pokiwała głową, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami. – W każdym razie – podjęła po chwili zupełnie innym tonem i wspaniałomyślnie dodała: – Pana słowa są dla mnie niejako komplementem. Posiadanie tych „umiejętności” jest znacznie lepsze niż „lazurowe oczy” i „łabędzia szyja”.

– Cieszę się. – Odchrząknął i poprawił się na fotelu. Chyba jeszcze nigdy nie czuł się w towarzystwie kobiety tak niekomfortowo.

– Rozumiem, że teraz, skoro wie pan, kim jestem, będzie mnie pan należycie traktował.

Gdy nie odpowiedział, Helen spojrzała mu w oczy. Wyraz zakłopotania momentalnie znikł. Teraz patrzył na nią ponuro, wręcz wrogo.

– O co chodzi? – Zmarszczyła brwi. – To chyba znacznie ułatwia sytuację?

– Powiedziałbym, że jest dokładnie odwrotnie – wyznał w końcu.

~

Ross nie do końca wiedział, co z nią teraz począć. To, że okazała się córką markiza, bardzo skomplikowało sytuację. Dopóki myślał, że jest kurtyzaną, była dla niego nieszkodliwą, przyjemną znajomością, którą w odpowiednim czasie zamierzał... skonsumować. Jednak wzmianka o arystokratycznej krwi od razu obudziła w nim wrogie nastawienie.

Odkąd wyrzekł się swoich korzeni, do reszty rozczarowany hipokryzją i pychą, jaka cechowała wysoko urodzonych, nie mieszał się więcej do ich świata. Jego zdaniem arystokraci i ich córeczki byli jak luksusowy towar na rynku, który służy tylko do oglądania. Bo sama zawartość jest pusta, wyzuta z uczuć, dumna i pompatyczna. Potomkowie starych rodów według Rossa byli zbyt zapatrzeni w swoje bogactwa i tytuły, by widzieć coś więcej niż tylko czubek własnego nosa.

Gdy spojrzał na pannę Williams, widział potwierdzenie tych myśli. Co więcej, dostrzegał w niej kobietę, którą jego ojciec lata temu pragnął widzieć u boku syna. Znienawidził

ją jeszcze bardziej. Zaczął porównywać jej zachowanie z tym, co już wiedział o pannach na wydaniu. Z niejaką satysfakcją odnotował, że była wyniosła, dumna i lubiła zadzierać nosa, ale z drugiej strony bez wątpienia miał przed sobą kobietę odważną, pełną życia i... piękną.

Zaraz jednak odsunął te wnioski, wracając do udeptanych od lat ścieżek nienawiści. Nie miała nic na swoją obronę.

Jest po prostu kolejną zadufaną córką jakiegoś ważnego jegomościa.

– A więc? Co ma pan na myśli?

– Nic – mruknął, zaciskając szczęki. – Zupełnie nic. Dlaczego jeszcze się pani nie wykapała? – zmienił nagle temat. – Danny po to przynosił wiadra zagrzanej wody, żeby mogła się pani w niej umyć. A może czeka pani na pokojówkę? – zaatakował ją nagle zjadliwym tonem. – Niestety nie ma tutaj takiej, chyba że chciałaby pani, żebym to ja ją rozebrał do kąpieli. Spieszę z pomocą. – Wstał szybko z fotela i uklonił się, parodiując służącego.

Helen zmarszczyła brwi.

– Co w pana wstąpiło? Czy ja pana w jakiś sposób obraziłam?

– Należy pani do klasy, którą gardzę. Szanuję ludzi, ale arystokracja to dla mnie banda darmozjadów i wyzyskiwaczy. A pani jest jedną z nich – rzucił jej prosto w twarz.

– Ach, rozumiem. W takim razie miałam więcej pana szacunku, gdy byłam kurtyzaną niż damą?

– Zgadza się.

Helen przez chwilę przypatrywała się mu w zamyśleniu, po czym wstała i podeszła do niego powolnym krokiem. Kapitan z uwagą śledził każdy jej ruch. Gdy stanęła tuż przed nim, ku jego zaskoczeniu uniosła dłoń i zaczęła gładzić rąbek jego koszuli tuż przy odkrytej, śniadej piersi.

– A czy nie jest przypadkiem tak – zaczęła lekkim tonem – że jest pan zły, bo kiedy myślał pan, że jestem kurtyzana, byłam dla pana bardziej dostępna, a teraz jako dama jestem nietykalna? – spytała, spoglądając na niego spod rzęs.

– Absolutnie nie – zaprzeczył, choć po jego zaciśniętych szczękach dostrzegła, że spokój przychodzi mu z trudem.

– Podobam się panu – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią intensywnie. Jako rozchwytywana kobieta dobrze wiedziała, kiedy mężczyzna jej pragnie. A kapitan, choć bardzo starał się to ukryć, ląknął jej bliskości.

Jego szeroka klatka piersiowa unosiła się w pozornie spokojnym, pogłębionym oddechu. Jej palce wciąż bawiły się jego koszulą, drażniły tuż przy skórze, kusząc obietnicą dotyku.

– Pani jest próżna – odparł, wpatrując się w nią zarówno z pożądaniem, jak i nienawiścią.

– Naprawdę? – spytała słodko, zupełnie nie przejmując się jego słowami. Przysunęła się bliżej, tak że niemal stykali się teraz ciałami. – Ale i tak chciałby mi pan pomóc w kąpielu, prawda? – wyszeptwała. Sama nie wiedziała, skąd znalazła w sobie tyle odwagi, by go prowokować.

Ross zacisnął zęby. Zadrżał lekko pod naporem jej zmysłowych słów. Przymknął na chwilę oczy, by zapanować nad swoim ciałem. Gdy znów je otworzył, ona wciąż przed nim stała, wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by ją objąć, chwycić za włosy i nachylić do jej miękkich ust...

Potrząsnął głową, odganiając natrętne myśli. Ta kobieta z premedytacją burzyła jego spokój, nakłaniając go do złamania wieloletnich postanowień i zasad, dzięki którym umacniał swoją nienawiść do klasy wyższej. Dodatkowo panna na wydaniu zagrażała jego wolności, tym bardziej że była szlachcianką, z czym wiązały się liczne konsekwencje.

– Dlaczego pani to robi?
– Co takiego robię? – spytała, wpatrując się w niego niewinnie.

– Uwodzi mnie pani.

– Ja? – Udała zdumienie, po czym wbrew swoim słowom opuszkami palców przesunęła po nagiej skórze jego piersi. Wciągnął ze świstem powietrze, na co ona uśmiechnęła się z satysfakcją.

Zaraz jednak wydał z siebie stłumione warknięcie i zanim się spostrzegła, porwał ją na ręce, przemierzył kilka długich kroków przez kajutę i bez zbędnych ceregieli wrzucił ją do wanny pełnej zimnej wody. Wpadła do niej z głośnym pluskiem, po czym wynurzyła się na powierzchnię, próbując złapać oddech.

– Ty lajdaku! Ta woda jest lodowata! – krzyknęła, po czym palcami szybko wymacała brzeg wanny i złapała się jej kurczowo.

– Trzeba było skorzystać, kiedy była jeszcze ciepła. – Stał przed nią na szeroko rozstawionych nogach, krzyżując ręce na piersi.

– To tak traktujesz damy?!

– Jeszcze gorzej, ale wkrótce się o tym przekonasz – zapewnił ją. – Może to nauczy pannę „jestem piękna, więc nie jesteś godzien całować moich stóp” trochę pokory.

Helen odgarnęła mokre włosy z twarzy i spojrzała na niego z nienawiścią.

– Obiecuję ci, że tego pożałujesz – warknęła.

– Nie mogę żalować już bardziej. Wystarczy, że cię spotkałem.

– Żądam zwracania się do mnie z szacunkiem, na jaki zasługuję! – dodała, słysząc jego poufaly ton.

– Ani mi się śni. Na tym statku jesteś kompletnie bezużyteczna, to już chłopiec kajutowy zasługuje na większy szacunek niż ty. On przynajmniej coś robi.

– Jestem damą, do diaska! – krzyknęła z furją. Kapitan jednak nie bardzo się tym przejął. Zlustrował ją powoli szyderczym wzrokiem.

– Wybacz mi, złotko, ale ani nie przypominasz teraz damy, ani nie zachowujesz się jak ona.

– To wszystko przez ciebie, ty podstępna kanalio! – Uderzyła pięścią w wodę, przez co tylko obryzgała sobie twarz. – Jest pan po prostu... mało wrażliwy!

Zaśmiał się głośno na te słowa.

– Podejrzewam, że jestem bardziej wrażliwy niż ty, ale mniejsza o to. Zamierzasz się w końcu umyć czy mam ci w tym pomóc?

Helen zrobiła szerokie oczy i szybko zanurzyła się po samą brodę.

– Oooo, pewnie, że byś chciał! Zboczeniec – prychnęła niczym rozzłoszczona kotka.

– Nie pociągają mnie zaniedbane meduzy, ale jeśli masz zostać w mojej kajucie, oczekuję, żebyś była przynajmniej czysta.

Helen oniemiała na te słowa. Nigdy nie sądziła, że przydarzy jej się w życiu moment, w którym ktoś podda w wątpliwość jej higienę osobistą!

– Nie ma potrzeby robić takiej miny – dodał jeszcze, z satysfakcją odczytując jej niemy szok. – Musisz przyznać, że przypominasz teraz bardziej zmokłego kota niż kobietę. Nie pochlebiaj sobie. Nie tknąłbym cię teraz, nawet gdybyś mnie o to błagała.

~

Ross doskonale wiedział, że te słowa były wierutnym kłamstwem. Kiedy w całym ubraniu wrzucił dziewczynę do wody, pragnął tylko dać jej nauczkę, jednak szybko przyszło mu za to zapłacić.

Suknia balowa została uszyta z miękkiego, kremowego muślinu, który zmoczony zdawał się prawie przezroczysty. Przyklepiał się teraz do jej ciała niczym druga skóra, uwydatniając wszystkie interesujące kształty. Ledwie był w stanie oderwać wzrok od jej dobrze widocznych w tej chwili piersi, pełnych i krągłych, zakończonych sterczącymi od zimnej wody sutkami.

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie pragnął kobiety tak, jak jej obecnie. Przeklinał los za to, że jest arystokratką. Nie powinien jej pożądać, była uosobieniem wszystkiego, czym pogardzał, ale jego ciało nie brało tego pod uwagę. To, że nie potrafi nad tym zapanować, jedynie go rozzłościło. A winę za te odczucia przypisał jej.

Przypuszczenie chłopca kajutowego miało sens. Ta kobieta była jak syrena, piękna i zmysłowa, ale stworzona tylko po to, by przywozić mężczyzn do zguby.

Patrzyła na niego wzrokiem pełnym nienawiści i niedowierzania. Bardzo dobrze. Wyglądało na to, że chwilowo przekonał ją, że jej nie pragnie.

Domyślał się, że gdyby wiedziała, jak na niego działa, wykorzystalaby to przeciwko niemu.

Znał kobiety, które posługiwały się urodą jak orężem. Nigdy nie ofiarowywały czegoś bezinteresownie. Wszystko było formą przetargu i wykalkulowanej gry.

– Myślę, że pora, by się pani dowiedziała, gdzie jest jej miejsce – dodał chłodno. – Nie jest pani na Kasjopei proszonym gościem. Z tego, co się dowiedziałem od Tally’ego, nikt nie wie, gdzie się pani znajduje. Równie dobrze mógłbym zrobić z panią, co tylko zechcę.

Helen wiedziała, że ten barbarzyńca próbuje wzbudzić w niej lęk. Póллеżąc w zimnej wodzie, zmrużyła oczy. O nie, nie da się zastraszyć ani upodlić.

– Być może, ale nie jest pan aż takim bydlęciem, by znęcać się nad niewinną kobietą. – Uniosła dumnie podbródek. – Jakkolwiek zmieniło się pana nastawienie do mnie, z pewnością dowiem się o tym w kolejnych dniach. Teraz jednak mam nadzieję, że zostało w panu wystarczająco dużo człowieczeństwa, żeby stąd wyjść i w spokoju dać mi się umyć.

Kapitan poruszył się niespokojnie i przez chwilę miała wrażenie, że zawstydzil się swego zachowania.

– Porozmawiamy, jak będzie pani na to gotowa – bąknął, odwracając wzrok.

Skinęła głową niczym królowa, a Ross szybkim krokiem wyszedł z pomieszczenia.

Została sama.

Odsapnęła ciężko. Co za koszmarna sytuacja. Cała ta rozmowa zupełnie ją rozstroiła. Nie rozumiała jego zachowania. Gdyby wiedziała, że tak zareaguje na wieść o tym, że jest arystokratką, zatrzymałaby tę informację dla siebie.

Z drugiej strony, gdyby wciąż myślał, że ma do czynienia z kurtyzaną, z pewnością próbowałby zwabić ją do łóżka...

Na samą myśl poczuła się dziwnie.

Ten człowiek budził w niej tak wiele niejasnych emocji. Pociągala ją jego nieodparta siła, pewność siebie, to, że nie uginał się pod naporem jej ciętych słów. Na ogół był pogodny, zuchwały, ale potrafił też pokazać, że jest groźny. Widziała to w jego oczach, gdy wyznała, że odkąd wypłynęła z Anglii, była przetrzymywana w klatce.

Choć starał się sprawiać wrażenie kogoś, kto sam dla siebie stanowi prawo, ona wyczuwała w nim duszę uczciwego człowieka, kogoś posiadającego honor.

Powinna się go obawiać. Przecież była jedyną kobietą na statku pełnym mężczyzn... sam powiedział, że mógłby właściwie zrobić z nią wszystko. Jednak, o dziwo, nie obawiała się jego gróźb. Mógł jej nienawidzić, ale wierzyła, że jej nie skrzywdzi.

Wszystkie te myśli towarzyszyły jej podczas kąpieli, nie pozwalając się jej zrelaksować. Zdjęła z siebie suknię (a raczej to, co z niej zostało), wyszorowała skórę niewielką kostką lawendowego mydła, zmyła brud ściereczką i porządnie umyła włosy. Osuszyła się ręcznikiem, który pozostawił Danny, i od razu poczuła się lepiej. Przez krawędź parawanu przewieszono prostą w kroju, karminową suknię. Nie spodziewała się, że na statku pełnym żeglarzy znajdą dla niej kobiecą garderobę, ale korzystając z tego, że może włożyć czyste ubranie, szybko ją przywdziała. Oczywiście nie mogła liczyć na jakiekolwiek bielizniane dodatki, przez co materiał trochę drażnił jej skórę, ale strój okazał się wygodny i w odpowiednim dla niej rozmiarze.

Rozczesała włosy palcami i usiadła przy stole, gdzie już od jakiegoś czasu czekał na nią posiłek.

Choć już dawno wystygł, zjadła go ze smakiem, po czym odchyliła się w fotelu, całkiem ukontentowana.

Mimo ostatniej, burzliwej rozmowy z kapitanem była mu wdzięczna za to, że dał jej chwilę prywatności. Rozejrzała się ciekawie po kajucie.

Pomieszczenie nie należało do wielkich, lecz było zmyślnie urządzone. Po lewej stronie od wejścia znajdowało się mnóstwo szafek i wmontowanych na stałe półek, średniej wielkości łóżko z kolumnami, biurko, na którym leżało mnóstwo narzędzi nawigacyjnych, oraz niewielka biblioteczka. Na kolejnej ścianie widniało duże okno szczeblinowe, za którym połyskiwało srebro księżycy odbite w czerni

oceanu. Pośrodku kabiny znajdował się duży stół, gotowy pomieścić kilku oficerów, oraz przystawione do niego cztery fotele. Po przeciwnej stronie stały komoda i parawan, za którym chowała się przyśrubowana wanna.

Pomieszczenie nie było luksusowe, ale zdawało się zapewniać wszystkie niezbędne wygody.

Na ścianach i suficie wisiały liczne lampy. Danny zapalił kilka z nich i teraz tliły się bladym blaskiem, który rzucał na pokój zasłonę tajemniczości, ale też przytulności.

Helen podeszła na bosaka do okna, wpatrując się w ciemną przestrzeń.

Z jednej strony czuła się osamotniona, wydartą ze swoich korzeni, z dala od rodziny i Anglii. A z drugiej w tych mało ekskluzywnych warunkach poznawała zupełnie inny świat. Życie pozbawione przyjęć, licznych herbatek i nudnych spotkań towarzyskich. O dziwo, wcale jej ich nie brakowało.

Odwróciła się w stronę drzwi, usłyszawszy ciche zgrzytnięcie zawiasów.

Do środka wszedł kapitan, zlustrował szybko jej postać, zmarszczył brwi i gestem dłoni zaprosił ją, by usiadła przy stole.

Zrobiła, o co poprosił, i czekała na to, co jej powie.

Milczał przez dłuższą chwilę.

– Czy otrzymała pani wszystko, czego potrzebowała? – spytał nieco roztargniony. Spojrzał wymownie na jej białe stopy.

– Moja poprzednia suknia raczej nie nadaje się do użytku, ale na szczęście buty wciąż są w dobrym stanie. Kłopot tylko w tym, że wrzucił mnie pan do wody i są mokre – powiedziała bez ogródek.

– Przejdzie im – zażartował, ale widząc jej miazdzące spojrzenie, znów przybrał ponurą minę.

– Natomiast co do sukni – zaczęła, wygladzając fałdy czerwonej spódnicy – to widziałam lepsze, ale nada się – dodała powściągliwie. Nigdy w życiu by się przed nim nie przyznała, że jest w niej wygodnie.

Obejrzał uważnie jej nową garderobę.

– Czy to miał być prezent dla którejś z pana, ekhm... dam? – zapytała odważnie, choć wiedziała, że prosi się o kłopoty.

Wbił w nią spojrzenie ciemnych oczu.

– Moje „damy” nie są „damami”. Chyba już wspominałem, że nie interesuję się tego typu kobietami – przypomniał jej dobitnie. – A jeśli chodzi o suknię, to była ona przeznaczona dla pani. Tally wyznał nam, nie powiem, że bez odpowiedniej zachęty, iż miał ją pani dać, gdy dobijemy do Wybrzeża Kości Słoniowej.

Helen poruszyła się niespokojnie, czekając na dalszy ciąg wyjaśnień. Zdawało jej się, że dojrzała w oczach kapitana nutę współczucia, ale trwało to tylko chwilę, bo zaraz jego twarz stała się na powrót niewzruszona.

– Została pani porwana, bo zamierzano panią sprzedać bogatemu właścicielowi ziemskiemu – wyznał jednym tchem.

Dziewczyna przelknęła z trudem ślinę.

– Sprzedana? Jakim prawem...

– Podobno nie jest pani pierwsza – dodał. – Przykro mi to mówić, ale nie znam życiorysu każdego z marynarzy, poznałem ich ledwie tydzień temu. Gdyby to była moja załoga, nigdy by do czegoś takiego nie doszło.

– W takim razie nie jest pan w stanie powiedzieć, ilu ludzi było zamieszanych w moje porwanie?

– Tally powiedział, że zawsze działa sam, zdawał się mówić prawdę.

– Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? Równie dobrze mógł kłamać.

– Myślę, że nie chce pani wiedzieć, jakie są sposoby na to, by zmusić kogoś do powiedzenia prawdy.

Oczy Helen momentalnie się rozszerzyły.

– Pan go...?

– Nie więcej, niż było to potrzebne – wszedł jej w słowo.

– Nie spodziewałam się... – wymamrotała.

– Zdaję sobie sprawę, że brutalność tego świata jest pani obca. Jednak życie poza salą balową jest zupełnie inne, proszę mi wierzyć. A może wolą pani, żebym po prostu grzecznie go spytał i niczego się nie dowiedział?

– Nnn... nie wiem – wyznała. – Nigdy wcześniej mnie nie porwano, nie miałam też dotąd styczności z takimi ludźmi...

– Ten człowiek zasługuje na srogą karę – stwierdził z powagą. – Na statkach nie jest nowością kara chłosty.

– Chłosty? – Helen momentalnie zrobiła się biała. Nigdy nie była świadkiem takiej brutalności. Czy kapitan byłby do tego zdolny?

Spojrzała na jego twarde rysy i zrozumiała, że tak.

– Przywiązuje się marynarza do masztu, a następnie okłada się go dziewięcioramiennym biczem do czasu, aż z jego pleców zostanie krwawa miazga – wyjaśnił bez ogródek.

Dziewczyna przelknęła z trudem ślinę.

– To... to barbarzyństwo.

– Nawet za to, co pani zrobił? – spytał cicho. – Proszę mi powiedzieć, czy ten człowiek dopuścił się... Czy ośmielił się panią tknąć?

Helen patrzyła mu przez chwilę w oczy. Wiedziała, że życie tamtego człowieka zależy teraz od niej. Gdyby chciała, mogłaby się zemścić. Nie była jednak kłamczuchą.

– Nie, nic mi nie zrobił – wyznała spokojnym tonem, chyba bardziej po to, by uspokoić jego niż siebie.

– Jestem gotów ukarać go tak, jak pani zażąda. – Kaptan nie wyglądał na przekonanego. – Możemy go trzymać w klatce o samym chlebie i wodzie, a potem oddać w ręce prawa, ale możemy również zastosować najcięższą karę, o jakiej właśnie pani powiedziałem – przedstawił możliwości, śledząc uważnie jej twarz. – Do pani należy decyzja.

Zdziwiła się na te słowa. Z jednej strony utrzymywał, że jest lekkoduchem i jej nie szanuje, a z drugiej strony dbał o jej honor, a uczciwość i prawo były dla niego istotne.

Odetchnęła głęboko i zacisnęła dłonie na podolku.

– Myślę, że sprawiedliwie będzie trzymać go w klatce, a potem oddać w ręce prawa – powiedziała powoli. – Nie ma potrzeby go głodzić. Mnie nikt nie głodził.

Ross rozsiadł się w fotelu i przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

– Jest pani zaskakująco wyrozumiała – zauważył.

– Jestem po prostu sprawiedliwa.

– Sprawiedliwość i wyrozumiałość w stosunku do tych gorzej urodzonych?

Helen zarumieniła się nieznacznie. Nie tak dawno pewnie nie byłaby tak wielkoduszna. Gdy była młodsza, świat niższych klas niewiele ją obchodził. Chlubila się tym, że wywodzi się z wyższych sfer, i nie lubiła się mieszać z ludźmi niższego szczebla.

Do czasu, aż poznała dzieci z sierocińca, a w szczególności małą Poppy, która całkowicie zawładnęła jej sercem, gdy spytała, czy zostanie jej mamą.

Od tej pory regularnie odwiedzała sierociniec, wspierając tę instytucję wszystkimi swoimi siłami. To właśnie wtedy zaprzyjaźniła się z Charlotte Summer, która teraz była żoną lorda Hamiltona.

– Zdaję sobie sprawę, że wyższe klasy nie są panu mile, jednak nie wszyscy arystokraci są bez serca. Jeśli bym się z panem zgadzała, czy to by znaczyło, że każdy nędzarz jest dobrym człowiekiem? – spytała, po czym pokręciła głową. – Takie stereotypowe myślenie może jedynie szkodzić. Nie powinien pan oceniać człowieka tylko po jego statusie.

Ross zmarszczył brwi, wpatrując się w nią nieruchomo.

– Ciekaw jestem, gdzie się pani nauczyła takich przemówień – prychnął z niedowierzaniem. – Mówi pani niemal jak kaznodzieja.

– Ach, więc skoro nie zgadzam się z panem, teraz będzie mnie pan obrażał? – Uniosła jedną brew i spojrzała na niego z niesmakiem. – Jakie to typowe u mężczyzn.

Ross założył nogę na nogę. Z pewnością ta kobieta nie była konwencjonalną, głupiutką i zadufaną w sobie damulką. Miała swój rozum i swoje przemyślenia.

Nie docenił jej.

Wcześniej widział w niej głównie urodę, która oczywiście pierwsza rzucała się w oczy, ale im dalej ją poznawał, tym bardziej rozumiał, jak złożoną ma osobowość.

Kobiety, z którymi się zadawał, nie przedstawiały mu swoich przemyśleń na temat porządku świata. Zawsze były dla niego miłą rozrywką, chętnie dawał im przyjemność i czerpał od nich to, co mu ofiarowywały, ale nie przyszłoby mu nawet przez myśl, by dowiedzieć się, kim naprawdę są.

– Chce więc pani powiedzieć, że ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się w biedniejszych warstwach społeczeństwa dzieje? Z tego, co wiem, panienki z dobrego domu nie powinny widzieć niczego poza rąbkiem własnego czepka. Są trzymane pod kloszem ich nadopiekuńczych, interesownych mamusiek.

Helen splonila się na te słowa. Ten opis doskonale pasował do jej matki, markizy Williams. Dla niej liczyła się tylko pozycja i dobre zamążpójście.

– Zanim to wszystko mi się przytrafiło – zatoczyła dłonią w powietrzu – pomagałam dzieciom z sierocińca, jak tylko zdołałam.

Ross zdawał się zdziwiony.

– Mówi pani o tych dzieciach, którymi opiekowała się żona Jamesa?

– Tak, jak już wspomniałam, Charlotte jest moją przyjaciółką.

Spojrzał na nią tak, jakby nie był pewny, czy mówi prawdę. Zaraz jednak uśmiechnął się cynicznie.

– Dama, która udziela się charytatywnie? No, no, widzę, że bardzo dba pani o swój wizerunek – rzucił kąśliwie.

Helen zmrużyła oczy. Z początku miała ochotę mu wyznać, jak wiele zmieniło się w jej życiu, odkąd poznała dzieci, jednak po jego zaciętej minie i gruboskórnych słowach wywnioskowała, że i tak by jej nie uwierzył.

– To, co pan o mnie myśli, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia – odparła lekceważąco, na powrót przywdziewając maskę chłodnej elegancji. – Interesuje mnie tylko, w jaki sposób wrócę do Anglii. Jak najszybciej chciałabym posłać wiadomość...

– Obawiam się, że nie jest to w tej chwili możliwe. Nie zmienimy kursu tylko dlatego, że znalazła się pani na pokładzie. Przypomnę, że to statek handlowy, mamy umowy, terminy, z których musimy się wywiązać.

– Słucham? Ale ja muszę jak najprędzej wrócić do Anglii. Moja reputacja i tak będzie już zrujnowana, ale być może, gdybyśmy szybko zawrócili, udałoby się ją jeszcze naprawić... – Nachyliła się do niego, opierając dlonie

o drewniany blat stołu. Musiał zrozumieć, jak bardzo jest to dla niej ważne.

– Proszę mi wybaczyć, ale pani reputacja „nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia” – rzucił w odwecie, przyglądając się swoim paznokciom.

Helen zaperzyła się, gdy zrozumiała, że zdana jest teraz na jego łaskę.

– Chyba nie ma pan zamiaru zabrać mnie aż do... do... gdzie pan właściwie płynie? – Spojrzała na niego, marszcząc czoło.

Uśmiechnął się szeroko.

– Do Indii Zachodnich – odparł spokojnie.

– Do Indii Zachodnich?! – wykrzyknęła, zrywając się z krzesła i niemal rzucając się na niego. – Ale to może zająć...

– Kilka miesięcy – dokończył za nią.

– I chce mnie pan tu więzić? Przez tyle dni? Czy pan oszalał?!

Ross pokręcił głową. Jego wzrok padł na jej rozwścieczoną twarz, po czym ześliznął się po szyi aż do wycięcia dekoltu, który był teraz doskonale widoczny.

Helen momentalnie się wyprostowała i założyła dłonie na piersi, by osłonić się przed jego wzrokiem, tym ruchem jednak pogorszyła tylko sytuację, mimowolnie uwydatniając miękkie krągłości nad linią dekoltu.

Kapitan odchrząknął i odwrócił wzrok. Cholernie trudno było jednocześnie klócić się z nią i jej pragnąć. A z każdą minutą pragnął jej do licha coraz bardziej!

– Gdybym przez tyle dni zamierzał panią trzymać w swojej kajucie, chyba faktycznie bym oszalał – mruknął niewyraźnie, ale gdy dostrzegł wbity w niego wzrok, już głośniej dodał: – Jest pani ze wszech miar irytującą kobietą. Nie zrobiłbym tego sobie – wyznał z fałszywą szczerością.

– Och! – sapnęła tylko na to grubiańskie stwierdzenie. Jeszcze nikt nie powiedział jej, że jest irytująca!

Wciągnęła w płuca kilka uspokajających oddechów.

– Co więc pan zamierza?

Rzucił jej niechętne spojrzenie, jakby kalkulował, czy jest godna odpowiedzi. Westchnął zaraz.

– Najbliższy przystanek mamy w Porto, mieście portugalskim. Państwo angielskie od lat związane jest z nim porozumieniem handlowym – zaczął jej objaśniać. – Zdażyliśmy przetransportować od nich więcej wina, niż jest pani to sobie w stanie wyobrazić.

– Do sedna, jeśli łaska – syknęła, nie mogąc znieść jego impertynenckiego tonu.

– Cierpliwość nie jest, widzę, jedną z pani cnót? – Spojrzał na nią z przekorą.

– Myślę, że wykazałam się nadludzką cierpliwością, jeszcze pana nie mordując. – Uśmiechnęła się słodko.

Ross nie mógł nie odwzajemnić tego uśmiechu, nie wiedział dlaczego, ale wprost uwielbiał wyprowadzać ją z równowagi. Zaraz jednak przypomniał sobie, że jej nienawidzi, i odchrząknął ostrzegawczo.

– Proszę nie zapominać, z kim pani rozmawia. Ja tutaj jestem najwyższą władzą...

– Powiedział człowiek, który podobno nie znosi autorytaryzmu – wytknęła mu natychmiast.

Kapitan wstrzymał przez chwilę powietrze, po czym wypuścił je jednym tchem.

– Wie pani, chyba zaczynam rozumieć, dlaczego zamknęto panią w klatce.

– Radzę nie kończyć tej myśli...

– Gdyby jednak trafiła pani w ręce tego właściciela ziemskiego na Wybrzeżu Kości Słoniowej – kontynuował bez oporów – jestem pewien, że pierwsze, co by zrobił, to uciął pani język.

Helen rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

– A ja jestem pewna, że kiedy pan uśnie, z chęcią utnę panu co innego.

– Madamel! – Roześmiał się. – Jest pani wulgarna.

Wzruszyła ramionami.

– Ludziom pana pokroju trzeba pewne rzeczy tłumaczyć bardziej obrazowo.

– Ludziom mojego pokroju?

Wbiła w niego cyniczny wzrok.

– Mężczyznom, którzy nie rozumieją, czym jest subtelność.

Ross nie mógł się powstrzymać, odchylił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Już myślałem, że mówi pani o moim pochodzeniu – dodał po chwili.

– Nie znam pana pochodzenia, ale proszę mi wierzyć, prostactwo szerzy się zarówno u osób wysokiego, jak i niskiego szczebla – poinformowała go wyniośle. – Ostatecznie, mężczyzna jest tylko mężczyzną – dodała, nie mogąc sobie darować tego przytyku.

Kapitan pokręcił głową z niedowierzaniem. Chyba jeszcze nigdy nie spotkał tak wygadanej kobiety. Dama czy nie dama, miała dziewczyna tupet.

I niech go Bóg ma w swojej opiece, podobała mu się jak diabli.

– Wracając do pani rychłego powrotu... – przypomniał jej i omal znów się nie roześmiał, bo wyglądało na to, że ona zdążyła o tym zapomnieć. – Z Porto odpływa do Anglii mnóstwo statków handlowych. Jestem pewien, że uda nam się znaleźć dla pani miejsce na jednym z nich.

Dziewczyna natychmiast się rozpogodziła.

– Ile dni dzieli nas od tego miasta?

– Nie więcej jak dwa tygodnie.

– Wytrzymam – oznajmiła bohaterko, jakby miał tu zamiar codziennie obdzierać ją ze skóry.

– To chyba ja powinienem to powiedzieć. – Kąciki jego ust podjechały niebezpiecznie do góry.

Helen jakimś cudem udało się zapanować nad mimiką. Nie chciała spoufalać się z tym grubianinem. Raz był w stosunku do niej szorstki i oschły, a raz rozbrajał sympatyczną osobowością. Nie rozumiała go.

– Czy ma pani jakieś bagaże?

– Ach, zdążyłam zabrać tylko kilka kufrów. – Machnęła swobodnie ręką. – Oczywiście, że nie mam – zgromiła go zaraz. – Zostałam porwana, o ile pan pamięta.

– Musi być dla pani bardzo niewygodnie nie mieć przy sobie wszystkich tych bibelotów i służących spełniających każdą pani zachciankę – sarknął.

– Prawdę mówiąc, traktuję swoje nowe położenie dość ożywczo – odparła niespodziewanie.

– Dość ożywczo? Co to u diabła znaczy?

– Mniejsza z tym. – Helen zawstydzila się. Nie chciała przyznawać, że mimo wielu niewygód jest podekscytowana zaistniałą sytuacją.

Znów przyszła jej do głowy bohaterka książki, której życie było niekończącym się pasmem przygód. W głębi duszy zawsze marzyła, by być taką kobietą, choć każdy nowy dzień wypełniony po brzegi zobowiązaniami towarzyskimi dobitnie jej uświadamiał, że to marzenie nigdy się nie spełni. Jej miejsce było gdzie indziej, a ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Każdy z nas rodzi się z przypisaną sobie rolą – westchnęła nostalgicznie.

Kapitan przez chwilę przyglądał się jej posmutniałej twarzy, ale gdy poczuł osobliwe uczucie, które nakazywało mu ją pocieszyć, poruszył się niespokojnie.

– Nie wiem jak pani, ale ja potrzebuje się położyć. Zgodzi się pani ze mną, że to był dość wymagający dzień.

– Po raz pierwszy się z panem zgodzę – przyznała i wstając powoli z fotela, spytała: – Czy mogę zająć tamto łóżko?

Ross podążył za jej wzrokiem.

– Ależ oczywiście. Zapraszam panią do mojego łóżka.

– Jak to do pana? – Znieruchomiała.

On również wstał, tak że znajdowali się teraz blisko siebie.

– Przecież to moja kajuta – przypomniał.

– Może pan spać gdzie indziej.

Ross pokręcił głową.

– Wszystkie inne są zajęte. Na statku nie marnuje się miejsca. Z pewnością zmieścimy się oboje.

– Przecież może pan rozwiesić hamak.

– A widzi pani gdzieś jakieś haki? Jeśli będzie pani nalegać, możemy to zrobić jutro, ale dzisiaj jest już na to za późno – odparł, po czym nie poświęcając jej już więcej uwagi, podszedł do jednej z szafek i ściągnął przez głowę koszulę.

Helen o mało oczy nie wyszły z orbit. Z wrażenia aż wstrzymała oddech.

Widziała kiedyś na turnieju szermierskim, jak jeden z uczestników zmieniał koszulę, ale z pewnością nie był on tak muskularny i potężnie zbudowany jak kapitan.

Słowa zamarły jej na ustach i była w stanie tylko patrzeć, jak mięśnie na jego plecach poruszają się przy najdrobniejszym ruchu. Gdy rzucił jej przez ramię rozbawione spojrzenie, odwróciła się do niego plecami.

Ross zachichotał pod nosem.

– Jeśli woli pani spać w fotelu, bardzo proszę. Mnie jest wszystko jedno. Obawiam się tylko, że nie posiadam żadnych koców.

Helen zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co powinna teraz zrobić.

Nie mogła przecież spać z mężczyzną w jednym łóżku, nie powinna nawet przebywać z nim sama w jednym pomieszczeniu bez przyzwoitki! Sytuacja jednak nie dawała jej wielkiego wyboru.

Gdy usłyszała za plecami ciche odgłosy kroków, zeszywniała. Czy zmienił zdanie i zamierzał siłą zmusić ją, by z nim spała? Jej obawy jednak szybko się rozwiały, gdy się okazało, że zamierza jedynie zgasić po kolei każdą z lamp. Odetchnęła, jednak wciąż trwała w niezdecydowaniu.

Gdy zakończył cały proceder, przeszedł na drugą stronę kajuty i wkrótce usłyszała szelest zdejmowanego ubrania.

Przelknęła z trudem ślinę, wyobrażając sobie wszystko, czego teraz tak usilnie starała się nie zobaczyć. Jeśli się nie myliła, kapitan spał nago. W jej obecności! Choć zgasił wszystkie lampy, przez okno wpadało blade światło księżycy. Jej wzrok szybko przyzwyczaił się do półmroku.

Stała jak sparaliżowana, nie mając najmniejszego wpływu na zachowanie mężczyzny. Nie mogła go wyprosić, nie mogła stąd wyjść... Po chwili znów usłyszała szelest przesuwanej pościeli, zgrzyt desek i głośne westchnienie.

– Zamierza tam pani stać całą noc? – spytał, a jego niski pomruk rozszedł się pieszczotliwie po jej ciele. Objęła się ramionami i szybko zerknęła za siebie. Upewniwszy się, że nie zobaczy go zaraz w neglizju, obróciła się powoli w jego stronę.

– Chyba... eee... prześpię się jednak w fotelu – wydukała.

– Jak sobie pani życzy. Słodkich snów zatem – odparł swobodnie i przekręciwszy się na drugi bok, odetchnął głęboko i jak jej się zdawało, momentalnie zapadł w sen.

Sapnęła zrezygnowana. Łóżko kapitana, bez niego oczywiście, wabiło swoją miękkością i obiecywało niezrównany odpoczynek. A ona, nie dość, że ostatni tydzień spędziła, śpiąc na hamaku, to jeszcze w klatce. Potrzebowała dobrego snu.

Zrezygnowana spojrzała na fotel, który, choć wygodny, nie zwiastował odpowiedniego odprężenia.

Ross leżał i nasłuchiwał. Oczywiście wierutnym kłamstwem było, że jest mu wszystko jedno, gdzie ona będzie spała. Mimo że trzymał ją na dystans, marzył o tym, by znalazła się blisko niego, zrelaksowana, śpiąca, z rozsypanymi na poduszce włosami.

Być może w trakcie snu wtuliłaby się w jego ciało, a potem on...

Cholera! Wystarczyła jedna myśl, by znów był podniecony.

Do jego uszu dotarły odgłosy przesuwanych mebli i domyślił się, że panna nietykalska usiłuje umościć sobie legowisko na fotelach.

Może tak będzie lepiej. Ostatecznie, gdyby spała obok, wątpił, czy potrafilby utrzymać przy sobie ręce...

Dwie godziny później

Helen chyba już po raz setny przekreślała się na swoim prowizorycznym łóżku. Miała jednak wrażenie, że z każdą minutą mięśnie jej pleców coraz bardziej się nadwyrężają. Robiło się też zimno i mimo że otulała się dłońmi i miała na sobie suknię, szybko zaczęła dygotać.

Niech szlag trafi tego kapitana. Nie mógł zachować się jak dżentelmen i oddać jej swojego łóżka? A ona teraz będzie zbierać skutki jego złego wychowania.

Usiadła gwałtownie i rozejrzała się po kajucie. Przyszło jej do głowy, że mogłaby położyć się w wannie, ale ta była

jeszcze wciąż pełna wody, poza tym nie miała żadnego okrycia.

Wstała ostrożnie i na palcach podszła do łóżka.

Kapitan wciąż spał na boku, tyłem do niej i po miarodajnym oddechu wywnioskowała, że spał głębokim snem. Spod pościeli wystawały górna część jego pleców i muskularne ramiona, a niżej... Przelknęła z trudem ślinę. Nie sposób było zapomnieć, że leży pod tą pościelą zupełnie nagi. Nie chcąc się skupiać na swoich odczuciach, pomyślała zjadliwie, że gdyby nie był taki wielki, zostałoby dla niej w łóżku więcej miejsca. Zerknęła na drugą, pustą połowę materaca. Dotknęła go na próbę dłonią, by stwierdzić, że w porównaniu z fotelem jest bardzo miękki.

Przez chwilę nasłuchiwała jeszcze, czy mężczyzna na pewno śpi, ale gdy chrząknął cicho, ledwie powstrzymała chichot.

– Śpi jak baranek – mruknęła pod nosem, po czym bardzo ostrożnie usiadła na łóżku.

Nie miała zamiaru zdejmować sukni. Musiała się od Mortimera odgradzić wszelkimi możliwymi sposobami.

Położyła się na wznak na pościeli, która miała stanowić kolejną zabezpieczającą warstwę. Pod głowę podłożyła jedną z poduszek, którą dla niej zostawił.

– Jak mięciutko – szepnęła z zadowoleniem, odsuwając się od niego jak najdalej, by przypadkiem nie dotknąć go, gdy będzie spała.

Nie minęło pięć minut, a zapadła w głęboki sen...

~

Rossa obudziło nagle uderzenie w twarz. Wyrwany z objęć Morfeusza otworzył oczy i rozejrzał się, próbując sobie uświadomić, co się wydarzyło. Tuż obok niego na

pościeli spała w pełni ubrana lady Williams, ręce miała rozrzucone na boki, mamrotała coś przez sen i rzucała się niespokojnie.

– Uspokój się. – Wyciągnął do niej rękę, sądząc, że śnia się jej koszmary, ona natomiast bez ostrzeżenia zamachnęła dłonią, tym razem trafiając go w pierś.

– Nie będę jadła tych ślimaków! – wymamrotała przez sen.

Kapitan zamrugął zdezorientowany, po czym uśmiechnął się szeroko i zachichotał. Wyglądało na to, że ta wyniosła panna gada przez sen! Kolejna niesamowita cecha, choć chyba już niewiele by go zdziwiło. Nie mogąc się oprzeć, postanowił poczekać na rozwój wydarzeń.

– Szampan? N...nnie... nie pasuje... – dorzuciła po chwili, marszcząc groźnie brwi. Dobrze widział jej twarz, światło księżycy wpadało wprost przez okno, przez co mógł bez trudu obserwować jej mimikę.

Ręka go zaświerzbila, tak bardzo chciał dotknąć jej skóry. Nagłym ruchem obróciła się w jego stronę, kuląc się jak dziecko.

– Nie chcę... – zalkała zaraz. – Zabierz.

W tym momencie obserwowanie jej przestało być zabawne.

Nigdy jeszcze nie widział jej w takim nastroju, nie mówiąc o tym, że był bardzo wrażliwy na kobiece lzy.

– Choć malutka, nie musisz jeść żadnych ślimaków. – Przygarnął ją natychmiast do piersi. Ona wtuliła się w niego ufnie, co jakiś czas pociągając nosem.

Wyraźnie jednak się rozluźniła.

Głaskał ją chwilę po włosach, aż oparła dłonie na jego piersi i usnęła spokojnym snem.

Następnego dnia rano

Kiedy Helen się obudziła, kapitana nie było już w kajucie. Niewiele pamiętała z zeszłej nocy, ale spała wyjątkowo dobrze.

Przeciągnęła się leniwie i usiadła na łóżku.

Jakże inaczej jawiła się teraz jej przyszłość, gdy wiedziała, że niedługo wróci do Anglii, do rodziny. Z pewnością matka i ojciec zamartwiają się o nią na śmierć. Nie miała teraz możliwości, by wysłać list, a kiedy przybiją do portu, też nie będzie sensu go wysłać, pewnie trafilby do nich nawet później niż ona sama.

Wstała i podeszła na bosaka do okna. Dzisiaj był piękny, słoneczny dzień. Związała włosy kawałkiem materiału i odwróciła się, gdy usłyszała ciche pukanie. Do kajuty wszedł Danny z talerzem.

– Przyszedłem z jedzeniem – powiedział trochę speszo-
ny. – Kapitan powiedział, że lepiej, żeby panią nie wycho-
dziła z kajuty. No to przyniosłem, co trzeba. – Wskazał na
talerz, a gdy Helen podziękowała, postawił jedzenie na stole.

– Aha, żebyśmy nie zapomnieli. Miałem jeszcze przekazać,
że po południu będzie pani jadła obiad z kapitanem i pierw-
szym oficerem – mówił, zginając się przed nią wpół.

– Nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia? – spytała.

Chłopak zmarszczył brwi, widać nie przychodziło mu
do głowy, by odmówić zaproszenia takim osobistościom.

– Nie wiem, proszę pani – wyznał, drapiąc się po gło-
wie.

– Ile masz lat, Danny? – spytała po chwili.

– Nie jestem pewien, proszę pani, jakieś czternaście.

– Gdzie są twoi rodzice?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie mam rodziców. Wychowałem się na ulicy.

Helen przyjrzała mu się uważnie. Był chudym, wysokim młodzieńcem o wesółych, jasnych oczach. Nie uskarżał się na swój los, a nawet wyglądał na zadowolonego.

– Lubisz pływać statkami? – domyśliła się.

Jego oczy zabłyszczały z ekscytacji.

– O tak, proszę pani. To zawsze było moje marzenie. Owen mówi, że jak będę pilnie wykonywał swoje obowiązki, to kiedyś zostanę marynarzem – powiedział z entuzjazmem.

– Kim jest Owen?

– To nasz kucharz. Bardzo mi pomaga – oświadczył, ale zaraz wyprostował się dumnie i dodał: – To nie tak, że potrzebuję czyjejś pomocy. On po prostu mnie lubi, widzi pani.

– Rozumiem. – Helen ukryła uśmiech. Chłopak był bardzo dumny. – Czy służyłeś już wcześniej kapitanowi?

– Nie, to będzie pierwszy raz, ale czasem sam się dziwię, że dostałem tę fuchę. Kapitan to nie byle kto.

– Co masz na myśli?

– To pani nie wie? – Wytrzeszczył na nią oczy, ale szybko potrząsnął głową jak pies, który wyszedł właśnie z kąpieli.

– Nie, ale jestem pewna, że będziesz tak miły i mi powiesz. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

Chłopak wyprostował się jak struna.

– Kapitan Mortimer ma błękitną krew, a traktuje wszystkich po równo, wcale nie zadziera nosa. Przeplłynął wiele mil i z niejednej kabaly się wykaraskał. Ponoć nawet piraci mu niestraszni, choć niektórzy mówią, że sam był kiedyś jednym z nich! – wykrzyknął, ale widząc, że jego przemowa nie robi na niej wrażenia, dodał: – Żeglował aż do samych Chin, a nawet... nawet... do końca świata!

– Do końca świata, no, no. – Pokręciła z uśmiechem głową. – A co masz na myśli, mówiąc, że ma błękitną krew?

– spytała, siadając jednocześnie do posilku. Kapitan nigdy nie wspominał o swoim pochodzeniu, choć jego wytworne manieri i sposób wyrażania podpowiadały jej, że nie jest do końca tym, za kogo się podaje...

– Tego dokładnie nie wiem, ale ponoć kiedyś był kimś ważnym, tyle że wszystko porzucił dla żeglowania. – Danny znów uniósł ramiona.

– Rozumiem. Może usiądziesz na chwilę ze mną – wskazała na fotel obok – i trochę sobie porozmawiamy?

Dzieciak sporo wiedział, a skoro nie wolno jej było wychodzić na zewnątrz, próbowała w inny sposób rozeznaczyć się w sytuacji.

– Nie mogę! – Odskokczył jak oparzony. – To znaczy, mam dużo obowiązków!

– Przecież cię nie ugryzę, nie bój się mnie.

– Wcale się nie boję! – dodał butnie. – Po prostu... – wykręcał się.

Helen postanowiła odpuścić, chłopak, widać, wciąż nie czuł się przy niej komfortowo.

– Dobrze, Danny, zmykaj w takim razie do swoich obowiązków.

Chłopakowi nie trzeba było powtarzać dwa razy, szybko wyszedł z kajuty, zostawiając ją samą.

Kilka godzin później

– To bardzo mile dla odmiany jeść w towarzystwie damy – powiedział pierwszy oficer John McFitz, kończąc swój posiłek. – Wybacz, Mortimer, lubię nasze obiady, ale nie jesteś tak czarujący jak lady Williams.

Helen uśmiechnęła się powściągliwie. Nareszcie ktoś, kto należycie ją traktował. Może kapitan pójdzie w końcu po rozum do głowy i się czegoś nauczy.

– Ja również doceniam pana towarzystwo, panie McFitz. Po raz pierwszy – podkreśliła te słowa – czuję się na tym statku jak dama.

– W takim razie mam nadzieję, że dopóki nie dobijemy do Porto, będzie pani miała ochotę spędzić ze mną kilka chwil.

Ross siedział u szczytu stołu i niemal zgrzytał zębami. Nie chciał rezygnować z obiadów ze swoim oficerem, wciąż niewiele o nim wiedział, ale teraz ewidentnie dowiedział się o nim czegoś nowego.

Ten człowiek potrafił wykorzystywać okazję i kuć żelazo, póki było gorące.

Odkąd tylko się pojawił w jego kajucie, nie odstępował panny Williams na krok. Ona zresztą też. Gruchala do niego, jakby świata poza nim nie widziała. Usadził ich naprzeciwko siebie, po przeciwległych stronach stołu, ale czuł się w tym nieszczęsnym trójkącie jak zbędny element.

Do diabła. Stracił nawet przez to apetyt, żuł mięso, które smakowało teraz niczym stary but. Tymczasem zdawało mu się, że dziewczyna była w swoim żywiole, trzepotała rzesami, rozdawała uśmiechy i flirtowała.

– Z przyjemnością spędzę z panem więcej czasu. Odpowiednie towarzystwo – znów podkreśliła, nie obdarzając Rossa najmarniejszym spojrzeniem – dobrze mi robi.

Helen od pierwszego momentu polubiła nowo poznanego oficera. Był szarmancki, nie krył swojego zainteresowania i gdyby nie okoliczności, w zasadzie czułaby się jak na jednym z przyjęć w Anglii.

Dodatkowy atut w postaci jego przystępnej aparycji również miał znaczenie. McFitz zdecydowanie zaliczał się do tych przystojnych. Choć zarówno kapitan, jak i jego pierwszy oficer byli dobrze zbudowani, to ten drugi wykazywał się większą galanterią. Jego uroda wydawała się odrobinę

ułagodzona, podczas gdy u Mortimera wszystko było przesadzone i kanciaste. Ten zbyt mocno opalony, zbyt wysoki i zbyt barczysty człowiek, kiedy wchodził przez drzwi kajuty, ledwie mieścił się we framudze.

Nie wspominając o tym, że zajmował zdecydowanie zbyt wiele miejsca w łóżku... Helen splonila się na samą myśl, że tę noc spędziła przecież, śpiąc obok niego. Potakiwała w międzyczasie głową i uśmiechała się promiennie do oficera, udając, że go słucha. Powstrzymywała się przed tym, by zerkać na kapitana. Kątem oka jednak widziała jego niezadowoloną minę.

I dobrze mu tak!

– To bardzo ciekawe, co pan mówi – zagruchała.

– Nie sądziłem, że może to panią zainteresować. Mam słabość do podróży, chyba nie jestem typem, który potrafi usiedzieć długo w jednym miejscu.

– Ach, więc jest pan niestały! – wtrącił triumfalnie Ross.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Powiedziałabym raczej, że pan McFitz jest ciekawy świata. Bardzo to sobie cenię w mężczyznach – odparła Helen, wciąż nie zaszczycając go spojrzeniem. Spokojnie wzięła kolejny kęs do ust.

– Nie sądziłem, że jakiegokolwiek kobiecie może się to podobać – przyznał oczarowany oficer. – Czy pani również lubi podróżować?

– O tak, bardzo! – przytaknęła. – Zawsze marzyłam o tym, żeby zwiedzić świat, choć nie sądzę, by było mi to dane... – Helen natychmiast posmutniała.

McFitz, widząc jej rozdarcie, uniósł rękę ponad stołem i przykrył pocieszająco jej dłoń.

– Proszę nie być złej myśli, jestem pewien, że otrzyma pani od życia to, czego pragnie.

Ten słodki moment przerwało głośne brzęknięcie sztućców o talerz.

– McFitz, czy nie skończyłeś już przypadkiem jeść? Zda-
je się, że zaraz zaczniesz się twoja wachta? – warknął Ross,
patrząc na niego wilkiem.

Mężczyzna cofnął dłoń. Przez jego twarz przebiegł na-
głe grymas skrywanej złości, lecz trwało to zaledwie ułamek
sekundy.

– Oczywiście, kapitanie – odparł, wstając jednocześnie
z fotela. – Panno Williams – sklonił się jej – do następnego
razu.

– Już nie mogę się doczekać – odparła jak rozkochana
nastolatka, nie mogąc darować sobie chwili, by nie zagrać
kapitanowi na nosie. Nie urodziła się wczoraj, wiedziała, jak
wygląda męska zazdrość.

Gdy tylko McFitz zamknął za sobą drzwi, przestała się
uśmiechać.

Spojrzała na Mortimera.

– Zachowuje się pan grubiańsko.

– A pani, jakby nigdy nie widziała mężczyzny! – wy-
buchł, nie kryjąc wzburzenia. – Miałem wrażenie, że powi-
nieniem stąd wyjść i zostawić was samych. Łóżko nawet jest,
chyba że wolelibyście stół...

Helen momentalnie się zaogniła. Uniosła dłoń, by go
spoliczkować.

– Niech pani tylko spróbuje, a srogo tego pożałuje –
ostrzegł ją takim tonem, że Helen chyba po raz pierwszy
się powstrzymała. Dojrzała udrękę w jego oczach, jakby
walczył jednocześnie z zazdrością, pożądaniem, ale i nie-
nawiścią. Kobięca intuicja podpowiedziała jej, że lepiej
było się wycofać. Nie miała pewności, do czego jest zdol-
ny. Gdy napięcie opadło, spojrzała na jego talerz. Ledwie
tknęła jedzenie.

– Ja po prostu uważam, że powinien mnie pan lepiej
traktować.

– Proszę podać mi choć jeden powód, dla którego powinienem to robić – zażądał, odchylając się na fotelu.

– Jestem damą – powiedziała to, co pierwsze przyszło jej do głowy.

– Czy to znaczy, że jest pani lepszym człowiekiem? Czy zaskarbiła sobie pani moją przychylność, wykazała się jakimś czynem, dzięki któremu wzbudziłaby pani mój szacunek? – zaatakował ją znów. – Nie.

– Nie jestem złym człowiekiem – broniła się słabo.

– Jak dotąd, potrafiła pani jedynie wymagać. Nie jesteśmy w Anglii, nie jestem pani ojcem ani sługą. A pani jest dla mnie ciężarem – powiedział dobitnie, z głośnym szuraniem odsuwając fotel.

W tym samym czasie do kajuty wszedł Danny, pytając, czy może już zabrać naczynia.

– Zabieraj! – warknął kapitan, przez co dzieciak niemal rzucił się do stołu, by wykonać swoje zadanie.

– Ale ja jeszcze nie zja... – zaproponowała Helen.

– Zabieraj! – wrzasnął znów, bagatelizując jej słowa.

Panna Williams demonstracyjnie opuściła sztucce i z godnością odsunęła się od stołu.

Milczeli, dopóki za chłopcem na powrót nie zamknęły się drzwi.

– Przez kilkanaście dni będziemy skazani na swoje towarzystwo – zaczęła po chwili spokojnym tonem. – Nie rozumiem pana odgórnej nienawiści do mnie, ale proszę mi powiedzieć, co powinnam zrobić, żebyśmy do czasu, aż dobijemy do portu, się nie pozabijali?

– Nie może pani zmienić tego, kim jest.

– To prawda, skoro więc nie mam na to wpływu, dlaczego po prostu pan o tym nie zapomni? Proszę sobie wyobrazić, że jestem po prostu kobietą. Przecież nią jestem,

czyż nie? – Próbowała go udobruchać. Te wszystkie klótnie także jej działały na nerwy.

Ross podszedł do biurka i zdawało się, że jej nie usłyszał.

– Proszę mi wierzyć, patrzę na panią jak na kobietę – powiedział w końcu.

Helen skinęła głową, uznając, że to dobry trop.

– W takim razie jestem pewna, że uda się panu wykrzesać odrobinę szacunku. Przecież nie traktuje pan tak swoich... swoich... eee... – Tutaj urwała, bo żadne odpowiednie słowo nie przechodziło jej przez gardło.

Ross odwrócił się do niej.

– Moich... kogo? – spytał naraz rozbawiony jej staraniami.

– Pana hm... przyjaciółek – zakończyła ostrożnie.

– Ach, przyjaciółek. – Pokiwał głową. – Tylko, że żadna z nich nie jest taka jak pani.

Dziewczyna zamrugła bezwiednie, bo zabrzmiało to niemal jak komplement.

– Chyba powinnam się cieszyć? – zaryzykowała.

– Wręcz odwrotnie – dodał zaraz twardo. – Żadna nie jest tak okropnie wyniosła i zadufana w sobie jak pani.

– Nie jestem wyniosła! – zdenerwowała się zaraz.

– I porywczą.

Helen nachmurzyła się.

– A nawet jeśli, to pan też święty nie jest – odgryzła się, momentalnie zapominając o tym, że chciała przecież załagodzić sprawy między nimi.

– Nie muszę, jestem kapitanem – skwitował z szerokim uśmiechem.

– Nie gra pan fair.

– Nie muszę...

– ... jestem kapitanem – zakończyła, przedrzeźniając go.

– Widzę, że powoli pojmuje pani, jak się sprawy mają – wyraził uznanie. – Dopóki jest pani na statku bezużyteczna, nie zasługuje pani na lepsze traktowanie. W mojej opinii i tak potraktowałem panią łagodnie.

– Łagodnie? Ależ ja jestem kobietą, nie marynarzem!

Kapitan podszedł do niej powolnym krokiem, zatrzymując się tuż przed jej bosymi stopami. Podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Czula się dziwnie bezbronne, patrząc na tego wielkoluda.

– Gdyby była pani kobietą, którą sam zaprosilem, z pewnością spożytkowałbym pani obecność w moim łóżku – powiedział napiętym głosem.

Ta niespodziewana zmiana tematu sprawiła, że Helen zarumieniła się intensywnie. Między ich ciałami momentalnie pojawiło się silne przyciąganie, tak że niemal zważyło ją to z nóg.

Nie wiedziała, czy chciał ją tym wyznaniem zdeprymować, czy po prostu sprowokować. Nie pozwoliła się jednak przegnać jak naiwna trzpiotka.

– Mogę być użyteczna na statku, jestem damą, ale nie boję się obowiązków i pracy – powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku.

Kapitan uniósł brwi.

– Chce być pani użyteczna? – spytał, a jego spojrzenie mimowolnie zawisło na jej ustach.

Helen wstrzymała z wrażenia oddech. Co się z nią działo? Jakaś siła popychała ją w jego ramiona, pragnienie było tak silne, że omal nie zbliżyła się do niego.

Kapitan tymczasem uniósł dłoń do jej twarzy, ujął ją palcami pod brodę i przesunął kciukiem po dolnej wardze.

Dziewczyna westchnęła, zawieszona w intensywnym oczekiwaniu. Choć przecież szczerze go nie znosiła, niczego nie pragnęła teraz bardziej niż tego, by ją pocałował.

Momentalnie przypomniała sobie, jak się czuła tam na tarasie u Hamiltonów, gdy trzymał ją w ramionach. Zadrżała na samo wspomnienie.

Gdy tylko Ross dostrzegł pragnienie w jej oczach, gwałtownie opuścił dłoń.

– Jeśli chce być pani użyteczna jako kobieta, moje łóżko stoi dla pani otworem. – Jego głos ociekał zimnym sarkazmem.

Helen momentalnie otrząsnęła się z transu.

– Zdaje się, że już raz pomylił mnie pan z dziwką, nie radzę robić tego powtórnie. To już nie będzie zabawne – ostrzegła go.

– Szkoda – westchnął, po czym odwrócił się do niej plecami i odszedł parę kroków. – W takim razie może pani zostać moim osobistym pomocnikiem.

– Osobistym pomocnikiem? – zainteresowała się zaraz. To brzmiało znacznie lepiej niż pozycja zostania kurtyzana.

– Pomagałaby mi pani w najprostszych czynnościach tu, w kajucie. Dla pani bezpieczeństwa nie radziłbym wychodzić na zewnątrz. Tak jak już wspominałem, niezbyt dobrze znam załogę. Wątpię, czy w ogóle oni sami znają siebie nawzajem.

– Co miałabym robić?

– Na początek mogłaby pani posłać łóżko. – Spojrzał wymownie na rozgrzebaną pościel.

– Aha, czyli mam być pokojówką. – Helen się skrzywiła.

– Jeśli woli pani pozostać primadonna, droga wolna, nie powiem, że się tego nie spodziewałem – westchnął. – Widać proste czynności panią przerastają... – dodał z rezygnacją, specjalnie biorąc ją pod włos.

– Nie powiedziałam, że tego nie zrobię – zaoponowała natychmiast.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Jest pani pewna, że się nie boi, że połamie paznokietki, albo że zmierzwią się pani włosy? – dodał prześmiewczo.

– Nie sędzę – syknęła ponuro, obrzucając go morderczym spojrzeniem.

– Skoro jest pani tego taka pewna...

– Myślę, że dam sobie radę z czynnościami, które zdołaloby wykonać każde dziecko.

– Rozumiem. – Ross skinął głową. Zaraz podszedł do jednej z szafek, tuż przy wezgłowiu łóżka. Otworzył ją na oścież i odsunął się, by mogła zajrzeć do środka.

– To też nie powinno przerosnąć pani umiejętności.

– Mam składać pańskie ubrania?

– Brawo – pochwalił ją jak małą dziewczynkę. – Ma pani predyspozycje do bycia pokojówką.

– Cieszę się niewymownie – wymamrotała kwaśno.

Mortimer przeszedł na drugą stronę kajuty i zatrzymał się przy parawanie.

– Niech wodę wyniesie Danny, na noszenie wiader jest pani zbyt wåtła.

– Nie jestem wåtła, jestem odpowiednia – nastroszyła się. Coś popychało ją, żeby każde jego stwierdzenie poddawać w wåtpliwość. Lubila się z nim drażnić i stawiać na swoim, choć wcześniej nie zauważyła u siebie tej cechy.

To po prostu on wzbudzał w niej tę chęć bezustannego sprzeciwiania się.

– Zależy do czego – rzucił lekko. – Moją poprzednią propozycję pani odrzuciła, a do tej, którą zdecydowała się pani podjąć, potrzeba czasem odrobiny krzepy.

Helen przygryzła wargi, nie dając się sprowokować.

– Poradzę sobie.

– Zlecę komuś, żeby wbił nowe haki, by przytwierdzić hamak, o który pani prosiła – dodał, kierując się powoli do drzwi. – Aha, i wieczorem chciałbym wziąć kąpiel.

Dziewczyna nie bardzo wiedziała, co ma z tym wspólnego, ale w razie czego skinęła głową. Zadowolilo ją też, że nie zapomniał o swoim przyrzeczeniu i zaoferował zainstalowanie dodatkowego posłania. Odetchnęła z ulgą. Wszystko powoli zaczęło się układać.

Godzinę później Helen zdążyła już nieco oporządzić kajutę. Pościeliła łóżko, poskładała ubrania, poustawiała krzesła i uporządkowała liczne papierzyska, które rozrzucone były po całym biurku.

Choć w Londynie nigdy nie zajmowała się tego typu trywialnymi jak na damę sprawami, te proste czynności sprawiły jej satysfakcję, a dodatkowo pozwoliły rozładować napięcie ostatnich dni. To było dużo lepsze niż siedzenie beczynnie i czekanie, aż dotrą do Portugalii.

Danny uporał się z wodą w wannie i na wieść, że kapitan będzie chciał się dzisiaj wykapać, sapnął rozgoryczony.

– W kółko te wiadra – marudził pod nosem. – Ciągłe tylko biegam tam i z powrotem.

– Może ktoś mógłby ci pomóc? – spytała Helen, sprawdzając jednocześnie, czy jej schnąca od wczoraj garderoba będzie się jeszcze nadawać do jakiegoś użytku.

– Poradzę sobie. Poza tym, jakbym chciał, to użyłbym wózka transportowego, ale to by znaczyło, że jestem słaby – dodał z typowym u czternastolatka uporem, na co Helen pokręciła tylko pobłażliwie głową.

– Ach, więc wolisz zgrywać bohatera, a potem cierpieć. Doskonale wybór.

– Szybko się wyrobię. – Chłopak nie ustępował. – Codzienne noszenie ciężarów doda mi trochę krzepy.

– Codzienne? – Odwróciła się do niego z naręczem wyschniętej odzieży. – Chyba nie musisz tego robić każdego dnia? – zdziwiła się.

– A jakże! – zawołał chłopak, opierając do połowy napełnione wiaderko na biodrze. – Kapitan to taki czyścioch, co żem w życiu jeszcze takiego nie widział. Jak dla mnie trochę z niego dziwak, ale nic mi do tego.

Helen uniosła w zamyśleniu brwi. Nie spodziewała się takich zwyczajów po kapitanie. Sama lubiła zażywać kąpeli, ale przecież była arystokratką i w domu jej rodziców znajdowała się liczna służba, natomiast kapitan...

Zaczęła się zastanawiać, czego wcześniej dowiedziała się od chłopca okrętowego. Być może faktycznie Mortimer ukrywał swoją tożsamość? Danny powiedział, że lata temu wyrzekł się swoich korzeni. Nie znała zwyczajów ludzi z półświatka, ale wiedziała, że z pewnością niewiele osób może sobie pozwolić na codzienną kąpiel. Skąd więc ten zwyczaj u kapitana?

Zaraz jednak wzruszyła ramionami. Kimkolwiek był, jego przeszłość nie powinna jej interesować.

Odłożyła ubrania na stół i usiadła w fotelu, by włożyć pończochy.

– To ja może już pójdę... – Chłopak się zaczerwienił i wlepił wzrok w sufit, gdy zobaczył, że kobieta podciąga wyżej spódnicę.

Skinęła tylko głową, a on uklonił się nieporadnie i wyszedł.

Helen tymczasem naciągnęła na stopę pończochę, delektując się jej miękkością. Umieściła ją tuż nad kolaniem i przymocowała satynową tasiemką. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym, luksus był jakby wpisany na stałe w jej życie, ale teraz, przebywając w tych wymagających warunkach, ta drobna przyjemność sprawiła jej nie-malą satysfakcję. Przesunęła dłonią po nodze, rozkoszując się jedwabistą gładkością materiału.

Chwilę później założyła drugą pończochę, po czym nałożyła pantalone. Uwieńczeniem były jej balowe, kremowe pantofle na niewielkim obcasiku, a wszystko to razem wzięte w jakiś sposób dodało jej otuchy.

Wstała z fotela, pozwalając faldom karminowej sukni opaść do ziemi.

Chociaż miała teraz wykonywać obowiązki „pomocnika kapitana”, wewnątrz (i pod spodem) wciąż pozostawała damą.

Uśmiechnęła się pod nosem.

Tego samego dnia, wieczorem

– Powinna zaczerpnąć pani świeżego powietrza. Przebywanie w ciągłym zamknięciu jest po prostu niezdrowe – powiedział McFitz, rozsiadając się w fotelu. Mortimer wyjątkowo postanowił zorganizować oprócz obiadu również wspólną wieczerzę i Helen znów się wysmienicie bawiła. Mężczyzna sięgnął po kieliszek z winem i upił spory łyk, wlepiając w nią zafascynowane spojrzenie.

Ross zerknął na niego z niechęcią.

– Dziękuję za opinię, ale to ja jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo panny Williams i uważam, że kategorycznie nie powinna wychodzić na pokład.

– A kto dał panu to przyzwolenie? – wtrąciła podirytowana Helen. – By decydować o tym, co mogę, a czego nie?

– Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, co myśli o pani załoga? – przypomniał jej zaraz.

– To tylko pana opinia, jak widać, niektórzy mają inne zdanie.

– Myślę, że krótki spacer w towarzystwie kogoś odpowiedniego z pewnością nie zaszkodzi pannie Williams. – McFitz wciąż obstawał przy swoim.

Helen uśmiechnęła się w podzięcie, co jeszcze bardziej rozzłościło kapitana.

– Mam zbyt wiele obowiązków na statku, nie znajduję czasu na przechadzki ze znudzoną życiem pannicą – rzucił obcesowo Ross, żywiąc nadzieję, że tym sposobem odwróci jej uwagę.

– Dlatego ja z wielką chęcią pana wyręczone – dodał natychmiast McFitz, obdarzając Helen szerokim uśmiechem. – Oczywiście jeśli pani wyrazi na to zgodę...

– Jak najbardziej. Będzie mi bardzo miło – zgodziła się natychmiast dziewczyna.

Ross nie miał wielkiego wyboru, jak tylko przemilczeć tę sytuację. Poczul jednak ochotę, by skrócić kark temu cholernemu fircykowi. Nie podobało mu się, że spoufalal się z Helen.

Helen. Odkąd dziewczyna zamieszkała w jego kajucie, w myślach nazywał ją po imieniu. Nic na to nie mógł poradzić. Być może jego umysł wypierał fakt, że jest damą? A może kierowała nim niezrozumiała, męska zaborczość, która nakazywała mu myśleć o niej jak o jego własnej kobiecie?

Żadna z tych możliwości nie napawała go optymizmem.

– W takim razie jutro przed obiadem? – usłyszał głos swojego pierwszego oficera.

– Znakomicie – zgodziła się Helen cała rozpromieniona.

Ross nie omieszkał zauważyć, że do niego nigdy się tak nie uśmiechała.

Jakby McFitz był jakimś parszywym cudem świata.

– Tylko krótko – dotarł do niego własny ponury głos. – Nie chcę zaraz mieć buntu na pokładzie.

– Panna Williams jest pełna uroku, jestem pewien, że oczaruje całą załogę.

Ross właśnie tego się obawiał.

– Może być też całkowicie odwrotnie, dobrze pan wie, jakie przesady krążą o kobietach na statkach – sarknął. – Mówią, że przynoszą pecha.

McFitz roześmiał się głośno, rozchlapując trochę wina na blat stołu.

– Jest pan cynikiem, Ross. Panna Williams to chodzące szczęście.

– Niektórzy są zbyt małostkowi, żeby dostrzec własną hipokryzję – stwierdziła kąśliwie Helen, po czym spojrzała z wyrzutem na kapitana. – To raczej pan przynosi pecha. Odkąd pana spotkałam, nieustannie mi towarzyszy.

Ross prychnął krótko, sięgnął po kieliszek i wychylił całą zawartość. Danny, który stał na uboczu, natychmiast znów go napelnił.

– Ponosi panią wyobraźnia.

– Moja wyobraźnia nigdzie mnie nie ponosi. Za to pan, zdaje się, wspominał przed chwilą o przesądach i wysnuwał właśnie jakieś daleko idące wnioski o kobietach na statkach – przypomniała mu.

– Proszę się nie martwić – wtrącił zaraz McFitz. – Jestem pewien, że kapitan miał na myśli jedynie pani dobro.

– Z pewnością o niczym innym nie myśli – mruknęła pod nosem, posyłając Mortimerowi niechętne spojrzenie. Po chwili jednak przeniosła rozmowę na inne tory i znów skupiła całą swoją uwagę na młodym oficerze.

Ross już do końca obiadu pozostał chmurny. Co gorsza, wyglądało na to, że nikomu nie robi to różnicy! Panna Williams i John gawędzili ze sobą, jakby byli starymi, dobrymi znajomymi, jemu przy tym poświęcając zaledwie ułamek uwagi.

Zaczynał się nawet zastanawiać, czy nie zacząć jadać posiłków we wspólnej mesie ze wszystkimi marynarzami

i oficerami. Miał powyżej uszu tego świergotania i tych banalnych pochlebstw, jakimi McFitz obdarzał młodą kobietę.

Ona nie była dla niego i on dobrze o tym wiedział, po co więc w ogóle zabiegał o jej względy?

Kiedy spojrzal na nią i zobaczył zachęcający, lekki uśmiech na jej idealnie skrojonych wargach, od razu zyskał odpowiedź.

Ta kobieta emanowała pięknem i niewymuszoną elegancją. Każdy normalny mężczyzna chciałby spędzić w jej towarzystwie choćby chwilę. Status nie miał tu nic do rzeczy. Nieważne czy król, czy żebrak, z pewnością wszyscy ulegliby jej czarowi, lgnąc do światła, jakim promieniowała ta słodka istota.

Zmell w ustach przekleństwo. On niewiele się w tym względzie różnił.

Czuł się jak ostatni głupiec.

Zdał sobie bowiem sprawę, że najbardziej pragnie się tego, czego nie można mieć.

Późny wieczór

Helen siedziała właśnie w fotelu, usiłując czytać jedną z książek, którą znalazła w biblioteczce, jednak przychodziło jej to z trudem. Tak jak było to wcześniej zapowiedziane, Danny napełnił wannę wodą, by kapitan mógł zażyć wieczorem kąpieli. Sęk jednak w tym, że ten fakt niesamowicie ją deprymował. Była przecież panną z dobrego domu, kontakt z plcią przeciwną miała stosownie ograniczony, a tutaj, na statku, zdawało się, że nikt nie respektuje jej potrzeby prywatności.

Poruszyła się niespokojnie na fotelu, gdy drzwi do kajuty otworzyły się i w progu stanął kapitan.

W kajucie panował przyjemny półmrok. Helen już wcześniej pozapalała lampy, przez co wewnątrz zyskało wrażenie intymnej miękkości. Statek bujał się rytmicznie, a ona znajdowała w tym kołysaniu ukojenie. Do czasu oczywiście, aż nie zjawił się on.

Wszedł ciężkim krokiem do środka, nie obdarzając jej ani jednym słowem czy spojrzeniem. Usiadł na najbliższym fotelu tyłem do niej i zaczął zdejmować długie do kolan skórzane buty.

– Proszę przygotować świeże ręczniki i przybory do kąpieli – powiedział, nie odwracając się za siebie.

Helen dopiero po chwili zrozumiała, że mówi do niej. Nie nawykła do wykonywania rozkazów, nie chciała jednak wdawać się z nim w dyskusję, wołała ograniczyć ich kontakty do minimum.

Odłożyła więc książkę i podeszła do jednej z szafek, w której mieściły się ręczniki. Zaraz obok znalazła przybory do kąpieli, umieściła je na stolku tuż przy wannie.

Czuła coraz większe skrepowanie usługiwaniem mu. To było nie do pomyślenia, żeby dama zajmowała się takimi rzeczami! Zagryzła jednak zęby i zrobiła to, o co ją poproszono.

Jeszcze bardziej niż poczucie dumy uwierała ją jego opinia, że jako dama z wyższych sfer, która od dziecka nawykła do wyřeczania ją przez służbę, jest leniwa, posiada dwie lewe ręce i nie potrafi wykonać samodzielnie najprostszych czynności.

To była krzywdząca, zuchwała i w gruncie rzeczy bardzo oryginalna krytyka. W całym jej życiu nikt nigdy nie wypomniał jej tego, że jest... damą!

Od dziecka zachwycono się jej urodą i wyśmienitym urodzeniem. Nie musiała dotąd wykazać się w zasadzie żadnymi umiejętnościami (prócz należytej prezencji i błyskotliwej

konwersacji), by w oczach socjety zyskać miano królowej sezonu i jednej z najbardziej pożądaných panien na wydaniu.

W głębi duszy zawsze ubolewała nad tym, że nikt nie interesuje, kim naprawdę jest. Jednak w oczach możnych znaczenie miały inne aspekty. Jej atrakcyjność była wręcz mierzalna, jak u kłaczy rozplodowej. Liczyły się tylko jej rodowód, uroda i posag. Mogłaby nawet być niespełna rozumu, a to i tak nie zachwiałoby jej wysokiej oceny.

Kapitan natomiast od progu zdyskredytował wszystkie jej atuty i oznajmił, że jako beczynna damulka nie ma dla niego żadnej wartości. To boleło, tym bardziej że było poniekąd prawdą. Kobiety takie jak ona nie kalają się zwykłą pracą. Ich pracą było odgrywanie roli damy i zdobycie męża. Zamierzała jednak udowodnić kapitanowi, że na wiele ją stać. Że nie jest jedną z tych nieporadnych kobietek, które nie przetrwają nawet doby bez pokojówki. Była przecież sprytna i inteligentna. Pokaże mu, że nie tylko potrafi być zaradna, ale też praktyczna i pomocna.

Poprawiła ręczniki i już miała z powrotem zająć fotel, gdy kapitan zagroził jej drogę, wszedł bowiem za parawan i stanął przy wannie. Spuściła wzrok i wtedy zauważyła jego białe stopy. Wstyd było przyznać, ale jeszcze nigdy nie widziała męzczyzny bez butów!

Splonila się po czubki uszu. I tak już cała ta sytuacja była dla niej bardzo krępująca.

– Nie będę panu przeszkadzać – wydukała, usiłując go jednocześnie obejść.

Nie pozwolił jej na to.

– Oczywiście, że nie będzie pani przeszkadzać. Będzie pani pomagać – powiedział rozbawiony.

Helen momentalnie podniosła głowę.

– O czym pan mówi? – spytała, a gdy zobaczyła jego niewinną minkę, zaczęły napływać do niej najgorsze przypuszczenia.

Kapitan wyminął ją, stanął przy końcu wanny i jednym ruchem ściągnął przez głowę koszulę. Po chwili rzucił materiał w jej stronę, a ona złapała ją w locie.

– Przy każdej kąpeli towarzyszył mi Danny, ale jak już ustaliliśmy, teraz pani przejęła obowiązki mojego pomocnika, a to – wskazał na wannę – też do nich należy.

Helen stała jak sparaliżowana. Nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Na wpół rozebrany mężczyzna mówił coś do niej, a ona ledwie mogła zebrać myśli.

Dlaczego nikt nie nauczył jej, jak powinna się zachowywać w takich sytuacjach? Z trudem przychodziło jej oddychanie, a serce waliło jak oszalałe. Dodatkowo czuła na sobie jego rozbawione spojrzenie, co jeszcze pogarszało sytuację.

Helen, weź się w garść! Napominała się w duchu.

To tylko półnagi mężczyzna, który pewnie zaraz będzie zupełnie nagi... Potrząsnęła głową, starając się opamiętać.

Myśl o nim jak o dużym kawałku mięsa, powtarzała sobie. Dokładnie tak, to tylko wielka góra mięsa.

Kiedy jednak owa „góra mięsa” zaczęła zdejmować z siebie spodnie, odwróciła się do niego plecami i drżącymi dłońmi usiłowała złożyć koszulę.

Na Boga, w co ona się wplątała!

Nie minęła chwila, a usłyszała za sobą plusk wody i niski pomruk zadowolenia. Zerknęła ostrożnie przez ramię, by zobaczyć, że kapitan zanurzył się w wannie aż do połowy piersi. Odwróciła się do niego powoli.

– Gdybym wiedziała, że mam panu pomagać przy kąpeli, nigdy bym się na to nie zgodziła – powiedziała z wyrzutem,

unikając jego wzroku. Woląla pokazać mu swoją złość niż to, jak bardzo jest speszona. Z pewnością tylko czekał, by jeszcze bardziej z niej zadrwić!

– Doprawdy? – rzucił nieobecny tonem. Odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy. – Miałem ciężki dzień. Bądź tak dobra i nie wszczynaj teraz kłótni – poprosił, a jego brak zainteresowania jej osobą tym bardziej wybił ją z równowagi.

Upewniwszy się, że na nią nie patrzy, pozwoliła sobie na niespieszne oględziny. Choć wiedziała, że było to skrajnie nieprzyzwoite, miała na to wielką ochotę.

Musiała przyznać, że w tej intymnej scenerii przytłumionych lamp i sennych światłocieni wyglądał wręcz nieprzyzwoicie atrakcyjnie. Szerokie barki opierały się bezwładnie na obrzeżach bali, uwydatnione mięśnie przeżyły na ramionach, zwężając ku mocnym przedramionom. Na małym palcu prawej ręki błyszczał srebrny pierścień z połyskującym, niebieskim kamieniem.

Czyżby to była pozostałość po jego przodkach? Ta jedyna ozdoba sprawiała, że wydawał się bardziej męski, władczy, niczym król piratów, niegodziwy, śmiały i odważny.

Podążyła spojrzeniem po jego szyi i jabłku Adama, które teraz było dobrze widoczne. Długie do ramion włosy kładły się leniwie na obramowaniu miedzianej wanny, a ciemny, jednodniowy zarost wyostrzał rysy, nadając jego twarzy wyrazu nieokiełznanej dzikości.

Helen wlepiała oczy w szeroką pierś, która w niczym nie przypominała piersi młodzika. Widok jej, tak twardej i muskularnej, sprawił, że kolana lekko się ugięły pod panną Williams. Podążyła spojrzeniem niżej, aż do tafli wody, dopóki nie odezwało się w niej poczucie przyzwoitości, alarmując ją w głowie ostrzegawczymi dzwonekami. Czerwona jak burak dopiero teraz zauważyła, że kapitan przygląda jej się spod

przymrużonych powiek. Zastygła w bezruchu, przyłapana na gorącym uczynku, ale nie zdołała odwrócić od niego wzroku.

Patrzył na nią z rozmysłem, przewiercał na wylot ciemnymi jak noc oczami. Nie sposób było odgadnąć jego myśli.

– Podoba ci się to, co widzisz? – zamruczał niskim barytonem.

Helen zacisnęła usta. Czowała się, jakby schwytał ją w pułapkę jej własnej ciekawości. Gdy dojrzała w jego oczach błysk rozbawienia, momentalnie się rozzłościła. Najwidoczniej z premedytacją stawiał ją w tak niewygodnej sytuacji.

Uniosła wysoko podbródek i spojrzała na niego chłodno.

– Widziałam już przystojniejszych mężczyzn – powiedziała, siłąc się na obojętny ton. – Proszę się nie ludzić, że zrobi pan na mnie wrażenie.

Brwi kapitana podjechały do góry. Potrząsnął głową, a jego lekko falowane, ciemne włosy rozsypały się wokół twarzy. Dopiero teraz zauważyła, że je rozpuścił. Powolnym ruchem odgarnął je do tyłu i był to widok tak zmysłowy, że Helen mogła tylko stać i jak zahipnotyzowana śledzić grę mięśni, które ożyły nagle pod skórą jego ramion.

Och, do diaska, ten mężczyzna musiał wiedzieć, jakie wrażenie robi na kobietach, i teraz z pewnością próbował omamić i ją!

– Jak będzie się pan długo moczył, zrobi się pan pomarszczony jak stary dziad – dodała złośliwie.

– Czyżby ci przeszkadzało, że zażywam kąpeli? – spytał, a jego poufale ton w tych okolicznościach wydawał się dziwnie na miejscu. Helen nie zwróciła na to uwagi, miała pilniejsze problemy na głowie. Na przykład ten z opóźnieniem swoich drżących kolan i ten z przyspieszonym oddechem.

– Może pan robić, co tylko zechce, zupełnie mnie to nie interesuje – odparła, odwracając od niego wzrok.

– Wydaje się pani poruszona. Czy wszystko w porządku? – Ross nie krył rozbawienia.

– Ja... jak najbardziej. Cóż mogłoby mi być? – odparła stanowczo, wciąż na niego nie patrząc. – Jestem po prostu zmęczona i chciałabym jak najszybciej położyć się spać.

– Ach, spać, rozumiem. – Westchnął, mieszając ręką wodę. – Niestety, póki ja jestem na nogach, pani raczej się nie położy. Może więc zabierze się pani za swoje obowiązki?

– Jakie obowiązki? – Helen zamrugwała zdziwiona.

Kapitan cmoknął i pokręcił głową niezadowolony.

– Naturalnie to, co wcześniej robił Danny. Będzie mi pani pomagać w kąpielu – odrzekł, jakby to było coś oczywistego.

– Mam pana myć?! – Dziewczyna odskoczyła od niego.

– Pan chyba postradał zmysły!

Kapitan wydawał się jednak wyraźnie spokojny, wręcz znudzony.

– Nie mam całego wieczoru, jeśli laska – mruknął kapryśnie. – Chyba nie jest to dla pani zbyt trudne zadanie? Doprawdy, zachowuje się pani jak jakaś pruderyjna świętoszka.

– Wcale nie jestem pruderyjna, to po prostu nie wypadła! – obruszyła się.

– Jeśli nie potrafi pani tego zrobić, proszę zawołać Danny’ego. I niech więcej nie zaprzęta mi pani głowy, że nadaje się do czegokolwiek – dodał brutalnie. – Otrzymuje pani jedynie najprostsze zadania, ale widzę, że i one panią przerastają – zirytował się nagle.

– Nic mnie nie przerasta, ty bęcwale! – zezłościła się natychmiast. Nic jej tak nie denerwowało, jak umniejszanie

jej umiejętnościom i traktowanie jak nieporadnej kobietki. – Co mam robić? – warknęła, ale zanim cokolwiek powiedział, wyciągnęła ostrzegawczo palec. – Nikt i nigdy nie może się o tym dowiedzieć, czy to jasne? – zagroziła mu.

Ross uśmiechnął się półgębkiem.

– Rozumiem, że ten szczegół mógłby zniszczyć pani nieskazitelną reputację? – domyślił się.

– Gorzej. Moja reputacja przestałaby istnieć. A pan musiałby się ze mną ożenić – dodała ostrym tonem. – To jest chyba wystarczająco przerażająca wizja dla nas obojga? – Spojrzała na niego złowrogo.

– Ten argument przemawia do mnie w stu procentach. – Odchrząknął. – Może pani liczyć na moją dyskrecję.

Helen skinęła głową nieco uspokojona. Czas otrząsnąć się z tego zamroczenia i pokazać mu, że wcale jej nie onieśmiela.

To jak kąpienie dziecka albo psiaka, powtarzała sobie w myślach.

– Co mam robić? – spytała powtórnie. Nigdy nikogo nie myła, ani dziecka, ani psiaka, ani tym bardziej mężczyzny w kwiecie wieku. Jej matka chyba dostałaby apopleksji, gdyby dowiedziała się, co wyczynia jej córka.

– Co tylko chcesz, złotko. – Rozłożył komicznie ramiona. – Jestem cały twój. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Bardzo śmieszne – zgromiła go, chwytając jednocześnie za niewielką gąbkę i mydło. – I proszę nie mówić do mnie złotko.

– Dlaczego? Ma pani włosy przetkane złotem, doskonale to do pani pasuje. – Przesunął po niej leniwym spojrzeniem.

– Oryginalność, jak widać, nie jest pana mocną stroną – wytknęła mu złośliwie.

– A ile razy była pani w takiej sytuacji? – Spojrzał znacząco na swoje rozneglizowane ciało, a potem na nią, unosząc brwi.

To momentalnie zamknęło jej usta. Zanurzyła gąbkę w wodzie i zaczęła ją intensywnie spieniać.

– Ręka – powiedziała stanowczo, gestem nakazując, by ją unióśl. Zrobił posłusznie, co kazała, a ona zaczęła intensywnie pocierać całą długość od nadgarstka po ramię.

Ross omal się nie roześmiał, widząc zaciętość i determinację na jej twarzy.

– Do wody – nakazała, palcem mierząc w opienioną kończyne. Posłusznie wykonał rozkaz, bardzo ciekawy, co będzie dalej.

– Czuję się jak w wojsku – powiedział, gdy przeszła na drugą stronę i powtórzyła czynność.

– A ja jak w piekle – sapnęła, odgarniając wpadające jej do oczu kosmyki.

Mortimer tym razem nie wytrzymał i roześmiał się serdecznie. Ta śliczna kobieta była wprost rozbijająca.

– Co dalej? – spytała, gdy zakończyła procedure.

Helen błędziła chwilę wzrokiem po jego ciele, starając się nie myśleć o tym, co znajduje się pod wodą.

– Żeby było jasne – powiedziała po chwili, patrząc w jego błyszczące oczy. – Nie zamierzam pana myć od pasa w dół – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Ross wytrzymał jej spojrzenie, po czym westchnął ostentacyjnie. I tak się nie spodziewał, że zdola namówić ją do pomocy, korzystał więc z tego, co zostało mu dane. Był pewien, że dziewczyna ucieknie, gdzie pieprz rośnie, gdy zacznie się rozbierać, lecz jak widać, jej duma i upór były większe, niż się spodziewał. Miał ochotę zachichotać, zdołał jednak zachować powagę.

– Szkoda – westchnął. – Ale skoro tak bardzo się pani wstydzi, jakoś to przeżyję.

– Nie jest pan małym dzieckiem ani zniedołężniałym starcem, żeby mu tak usługiwać. Ma pan dwie zdrowe ręce, więc jestem pewna, że to nie przerasta pana kompetencji – wytknęła mu.

Kapitan popatrzył na nią z uznaniem. Była rozzłoszczona, ślicznie zarumieniona i odrobinę rozczochrana. Jej piersi unosiły się w przyspieszonym rytmie i przez jedną chwilę wyobraził sobie, że nachyla się ku niemu, obdarza zmysłowym pocałunkiem, a potem dołącza do niego w kąpielu.

Przelknął z trudem ślinę.

– W takim razie od pasa w górę – zgodził się, nie śmiąc teraz z nią polemizować. Jak ostatni głupiec pragnął, by się do niego zbliżyła, by przesuwiała dłońmi po jego ogorzalej skórze.

Z trudem hamował swoje rosnące pożądanie, choć jego ciało pod wodą dawno już wskazywało pobudzenie. Na szczęście piany w wannie wystarczało, by ukryć ten stan przed damą.

Helen się zdziwiła, słysząc, że kapitan nie nalega ani nie czeka z kolejną, kąśliwą ripostą, ale wzięła to za dobrą kartę. Im szybciej się z tym upora, tym lepiej.

Dobrze, w takim razie od pasa w górę.

Wlepiała wzrok w jego masywną, pokrytą ciemnym owłosieniem pierś i ponownie wzięła do ręki mydło.

Złapała kilka uspokajających oddechów i pochyliła się nad nim. Pacnęła go gąbką w pierś i zaczęła metodycznie szorować.

Myj go jak psa, powtarzała sobie w myślach. To tylko ciało, nic wielkiego.

Ross miał wrażenie, że panna Williams zaraz wydrapie w jego piersi dziurę. Zabrała się do tego z taką determinacją, że z pewnością wyjdzie z tej kąpieli cały czerwony.

– Mogłaby być pani nieco delikatniejsza? – sapnęła, gdy znów na niego natarła.

– Nie – warknęła, trąc mocno jego obojczyki.

– Na Boga, zaraz zedrze mi pani skórę!

– I bardzo dobrze! – mruknęła, nie zwalniając ani trochę.

Kapitan chwycił ją za nadgarstki, zatrzymując w pół ruchu.

– Wolniej – powiedział stanowczo, patrząc jej w oczy. Wciąż przytrzymując jej dłonie, zaczął powoli przesuwać nimi po swojej piersi.

Helen przelknęła z wysiłkiem ślinę. Jej piersi stały się jakby cięższe i wrażliwsze, wylaniały się nieśmiało spod linii dekoltu, gdy się ku niemu nachylała. Z ust wydobyło się ciche westchnienie. Patrzyła mu prosto w oczy, a on obserwowował ją spod przymrużonych powiek. Był tak blisko, że ledwie mogła zebrać myśli. Czowała dotyk jego mocnych palców na swoich dłoniach, pod gąbką wyczuwała kłęby napiętych mięśni. Poruszała się bezwiednie w rytm powolnych ruchów, pozwalając mu prowadzić.

Kiedy przesunął jej dłonie na przeciwległy bark, zbliżyła się do niego tak mocno, że ich twarze znalazły się zaledwie kilka centymetrów od siebie.

Przepelniona nagłym pragnieniem miała ochotę zmniejszyć ten dystans i objąć go za szyję. On jakby wyczuł to, bo mocniej zacisnął na niej palce i zastygł w bezruchu. Przez jedną nieskończenie długą chwilę trwali tak, walcząc z tym, co podpowiadały im ciała.

Ross westchnął chrapliwie, a Helen poczuła ten oddech na swoich ustach. Ich wargi znajdowały się tak blisko, że

omal sama się do niego nie nachyliła, by go pocałować. On jednak potrzęsnał nieznacznie głową i zmarszczył brwi.

– Bardzo dobrze – wychrypiał, puszcżając jej dłonie. – Teraz niech pani sama spróbuje.

Dziewczyna ocknęła się, lecz nie oponowała. Była jednak odrobinę rozczarowana tym, że się odsunął. Najwidoczniej mówił prawdę, gdy twierdził, że nie interesują go arystokratki.

Nieco markotna kontynuowała proceder i gdy w zamyśleniu zanurzyła gąbkę pod wodą, by sięgnąć jego brzucha, syknął jak oparzony i natychmiast chwycił za jej przegub.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Teraz plecy – wysapał z trudem, a ona zupełnie nie rozumiała tej osobliwej reakcji. Wzruszyła ramionami i przeszła na tył wanny. Kapitan pochylił się do przodu i zwiesił głowę. Helen zdawało się, że oddycha jakoś ciężiej, jakby bardzo się zmęczył. Nachyliła się ku niemu.

– Czy nic panu nie jest? Dobrze się pan czuje? – spytała z troską.

– N...nie. Wszystko dobrze – odrzekł zduszonym głosem. – Niech pani kontynuuje.

~

Ross myślał, że teraz przyszło mu płacić za wszystkie jego grzechy. Gdy przed chwilą dziewczyna spokojnymi ruchami myła jego pierś, a jej usta znajdowały się milimetry od niego, prawie uległ i chwycił ją w objęcia.

Boże, był teraz podniecony do granic możliwości, a kiedy jej dłoń przesunęła się w dół po jego brzuchu, omal nie eksplodował.

Do diabła, ta kobieta miała w sobie coś, co przyciągało go do niej coraz silniej. Całe jego ciało drżało od

wstrzymywanej żądz, pragnął jej bliskości, dotyku pełnych piersi na swoim ciele, zanurzenia się między białe uda.

Opuścił niżej głowę, dając jej pełny dostęp do swoich pleców. Przynajmniej w tej pozycji nie musiał się martwić o stan swego pobudzenia, który teraz był dobrze ukryty.

Nie miał wątpliwości, że panna Williams nigdy nie doznała przyjemności cielesnych. Dostrzegał jej ciekawość, pragnienie, ale też niewinność. Choć na początku ich znajomości zdawała się lodowata i nieprzystępna, był przekonany, że w łóżku okazałaby się namiętna i pełna pasji.

Przymknął oczy, marząc o tym, by być mężczyzną, przed którym odkrywałaby swoją zmysłową naturę.

Jej bliskość, ale jednocześnie niedostępność były najśladszą torturą, jaką przyszło mu kiedykolwiek przeżyć. Szalenie jej pragnął, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by mieć ją dla siebie.

Kiedy skończyła swoje zadanie, podziękował jej i pozwolił odejść. Dziewczyna uciekła szybko za parawan, jakby się bała, że zaraz zmieni zdanie. Natomiast on mógł wreszcie głęboko odetchnąć.

Pół godziny później

Helen czekała niecierpliwie, aż kapitan ułoży się na hamaku, aby ona mogła się rozebrać i położyć w łóżku. On jednak siedział jeszcze przy biurku, owinięty ciemnoniebieskim, jedwabnym szlafrokiem, i ślęczał nad jakimiś papierzyskami.

– Nie mówił pan, że jest już bardzo zmęczony? – odpowiedziała mu delikatnie.

Spojrzał na nią znad dokumentów. Włosy miał jeszcze mokre, pod wpływem wilgoci poskręcały się mocniej, tworząc wokół twarzy gęstą czuprynę. Mimo swobodnego

ubioru i znużenia, które odbijało się na jego twarzy, nie wyglądał ani odrobinę mniej pociągająco.

– Czyżbyś na mnie czekała, zlotko? – Uśmiechnął się krzywo.

Prychnęła.

– Czekam, żebym sama mogła się wreszcie położyć.

Wskazał dłonią na hamak, który wisiał w rogu kajuty, tuż za jego plecami.

– Droga wolna, moja pani. Przecież nie zamierzam pani przeszkadzać.

Helen spojrzała na hamak, a potem na niego. Zamrugowała skonsternowana.

– To JA mam na nim spać?! – Przytknęła dłoń do swojej piersi.

– A czego się pani spodziewała? – Rozparł się mocniej na krześle. – Ja już mam swoje łóżko i nie zamierzam z niego rezygnować.

– Ale przecież...

– Jest pani damą? – dokończył za nią z sarkazmem. – Nawet jeśli tak jest, ja nie jestem dżentelmenem.

– Och, jest pan okropny – zezłościła się naraz, wstając gwałtownie z fotela.

– Już to wcześniej słyszałem – odparł, zupełnie nie przejmując się jej humorem.

Dziewczyna zaczęła krążyć po kajucie w tę i z powrotem, rzucając od czasu do czasu spojrzenie niewinnie wiszącemu hamakowi.

Podeszła w końcu do niego i z niezadowoleniem stwierdziła, że jest to ten sam niewygodny hamak, który miała zainstalowany w ładowni.

Znów prychnęła, jak pies, który zamiast kości otrzymał resztki ze stołu.

– Nie chcę w tym spać – wyrzuciła w końcu z siebie.

Kapitan obrócił się ku niej z założonymi rękami. Wydał się ubawiony całą tą sytuacją. Jak zresztą zawsze.

– Przecież nikt pani nie zmusza – zauważył po prostu.

– Ale nie chcę też spać z panem!

Mężczyzna odłożył dokumenty i przeciągnął się. Wstał powoli z krzesła.

– Jeszcze nigdy w życiu nie zmusiłem żadnej kobiety, by ze mną spała – wyznał beztrąsko. – Niech się pani nie obawia o swoją cnotę, jest pani ostatnią niewiastą na ziemi, którą bym tknął.

Oczy Helen rozszerzyły się z zakłopotania.

– Och, jest pan... – Zdenerwowana rozglądnęła się za przedmiotem, którym mogłaby w niego rzucić. Nic jednak takiego nie znalazła, w kajucie większość rzeczy była pochowana, meble przyśrubowane lub przymocowane hakami czy linami. Jedynie na biurku kapitana znajdowało się mnóstwo przedmiotów, które zdaniem panny Williams doskonale nadawałyby się do jej zamysłu.

Tupnęła nogą w bezsilności.

Ross jednak, jak to miał w swoim zwyczaju, ledwie zwrócił uwagę na jej wybuch złości. Właśnie zmierzał w stronę łóżka i rozsypywał szlafrok. Odwróciła się gwałtownie, żeby nie być świadkiem jego negliżu.

Usłyszała szelest opadającego materiału, chrzęst łóżka i głośnie westchnienie.

– Kiedy podejmie już pani decyzję, będzie pani laskawa zgasić lampy – powiedział, ziewnąwszy głośnie. – A jeśli nie chce pani spędzić kolejnej nocy całkowicie ubrana, może pani wziąć jedną z moich koszul. Wie pani, gdzie są.

– Wiem – burknęła. – Sama je składałam.

– Wspaniale – odparł zupełnie niezrażony jej tonem. – W takim razie dobrej nocy.

– Chyba dla pana – rzuciła markotnie, jednak już jej nie odpowiedział.

Sapnęła w poczuciu bezradności.

Była oburzona zachowaniem kapitana i jego obojętnością na jej dołę.

W Londynie każdy mężczyzna niemal płaszczył się przed nią, by zyskać jej względy, a on ją traktował niczym powietrze.

Podeszła do hamaka i sprawdziła, czy dobrze jest zawieszony.

Może nie był aż tak niewygodny, jak pamiętała?

Na próbę usiadła w nim, moszcząc się jak w gnieździe. Położyła się ostrożnie, a potem kręciła dłuższą chwilę, sprawdzając różne pozycje ciała. Niestety, im dłużej na nim leżała, tym bardziej nadwyrężały się jej mięśnie.

– Niech sam sobie na nim śpi – wymamrotała pod nosem, co rusz zerkając na mężczyznę, który już smacznie pochrapywał po drugiej stronie kajuty.

Zeszła z hamaka, po czym zaczęła kolejno gasić wszystkie lampy.

Kiedy w pomieszczeniu zrobiło się prawie całkiem ciemno, podeszła do szafki z ubraniami i wyciągnęła świeżą koszulę.

Zerknęła na kapitana, który wciąż obrócony do niej plecami zdawał się pogrążony we śnie.

Szybko wyswobodziła się z sukni i założyła na siebie jego koszulę. Jak mogła się po jego posturze spodziewać, sięgała jej aż za kolana. Podwinęła rękawy do łokci, ale niewiele mogła poradzić na rozcięcie pod szyją, które kończyło się w okolicach jej talii. Ubranie było niemal tak luźne jak koszule nocne, w których spała w Londynie.

Zdjęła pończochy i położyła je na zawieszonej przez oparcie fotela sukni.

Zaplotła włosy w warkocz, żeby jak najmniej przeszkadzały jej w trakcie snu.

Gdy była już gotowa, otaksowała się wzrokiem. Miała na sobie jedynie pantaloney i koszulę kapitana. W tym niecodziennym stroju podeszła do łóżka i powoli wśliznęła się pod pościel, starając się, by nie dotknąć przy tym ciała mężczyzny.

Przesunęła się możliwie najbliżej brzegu i westchnęła cicho.

Na miękkim materacu, pod czystą pościelą bez trudu wyobraziła sobie, że jest w domu, w Londynie. Już niedługo, pomyślała, a powieki same zaczęły się jej zamykać.



Było jeszcze ciemno, gdy Rossa obudziły jakieś głosy. Otworzył powoli oczy i znów spostrzegł, że panna Williams mamrocze coś przez sen.

Uśmiechnął się pod nosem i podparł na łokciu, by ogłądać to uroczne przedstawienie.

Tym razem ledwo widział jej profil, księżyc chował się za chmurami i ciemność nocy nie pozwalała dostrzec szczegółów twarzy.

– Ciekawe, co dzisiaj ma pani do powiedzenia. – Zachichotał, koncentrując się na jej słowach.

– Nie! Dzięku... ję... panu – wymamrotała i złożyła usta w ciup, w wyrazie dezaprobaty.

Ross poprawił się na pościeli. Wydedukował, że dziewczyna rozmawiała właśnie przez sen z jednym ze swoich amantów.

– Hmm... zabierz rękę! – fuknęła, a Ross miał ochotę znów się zaśmiać. Nie chciał jednak przerywać tego osobliwego spotkania z niedoszłym adoratorem.

Po chwili wyraz jej twarzy zmienił się, teraz wyglądała na smutną.

– Mamo... – sapnęła – nnnie chcę go.

Potem jakby nasłuchiwała, choć jemu zdawała się nieco zrezygnowana i przybita.

– Nie obchodzi mnie, że jest księciem! – krzyknęła głośniej. Ross zmarszczył czoło, jej słowa bardzo go zdziwiły. Sądził, że każda kobieta byłaby szczęśliwa, poślubiając księcia, przecież właśnie to się liczyło na rynku małżeńskim, należało poprawić pozycję swoją i rodziny.

Po chwili dziewczyna zaczęła smętnie potakiwać głową.

– Tak... wiem, że... obowiązek... – wyszeptala i westchnęła głęboko.

Obowiązek? Mortimer nie spodziewał się takich słów. Czyżby panna Williams tkwiła w pułapce konwenansów, tak jak niegdyś on? Przypomnił sobie, że tam, na tarasie w trakcie balu u Hamiltonów wspomniiała, że wolność jest dla nielicznych. Czy naprawdę to miała na myśli?

Zawsze zdawała mu się zadowolona ze swojej pozycji, widział ją jako typową, dumną arystokratkę. Czy możliwe, że to były tylko pozory?

Wpatrzył się w jej nieruchomą twarz.

– Czego pan ode mnie chce! – krzyknęła nagle i zakryła się dłońmi. Dla Rossa stało się jasne, że sen znów zmierzał ku koszmarowi.

Wyciągnął dłoń, tak jak zrobił to poprzedniej nocy. Kiedy ją objął, wyczuł, że zeszywniała w jego ramionach.

– To ja, Helen. Nikt nie robi ci krzywdy – wyszeptal pocieszająco.

Dziewczyna wstrzymała oddech i po chwili jakby się rozluźniła.

– Nie... za mąż nie... – wymamrotała jeszcze w jego pierś.

– Nie musisz za nikogo wychodzić – zapewnił ją zdumiony, że najwyraźniej słyszy go przez sen.

Zdawała się zadowolona z jego odpowiedzi.

– Jest pan miły – powiedziała cicho, wtulając się w niego.

Ross pogłaskał ją opiekuńczo po włosach, a gdy zerknął poniżej, omal się nie zakrztusił, gdy zobaczył, jak spod wycięcia koszuli, którą na sobie miała, wyłoniła się pełna pierś.

Ojcowskie uczucia momentalnie pierzchły. Zastąpiło je gorące pragnienie dotknięcia jej kuszącego ciała.

Na Boga, nie mógł przecież nic zrobić, ta dziewczyna nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i co robi! Napomniął się w myślach. Ross, nie możesz jej tknąć, nie możesz!

Zacisnął więc powieki, by odmawiać sobie tego ponętnego widoku.

Dziewczyna nie ułatwiała mu zadania, najwyraźniej nie zamierzała słodko spać. Przekręciła się i przywarła do niego ciaśniej, tak że poczuł teraz na swojej piersi jej nagą skórę.

Do diabła. Przecież był tylko mężczyzną i to wcale nie świętym! Jak mógł wytrzymać te katusze?

Odchylił głowę do tyłu i zacisnął zęby.

– Nie może się pan sam umyć? – usłyszał nagle. Otworzył oczy, zdając sobie sprawę, że teraz śni o nim.

Zbyt zaciekawiony, by po prostu milczeć, spróbował wdać się z nią w konwersację. Nachylił się lekko.

– Nie chcę, wolę, żeby to pani mnie umyła – wyszeptał do jej ucha.

Jeszcze nigdy nie był świadkiem czegoś tak niezwykłego. Spojrzał na jej twarz, ale oczy miała wciąż zamknięte. Poza tym, na jawie nigdy nie łaknęłaby jego bliskości. Przecież sama mu powiedziała, że go nie znosi.

Po jego słowach dziewczyna zamarła w bezruchu.

Tak jak wcześniej w rzeczywistości, przesunęła dłonią po jego piersi, jakby go myła, z tą różnicą, że teraz nie miała gąbki i leżała półnaga w jego ramionach.

Ross wstrzymał oddech z wrażenia.

– Ma pan ładne ciało – powiedziała sennym, rozleniwionym głosem.

Mortimer nie wierzył własnym uszom.

– Tak? – szepnął schrypniętym z podniecenia głosem. – I lubisz mnie dotykać?

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko.

– Lubię. – Odetchnęła, owiewając jego pierś ciepłym oddechem.

Ross zadrzał bezwiednie. Czuł, jak wzbiera w nim ogromne podniecenie.

Na Boga, gdyby nie była tym, kim jest, już obsypywałby jej ciało pocałunkami, sięgając po kobiece wdzięki.

Choć z trudem się kontrolował, pozwolił sobie na czerpanie przyjemności z tego, co mu ofiarowywała.

Ciekaw był, jak daleko jest w stanie się posunąć.

– Możesz mnie dotykać, jak chcesz – zachęcił ją.

Dziewczyna znów odetchnęła, rozchylając nieśmiało wargi. Rozłożyła dłoń na jego piersi i zaczęła gładzić go nieco śmieiej, jednocześnie wtulając twarz w jego szyję.

– Jest pan bardzo miły – powtórzyła.

Ross miał ochotę roześmiać się w głos ze swojej patowej sytuacji. Gdyby tylko dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, jak silnie jest pobudzony, z pewnością nie nazwałaby go miłym.

Naraz bez ostrzeżenia przysunęła się do niego i wsunęła kolano między jego nogi.

Syknął cicho, gdyż znalazła się nagle bardzo blisko niezwykle wrażliwego miejsca.

Pragnął, by przyciągnęła do niego swoje biodra, lecz ona jakby ostatkiem rozumu odmawiała mu tego.

Przesunął powoli dłoń na jej plecy, obejmując ją mocniej. Miała bardzo wąską talię, koszula nie pozwalała mu na bliższy dotyk, a on pragnął poczuć jej skórę tuż przy swojej...

Miał jednak świadomość, że ona wciąż śni.

– Może chciałabyś dołączyć do mnie podczas kąpieli? – spytał, przygryzając wargę aż do bólu.

– Nie powinnam – zaprzeczyła słabo, potrząsając głową. Jednak jej ruchy stały się bardziej płynne, kuszące. Przytulila się do niego całym ciałem.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć – zachęcał ją, głaszcząc wyczekująco jej plecy. Wiedział, że nie powinien namawiać jej do większej bliskości, ale chyba nie byłby mężczyzną, gdyby nie próbował.

Nie odpowiedziała, ale dostrzegł, że jej oddech stał się przyspieszony, a ona zaczyna wciąć się w jego ramionach. Zrozumiał przekaz jej ciała, choć może ona sama go nie rozumiała.

– Może teraz ja cię umyję? – zaryzykował, całując ją w czoło.

– Nie ma pokojówki? – spytała niemrawo.

– Nie ma.

Znów nie odpowiedziała, ale po ruchach stwierdził, że dała mu na to przyzwolenie.

Z wielką delikatnością odsunął ją od siebie i wyciągnął rękę ku jej długiej, mlecznobiałej szyi. Gdy przytknął do niej swoją dłoń, uderzyło go, jak bardzo ich ciała się różnią. Ona krucha i eteryczna, on mocny i zahartowany. Chwycił ją za szyję i ścisnął lekko, dziwiąc się, że ta dziewczyna czuje się tak bezpiecznie w jego ramionach. Przecież niewiele go знаła, mógłby ją skrzywdzić.

Ona jednak ufnie wyciągnęła ku niemu twarz, a on bezwiednie schylił się i pocałował ją w usta. Delikatnie, tak by się nie obudziła.

Była taka słodka i taka spragniona.

Przesunął niżej dłoń, na obojczyk, gładki i drobny, po czym włożył rękę pod materiał koszuli. Wygięła się ku niemu, a on z niejaką trwogą, ale i nabożnością sięgnął do jej nagiej piersi i objął ją dłonią. Jego ciało naprężyło się z podniecenia, oczami wyobraźni widział miękką wypukłość, którą obejmował, pragnął ją ssać i gryźć, aż dziewczyna nie zacznie go błagać, by w nią wniknął. Ścisnął lekko nabrzmiały koniuszek, a ona zadrżała i jęknęła cicho w jego szyję.

Ledwie nad sobą panując, schylił się i znów wziął jej usta w posiadanie, smakując długim, powolnym pocałunkiem.

Gdy głębiej wsunęła kolano między jego nogi, Ross był bliski szaleństwa. Ta kobieta przez sen dawała mu tak wiele, nawet nie był sobie w stanie wyobrazić, jaką namiętnością by płonęła, gdyby kochała się z nim świadomie. Mimo iż doskonale zdawał sobie sprawę z jej nieświadomości, nie potrafił się od niej odsunąć, czerpał bezkarnie ze słodczy jej ciała jak złodziej. Pragnął jej do szaleństwa, potrzebował jak jeszcze żadnej kobiety przedtem.

Wtulala się w niego, pozwalając się całować, a on wstrzymywał się całą swoją wolą, by nie obdarzyć jej gwałtowniejszą pieśszczotą, która mogłaby ją zbudzić.

Gładził nieskończenie delikatnie jej pierś, nie mógł nie zauważyć, jak idealnie mieści się w jego dłoni. Pragnął ją zobaczyć, ale pochmurna noc nie pozwalała wiele dostrzec. Całował ją więc, drażnił z wycuciem nabrzmiały pączek i przyciskał do swego spragnionego ciała. Dziewczyna zdawała się chcieć więcej, ale wiedział, że musi zachować resztki kontroli.

Gdy jego ciało zaczęło drżeć od wstrzymywanego pożądania, postanowił powoli i łagodnie uciszyć i ją, i siebie.

Poprawił jej koszulę, pocałunkami obdarował twarz i przytulił uspokajająco.

Całe szczęście dziewczyna nie oponowała, kiedy gładził ją lekko po włosach. Żałował, że zaplotła je na noc, mógłby wsunąć palce w to płynne złoto. Uwielbiał ten kolor, pasował do niej i do ciemnoczerwonej sukni, którą nosiła na co dzień.

Po dłuższej chwili westchnęła cicho, zapadając w głęboki sen. Zdawała się zrelaksowana i usatysfakcjonowana.

Czego nie można było powiedzieć o nim.

Jego ciało, wciąż silnie pobudzone, nie dało się tak łatwo oszukać.

Nawet wtedy, gdy usiłował sobie wmówić, że ta kobieta jest tylko dumną arystokratką, taką samą, jaką podsuwał mu niegdyś ojciec.

Wciąż jej pragnął.

Do samego świtu tulił ją w ramionach, zastanawiając się nad słowami, które wypowiedziała przez sen.

Gdy zaczęło się rozjaśniać, przyszyła mu do głowy dziwna myśl.

Czy na pewno wiedział, kim jest ta kobieta?

Następnego dnia, późnym popołudniem

O umówionej porze do drzwi zapukał oficer McFitz, by zabrać Helen na przechadzkę po parku.

Czuła się niemal tak, jakby w Londynie jeden z jej adoratorów zaprosił ją na przejażdżkę do Hyde Parku.

Otworzyła drzwiczki i ujęła wyciągniętą dłoń mężczyzny. Ten schylił się elegancko i ucałował koniuszki jej palców.

– Madame – zamruczał.

Helen skłoniła się lekko.

– Piękna pogoda na spacer – powiedziała swobodnym tonem, zamykając za sobą wejście.

– Doskonała – przytaknął oficer, podając jej ramię.

Ujęła je i ruszyli powolnym krokiem przez pokład.

Odkąd udało jej się wydostać z ładowni, w której ją przetrzymywano, ani razu nie miała okazji wyjść na zewnątrz. Pomyślała nawet, że trafiła z deszczu pod rynnę, tyle że tym razem klatka, w której przetrzymywał ją kapitan, była większa i dzieliła ją razem z nim.

Rozejrzała się dyskretnie, by zobaczyć, czy nie ma go na pokładzie. Stał na rozstawionych nogach na śródkręciu, patrzył w górę na maszt i pokrzykiwał coś do marynarza, który sprawdzał właśnie olinowanie.

Miał na sobie jedną z tych koszul z dużym rozcięciem na piersi, czarne, obcisłe spodnie i wysokie do kolan lśniące buty. Nawet z tej odległości budził w niej silne uczucia. Chciała, by do niej podszedł, by mogła sprzeczać się z nim i klócić, a potem w półmroku kajuty rozmawiać o wszystkich swoich najskrytszych pragnieniach i obawach. Zszokowana własnymi zaskakującymi myślami już miała oderwać od niego spojrzenie, gdy ten odwrócił się nagle w jej stronę, jakby wyczuł jej obecność. Zmarszczył brwi.

– Kapitan zdaje się niezadowolony z naszej przechadzki – zauważył McFitz, pozdrawiając go skinieniem głowy.

– Nie jestem jego własnością, nie rozumiem, dlaczego tak mnie pilnuje – odparła, pociągając go nieznacznie w bok, tak by nie zbliżyć się do kapitana.

– Czyżby pani za nim nie przepadała?

– Nieprzepadanie wiązałoby się z jakimiś emocjami. A ja ich dla niego nie mam. Jest mi zupełnie obojętny. – Mówiąc to, uniosła dumnie brodę. Doskonale wiedziała, że to nieprawda.

– Zasługuje pani na jak najlepsze traktowanie, zdaje się, że kapitan czasem o tym zapomina. Ostatecznie jest pani damą – ujął się za nią.

– Chyba właśnie w tym problem, on nie toleruje wyższych sfer.

– Słucham? – Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Podobno ma to coś wspólnego z jego przeszłością, ale nie znam szczegółów. Myślałam, że pan zna go lepiej ode mnie.

McFitz pokręcił głową.

– Wręcz odwrotnie. Pana Mortimera przydzielono nam odgórnie, nie miałem wpływu na to, kto będzie prowadził naszą ekspedycję. Mogłem jedynie wziąć w niej udział lub zrezygnować – wyznał, kładąc jej dłoń w zagięciu łokcia. Panna Williams nie sprzeciwiła się, choć to zachowanie wydało jej się nieco poufale. Żadne z nich nie miało rękawiczek, z oczywistych względów nie towarzyszyła jej przyzwoitka, a oficer zwracał się do niej dość swobodnie.

Po chwili jednak stwierdziła, że on jako jedyny na tym pokładzie jest dla niej miły i wie, jak powinien zachować się mężczyzna w stosunku do damy. Może nie jest obyty ani možny, ale zachowaniem nie ujmował dżentelmenom, którzy towarzyszyli jej na przyjęciach.

– W takim razie oboje jesteście skazani na jego towarzystwo. – Westchnęła i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– Skazani to według mnie odpowiednie słowo. Zdaje się, że bardzo mu się narażam chociażby rozmową z panią – zauważył filuternie.

– Jest pan niezwykle odważny, ryzykując jego sympatią. – Uśmiechnęła się szerzej, jakby złośczenie kapitana sprawiało jej przewrotną przyjemność.

– Czasem ryzyko jest jedynym właściwym wyborem. – Spojrzał na nią wymownie, po czym podniósł jej dłoń do swoich ust.

Dziewczyna roześmiała się sztucznie, zabierając dłoń z jego uścisku. Oficer był miły, ale zdecydowanie na zbyt wiele sobie pozwalał.

– Ja nie szukam żadnego ryzyka, chcę tylko bezpiecznie wrócić do domu. – Odsunęła się odrobine, jasno dając mu do zrozumienia, gdzie stawia granicę tej przyjaźni.

– Jak najbardziej. – Ukłonił się, nawet nie mrugnawszy. Zdawał się zupełnie niezrażony jej odmową. – Pani bezpieczeństwo jest teraz najważniejsze.

Panna Williams skinęła głową, momentalnie wybacząc jego wcześniejsze zachowanie. Na powrót podjęli spacer.

Szli powolnym krokiem wzdłuż lewej burty, Helen ledwie rzuciła okiem na statek, nie była w tym względzie zbyt obeznana. Dostrzegła jednak, że posiada trzy maszty. W tej chwili żagle, całkiem rozwinięte, nadymały się pod wpływem wiatru niczym kłębiaste chmury. To był piękny widok.

Czuła na swojej skórze ciepłe promienie słoneczne, a w nozdrzach zapach morskiej bryzy. Rozumiała, dlaczego na statku można się czuć panem swego losu. Zerknęła na kapitana, który najwyraźniej był zajęty wydawaniem jakiś rozkazów.

Marynarze uwijali się żwawo, każdy pochłonięty swoimi obowiązkami.

– Życie na statku jest zupełnie inne – zauważyła.

Oficer przytaknął.

– Chyba można tak powiedzieć, tutaj każdy ma swoje zadanie, nikt nie jest zbędny.

Helen odchrząknęła nieznacznie, podobne słowa powiedział jej ostatnio kapitan. Całe szczęście jej „pomoc”

w kajucie pozostawała tajemnicą, nikt nigdy nie miał się o niej dowiedzieć, a ona dzięki tym zajęciom przynajmniej nie czuła się jak nieproszony gość.

– Nikt nie jest zbędny oprócz mnie. – Westchnęła, grając rolę bezradnej damy. Lepiej, żeby McFitz nie wiedział o jej nowych obowiązkach.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie to miałem na myśli. Pani przecież została porwana i uwięziona wbrew jej woli. Nie jest pani winna swojego położenia – odparł łagodnie.

Panna Williams zamilkła. Momentalnie przypomniała sobie dni, kiedy była uwięziona pod pokładem. Naraz zrobiło jej się zimno, zadrżała lekko, co natychmiast zostało dostrzeżone.

McFitz się zatrzymał, ściągnął z siebie frak i założył na ramiona Helen. W przeciwieństwie do kapitana dbał o swoją garderobę. Był ubrany skromnie, acz kompletnie, na płócienną koszulę miał założoną kamizelkę w bladym, słomkowym kolorze oraz prosty w kroju frak, którego teraz jej użyczył.

Uśmiechnęła się do niego w podzięcie i gdy się odwróciła, by podjąć spacer, tuż przed nią wyrosła nagle okazała sylwetka kapitana.

Nie patrzył na nią, mierzył surowym wzrokiem swojego pierwszego oficera, wymownie zerkając na narzucone na ramiona Helen męskie odzienie.

Nie wiadomo czemu splonila się, jakby poczuła się winna.

– Kapitanie, czy coś się stało? – spytał McFitz, przestępując z nogi na nogę.

Mężczyzna przez chwilę świdrował go oczami, po czym powoli przeniósł je na kobietę. Ta natychmiast uniosła głowę wyżej, nie pozwalając się zastraszyć.

– Przejmę teraz pana obowiązki, dziękuję – powiedział nieswoim głosem. Wsunął się między nich, jednocześnie ściągając z niej okrycie i niemal ciskając nim w pierś młodego oficera.

Ten zaczerwienił się zawstydzony, zasalutował sztywno i odszedł.

Panna Williams otworzyła usta wstrząśnięta tym nietaktem.

– Pan się chyba zapomina! – wydukała w końcu.

Ross zacisnął zęby i ignorując jej oburzenie, wsunął sobie jej dłoń pod ramię. Kiedy poczuła lekkie szarpnięcie, pokręciła głową i wywróciła oczami. Ruszyli wzdłuż pokładu, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Rozejrzała się ostrożnie dookoła, by dostrzec zaciekawione spojrzenia marynarzy.

Przez dłuższy czas kapitan milczał, co bardzo ją irytowało.

– Nie wiem, co pan sobie wyobraża, ale mój poprzedni kompan był znacznie bardziej zajmujący – mruknęła.

Ross przyspieszył kroku, nie zważając na nią, tak że ich spacer przypominał teraz niemal trucht. Zaparła się butami o podłogę, wysuwając się spod jego ręki.

Przystanął i obrócił się ku niej.

– Przykro mi, że nie jestem aż tak zabawny jak ten fircyk, dla mnie ważniejsze jest zapewnić pani na tym statku bezpieczeństwo, niż się pani przypochlebiać – warknął, patrząc wprost na nią.

Helen, słysząc jego napięty ton, wywnioskowała, że coś go wzburzyło. Chyba nie był zazdrosny o tego młodego oficera? Obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem.

– Pan McFitz jest chociaż dżentelmen, czego nie można powiedzieć o panu – wypaliła.

– Czy tego chcę, czy nie, jestem bardziej dżentelmenem, niż on kiedykolwiek będzie – wymamrotał pod nosem.

Dziewczyna nadstawiła uszu.

– Co ma pan na myśli?

Pociągnął nosem, lecz nie kontynuował wątku. Helen omal nie cmoknęła z niezadowolenia, jak widać, nic się od niego nie dowie na temat jego przeszłości. Postanowiła spróbować inaczej. Wzięła go na powrót pod rękę, zachęcając go do dalszego spaceru. Nie oponował.

– Jakoś nie mogę sobie pana wyobrazić na sali balowej. Jest pan zbyt... swobodny w obejściu. – Rzuciła szybkie spojrzenie na jego rozchelstaną koszulę i dodała: – Zostałby pan zjedzony żywcem.

– Tak pani sądzi? – spytał powściągliwie.

– Naturalnie – przytaknęła, skinawszy głową, specjalnie podkreślając, jak bardzo by tam nie pasował, żeby go sprowokować do wyznań. – W wyższych kręgach panuje tak wiele zasad, że pan z pewnością szybko by się pogubił.

– Ma mnie pani za półgłówka? – Zmarszczył brwi. Nie bardzo mu się podobały jej oskarżenia.

– Skądże znowu – zapewniła go natychmiast. – Po prostu niektórzy ludzie nie pasują do pewnych okoliczności. Nie czułby się pan na miejscu.

– Co do tego ma pani cholerną rację – dodał oschłym tonem, co bardzo zdziwiło Helen. Najwyraźniej trafiła w jego czuły punkt.

– Właśnie o tym mówię, nawet wysławia się pan szorstko, nie mówiąc już o obejściu. Damy uciekałyby przed panem w popłochu – drążyła.

– W to akurat wątpię. – Rozpogodził się zaraz.

– Och? – Obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem, a gdy dostrzegła jego zuchwały uśmiech, natychmiast odwróciła głowę. – Ma się pan za łamacza serc?

Ross się zastanowił, zanim odpowiedział.

– Z pewnych źródeł mi wiadomo, że nie jestem wstrętny kobietom – powiedział ogólnie.

– Oczywiście, mogłam się tego spodziewać – powiedziała jakby do siebie. – Jednak pana manieri pozostawiają wiele do życzenia, za to pański oficer...

– Teraz jest pani ze mną, nie z nim – wtrącił, a ona wyчуła w jego słowach ostrzeżenie.

– Doskonale zatem – rzuciła od niechcienia. – Ile jeszcze nam zabierze podróż do Porto?

Kapitan spojrział w górę i wskazał dłonią na uwypuklone żagle.

– Przy tej prędkości dotrzemy tam w niespełna tydzień – odparł.

– To znacznie wcześniej niż sądziłam! – zawołała cicho. Niespodziewane oświadczenie sprawiło, że poczuła kilka emocji naraz, ekscytację, strach, radość i rozczarowanie, że jej przygoda niedługo się skończy.

Ross zerknął na nią z ukosa.

– Będzie pani za mną tęsknić?

Prychnęła wyniośle.

– Skądże znowu, ledwo pana znam.

– Mam wrażenie, że zna mnie pani lepiej niż niejedna kobieta. – Westchnął i to wyznanie wydało jej się dziwnie sentymentalne.

– Co się stało z mężczyzną, który mnie pojmał? – Helen zmieniła temat. Nie czuła się wygodnie, wiedząc, że ten barbarzyńca ma jakiegokolwiek uczucia.

Jego rysy nagle stwardniały.

– To, co sobie pani zażyczyła. Jest trzymany w ładowni, w klatce i dostaje normalne, choć niezbyt wyszukane posiłki.

– Bardzo dobrze. – Przelknęła z trudem ślinę. Myśl, że ten okropny człowiek jest zamknięty kilka pokładów niżej,

napawała ją niepewnością. Ross momentalnie to dostrzegł. Zatrzymał się i obrócił ku niej.

– Nic pani nie grozi, dopóki jest pani pod moją opieką – zapewnił ją, a ona mu uwierzyła.

Mogła go nie znosić, nie rozumieć i uważać za grubianina, lecz coś pozwalało jej sądzić, że może mu ufać. Rozluźniła się nieznacznie.

– Dziękuję. – Skinęła głową, wbijając wzrok w jego śniadą pierś. Gdy po chwili zdała sobie sprawę z tego, gdzie patrzy, poczuła się nieswojo. – Mógłby się pan ubierać jak człowiek – zaatakowała go nagle.

Brwi kapitana podjechały do góry, zdawał się rozbawiony jej nagłym natarciem.

– Przeszkadza pani mój strój?

– Raczej jego brak – wymasknęło jej się.

Ross uśmiechnął się szeroko, ale zaraz odchrząknął.

– Proszę się nie martwić, już wkrótce powróci pani do Londynu i znów będzie się obracać między mężczyznami ukrywającymi się pod watowanymi frakami i ściskającymi ich tusze gorsetami – dodał, krzywiąc się z niesmakiem.

– Całe szczęście, uwielbiam mężczyzn w gorsetach – powiedziała.

Kapitan roześmiał się serdecznie na te słowa, a ona spuściła skromnie oczy.

– Być może wkrótce przyjdzie pani wybrać któregoś z nich, radzę celować chociaż w tego, którego gorset nie skrzypi podczas chodzenia – zażartował, ale jej nie było do śmiechu. Momentalnie mina jej zrzedła.

– Obawiam się, że przy wyborze dla mnie męża nie będzie to miało żadnego znaczenia – mruknęła kwaśno, uwalniając się spod jego ręki. Stała przy burcie, wpatrując się w horyzont, jakby chciała tam dostrzec swoją najbliższą przyszłość.

– Nie wydaje się pani zachwycona tą opcją.

– Moje zdanie na ten temat w ogóle się nie liczy – powiedziała jakby do siebie. – Jestem córką markiza, znam swoją powinność i swoje obowiązki.

Ross przekrzywił głowę, wpatrując się w jej uroczy profil. Nagle wydało mu się, że światło, które zawsze widział w jej oczach, przygasło. Miał ochotę ją objąć, dodać otuchy, tak jak w nocy, gdy miała koszmary, ale wiedział, że nie ma dla niej żadnego pocieszenia.

Nie podejrzewał nawet, by dama jej pokroju mogła nie być zadowolona ze swojego życia. Była olśniewająco piękna, młoda, miała bogatą rodzinę, doskonale urodzenie i mnóstwo adoratorów.

Dlaczego więc wydawała mu się taka nieszczęśliwa?

– Wolalaby pani tego uniknąć? – usłyszał nieoczekiwanie swój głos.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno, kosmyki jej włosów, które wysunęły się z upięcia, powiewały teraz lekko wokół twarzy.

– Czy bym wolala? – sarknęła. – Nawet nie pozwałam sobie myśleć, że mam jakikolwiek wybór.

Jej wyznanie wstrząsnęło Rossem. Dojrzał w niej odbicie siebie z lat młodzieńczych, kiedy to tkwił w pułapce konwenansów i nakazów, które przyszło mu znosić jako dziedzicowi.

– Wiem, co pani czuje – powiedział tylko, a kiedy na niego spojrzała, miał wrażenie, że połączyło ich zrozumienie. Na ich obojgu ciążył los, który wymuszał na nich uległość i podporządkowanie się standardom ich klasy. Z tą jednak różnicą, że Ross jako mężczyzna miał w tym względzie jakiś wybór, natomiast ona, jako dama, nie mogła stać się niezależna i zarabiać na swoje utrzymanie.

Helen nic nie odpowiedziała. Przez chwilę tylko wpatrywała się w niego otwarcie, bez uprzedzeń, co sprawiło mu cierpką przyjemność. Wiedział bowiem, że teraz nie będzie potrafił jej nienawidzić.

A nienawiść była dla niego zawsze najprostszym rozwiązaniem. Pozwalała się odciąć i oceniać bez najmniejszej chęci zrozumienia. O wiele łatwiej przychodziło mu ją odpychać, niż przyznać, że w gruncie rzeczy ją podziwiał.

Usilnie wmawiał sobie, że jest podstępna kokietką, leniwą i gnuśną panienką, która z obrzydzeniem patrzy na ludzi mniejszych od siebie. Teraz dostrzegał własną głupotę i krótkowzroczność w jej ocenie, co bardzo go zawstydzalo.

On, człowiek, który zawsze opowiadał się za równością wszystkich klas, sam stał się hipokrytą, nienawidząc jednej z nich.

– Chciałabym już wrócić do kajuty. – Z rozmyślań wyrwał go głos Helen. Gdy na nią zerknął, zdawała się odległa, przyciszona, w niczym nie przypominała energicznej i zuchwalej kobiety, którą zdołał poznać przez te kilka dni.

– Oczywiście. – Podał jej ramię, a ona je przyjęła.

Wrócili przez pokład w całkowitym milczeniu, nieskorzy do swar i potyczek słownych. Każde pogrążone w swoich myślach, każde przypominające sobie o życiu, które zostawiło za sobą.

Choć jeszcze o tym nie wiedzieli, łączyło ich znacznie większe podobieństwo, niż mogliby przypuszczać.

W tym samym czasie w ładowni

– Wiesz, że nie mogę cię jeszcze wypuścić. To rzuciłoby na mnie podejrzenie, poza tym jawnie sprzeciwiłbym się

rozkazom kapitana – powiedział cicho McFitz, opierając się barkiem o kraty.

Mężczyzna w klatce splunął na podłogę.

– Mówilem, że wybraliśmy złą dziewczynę, trzeba było wybrać jakąś bardziej potulną, taką, która nie sprawiałaby tylu problemów – odparł.

– Jeszcze nie wszystko stracone – zapewnił go oficer.

– Mam na nią oko i badam teren. Ta panienska mi ufa, a na pewno lubi bardziej niż kapitana.

– Nie obchodzą mnie twoje romanse – przerwał mu ostro Tally. – Dostaliśmy zlecenie i mieliśmy na nim zarobić.

– Nic nie rozumiesz? Najpierw muszę ją do siebie zjednać, ten przeklęty kapitan waruje przy niej niczym pies. Trzyma ją u siebie w kajucie i nie pozwala wychodzić na pokład – warknął.

– Jeśli trzyma ją u siebie, lepiej, żeby do niczego między nimi nie doszło. Dziewczyna musi pozostać nietknięta, inaczej straci na wartości. – Spojrzał na niego czujnie zza prętów.

McFitz pokiwał prędko głową.

– Wiem o tym. Z tego, co widzę, na razie nie ma zagrożenia. Ona go nie znosi, tak przynajmniej twierdzi.

– Nie można ufać słowom kobiety. To zdradzieckie dziwki. – Tally ponownie splunął na podłogę.

– Ta mocno zadziera nosa, chyba nie pozwoliłaby się tknąć takiemu prostakowi. Wysoko się ceni damulka. – McFitz prychnął z pogardą, przypominając sobie w myślach, jak odsunęła się od niego na pokładzie.

– I bardzo dobrze. Jestem pewien, że jeśli dojdzie do transakcji, zbijemy na niej krocie. Trzeba tylko dobrze to rozegrać...

– Musimy się pospieszyć, bo w Porto kapitan chce ją wsadzić na statek z powrotem do Londynu.

– Diabli nadali przekłętego bohatera. Masz jakiś plan?
McFitz uśmiechnął się nieprzyjemnie, w jego głowie tliło się wiele pomysłów...

Kilka godzin później w kajucie kapitańskiej

– Dzisiaj idzie pani zdecydowanie lepiej – powiedział z uznaniem kapitan, relaksując się pod wprawnymi ruchami rąk Helen. Nigdy jeszcze nie odczuwał takiej przyjemności podczas kąpieli. Był prawie w siódmym niebie, gdy ta piękna kobieta dbała o jego wygody. Być może robiła to jedynie z poczucia dumy, ale dziękował niebiosom, że jest tym szczęśliwcem, któremu przyszło tego doświadczyć.

– Niech się pan nie rusza, bo utrudnia mi pracę – zganiała go natychmiast, choć przecież nie wykonał żadnego ruchu. Uśmiechnął się pod nosem.

Po dzisiejszej popołudniowej przechadzce nastąpiło między nimi ciche porozumienie. Nie skakali sobie do oczu jak wściekłe psy, albo raczej jeden pies, bo to panna Williams zazwyczaj szybciej się denerwowała.

– Mmmm, bardzo miło – zamruczał Ross, przymykając oczy i odchylając głowę w tył, gdy zaczęła myć jego włosy.

– Tak sobie pomyślałam, czy nie mogłabym poznać pozostałych członków pańskiej załogi – zaczęła niezobowiązującą pogawędkę. – Znam tylko pierwszego oficera, a przecież stół w kajucie pomieści co najmniej pięć osób.

– Czyżby nasz uroczy pochlebca już się pani znudził? – Spojrzał na nią spod przymrużonych oczu.

Helen doskonale wiedziała, kogo ma na myśli. Dzisiejszy obiad z McFitzem po przechadzce zdecydowanie odbiegał atmosferą od wczorajszego.

– Niech mnie pan źle nie zrozumie, po prostu... – Prze-rwała, bo nie bardzo wiedziała, jak ubrać to w słowa.

– Nie czuje się pani przy nim komfortowo? – dopytywał się. Jeśli ten mężczyzna jakkolwiek się jej narzucił...

– Wszystko jest w porządku, jest bardzo miły...

– Nawet za bardzo – wtrącił ponuro.

– Przynajmniej kompensuje pana podle usposobienie – odparła pogodnie, spieniając mu delikatnie włosy. Uartczki słowne stały się między nimi codziennością. Jej przynosiło ulgę, że może mówić otwarcie to, co myśli, a kapitan jej za to nie winił, a nawet zdawało się, że lubił, gdy się sprzeczali.

– No tak, zapomniałem, jaki jestem wredny. – Uśmiechnął się.

– I nietaktowny.

– Kompletnie – zgodził się z nią natychmiast. – A co w związku Johnem?

Dziewczyna westchnęła, próbując zebrać myśli. Włosy kapitana były takie miękkie i gęste...

– Ja po prostu nie chcę, żeby... – zaczęła znów nieporadnie – żeby zbyt do mnie zbliżał. Lubię go, ale czasem mam wrażenie, że nie jest do końca szczerzy.

– Widzę, że i ty to zauważyłaś – mruknął z powagą.

– To nie tak, że jest to dla mnie jakakolwiek nowość.

– Wzruszyła ramionami. – Większość mężczyzn w moich kręgach ukrywa swój prawdziwy charakter, przez co przychodzi mi się mierzyć tylko z twarzą, jaką decydują się pokazać.

– A czy pani też czasem taka nie jest?

– Oczywiście, że jestem – odparła ze zdziwieniem. – Nie przeżyłabym ani jednego dnia w wyższych sferach, gdybym mówiła to, co naprawdę myślę. Poza tym nie sądzę, by ktokolwiek był tym zainteresowany – podjęła bez entuzjazmu. Pod wpływem tych intymnych zabiegów czuła niejaką swobodę i komfort, co pozwalało jej się nieco otworzyć.

– Zdaje się, że wspomniała pani, że jest uważana w towarzystwie za chłodną i wyniosłą? – Przypomniał sobie zaraz jej słowa.

– Owszem, ale to jedyny sposób, by nie pozwolić na zbytnią poufalość. Proszę mi wierzyć, że czasem wystarczy nawet cień uprzejmości, żeby zostać niewłaściwie odebraną i wzbudzić w kimś nadzieję.

– Chce pani zatem powiedzieć, że jest nieuprzejma, ponieważ nie chce ranić czyichś uczuć? – Zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tą przewrotną techniką.

– Poniekąd – przyznała. – Nie wie pan, jak nużące jest otrzymywać ze strony mężczyzn nieustającą uwagę. Nie proszę o nią, nie zabiegam, ona po prostu jest.

– I panią męczy?

– Bardzo. – Przygarbiła się i westchnęła, jakby to wszystko było dla niej ogromnym ciężarem. Wstrzymała na chwilę swoje ruchy, a Ross obserwował ją, zastanawiając się nad jej słowami.

Chyba jeszcze nigdy mu się nie zwierzała. Nie chciał wyrywać jej z tego potoku myśli, pragnął dowiadywać się o niej więcej i więcej.

– Wie pani, dlaczego tak jest?

– Naturalnie, że wiem. – Spojrzała na niego, jakby powiedział coś niedorzecznego. Odgarnęła spienioną dłonią kosmyk, zostawiając na policzku niewielki ślad. Omal się nie uśmiechnął, wyglądała teraz tak uroczo. Ona jednak nie zwracała na to uwagi.

– Nie bez powodu jestem po raz trzeci z rzędu okrzyknięta najpiękniejszą panną na wydaniu. Sowity posag, który mój ojciec zechciał mi przypisać, też wcale nie polepsza mojej sytuacji – dodała nieco markotnie.

– To musi być bardzo męczące znajdować się ciągle na piedestale.

– Od młodości byłam do tego przygotowywana, taki mój los – skwitowała i wzruszyła ramionami, na powrót zanurzwszy palce w jego czuprynie.

Nie chciał jej tego mówić, ale słowa Helen w porównaniu z tym, co teraz robiła, zdaly mu się bardzo zabawne. Oto kryształ angielskiej arystokracji służył występniemu i odrzuconemu przez społeczeństwo byłemu dziedzicowi. O dziwo jednak, zauważył, że bardziej wstydzi się jego nagości, niż uwłacza jej usługiwanie mu.

Była dumna, ale nie lubiła bezczynności. Wydawała się nawet zadowolona z tego, że może się na coś przydać. Nie musiał jej przypominać, by oporządzała kajutę i zajmowała się schludnością pomieszczenia. Sama robiła to chętnie. To było zaskakujące spostrzeżenie, uwzględniając to, skąd się wywodzi.

– Rozumiem, że ktoś musiał pokierować pani wychowaniem? – powrócił do tematu.

– Oczywiście, moja matka jest bardzo ambitną kobietą – wyznała, uśmiechając się lekko, jakby właśnie ją sobie przypomniwała. – Obawiam się, że nie polubilby jej pan. Ma jedną okropną wadę. – Nachyliła się ku niemu i przyciszonym głosem, jakby zdradzała mu jakąś tajemnicę, dodała: – Jest na wskroś arystokratką.

– Pewnie znalazłaby wspólny język z moim ojcem – wypsnęło mu się, choć niespecjalnie się tym przejął. Na Boga, dziewczyna miała prawo wiedzieć, komu myje włosy, pomyślał przewrotnie.

– W panu również płynie błękitna krew, prawda? – spytała, ale też nie zdawała się tym wyjątkowo zaskoczona. – Dlaczego pan to ukrywa?

Ross westchnął, nadstawiając jednocześnie głowę, gdy zmywała z jego włosów pianę.

– A czym tu się chwalić? Kiedyś za młodu podjąłem decyzję, że nie chcę mieć nic wspólnego z moim ojcem, i od lat dotrzymuję słowa.

– Czy Mortimer to pana prawdziwe nazwisko? – spytała, oblewając go chłodną wodą. – Zdaje się, że znam jedynych Mortimerów...

– Tak, to nazwisko mojego ojca, nie zmieniałem go. Nie zależało mi na tym, żeby się ukrywać, tylko na tym, by być wolnym.

– Wolnym od czego?

– Wolnym od odpowiedzialności i wszystkich tych matrymonialnych pułapek, które się zaczęły, odkąd wkroczyłem w wiek pełnoletni. Teraz wszystko przejął mój bardzo przykładowy braciszek, a ja znalazłem swoje miejsce na morzu. Nie tęsknię do przepychu ani do przeszłości. Jak to pani ostatnio uroczo ujęła, nie czułem się tam zbyt dobrze.

Kiedy Helen skończyła myć jego włosy, wytarła dłonie w ręcznik i tak jak poprzednim razem, odeszła za parawan, by mógł dokończyć toaletę.

Myślała o tym, czego się o nim dowiedziała.

Podskórnie czuła, że ma do czynienia z kimś wyższego stanu. Mortimer, Mortimer, powtarzała w głowie, próbując sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko.

Niewiele jej to jednak mówiło, więc zaprzestała rozmyślań.

I tak się nie spodziewała, że kapitan w końcu wyzna jej, kim jest. Z drugiej strony i ona wiele mu wyjawiała. Nie żałowała swych słów. Mężczyzna zdawał się słuchać jej z uwagą, nie udawał, że go to interesuje. Wyglądał na autentycznie zaciekawionego tym, co Helen ma do powiedzenia.

To było orzeźwiający uczynek, wiedzieć, że została zrozumiana i zaakceptowana z wszystkimi wątpliwościami, marzeniami i niezadowolaniem, którego raczej żaden amant ani żadna z jej koleżanek by nie zrozumieli.

Wszyscy zazdrościli jej powabu i pozycji. Nie zdawali sobie jednak sprawy, jak wielkie są one dla niej ciężarem i jakie niosą konsekwencje.

Westchnęła, siadając na jeden z foteli. Wsłuchiwała się w chlupotanie wody za parawanem.

W międzyczasie Danny przyszedł z kolacją. Helen poprosiła, by postawił wszystko na stole i odszedł. Sama chciała się zająć rozstawianiem talerzy i sztućców.

To było do niej trochę niepodobne, w Londynie przecież wszystko robiła za nią służba, przyzwyczajono ją do tego, że jej życzenia spełniano wcześniej, niż zdążyła je wyrazić. Jednak rola, którą przypisał jej kapitan, zupełnie jej nie przeszkadzała, a nawet czerpała z niej niejaką przyjemność. Nie miała tu wielu obowiązków, ale te, które otrzymała, wypełniała z zadowoleniem.

Wkrótce kapitan wyszedł zza parawanu, ubrany jak wczoraj w jedwabny, ciemnoniebieski szlafrok. Zerknęła smętnie na lśniąca tkaninę. Musiała przyznać, że tęskniła trochę za swoimi różnobarwnymi kreacjami. Miała to szczęście, że niemal w każdym kolorze było jej do twarzy, co jej matka skrzętnie wykorzystywała, zamawiając dla niej coraz to bardziej wytworne kreacje.

Ross spostrzegł zamyślane spojrzenie dziewczyny. Domyślił się jednak, że wpatrując się w jego ledwie obleczone ciało, nie myśli teraz o tym, by go uwieść.

Niestety.

Podszedł na bosaka do stołu i usiadł koło niej. Z zadowoleniem dostrzegł, że rozłożyła już talerze, sztućce i kieliszki.

Otworzył butelkę wina i zerknąwszy na nią, nalał im obojgu do kieliszków.

– O czym pani myśli? – spytał, gdy wciąż zdawała się bujać w obłokach.

– O szlafroku – powiedziała bezwiednie.

Mortimer zamarł w pół ruchu, zaskoczony jej odpowiedzią.

– Rozumiem – odchrząknął. – Czyżby chciała go pani ze mnie zdjąć? – spytał, choć doskonale wiedział, że takie rzeczy zdarzają się tylko w jego marzeniach.

– Co też pan wygaduje. – Helen ocknęła się zaraz.

– W takim razie o co chodzi? – spytał, zabierając się jednocześnie za posilek.

Kobieta westchnęła i dołączyła do niego, zajmując miejsce w fotelu. Znów się zamyśliła, ale po chwili uśmiechnęła się do niego nieznacznie.

– Wie pan, panie Mortimer, nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mnie zapytał, o czym myślę – powiedziała lekko, krzyżując się z nim spojrzeniami.

– A ja nie pamiętam, kiedy pytałem o to jakąś kobietę – dodał od siebie, wytrzymując jej wzrok.

Przemknęła nagle między nimi jakaś iskra, która przyciągała ich ku sobie. Helen wpatrywała się w niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Jest pan miły – powiedziała, w końcu przerywając tę magiczną chwilę.

Ross uśmiechnął się odrobinę zakłopotany.

– Już to pani wcześniej mówiła.

– Nie przypominam sobie. – Zmarszczyła brwi. – Kiedy?

Kapitan zaczerwienił się, zdając sobie sprawę, jaką palnął gafę. Oczywiście mówiła mu to, ale nie mogła tego pamiętać, bo w tym czasie śniła!

Do diaska.

– Tak mi się tylko wydawało – wybąkał, bo momentalnie sobie przypomniał, co zdarzyło się między nimi w nocy.

To, jak trzymał ją przy sobie, jak delikatnie całował jej usta i dotykał nabrzmiałych piersi.

– Czy słuszne mam wrażenie, że się pan czerwieni? – spytała zaraz oszołomiona.

Ross zacisnął zęby. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęła się mu teraz przyglądać. Przysunął się bliżej stołu, by nie mogła dostrzec jego rosnącego podniecenia.

– To od wina – burknął.

– Ledwie pan je tknął – zauważyła, nie dając tak łatwo zwieść się na manowce. – Chyba, że rumieni się pan od samego patrzenia na nie.

– Właśnie tak. – Skinął głową, wiedząc jednocześnie, że wychodzi na durnia.

Dziewczyna odłożyła sztucce, przyglądając mu się ciekawie.

– A mnie się zdaje, że nie nawykł pan do komplementów i to pana niewymownie peszy.

Na Boga, co ona wygadywała?, zastanawiał się kapitan. Lepsze jednak to absurdalne przypuszczenie, niż gdyby się domyśliła, że pragnie zrzucić całe to jedzenie ze stołu i położyć ją na nim, by mieć dostęp do każdego fragmentu jej ciała.

Chwilowe odprężenie, które odczuwał podczas kąpieli, momentalnie go opuściło.

– Czyżby nikt nigdy nie powiedział panu pochlebstw? – drążyła dalej.

Ross spojrzal na nią ostrzegawczo, co oczywiście tylko ją zachęciło do dalszych dyskusji.

– Ja jestem w tym specjalistką, choć może to być nieco trudne w pana przypadku. Mogłabym napisać panu listę pochlebstw, gdyby pan ich potrzebował – podsunęła mu usługę.

– Gdybym ich potrzebował? – wydukał, zupełnie nie rozumiejąc, co ma na myśli. Wgapił się jedynie w jej na wpół uśmiechnięte usta i palec, który czasem do nich przykładala, gdy się namyślała.

Przelknął z wysiłkiem ślinę. To wszystko nie szło w dobrym kierunku.

– Mógłby je pan sobie czytać, kiedy byłoby panu smutno albo czułby się pan samotnie – zawyrokowała wspaniałomyślnie, dłubiąc bezwiednie widelcem w talerzu. – Znam pewne damy, które tak robią, gdy przyjdzie im spędzić nudny czas u kuzynostwa na prowincji. Zabijają w ten sposób nudę lub starają się pozbyć niskiego poczucia własnej wartości.

Ross zmarszczył czoło.

– Nie jestem damą.

Helen parsknęła śmiechem, obrzucając jego sylwetkę znaczącym spojrzeniem.

– Cóż, z pewnością. Nie będę się w tym względzie z panem sprzeczać.

Jej dobry humor i igranie z nim tak śmiało jedynie zaostrzało jego apetyt. Miał tylko nadzieję, że wkrótce temat jej się znudzi i skupią się na posiłku. Ona jednak najwyraźniej miała inne plany.

– Tak czy owak, mogłabym nakreślić panu parę miłych słówek, jeśli potrzebowałby pan się wspomóc podczas swojej długiej podróży do Indii – zachęcała dalej.

– Mężczyźni nie otrzymują komplementów od dam, to działa tylko w drugą stronę – zauważył ostrożnie.

Helen ponownie zrobiła ten czarujący gest z palcem przy ustach.

Ross bezwiednie zniżył spojrzenie i już fantazjował o tym, gdzie chciałby poczuć jej usta. Omal nie jęknął, gdy

wyobrazil sobie, że ona go rozbiera, obdarza kilkoma pocałunkami, a potem klęka przed nim i...

– Faktycznie. Okropne niedopatrzenie – zgodziła się, przerywając jego rozmyślenia. – Trzeba to w takim razie naprawić – ciągnęła nieznużenie. – Na początek mogłabym powiedzieć, że ma pan bardzo ładne oczy, takie smoliste i nieodgadnione. Jak się w nie patrzy, aż można dostać dreszczy – wyjawiała.

– Ach tak? – zdołał jedynie wykrztusić. Czy to jemu tylko się zdawało, że jego głos robi się coraz bardziej chrapliwy?

Kobietko, przestań mnie torturować!, miał ochotę wykrzyknąć. To było ponad jego siły próbować zachować neutralny wyraz twarzy, podczas gdy cały płonął z pożądania.

Diabli by nadali.

– Tak, dodatkowo lubię pana ręce, są takie duże, szorstkie i opalone. Zupełnie inne niż blade, delikatne dłonie dżentelmenów – zauważyła i ku jego rozpaczy zdawała się coraz lepiej bawić, czego nie można było powiedzieć o nim!

Gdy tylko wspomniała o jego dłoniach, momentalnie wyobrazil sobie, że sunie nimi po jej plecach, obejmując w talii i przyciąga do siebie.

Boże, jak bardzo pragnął teraz ukarać ją za jej niedomyślność i dać nauczkę, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła.

– Ten pierścień jest pewnie dziedziczny? – spytała, zerkając na jego rodowy klejnot. Gdy nie odpowiedział, po kiwała głową w zamyśleniu. – Pasuje do pana. Jest dosyć mocno zdobiony, co przy pana, mówiąc ogólnie, skromnej garderobie wygląda nader atrakcyjnie.

Dostrzegłszy jego minę, dodała:

– To po prostu interesujący kontrast. – Wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste. – Znam się na modzie.

– Wspaniale – odparł, bo dziewczyna najwyraźniej czekała na jego odpowiedź.

Cale szczęście monosylaby, jakie z siebie wydawał, chyba ją satysfakcjonowały.

– Ma pan też ciekawą twarz. – Nachyliła się ku niemu i zmrużyła oczy, przypatrując mu się z bliska. Jego uwagę przykuła linia dekoltu jej sukni, która teraz więcej odkrywała, niż zasłaniała, przedstawiając mu jak na tacy dwie młode i jędrne piersi.

Wstał gwałtownie z krzesła i odszedł sztywno w stronę okna.

– O rany, jaki z pana nerwus! – krzyknęła za nim dziewczyna. – Naprawdę jest to dla pana aż tak niekomfortowe? – zdziwiła się, źle odczytując jego zachowanie. – Być może powinien pan przejść terapię komplementów, zwiększając powoli ich intensywność? Nie aż tak wiele naraz? – dodała pod nosem niczym lekarz zastanawiający się nad dawkowaniem leku.

Ross ledwie słyszał ją przez natłok emocji, które nim teraz targaly.

Boże, on z nią nie wytrzyma.

Nie wytrzyma z nią tygodnia, nie mogąc jej dotknąć.

Zanim dotrą do Portugalii, zupełnie oszaleje.

Wtem poczuł, jak dziewczyna dotyka jego ramienia. Aż się wzdrygnął. Spojrzał na nią, jakby widział ducha.

– Nie chciałam zrobić panu krzywdy – zapewniła go. – Dobrze się pan czuje? Może podać panu szklankę wody?

Gdy tak na niego patrzyła, słodka i miła, ledwie był w stanie utrzymać przy sobie ręce.

– Tak. Szklanka wody – wydukał schrypniętym głosem. Cokolwiek, byle znalazła się jak najdalej od niego.

Panna Williams czym prędzej nalala płynu i już po chwili wcisnęła mu w dłoń naczynie. Patrzyła na niego litościwie, jak na schorowanego starca potrzebującego opieki.

Brał właśnie lyk, gdy usłyszał:

– Ogólnie podsumowując, ma pan bardzo ładne ciało.

Ross zakrztusił się i zaczął kasłać i prychać.

– Och, przepraszam najmocniej. – Natychmiast zaczęła go poklepywać po plecach. Wyjęła szklankę z jego dłoni i zaraz poprowadziła do łóżka. Usiadł na nim bezwiednie, wciąż próbując złapać oddech.

– Nie... nie wiem, co się robi w takiej sytuacji – powiedziała niepewnie. – Może pomóc się panu położyć? – zaproponowała, a on wyciągnął rękę, żeby nawet nie próbowała się do niego zbliżyć.

– Wszystko – zakasłał kilkukrotnie – w porządku. Proszę dać mi spokój.

– Kiedy to ja wprowadziłam pana w ten stan! – krzyknęła, bezradnie zalamując rękę.

Och, do diabła, masz rację, że ty!, pomyślał zgryźliwie, wciąż czując silne pobudzenie.

– Nie powinnam była pana obrzucać tyloma komplementami, a na dodatek jeszcze tym ostatnim! – trajkotała pospiesznie.

Naraz przystawiła mu dłoń do czoła.

– Co pani, do diaska, robi! – warknął, odsuwając się od niej.

– Nie wiem – zaśmiała się nerwowo. – Tak robiła mi mamka, kiedy źle się czułam, zawsze to lubiłam.

Ross w końcu odzyskał panowanie nad swoim głosem.

– Lepiej będzie, jak się przejdę – wysapał niczym zmęczona maszyna parowa.

– O tej porze? Przecież pańska wachta jest dopiero o świcie, a poza tym ledwie się pan wykąpał, jeszcze się pan przeziębi – mówiła dalej, przypominając sobie, jak mamka w ten sposób się do niej w młodości zwracała.

– Nie jestem cholernym dzieckiem, nie musi mnie pani niańczyć.

– Och, rozumiem. – Odsunęła się i złożyła dłonie na podolku, nie bardzo wiedząc, co teraz począć.

Ross wstał z wysiłkiem, modląc się, by nie zauważyła jego kondycji, i okrążył jej postać. Podeszedł do szafki po przeciwległej stronie kajuty i odnalazł świeże ubranie.

Dziewczyna tymczasem stała sztywno tuż przy łóżku i wyraźnie czuła się winna.

– Niech pani zje do końca kolację i się połóż. Wróć późno – rzucił tylko i już go nie było.

Helen została sama w kajucie, zupełnie nie rozumiejąc, co właściwie się wydarzyło.

Czy to możliwe, żeby kapitan był aż tak nieśmiały?

Wzruszyła zaraz ramionami, po czym usiadła do stołu.

– Mężczyźni są dziwni – mruknęła pod nosem i zajęła się jedzeniem.

Późną nocą

Kapitan dopiero po północy ośmielił się wrócić do kajuty. Gdy wszedł do środka, dostrzegł, że panna Williams zostawiła zapaloną jedną lampę najbliżej łóżka, prawdopodobnie mając na względzie jego dobro.

Nie pomyślała jednak, jakie konsekwencje sama w związku z tym poniesie.

A Ross aż wstrzymał oddech, bo miał co podziwiać.

Dziewczyna leżała pośrodku łóżka, w pozycji, która mogła świadczyć o tym, że znów miała koszmary.

Ręce rozrzucone na boki, rozkopana pościel prawie w ogóle nie okrywała jej ciała.

Mortimer zawahał się, przypuszczał, że nie będzie dobrym pomysłem zostanie tutaj. Tyle że był okropnie zmęczony trawiącym go nieustannie pożądaniem, ale i trudami dnia.

Na pokładzie zamienił się na wachty z jednym z oficerów i przez te kilka godzin zdołał się jakoś uspokoić.

Ale wystarczył rzut oka na rozkosznie odkryte ciało dziewczyny, a znów cały zawrzał.

Nie potrafił jednak odmówić sobie przyjemności, którą nieświadomie mu ofiarowywała. Wstydził się swojego zachowania, ale równocześnie za żadne skarby nie zmusiłby się do odwrotu.

Podszedł do łóżka powolnym krokiem, tak by nie obudzić Helen nieopatrznie zgrzytem którejs z desek. Przystanął, czując, jak oddech zaczyna mu przyspieszać.

Panna Williams wyglądała po prostu ślicznie. Długie rzęsy kładły się na jej policzkach. Brwi, jasne i ładnie zaokrąglone, nie wyrażały teraz żadnej emocji, całkowicie rozluźnione i nieświadome zaistniałej sytuacji.

Jej włosy rozsypały się po całej pościeli, nie splotła ich. Z premedytacją? Czy może po prostu zapomniała?

Wolał mimo wszystko myśleć, że zrobiła to dla niego. Wiedziała przecież, jak uwielbia jej włosy.

Rozchylone usta były lekko rozwarłe, a kąciki jej warg jak zawsze odrobinę uniesione. Zatrzymał się na nich wzrokiem, w wyobraźni całując ich krzywiznę. Potem zszedł spojrzeniem na jej szlachetną szyję, obojczyki, a gdy natknął się na skrawek koszuli, która nieznacznie tylko osłaniała jej biust, miał ochotę wyciągnąć do niej dłonie i odkryć całe jej ciało, by móc sycić się jego widokiem w nieskończoność.

Nie zrobił tego jednak, lecz przysiadł na krawędzi łóżka. Dziewczyna leżała na plecach, wycięcie koszuli znajdowało się pośrodku piersi, których zarys odznaczał się pod materiałem. Dzięki lampie, ku jego uciesze niezgaszonej, mógł dostrzec ciemne zakończenia sutków, które teraz zeszytywniały od nocnego chłodu.

Poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie. Ciało domagało się czegoś więcej. Nie chciał jedynie patrzeć, choć i za to powinien być przecież ukarany.

On, niech Bóg ma go w swojej opiece, pragnął zacisnąć usta na tych krągłych wspaniałościach, by we śnie wygięła się w łuk pod wpływem jego pieszczot. Ledwie o tym pomyślał, dziewczyna sapnęła cicho przez sen, jakby słyszała jego myśli.

Gdyby teraz się obudziła, nie wiedziałby, co jej powiedzieć. Chyba po prostu by ją pocałował.

Już raz smakował jej pocałunków. Nie były powściągliwe ani trwożne. Panna Williams całowała doskonale, przez co swego czasu pomylił ją z kurtyzaną.

Och, dalby w tym momencie wszystko, by móc spędzić z nią dzisiejszą noc.

Westchnąwszy, pozwolił sobie na dalsze oględziny. Nie potrafił się już zatrzymać, jego los był już i tak przesądzony, a on pogodził się z nim jak skazaniec czekający na wyrok. Ta kobieta na dobre opętała jego myśli.

Spojrzał na łuki jej żeber, których wygięcie dostrzegł pod koszulą, płaski brzuch i ładnie zaokrąglone biodra.

Dalszy widok zasłaniała koszula, ale zdołał jeszcze dojrzeć szczupłe, delikatnie umięśnione łydki oraz drobne stopy ze ślicznie zarysowanymi paznokciami.

Gdyby tylko mógł, zjadłby ją tu i teraz. Czy którykolwiek mężczyzna zdołałby sobie tego odmówić?

Ross przymknął na chwilę oczy, unosząc do góry głowę.

Odetchnął głęboko, modląc się o samokontrolę. Po chwili uniósł brzeg pościeli i przykrył delikatnie dziewczynę, wyrzekając się jakichkolwiek nieprzyzwoitych zabiegów.

Pozbawiwszy się ponętnego widoku, położył się obok, nie zdejmując z siebie ubrania. Odkąd pamiętał, spał nago,

ubranie krępowало go w nocy, a on tego nie znośił. Jednak nie był aż tak głupi, żeby się teraz rozbierać.

Wiedział z całą pewnością, że gdyby tym razem panna Williams znów przytulila się do niego we śnie, nie potrafiłby się powstrzymać.

Obrócił się więc do niej plecami i zamknął oczy, modląc się, by sen nadszedł jak najprędzej.

Następnego dnia o świcie

Helen budziła się powoli. Czula ogarniające ją zewsząd ciepło, było jej wygodnie i przyjemnie. Jeszcze przed chwilą śniło jej się, że znajduje się na balu i tańczy z mężczyzną, który swoją sylwetką bardzo przypominał jej kapitana Rossa.

Jeszcze nie otwierając oczu, zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna się do niego przypadkiem zwracać „lordzie Mortimerze”. W końcu był potomkiem szlacheckiego rodu, chociaż wciąż nie mogła przypomnieć sobie, by w Londynie spotkała kogoś o tym nazwisku.

Z pewnością matka wiedziałaby coś o tym, ale z jasnych względów nie mogła jej o to zapytać.

Przeganiając resztki snu i myśli, przeciągnęła się, lecz ku jej zdziwieniu nie mogła się poruszyć. Otworzyła oczy i dostrzegła, że...

O Boże, jak to się mogło stać?!

Leżała na lewym boku, przytulona do masywnej piersi kapitana, który obejmował ją jedną ręką w pasie. Zamrugala zszokowana, jednak się nie poruszyła.

Skoro mężczyzna spał, nie był świadom tego, że potraktowała go jak poduszkę.

Bo z pewnością nie zbliżyła się do niego, lękając jego bliskości. Skądże znowu! Ona nigdy nie zniżyłaby się do tego, by nastęrczać się mężczyźnie.

Wystarczająco wiele lat oglądała swoją siostrę Catherine, która rok w rok deptała po piętach baronowi Devonowi. Nigdy nie pochwalala jej techniki, ale ostatecznie dobrze się stało, że baron zwrócił w końcu na Cat swoją uwagę i się z nią ożenił.

Helen jednak była inna.

Przecież nazywano ją w towarzystwie niedostępną i chłodną! Nie lepiłaby się do mężczyzny jak jakaś amatorska kokietka.

Spróbowała się nieznacznie wysunąć z objęć kapitana, lecz na próżno. Leżał na plecach i trzymał ją mocno w pasie, jakby nie chciał wypuścić.

Do diaska. Była uwięziona.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że mężczyzna jest w pełni ubrany. Całe szczęście! Gdyby znów był nagi, ona...

...ona by się chyba zapadła pod ziemię.

Chwyciła delikatnie jego palce, próbując zdjąć je ze swojej tali.

Taka bliskość Mortimera, dotyk jego dłoni budziły w niej niepokój i podniecenie. A ona zdecydowanie wolala nad sobą panować.

To wszakże nie był odpowiedni mężczyzna i odpowiednie okoliczności.

Po kilku minutach udało jej się nieznacznie odsunąć jego rękę, jednak zaraz kapitan poruszył się i przygarnął ją do siebie jeszcze bliżej.

Teraz jej piersi rozplaszczaly się na jego boku, sprawiając, że ledwie była w stanie złapać oddech.

Co robić, co robić?! Jej myśli kotłowały się w panice.

Postanowiła poczekać na lepszą okazję, być może kapitan znów się przebudzi, przekreśli na bok i zacznie chrapać.

Jej koleżanka, panna Dudley, twierdziła, że wszyscy mężczyźni chrapiają, jednak Helen nie miała w tym względzie prawie żadnego doświadczenia.

Pozbawiona lepszego wyboru zaczęła mu się przyglądać. W czasie snu wydawał się bardziej poważny niż zazwyczaj. Jego ładnie wykrojone usta były teraz poważne, kanciaste rysy i mocna szczeka nie miały w sobie nic z łagodności. Na brodzie zauważyła kielkujący już, niewielki zarost.

Wiedzona ciekawością wysunęła dłoń i przejechała leciutko palcem po policzku mężczyzny. Zmarszczył brwi, ale się nie obudził.

Przygryzła wargi, czując, że igra ze śpiącym lwem. Miała jednak z tego niezłą zabawę. Zachichotała pod nosem, zerkając na niego z zainteresowaniem.

Włosy opadały w nieładzie na poduszkę, wily się w ciemnym gąszczu i wyglądały na niezwykle miękkie.

Z satysfakcją skonstatowała, że faktycznie takie były, już nieraz miała okazję zatopić w nich palce.

Nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że wszystko, co teraz przeżywa, jest bardzo nieprzyzwoite i nieodpowiednie dla młodej damy, ale jednocześnie równie ekscytujące i pobudzające.

Niewiele z jej koleżanek mogło pochwalić się takimi przygodami. Choć nie będzie mogła o tym oczywiście nikomu powiedzieć, poczuła się podniesiona na duchu. Oto lady Helen Williams zdobywa doświadczenie, jakiego pozazdrościłaby jej niejedna znudzona życiem dama.

Cokolwiek było teraz jej udziałem, z pewnością przyjdzie jej kiedyś wspominać z uśmiechem na twarzy.

Cóż, może nie wszystko, pojmanie bowiem nie miało w sobie niczego zabawnego, ale to, co działo się w kajucie kapitana, już tak. Poddawała się pokusie i znów na niego zerknęła.

Musiała przyznać, że leżenie w jego objęciach sprawiało jej przyjemność. Był dużym mężczyzną, dobrze umięśnionym, miał pewny chwyt i pachniał cudownie.

Po części był to zapach mydła, którego wczoraj użyła, ale także jakaś intrygująca mieszanka piżma, drzewa sandałowego i morskiej soli. Westchnęła cichutko, czując się jak bohaterka powieści gotyckiej. Stwierdziła z zadowoleniem, że przypadł jej w udziale całkiem interesujący osobnik.

Nie minęła chwila, a kapitan poruszył się przez sen i obrócił na bok. Niestety, nie na ten bok, który chciała.

Wstrzymała oddech, gdy przyciągnął ją do siebie obiema dłońmi i wtulił twarz w jej włosy.

Zamarła w bezruchu, bez pojęcia, co teraz począć.

Jednak jej ciało wiedziało, na co ma ochotę, dając jej jasne sygnały lekkim drżeniem.

Czuła ciężki oddech na swojej skórze, ciepło dużych rąk i mocną pierś pod palcami. Nieśmiało zwilżyła usta językiem, próbując wykonać jakiś ruch, lecz on tylko sapnął niezadowolony.

Pogładził ją dłońmi przez sen, a ona cała się najeżyła.

– Och, to ty, Helen – wymamrotał, a ona zamarła w bezruchu.

– Oczywiście, że to ja. Przecież nie marynarz – odparła, nie bardzo wiedząc, czy on wciąż śni, czy już się budzi.

Wygląda na to, że czeka ich wspólne zażenowanie, pomyślała.

– Lubię, jak mi się śnisz – powiedział tak cicho, że ledwie zdołała to usłyszeć.

Śnisz?! On o niej śni???

– Obawiam się, że ja nie jestem aż tak zachwycona – warknęła, co poskutkowało tym, że naraz w jej twarz wpatrzyły się ciemne, prawie czarne tęczęwki.

Kapitan zamrugał bezwiednie, momentalnie oceniając sytuację.

– Panna Williams w moich ramionach, jak miło mi panią gościć – odparł sennym tonem.

Helen zgromiła go wzrokiem. Wcale nie było jej do śmiechu. Gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział...

– Proszę szykować swój najlepszy frak. Jak tylko wrócę do Londynu, powiadomię matkę, że jest pan gotów do ożenku – wypaliła, spodziewając się, że to zadziała na niego jak kubel zimnej wody.

On jednak nie wydawał się przerażony.

– Pozabijalibyśmy się jeszcze przed upływem miesiąca – stwierdził pogodnie.

– Raczej tygodnia – mruknęła kąśliwie. – Byłby pan uprzejmy mnie puścić?

– Dlaczego? Czy jest pani niewygodnie? Dla mnie wydaje się pani całkiem miłą... poduszką.

– Poduszką?! – wrzasnęła tak, że kapitan aż się skrzywił. Nie miało znaczenia, że ona sama przecież tak o nim wcześniej pomyślała.

– W życiu nie widziałem tak głośnej poduszki – powiedział, wypuszczając ją z objęć.

Dziewczyna wstała gwałtownie, natomiast Ross podparł się na łokciu, wciąż się jej przyglądając.

Wydawało się, że chciał coś powiedzieć, ale nagle zamarł w pół słowa, zsuwając wzrok niżej.

Wstrzymał oddech.

– To najpiękniejszy poranek, jaki kiedykolwiek przeżyłem – wysapał, a Helen, idąc za jego spojrzeniem, dostrzegła, że koszula niemal zupełnie rozsunęła się w rozcięciu, ukazując jej piersi w pełnej krasie.

Chwyciła pościel i szybko się nią zakryła.

– Dż...dżentelmen grzecznie odwróciłby wzrok! – wy-
palila wzburzona. Jej twarz płonęła ze wstydu.

– Dzięki Bogu, nie jestem dżentelmem – wyszeptal
półprzymtomnie Ross. – Ooo... czyżby się pani zawstydzila?
– spytał poniewczasie.

– Oczywiście, że tak, ty durniu! Dama... dama... nie
powinna... – urwała, ledwie hamując się od wybuchu.

– Dama to, dżentelmen tamto. – Pokręcił głową na
boki. – Nie nudzi to pani? Nie łatwiej dostrzegać po prostu
kobietę i mężczyznę?

– Łatwo panu mówić – rzuciła. – Panu wszystko wolno.

– A pani nie? – Uniósł brew. – Jakoś nie widzę tutaj
nikogo, kto nakazywałby pani cokolwiek. Ani pani matki,
ani nikogo, kto śmiałyby dyktować, jak powinna się pani za-
chowywać.

Helen spojrzała na niego nieco zdezorientowana. To
było naturalne dla niej oburzać się w chwili, gdy ktoś
traktował ją niestosownie. Tak robiły damy. Należało pil-
nować konwenansów, zasad i etykiety, które wpajano im
od dziecka.

– To nie jest takie proste – zaprzeczyła cicho i posmut-
niała. Cały gniew momentalnie gdzieś pierzchnął. Nie była
pewna, czy rozumie, co kapitan chce jej przekazać. Gdy na
niego patrzyła, zazdrościła mu oczywiście swobody i wol-
ności, z jaką płynął przez życie. Jednak ona najprawdopo-
dobniej już wkrótce będzie musiała wyjść za mąż za jakiegoś
obcego człowieka i nikt nie weźmie pod uwagę jej uczuć czy
pragnień.

– To jest bardzo proste. – Przybliżył się i uniósł deli-
katnie jej podbródek, jakby chciał ją pocieszyć. – Pomyśl.
Dopóki nie wrócisz do Londynu, możesz robić, co tylko
zechcesz.

– Oprócz chodzenia po pokładzie – dodała kwaśno.

– Naturalnie nierozsądne byłoby wystawiać się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Skakać z burty też nie polecam.

– Nie wiem, dlaczego miałabym skakać – obruszyła się.
– Prędeż...

– Prędeż to mnie zepchnęłabyś w morze, to chciałaś powiedzieć? – Kapitan odgadł jej myśli.

Dziewczyna rzuciła mu spojrzenie godne ulicznego rzezimieszka.

– Tak myślałem – wyszczerzył się. – To, co chciałem tylko powiedzieć, to to, że w tej kajucie możesz być wolna na tyle, na ile sobie pozwolisz, Helen – odparł miękko, zatapiając się w jej wyrażających wątpliwość oczach.

Przypominała mu teraz wystraszoną lanię, która boi się wyjść z lasu na polanę. Kusi ją świeżość i soczystość trawy, ale czuje się zbyt niepewnie, gdy dookoła nic jej nie otacza.

– Nie powinien pan zwracać się do mnie po imieniu – odparła cicho.

– Naprawdę? – Spojrzał na nią przyjaźnie. – Dlaczego? Jemy wspólne posiłki, myjesz mnie, a nawet śpimy w jednym łóżku. Czy naprawdę takie okropne jest, żebym zwracał się do ciebie po imieniu?

Helen zwinęła usta w ciup, zdawała się zastanawiać nad jego wypowiedzią.

– Powinien pan przynajmniej zapytać o moją zgodę – zachnęła się po chwili.

– Nigdy byś mi jej nie dała. – Ross uśmiechnął się lekko.
– Lubisz odgradzać się od ludzi w ten sposób. Dużo łatwiej jest trzymać kogoś na dystans, niż przyznać się do własnych uczuć.

– Jakich uczuć? – zdenerwowała się zaraz.

– Oczywiście tych, które i mnie trawia – rzekł uspokajająco. – Oboje się pragniemy. Od samego początku tak było.

Pierwszy raz w klubie Hamiltona, potem na balu. Czy możesz temu zaprzeczyć?

Patrzył na nią intensywnie, choć sam nie wiedział, skąd wzięły się w jego ustach te słowa. Przecież poprzysiął sobie nienawiść do światka, którego była przedstawicielką, jednak przy niej wszystko traciło na znaczeniu.

– Nie wie pan, że ja nie posiadam uczuć? – Uniosła dumnie podbródek. Jej oczy wyrażały smutek i rozgoryczenie. – Wszyscy o tym wiedzą, moja siostra, moja matka. Patrzą na mnie jak na sztywną lalkę, piękną, ale pustą. Nie jestem w stanie obdarzyć nikogo uczuciem, jestem po prostu zimna i...

Ross uciszył ją prędko, kładąc jej palec na ustach.

– Zimna? – zdziwił się. – Jesteś ostatnią kobietą, którą nazwałbym zimną. Jesteś jak wulkan, z zewnątrz nieprzystępna i pozornie spokojna, ale w środku cała aż płoniesz z emocji. Być może ludzie, którzy sądzą inaczej, nie poznali cię naprawdę?

– Tak pan myśli? Ale nawet na salonach...

– Już ustaliliśmy, co jest normą na salonach i jakie mam o tym zdanie. Czy to nie ty ostatnio zdziwiłaś się, gdy spytałem, o czym myślisz? – przypomniał jej. – To dlatego, że nikt nigdy się nie pokwapił, by poznać cię lepiej. Każdy głupiec jest w stanie dostrzec to, co jest dostępne dla oczu, ale tylko nieliczni potrafią zajrzeć w głąb.

Helen, słysząc te słowa, poczuła lzy pod powiekami. To, co mówił kapitan, trafiało prosto do jej serca. Miała wrażenie, że jest jedyną osobą, która odkryła przed nią tę prawdę. Prawdę o niej samej.

O kobiecie, której piękno zaślepiało innych, nie pozwalając zobaczyć najważniejszego. Jej charakteru, wad i zalet, tego, co myślała i jaką kobietą była.

A ona przyzwyczaiła się do tego. Przyzwyczaiła się spełniać oczekiwania wydumanego ideału, pięknej damy, którą wszyscy chcieli w niej widzieć. Począwszy od dżentelmenów, tłumnie przypochlebiających się jej ze względu na urodę, po matkę, która pyszniła się jej podbojami i liczyła na małżeństwo z mężczyzną księżęcej krwi.

Gdy kapitan przygarnął ją do siebie delikatnie, nie opowiadała. Potrzebowała zmierzyć się z tymi wszystkimi oczekiwaniami, ale nie chciała tego robić sama. Wtulila się w jego potężną pierś, pozwalając głaskać się po plecach i pocieszać. Nie było w jego ruchach niczego zdrożnego i była mu za to wdzięczna.

Potrzebowała teraz prawdziwego przyjaciela, takiego, który ją wesprze, który będzie z nią szczerzy, ale i łagodny.

Pociągnęła nosem, czując, jak po jej policzkach płyną łzy. A ona przecież nigdy nie płakała.

Jak mogła płakać, skoro wszyscy twierdzili, że nie ma uczuć.

Jak mogła płakać, skoro sama w to uwierzyła.

Kiedy kapitan usiadł na łóżku i posadził ją sobie na kolanach, pozwoliła mu na to. Przytulila się tylko ufnie i wciąż siąkając nosem, poddała się klębiącym się w niej od lat emocjom.

Temu, że przez tak długi czas nie była rozumiana, ale też sama nie potrafiła się zrozumieć.

Mężczyzna cierpliwie kołysał ją w ramionach, szeptał jej do ucha jakieś bzdurne pocieszenia. Gdy usłyszała „wszystkich ich wysłemy do diabła”, podniosła głowę i zaśmiała się przez łzy.

Podobało jej się, że powiedział „my”. Podobało jej się nawet, że przy niej przeklina. Traktował ją zupełnie inaczej niż wszyscy. Jakby była prawdziwą kobietą z krwi i kości,

a nie wychuchanym cudem świata, który należy oglądać i podziwiać.

– Bardzo bym chciała posłać ich do diabła – wydukała zduszonym głosem.

Mortimer wyciągnął z kieszeni spodni chusteczkę i podał jej. Dziewczyna wytarła nos i oczy. Po chwili westchnęła i uśmiechnęła się do niego.

– Lepiej? – Kapitan odgarnął jej kosmyk za ucho.

Przytaknęła kilkukrotnie jak mała dziewczynka. Czula się tak trochę, siedząc na jego kolanach w za dużej koszuli z podkulonymi nogami.

– Dziękuję – powiedziała w końcu, odzyskawszy głos.

Mężczyzna skinął głową i wykonał ruch, jakby chciał ją odsunąć.

– Musi pan już iść? – spytała z obawą, że już sobie pójdzie. Choć przez chwilę chciała jeszcze mieć go przy sobie. Mężczyznę, który w tym krótkim czasie stał się dla niej kimś wyjątkowym.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli sobie pójdę – powiedział powoli.

– Dlaczego? – spytała w zupełnej nieświadomości.

Ross westchnął ciężko.

– Helen – położył ciężkie dłonie na jej ramionach – twoja bliskość silnie na mnie oddziałuje. A ty potrzebujesz w tej chwili przyjaciela, nie kochanka.

Spojrzała na niego niepewnie. Przez dłuższą chwilę trawiła w myślach jego słowa.

– Ma pan na myśli, że teraz...

– Tak – przerwał jej, zaciskając szczęki.

Ona wciągnęła ze świstem powietrze i wstrzymała je. Dopiero w tym momencie zaczęła napływać do niej świadomość, gdzie się znajduje i jak on może odbierać jej zachowanie.

A przecież siedziała półnaga na kolanach mężczyzny, nie byle jakiego mężczyzny, w zasadzie jedyne, który otwarcie jej oświadczył, że bardzo jej pragnie.

– Nie wiedziałam, że pan aż tak...

– Ross – powiedział. – Mam na imię Ross.

– Nie wiem, czy... – Zmarszczyła brwi, miała wątpliwości, czy może pozwolić sobie na tę poufalość.

– Po prostu to zrób, Helen. Powiedz moje imię – polecił schrypniętym głosem. Nachylił się ku niej, przechylając szalę wyniku wewnętrznej walki w stronę kapitulacji. Jego ręce, zamiast odepchnąć, przyciągnęły ją do siebie.

Panna Williams spojrzała na niego rozszerzonymi, lazurowymi oczami, dostrzegając w jego źrenicach tysiące emocji, w tym i pragnienie, którego nie zdołał, a może nie chciał już ukrywać.

– Ross – powiedziała tak cicho, że miał wrażenie, iż się przesłyszał. Zawahał się, lecz po chwili zniżył głowę i ucałował z czułością kącik jej ust, jakby w podzięcie.

– Ross – powiedziała nieco głośnie, podając mu swoje usta, tak jak o tym marzyła. On jednak odsunął się odrobinię, po czym znów pocałował, tym razem w drugi kącik. Przymknęła oczy, delektując się jego pieścizotami.

Miała wrażenie, że znalazła się między chmurami, w objęciach słońca. Ciało mężczyzny było mocne, stabilne i gorące.

Przekręciła głowę, by dosięgnął wreszcie jej warg, jednak on wycofał się i okręcił Helen dookoła koldrą niczym zawiątko. Skrępował ją w kilku ruchach, a ona za późno zdała sobie sprawę, że nie jest to część ekscytującej zabawy. Gdy wystawał jej spod pościeli zaledwie czubek nosa, roześmiała się.

– A więc to jest pana sposób na dziewicę! – zawołała zaskoczona, choć też nieco rozczarowana. – Doprawdy potrafi pan sobie poradzić z kobietą.

– W tej chwili, Helen, nie przypominasz nawet kobiety.
– Machnął ręką na wysokości jej talii, która teraz mierzyła jakieś dziesięć razy więcej niż zazwyczaj.

– I ten plan ma odżegnać pana od tego, by mnie pragnąć? – domyśliła się.

– Zgadza się. – Wyprostował się bardzo z siebie zadowolony.

– I co, działa?

Kapitan pokręcił dłonią, jakby się wahał.

– Powiedzmy – wyznał po chwili.

– To wspaniale, jest pan uratowany – kontynuowała, rozbawiona jego zachowaniem.

Choć przecież zawsze wiedziała, że mu się podoba, sprawiło jej przyjemność, gdy otwarcie się do tego przyznał. A teraz, kiedy obrócił całą tę sytuację w żart, jeszcze bardziej go polubiła.

– Problem tylko w tym, że jest mi teraz bardzo gorąco – sapnęła, zdmuchując opadający na policzek kosmyk.

– To dlatego, że jesteś niezwykle temperamentną kobietą – przekomarzał się z nią.

– Myślę, że ten temperament może się ujawnić jeszcze bardziej, jeśli w tej chwili mnie pan nie uwolni.

– Zgoda, musisz tylko obiecać, że nie rzucisz się na mnie w szale namiętności – dolewał oliwy do ognia.

– Cóż, obawiam się, że nie mogę tego zrobić. – Zwinęła usta w ciup.

– A to dlaczego?

– Bo niestety znajduję pana dość atrakcyjnym.

Brwi Rossa podjechały do góry.

– I jest pani z tego względu bardzo niezadowolona? – spytał ostrożnie.

– Zgadza się.

– Wyraży współczucia. – Kapitan uklonił się rozbawiony.

Prychnęła cicho.

– Skoro tak bardzo mi pan współczuje, proszę mnie rozplątać z tego kokonu. Nie jestem mumią – zaczęła się irytować.

– Oczywiście. Trudno panią z nią pomylić – dodał po rycersku, po czym zaczął ją rozplątywać. Gdy tylko warstwy się rozluźniły, oswobodziła się do końca sama.

– A teraz, jeśli laska, i ja chciałabym się wykapać – powiedziała dumnie, niczym królowa w pieleszach.

– Wspomnę o tym Danny’emu, chociaż coś mi mówi, że nie będzie zachwycony. Czy potrzebuje pani mojej pomocy? – spytał niewinnym tonem.

Helen poprawiła poły koszuli, lypiąc na niego ironicznie.

– Obędzie się – odparła. – A Danny’emu współczuję serdecznie, ale nie na tyle, by zrezygnować z toalety. – Westchnęła po chwili strapiona. – To jest bardzo niekomfortowe mieć za całą garderobę jedynie jedną suknię.

– Mnie to nie przeszkadza. – Wzruszył ramionami. – Uważam, że jest ci w niej do twarzy.

– Rozumiem, że nie będzie się pan już do mnie zwracał per pani? – rzuciła mu niechętne, acz rozbawione spojrzenie.

– A pani, jak mi nie mam, nie zechce mówić mi po imieniu?

– Na to wygląda – potwierdziła, skinąwszy głową.

– W takim razie oboje jesteście bardziej uparci, niż to wypada.

– Najwyraźniej. – Wysiła się na obojętny ton, choć ledwie wstrzymywała uśmiech.

– To cię nie zabije – powiedział na odchodnym.

– Co takiego?

– Jeśli swobodnie będziesz wyrażać swoje emocje. – Mrugnął do niej.

– Bywają gorsze rzeczy niż śmierć – zachnęła się. – Jestem damą i nią pozostanę.

– Brzmi to bardzo dramatycznie.

– A pan powinien już wyjść – dodała kąśliwie.

Ross uśmiechnął się szeroko.

– Poranki z panią to sama przyjemność. – Skłonił się przy drzwiach. – Dzisiaj rano będzie czekać panią nowe zadanie. Niedługo się pani dowie – powiedział jeszcze, sięgając do klamki.

– Nie mogę się doczekać – mruknęła kwaśno, ale kiedy wyszedł, uśmiechnęła się szeroko.

Dawno tak dobrze się nie bawiła.

Dwie godziny później

Helen cały ranek spędziła na relaksującej kąpieli w wielkiej, miedzianej wannie. Była w doskonałym humorze, czuła się tak lekko na duszy, że nawet podśpiewywała sobie pod nosem.

Nie pamiętała, by kiedykolwiek tak się napawała swobodą.

Wiedziała, że niedługo to wszystko się skończy, jednak chciała korzystać z tej wolności, jak długo będzie to możliwe.

Kapitan okazał się wyjątkowym człowiekiem. Zupełnie innym, niż się spodziewała. Z początku była do niego bardzo uprzedzona, podobnie jak on do niej, jednak przy bliższym poznaniu znacznie zyskiwał.

Był inteligentnym, wyrozumiałym mężczyzną, który potrafił dostrzec o wiele więcej niż ktokolwiek z jej znajomych.

Potrafił dostrzec ją.

A to sprawiało, że jej serce niemal podskakiwało z radości.

Po niespiesznej kąpieli włożyła swoją jedyną suknię. O dziwo, przestało jej to przeszkadzać. Nie musiała ukladać

włosów w misterne fryzury, dobierać odpowiednich kolorów wstążek czy pasujących do stroju rękawiczek.

Była zwykłą kobietą i to zdawało jej się takie ożywcze!

Czuła się trochę tak, jakby schowała się przed całym światem. Jakby się stała inną osobą, kimś, kto może pozwolić sobie na większą śmiałość, na rozluźnienie dotychczasowych krępujących więzów.

Rozczesała palcami włosy i pozostawiła je rozpuszczone do wyschnięcia. Zjadła ze smakiem śniadanie, które przyniósł jej Danny. Wiedziała, że kapitan wszystkie swoje posiłki prócz obiadu jada we wspólnej mesie z marynarzami, więc nigdy na niego nie czekała.

Gdyby tylko mogła swobodnie wychodzić na pokład, gdyby знаła i lubiła się z załogą, mogłaby tak żeglować bez końca. Och, życie na statku byłoby cudowne, rozmarzyła się.

Wszystko wydawało się tu takie proste.

Nie musiała udawać kogoś, kim nie była, nie musiała dbać o konwenanse, chodzić z przyzwoitką, ubierać najmodniejszych sukni i dbać o swoją reputację.

Mogła gwizdać, skakać i chodzić tak szybko, jak chciała, nie przejmując się tym, że jej zachowanie zostanie skrytykowane. Czując, jak ta świadomość coraz silniej ją ogarnia, zawirowała na podłodze z zadowoleniem, nucąc skocznego kadryla. Podskoczyła lekko, wykonując jedną z figur tańca, i wylądowawszy na podłodze, zakończyła ją głębokim ukłonem.

Zanim podniosła głowę, usłyszała czyjeś oklaski dochodzące od strony wejścia.

Kapitan Ross stał w drzwiach i uśmiechał się szeroko. Dziewczyna zarumieniła się i poprawiła poły sukni, jakby nagle było to potrzebne.

– Tańczy pani zwinnie jak fryga – pochwalil ją, wchodząc do środka. Tuż za nim kroczył chłopiec okrętowy z naręczem świeżych ręczników i jakichś bibelotów.

Z każdym dniem Danny stawał się coraz bardziej ma-lomówny, co, jak wywnioskowała Helen, spowodowało cią-głe noszenie wiader z wodą.

Nie mogła mu pomóc. Skoro nie chciał używać wózka transportowego, który stał w rufówce, jego sprawa. Ona ani, jak podejrzewała, kapitan nie zaprzestaną przecież dba-nia o higienę.

– Postaw wszystko na stole, Danny, poradzę sobie z resztą.

Chłopak rozłożył przedmioty, tak jak go o to poproszo-no, po czym uklonil się i wyszedł.

– Cóż to takiego? – spytała, gdy kapitan zachęcił ją ge-stem dłoni, by podeszła bliżej.

– Narzędzia do golenia – wyjaśnił, pokazując jej po ko-lei każdy z przedmiotów. – Nie widziałas takich nigdy?

Helen skrzywiła się.

– Czy powinnam panu teraz przypomnieć, że jestem damą? Nikt w mojej obecności się nie goli.

– No tak – odchrząknął – w takim razie pani zadanie może być nieco utrudnione.

– Moje? – Odsunęła się o krok, przeczuwając najgorsze. – Tooo... nie jest chyba najlepszy pomysł.

– Najlepszy czy nie, mam nadzieję, że pani nie stchórzy i podejmie się swojego zadania – powiedział mimochodem, jakby wcale go to nie interesowało.

Oczywiście doskonale wiedział, jakie dobrać słowa, by panna Williams nie mogła oprzeć się wyzwaniu.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Dobrze – sapnęła w końcu. – Tylko niech pan potem nie narzeka, że pana pokroiłam.

– Kochanie, jestem pewien, że dasz sobie radę.
– Proszę tak do mnie mówić dalej, a przez przypadek pośliznie mi się ręka i odetnę panu nos.

– Urocza jak zwykle – powiedział wesoło, niewiele sobie robiąc z jej pogrózek.

Zaprosił ją znów, by się zbliżyła i zaczął objaśniać po kolei cały proceder.

– Najlepiej, żeby brzytwa była ciepła podczas golenia, dlatego po każdym użyciu moczymy ją w gorącej wodzie. – Wskazał na miseczkę z parującą wodą. – Tutaj jest mydło do golenia, które spieniamy pędzlem, a potem nakładamy pianę na brodę – wyjaśniał – żeby zmiękczyć zarost.

Helen pokiwała głową, przyglądając się uważnie przedmiotom. Ujęła pędzel w dłonie i sprawdziła jego miękkość na skórze.

– Jaki przyjemny – powiedziała zaskoczona. – Z czego to włosie?

– Z sierści borsuka.

Dziewczyna oddała mu szybko narzędzie.

– Okropieństwo. – Skrzywiła się z obrzydzeniem. – Biedny borsuczek.

– Jest pani taką entuzjastką zwierząt?

– Oczywiście – zdziwiła się, jakby to było naturalne. – Bardzo lubię wszelaką przyrodę.

– Zdaje sobie pani sprawę z tego, że pewne materiały trudno zastąpić innymi? – powiedział, patrząc wymownie na jej balowe buciki. – Pani obuwie wygląda na delikatne. Czy to cielęca skórka?

Helen podążyła za jego spojrzeniem, wbijając wzrok w swoje pantofle, jakby dopiero teraz pojawiły się na jej stopach. Już jej się nie podobały.

– Biedny cielaczek – odparła z żalem.

– Biedny, biedny – przytaknął jej, wzdychając ciężko. – A ja będę biedny, jeśli pokroisz moją twarz brzytwą.

– Może nie mam doświadczenia, ale szybko się uczę. – Wyprostowała się zaraz.

– Jestem przekonany, że wielu rzeczy szybko by się pani nauczyła – powiedział nagle zmienionym tonem.

Dziewczyna zaczerwieniła się aż po korzonki swoich włosów.

– Jak będzie pan mówił takie rzeczy, to zrobię z pana kolejną parę butów. Zimowych – zapowiedziała mściwie, mierząc go ostrzegawczym spojrzeniem.

– Dlaczego zimowych? – nastroszył się.

– Bo jest pan gruboskórny – rzuciła dobitnie. – Na bal też bym pana nie zabrała, bo będąc pantofelkami do tańca, z pewnością myliłby mi pan kroki.

– Musiałaby pani tańczyć z odpowiednimi partnerami.

– Czyli z żadnymi, jak znam życie? – Spojrzała na niego domyślnie.

Kapitan odchrząknął z zakłopotaniem. Oczywiście miała rację.

– Jeśli chodzi o golenie... – powrócił do tematu. – Kiedy naniesie już pani pianę na twarz, przykłada pani ostrze w ten sposób – zaprezentował jej na swojej dłoni – i przesuwa powoli wraz z włosiem.

Helen pokiwała głową, z uwagą przyglądając się jego ruchom.

– Czy brzytwa jest ostra?

– Danny ostrzy ją przed każdym goleniem.

– Aha. – Przelknęła ślinę. – Mam w takim razie nadzieję, że przez przypadek nie obetnę panu głowy.

– Umie pani nawigować statkiem? – spytał nagle.

– Nie. Dlaczego pan pyta? – Zmarszczyła brwi.

– Bo jeśli zginę z pani ręki, może mieć pani kłopot z dotarciem na powrót do Londynu.

Spojrzała na niego niechętnie.

– Rozumiem teraz wagę mojego zadania. Kapitanie. – Ostatnie słowo z rozmysłem zaakcentowała.

– W takim razie zabieramy się do dzieła – powiedział, po czym umościł się w fotelu. – Proszę przykryć mnie pod brodą, tak żeby nie zachłapać ubrania.

Helen sięgnęła po ręcznik i rozłożyła go. Po chwili przysunęła miękki materiał pod szyję Rossa, przeszła na tył i energicznie pociągnęła za oba końce, by zawiązać je na karku.

– Boże drogi. – Kapitan zakasłał, obejmując się rękami w obronnym geście. – Niech mnie pani nie dusi.

Dziewczyna krzyknęła cicho, widząc swoją omyłkę, natychmiast go przeprosiła i luźniej zawiązała końce.

– Lepiej? – spytała pewnym głosem, choć wcale nie czuła się pewnie.

– Lepiej. – Skinął głową i poinstruował: – Teraz mydło.

Helen znów podeszła do niego i stanęła między jego rozstawionymi nogami. Odwróciła się do niego bokiem, namoczyła pędzel i pochyłona zaczęła przesuwając nim po kostce mydła.

Ross przyglądał się jej z zadowoleniem. Dziewczyna zajęta przygotowywaniem piany nie zwracała na niego uwagi, ale jego wyobraźnia nie próżnowała.

Poruszył nieznacznie nogami, dotykając kolanami jej sukni i podziwiając uwypuklone teraz pośladki. Miał ochotę zamruczeć. Ręce mrowiły go od chęci dotyku.

Kiedy obróciła się w jego stronę, przywdział na twarz wyraz serdecznego oczekiwania.

– Proszę zobaczyć! – krzyknęła z zadowoleniem, podtykając mu pod nos pędzel. – Jak ładnie się spienił!

Ross uśmiechnął się pobłażliwie. Jak widać, najprostsze czynności sprawiały dziewczynie radość.

– Faktycznie, wspaniale – mruknął rozbawiony.

– Teraz to pan patrzy na mnie z góry. – Zmrużyła oczy, biorąc się jedną ręką pod bok.

– Obawiam się, że gdy to pani nade mną stoi, jest to technicznie niemożliwe – zauważył.

– Też coś – prychnęła, po czym pacnęła go wcale niedelikatnie pędzlem w brodę.

Spojrzał na nią z przyganą.

– Ups! – powiedziała słodkim głosikiem. – Wymsknęło mi się.

– Oby ci się tak nie wymsknęło z brzytwą, zlotko – bąknął odrobinę niepewnie.

– Oczywiście – przyznała obojętnie, jakby dla niej nie było to wcale ważne. Specjalnie chciała mu utrzyć nosa.

Nie zwlekając, namydliła mu twarz. Robiła to nawet dłużej niż powinna, ale jak zauważył Ross, wyraźnie cieszyła ją owa czynność.

– Podoba mi się ta sierść borsuka. – Pokiwała z zadowoleniem głową, przyglądając się pędzlowi.

– Borsukowi pewnie już mniej.

– Niech mnie pan nie wpędza w poczucie winy. Stało się – odparła zdecydowanie. – Teraz najlepsze. – Odwróciła się w stronę stołu, by sięgnąć po brzytwę.

– Moje życie jest w twoich rękach, kochanie – zaśmiał się nerwowo.

– Niech pan nie będzie dramatyczny – zbesztala go. – To tylko golenie, nie operacja.

Przelknął z wysiłkiem ślinę i skinął głową.

Dziewczyna rozpostarła ciepły ręcznik, w którym leżała ukryta brzytwa, rozłożyła ją i zanurzyła ostrze w gorącej

wodzie. Po chwili osuszyła ją i ustawiła się w bojowej pozycji naprzeciwko kapitana.

– Do dzieła – spróbował dodać jej i sobie odwagi.

Pochyliła się nad nim i chwyciła palcami jego brodę.

– Proszę się nie ruszać – powiedziała, przytykając brzytwę do krzywizny policzka. Wykonała powolny ruch, sunąc po jego skórze, po czym wyprostowała się, kręcąc na wszystkie strony głową, jakby oceniała swoje dzieło.

– To wcale nie jest takie trudne, jak się wydaje – zawyrokowała, zanurzając ostrze w wodzie.

– Wielu tak myślało i wielu poległo – dodał teatralnie, na co Helen pacnęła go wolną dłonią w bark.

Po chwili znów się nachyliła i wykonała drugi ruch, potem trzeci i kolejny. Kapitan siedział sztywno w milczeniu, próbując zachować względny spokój. Dziewczynie szło nadspodziewanie dobrze, co cieszyło go, można by rzec – niewymownie.

Mimo niepokoju, jaki mu towarzyszył, nie mógł nie dostrzec jej zaangażowania. Była poważna, jakby co najmniej prowadziła batalię z wrogimi wojskami. No, może niezupełnie, pomyślał z rozbawieniem Ross, bo podczas całego procesu golenia wysuwała nieświadomie język, co prawdopodobnie świadczyło o pełnym skupieniu.

Omam się nie poruszył, gdy wyobrazził sobie Napoleona szarżującego konno na polu bitwy z powiewającym na wietrze wystawionym jęzorem.

Zdołał się jednak opanować.

Ostatecznie zarówno na wojnie, jak i przy goleniu najważniejsze było to, by przeżyć.

Kiedy dziewczyna skończyła, obróciła palcami jego głowę w jedną i drugą stronę, po czym nachyliła się i cmoknęła go z entuzjazmem w usta.

– Teraz jest pan piękny! – powiedziała rozpromieniona. Ross uśmiechnął się krzywo. Co ona przed chwilą zrobiła? Zamajaczyło w jego myślach. Pocałowała go?

Kiedy na nią spojrzal, dostrzegł resztki piany na jej twarzy. Oto dowód!

Przyciągnął ją do siebie z zadowoleniem, więząc jej nogi pomiędzy swoimi udami.

– Proszę to zrobić jeszcze raz – polecił, patrząc na jej usta.

– Co? Ogolić pana? – Udała, że nie rozumie. – Nie ma z czego.

– W takim razie zrobi to pani jutro i pojutrze – powiedział stanowczo.

– Skoro takie jest życzenie kapitana... – Uśmiechnęła się psotnie i wymknęła z jego objęć.

Ledwie zdążyła odłożyć ostrze na stół, a do drzwi ktoś głośnie zapukał.

Ross zdjął z siebie ręcznik i wstał z fotela.

– Proszę wejść! – krzyknął mocnym barytonem.

– Kapitanie, potrzebny jest pan na pokładzie, zastanawiamy się, czy... – McFitz wkroczył szybkim krokiem do kajuty i spojrzawszy na Helen, zamarł w pół słowa. – Czy...

Ross obrócił się, by na nią zerknąć, i ledwie powstrzymał parsknięcie. Stała przy drugim końcu stołu i uśmiechała się życzliwie ze złożonymi na podolku dłońmi. Na jej nosie i policzkach znajdowały się resztki piany do golenia. Była tego zupełnie nieświadoma.

Kapitan obrócił się do oficera i uniósł jedną brew.

– Coś pan mówił? – spytał spokojnie.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że na jego twarzy również widnieją jeszcze ślady po mydle.

– Ja po prostu... – McFitz przeniósł na niego spojrzenie, a potem znów na nią. Podrapał się po karku zakłopotany. – Ja chciałem... – zaczął, ale bez powodzenia.

– Jaka się pan, panie McFitz – stwierdził surowym tonem, doskonale maskując swoje rozbawienie. Nie mógł sobie darować złośliwości, skoro już nadarzyła się ta niespodziewana szansa na zemstę.

Mężczyzna zamrugał nieporadnie i wbił wzrok w podłogę.

– Potrzebujemy pana na górze, sir! – Zasalutował po chwili sztywno.

– Hm... czy to bardzo pilne? – spytał Ross, doskonale wiedząc, co pomyśli sobie oficer.

Ten znów rzucił spojrzenie na pannę Williams.

– Ni... nie aż tak – wydukał.

– Znakomicie. – Kapitan poklepał go przyjacielsko po ramieniu. – W takim razie niedługo przyjdę.

Mężczyzna skłonił się wpół i wyszedł z kajuty.

Helen od razu do niego podeszła.

– On zachowuje się coraz dziwniej – skrzywiła się. – Widział go pan? – Patrzyła na drzwi, jakby oficer wciąż tam stał.

– A widziałaś siebie, Helen? – Uśmiechnął się do niej czule.

– Nie rozumiem.

Kapitan podszedł do niej i starszy z jej twarzy pianę, pokazał palce.

Dziewczyna zamarła w bezruchu.

– Czy ja miałam to na twarzy przez cały czas?! – wrzasnęła przerażona.

– Tak – zgodził się z nią ze stoickim spokojem, po czym obrócił się do niej plecami i zaczął przechadzać się

po kajucie, jak gdyby nic wielkiego się nie wydarzyło. – A może pocieszysz cię fakt, że ja również mam resztki piany na twarzy?

Helen zbladła.

– Nie? – domyślił się.

– Boże drogi, co on sobie o mnie pomyślał! – Przytknęła dłonie do policzków.

– Raczej o nas – wtrącił usłużnie.

Spojrzała na niego, jakby wyrosły mu właśnie skrzydła nietoperza.

– To jeszcze gorzej! – Tupnęła nogą.

– Czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Ja jestem mężczyzną, ty kobietą, jesteśmy zamknięci tu sami...

– To jeszcze nic nie oznaczał – rozwścieczyła się.

– Myślę, że pan McFitz będzie miał teraz rażąco odmiennie poglądy.

– Czy on sobie pomyśli, że my...

– ...jesteśmy kochankami – dokończył.

– ...się całowaliśmy? – dodała Helen równocześnie.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

Ross nie potrafił powstrzymać uśmiechu. I bardzo dobrze, że tak się stało. Przynajmniej ten podejrzany fircyk nie będzie przymilał się do Helen.

– Czy romans ze mną byłby taki straszny? Zdawało mi się, że wspominała pani wczoraj, że mam ładne, hmmm... ciało? – Próbował ją rozśmieszyć.

Dziewczyna przytknęła oczy, starając się uspokoić wzbierający w niej gniew.

– Czy mi się zdaje, czy ta sytuacja pana bawi?! – warknęła lodowatym tonem, ledwie nad sobą panując.

– Absolutnie nie – powiedział z powagą, po czym wybuchnął śmiechem.

– Ty potworze! – krzyknęła, rozglądając się za czymś, czym mogłaby w niego rzucić. Podeszła do stołu i chwyciła ręcznik. Ross skrył się po drugiej stronie mebla, gdy ręcznik poszybował w jego stronę.

– To tak cię obchodzi moja reputacja?! – krzyknęła znów, biorąc kolejny ręcznik.

Kapitan śmiał się, jednocześnie próbując zasłonić się przed puchatym pociskiem.

– To nie tak, kwiatuszku – bronił się słabo, po czym znów wybuchnął śmiechem.

– Ty padalcu! – Kolejny pocisk poleciał ku niemu. – Niech ja tylko znajdę tę brzytwę, a obetnę ci...

Ross przystanął, robiąc się momentalnie poważny.

– Kochanie, nie bądź taka mściwa. Mnie i moje przyrodzenie zostaw, proszę, w spokoju – usiłował ją uspokoić. Nikt, absolutnie nikt nie powinien żartować z męskiego przyrodzenia!

– Nie to miałam na myśli, ty zbrojeńcu! – Znów go zaatakowała. – Pomyślałam, że obciąłabym ci włosy. Do samej skóry! – Zaśmiała się głośno niczym demoniczna królowa.

– To już lepiej. Zawsze zastanawiałem się, jak bym wtedy wyglądał. – Udał, że bardzo go to intryguje.

Gdy Helen zauważyła, że jej groźba nie zrobiła na nim wrażenia, sięgnęła po pędzel, by nim w niego rzucić.

– Tylko nie rzucaj borsuczkiem – wyciągnął do niej ostrzegawczo palec – i tak już nie żyje.

Z gardła dziewczyny dało się słyszeć stłumione parsknięcie. Zrobiła dziwaczną minę, jakby się dusiła, po czym sama wybuchła śmiechem. Śmiała się serdecznie i długo, wreszcie dostrzegając komizm sytuacji. Wkrótce po policzkach zaczęły spływać jej łzy.

– Boże – wysapała po chwili, ocierając je. – Jestem kompletnie skompromitowana.

Ross podszedł do niej.

– Ale szczęśliwa – odparł z uśmiechem i pogłaskał ją po policzku.

Nie wiedzieć czemu, to oświadczenie na dobre ją uspokoiło. Dziewczyna nie odsunęła się od niego.

– Napilabym się czegoś. Zaszło mi w gardle – powiedziała lekko zachrypniętym głosem.

Ross wyciągnął kryształowe kieliszki i nalał im obojgu wina.

– Za pani pierwsze golenie! – wzniósł za nią toast.

– I pierwszą kompromitację! – zawtórowała mu, po czym wychylili kieliszki do dna.

Wieczorem w ładowni

– Nie podoba mi się to wszystko. – McFitz zmarszczył brwi, siadając na wielkiej skrzyni z towarem. – Dzisiaj, jak przyszedłem do kajuty kapitańskiej, wyglądało na to, jakbym w coś przeszkodził.

– Masz na myśli dziewczynę i kapitana? – spytał Tally, podchodząc do krat.

Mężczyzna skinął głową.

– Nie możesz do tego dopuścić. – Spojrzał na niego ostro. – Ona ma dla nas wartość, jedynie gdy jest nietknięta.

– A co mam zrobić? Łatwo ci mówić, gdy tu sobie siedzisz i nic nie musisz robić! – warknął.

– Myślisz, że chcę tu być? – zaatakował go Tally. – Nie mam nic innego do roboty?

– Trzeba było nie dać się złapać. Przechytrzyła cię dziewczyna, na Boga! – wytknął mu.

Tally splunął ze złością na podłogę.

– Nie zapominaj, że mogłem cię wydać kapitanowi. Na-
dal mogę to zrobić – zakomunikował złowrogo.

– Nie zrobisz tego, wciąż mamy szansę zarobić.

– Skąd wiesz, że tego nie zrobię? – Uśmiechnął nieprzy-
jemnie. – Jak nie upilnujesz dziewczyny z dala od kapitana,
być może nie będę trzymał gęby na kłódkę – syknął. – Nic
już nie będę miał do stracenia.

– Zadbam o to – zapewnił go naprędce. – Mamy plan,
niedługo dopłyniemy do Portugalii, a tam pozbędziemy się
kapitana.

– Raczej ty się go pozbędziesz. Mam nadzieję, że wiesz,
co robić.

McFitz wyprostował się dumnie.

– Nie takie rzeczy robiłem na wojnie. Potrafię pozbywać
się niewygodnych ludzi.

– Musisz zrobić to po cichu, tak żeby nie wzbudzić ni-
czyich podejrzeń.

Oficer skinął głową.

– To nie powinno być trudne. Kapitan niczego się nie
spodziewa, a większa część załogi dobrze mnie zna.

Tally oparł się o kraty i zaczął dlubać w zębach.

– Musi być ci nie w smak, że Davis nie chciał, żebyś tym
razem pokierował wyprawą, co? – zarechotał.

– Zamknij się – warknął. – To, że tego nie zrobił, pokrzyżo-
wało nasze plany i właśnie dlatego siedzisz teraz w klatce. Wcze-
śniej nie mieliśmy takich problemów, załoga siedziała cicho, do-
póki dostawała swoją część i udawało nam się bez problemu
dostarczać nasz żywy towar na Wybrzeże Kości Słoniowej.

Marynarz spojrział na niego spode łba.

– Nic na to nie poradzę, że masz taką parszywą gębę
i nie spodobałeś się Davisowi, ale mamy stałych nabywców,

nie możemy stracić ich zaufania. Sam wiesz, że długo na to pracowaliśmy – powiedział napiętym głosem.

– Wiem, tylko sprawa teraz jest znacznie bardziej skomplikowana. Odkąd pojaliśmy tę dziewczuchę, ciągle mamy pod górkę.

– Jak pozbędziesz się kapitana, wszystko wróci do normy. Spróbuj to schrzanić, a sam pozbędę się ciebie – zagroził mu.

– Jeśli mi się nie uda, zostaniesz postawiony przed sąd – zauważył McFitz bez cienia uśmiechu.

Tally patrzył na niego nieruchomo. Jego twarz nie wyrażała żadnej emocji i chyba to było w nim najstraszniejsze. Człowiek nigdy nie wiedział, czego się po nim spodziewać.

Mimo swojej postury McFitz wyglądał, jakby skulił się w sobie.

– Statek ginie wraz z załogą – odparł tamten. – Chyba wiesz, że jeśli pójdę na dno, zabiorę cię ze sobą? – wyznał nieprzyjemnym szeptem.

John spojrział mu w oczy i wiedział, że ten nie rzuca słów na wiatr. Przeklął siarczyście.

Teraz już doskonale rozumiał swoje położenie. Albo uda mu się zlikwidować kapitana, albo będzie musiał pozbyć się Tally’ego.

Następnego dnia, po południu

– Panna Williams bardzo chciała panów poznać – powiedział kapitan, zapraszając kolejno do kajuty dwóch wyższą rangą członków załogi. Ku uciesze dziewczyny mężczyzna zaaprobował jej wcześniejszą prośbę, by zaprosić pozostałych oficerów na wspólny obiad.

Mężczyźni uklonili się nieco sztywno, a Helen podeszła bliżej.

– Pan Fredric Gibson zajmuje się głównie nawigacją i kreśleniem map, a pan Gregory Sallisbury dba o bezpieczeństwo nasze i naszego towaru – przedstawił ich pokrótce. – Pana Johna McFitza już pani zna – dodał po chwili, wskazując na ostatniego gościa. Dziewczyna stanęła obok kapitana, skinęła głową, gdy ją przedstawił, po czym wycofała się, by zająć miejsce przy stole.

Przygotowała się na to spotkanie najlepiej, jak potrafiła, choć w tych warunkach niewiele mogła zrobić. Po trosze brak jej było towarzystwa, jakie zawsze otaczało ją w Londynie.

Włożyła nieco wysiłku, by ułożyć włosy w elegancki węzeł na karku i na tym kończyły się jej zabiegi. Nie miała bowiem żadnej eleganckiej garderoby ani ozdób.

Kiedy panowie usiedli do stołu, kapitan przywołał Danny'ego, by ten nalał gościom wina.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie mam szansę panów poznać – powiedziała serdecznym tonem Helen. Była podekscytowana, ale też odrobinę zdenerwowana tym spotkaniem. Pomyślała nawet, że przez ten krótki czas z dała od socjety trochę się odzwyczaiła od przyjmowania gości, pośród których przecież zazwyczaj brylowała z wrodzoną łatwością.

Mężczyźni pokiwali tylko głowami, nawet na nią nie patrząc. Zajęli swoje miejsca po bokach, natomiast kapitan usiadł na drugim końcu naprzeciw niej.

– Doskonały alkohol – pochwalili ni stąd, ni zowąd Gibson, zwracając się do Rossa. – Na statkach zawsze brakuje mi dobrej jakości trunków.

Kapitan spojrział na zdziwioną Helen, której w zasadzie nikt nie odpowiedział, po czym przeniósł wzrok na swojego towarzysza.

– Cieszę się, że panu smakuje – podziękował uprzejmie.
– Sam staram się nie korzystać zbyt wiele z alkoholi na morzu – wtrącił Sallisbury. – Już wystarczająco kręci mi się w głowie od samego bujania na falach.

Pozostali zaśmiali się z tego niewybrednego żartu.

– A czy pani miała jakieś trudności z dostosowaniem się? Jak wyglądały pani pierwsze dni na statku? – zwrócił się do niej McFitz, obrzucając ją fałszywie niewinnym spojrzeniem.

Dziewczyna dostrzegła kątem oka, jak kapitan zaciska usta. Czyżby McFitz z premedytacją chciał wprawić ją w zakłopotanie?

– Jak pan doskonale wie, nie znalazłam się tutaj z własnej woli. Swoje pierwsze dni spędziłam spętana w ładowni – odparła chłodnym, lecz spokojnym tonem. – Czy właśnie o to pan pyta? Jak dama poradziła sobie w prymitywnych warunkach?

Oficer nawet nie mrugnął.

– Ależ ja tylko zapytałem, czy miała pani kłopot z chorobą morską – odrzekł tonem, jakby jej słowa bardzo go uraziły. – Wiele osób, w szczególności dam, niezbyt dobrze ją znosi.

– Ma pan doświadczenie z damami, które niezbyt dobrze znoszą podróże morskie? – spytała, upiwszy łyk wina. – Zdaje się, że kapitan wspomniał, iż żeglują pan tylko na statkach handlowych?

Spojrzała mu prosto w oczy i zdało jej się, że go to zdenierwowało.

– Znam to nie z doświadczenia, a z opowieści – odparł ze sztucznym uśmiechem.

– Odkąd żegluję, nieraz widziałem niby zatwardziałych marynarzy, jak niezbyt dobrze sobie radzili z chorobą morską – powiedział pogodnie kapitan, starając się

rozładować atmosferę. – Zdaje się, że ta słabość nie wybiera płci.

Helen podziękowała mu spojrzeniem.

– Osobiście, nie licząc innych niewygód, które zaserwowałam mi porywacz, nie odczułam żadnych nudności – wyznała dumnie.

– Jest pani w takim razie szczęściarą – odparł Ross.

– Miałam szczęście, że udało mi się uwięzić mojego porywacza w klatce.

– Którym z początku myślała pani, że jestem ja – przypomniał jej zaraz ze śmiechem, wracając myślami do dnia, gdy Helen wydostała się z ładowni. – Jestem pewien, że pani odważnego występu nie zapomni nikt, kto go widział. Prawda, Danny? – zwrócił się do chłopca, który czekał usłużnie z boku na znak, by przynieść potrawy.

– Tak jest, panie kapitanie! – zawołał donośnie.

– Na szczęście ta syrena, która podobno pojawiła się nagle na statku, okazała się dobrze urodzoną damą. To zaszczyt teraz panią gościć w swojej kajucie – powiedział i sklonił się jej rycersko.

Helen uśmiechnęła się leciutko. Widocznie kapitan chciał dać dobry przykład swoim mrukliwym towarzyszom. Przecież gdy byli sami, zwracał się do niej bardzo swobodnie i z pewnością nie odznaczał się taką kurtuazją, jednak rozumiała jego przesłanie. Pragnął, by inni traktowali ją z szacunkiem. Tylko wtedy mogłaby poczuć się bezpiecznie.

Gdy gestem dłoni dał znak chłopcu, wniesiono pierwsze danie.

– Gdybym była syreną, mogłabym szybko popłynąć do Anglii – zauważyła, śledząc wzrokiem dwóch marynarzy, którzy stawiali przed nimi talerze z zupą.

– Zakładając, że bym panią wypuścił. – Ross rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

Helen uśmiechnęła się skromnie, a gdy odwróciła wzrok, dostrzegła wbite w siebie krytyczne spojrzenia pozostałych mężczyzn.

– Zakładając, że nie zostałabym zjedzona – mruknęła, sięgając po łyżkę.

– Zjedzona! – zaśmiał się McFitz. – Ma pani bujną wyobraźnię.

– Dziękuję – odparła grzecznie, udając, że jego wypowiedź oznacza komplement.

Jednocześnie pomyślała, że ten obiad zaczyna zmierzać w niespodziewanym kierunku. Najwidoczniej kapitan miał rację, ukrywając ją przed innymi w kajucie i twierdząc, że mężczyźni wystrzegają się kobiet na statku.

– Jak pani widzi swój powrót do Anglii? – spytał Gibson nieco zmanierowanym tonem głosu. – Z pewnością pani rodzina będzie bardzo zawiedziona.

– Zawiedziona? – Łyżka, którą właśnie podnosiła do ust, zawisała w powietrzu.

– Cóż, spędziła pani i jeszcze spędzi wiele dni na statku pełnym mężczyzn. Bez przyzwoitki. To z pewnością wpłynie na pani reputację. – Oficer nawet nie wysiłił się, by ukryć pogardę.

– Jestem pewna, że moja rodzina będzie szczęśliwa, widząc mnie całą i zdrową – odparła, ledwie hamując złość.

– Z tego, co wiem, arystokraci kładą mocny nacisk na konwenanse. Czy nie będzie pani przeszkadzało, że zostanie pani wykluczona z towarzystwa? – kontynuował bez grama taktu.

– Sugeruje pan, bym oszczędziła rodzinie przykrości i rzuciła się w morze? – spytała kąśliwie.

– Dla niektórych mogłaby to być niejaka ulga, jednak nie pochwalam odbierania sobie życia – ciągnął protekcyjnym tonem. – To grzech śmiertelny.

Helen ledwie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Co za impertynencki gbur! Jeszcze gorszy niż niejeden zadufany w sobie „jaśnie pan”.

Zerknęła na Rossa, który bacznie ją obserwował.

– Pan Gibson to były kaznodzieja – powiedział, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

– Och, były? – Wbiła lodowaty wzrok w oficera. – Ciekawe, co się takiego stało, że musiał pan zrezygnować z posługi i uciekać na morze – rzuciła bezlitośnie.

Mężczyzna odchrząknął tylko i zaczął tak szybko pochłaniać zupę, jakby od tego zależało jego życie.

Jeden z głowy, pomyślała Helen z satysfakcją.

Choć nie tego się spodziewała po wspólnym obiedzie, styczność z tymi nadętymi osobnikami wyostrzyła nieco jej zmysły. Jednak nie po raz pierwszy spotykała się z takim traktowaniem. Umiała o sobie zadbać.

Ci panowie trafili na niewłaściwego przeciwnika, jeśli sądzili, że spieszy się i zamilknie pod ich karcącymi spojrzeniami.

– Czy pani rodzina wie już, co się z panią stało? – spytał McFitz, oddając jednocześnie Danny’emu swój talerz.

– Niestety, nie było jak dotąd możliwości, żeby posłać wiadomość – wtrącił Ross. – Myślę, że rozsądnie będzie wysłać jeden list w Porto. Trudno powiedzieć, kiedy znajdziemy dla panny Williams odpowiedni statek powrotny. Być może list dojdzie wcześniej, choć nie liczyłbym na to.

– Rozumiem – odparł. – W takim razie rodzina wciąż nie wie, że pani żyje.

Kapitan wymienił się znaczącymi spojrzeniami z Helen. Ta rozmowa stawała się coraz bardziej nieprzyjemna.

– A czy ktoś wie, że pan żyje? – Nie mogła sobie darować uszczypliwości. – Przecież nigdy nie wiadomo, co może

się zdarzyć na morzu – sprostowała i zaśmiała się, jakby to miał być żart. Nikomu jednak nie było do śmiechu.

– Pomyślałem o tym samym – odparł McFitz, świdrując ją wzrokiem.

Po chwili wniesiono drugie danie. Zapach pieczonego mięsa rozszedł się po całej kajucie.

– Czy tęskni pani za domem? – spytał po chwili Sallisbury i dziewczyna miała ochotę wywrócić oczami. Jak wiadać, całe spotkanie skupiło się na niej. Na wypytywaniu, a potem krytykowaniu.

– Tak, oczywiście, bardzo mi ich brakuje – powiedziała oględnie.

– Niezamężna kobieta musi się czuć bardzo samotnie z dala od domu.

– Podejrzewam, że niewiele inaczej niż nieżonaty mężczyzna. – Zmusiła się do uśmiechu. Znała tego rodzaju wypowiedzi. Miała czasem wrażenie, że mężczyźni tylko po to podkreślają kobiecą wåtłość i delikatność, żeby sami poczuli się bardziej męsko.

– Współczuję pani, jednak zdaje się, że dobrze się pani zaaklimatyzowała w kajucie kapitana – powiedział, cmokając i zezując jednym okiem na kapitana.

Dziewczyna zawrzała z wściekłości. Oczywiście wieść o wczorajszej scenie, której świadkiem był oficer McFitz, już rozeszła się po pokładzie.

– Czy pan coś sugeruje? – Wyprostowała się dumnie, wycierając usta serwetką. – Wolalabym, żeby mówił pan wprost, jestem tylko kobietą, nie pojmuję zawołowanej krytyki – syknęła.

Ledwie tknęła posiłek, ale każdy kęs, który przelknęła, ciążył jej ołowiem w żołądku.

– Rozumiem słabość umysłu pani płci, być może nie zdaje sobie pani sprawy z zasadzek na nią czyhających

– odpowiedział jej Sallisbury, kierując znaczące spojrzenie na kapitana. – Ostatecznie jest pani tylko niewinną panną na wydaniu.

To ostatnie zdanie wyraził z takim politowaniem, jakby była nie człowiekiem, a jakimś biednym, bezrozumnym króliczkiem nieumiejącym o sobie decydować.

– Moja „słabość umysłu” na szczęście doskonale potrafi wychwycić prostackie zachowanie – odparła, słodko się do niego uśmiechając.

Usłyszała ciche parsknięcie po drugiej stronie stołu, które zaraz zamieniło się w udawany kaszel.

– To, co jak pozwalam sobie sądzić, miał na myśli pan Sallisbury – ujął się za nim McFitz – to fakt, że pani zszargana reputacja z pewnością nie pozostanie bez echa. Dla panny na wydaniu to musi być prawdziwa katastrofa.

– Dlaczego pan sądzi, że moja reputacja została zszargana? – spytała odważnie.

– Cóż... – Oficer odkaszlnął. – Mam pewne powody, by sądzić, że...

– To niech pan nie sądzi, McFitz – zgromił go kapitan. – Panna Williams jest damą i tą damą pozostaje, czy to w Anglii, czy na statku. Oburzające jest pana domniemanie, by mogło być inaczej.

– Pani bezpieczeństwo ze wszelkich miar jest dla nas wszystkich najważniejsze – odparł oficer z galanterią, co jednak nie robiło już na niej wrażenia.

A to podstępna zmija, pomyślała Helen, tylko czeka, żeby wsadzić kij w mrowisko.

– Jestem o tym przekonana – powiedziała z niesmakiem. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

Wkrótce kapitan przeniósł rozmowę na ich wyprawę, za co Helen była mu niezmiernie wdzięczna. Niewiele już się odzywała, a mężczyźni zdawali się pochłonięci swoimi tematami.

Gdy nadeszła godzina zmiany wachty, pan Gibson wstał z fotela i podziękował za gościnę. Wkrótce wszyscy rozeszli się do swoich obowiązków. Danny i kilku innych marynarzy sprzątnęli zastawę i dziewczyna została w kajucie tylko z kapitanem.

Obawiała się, że i on zgani ją za jej zuchwale zachowanie, dlatego unikała jego bliskości. Wyglądała właśnie przez okno, gdy usłyszała, że do niej podchodzi.

– Byłaś niepoprawna – stwierdził, na co ona jedynie wbiła wzrok w jakiś odległy punkt i czekała na reprimendę.

– Nie pozostawili mi wyboru – mruknęła w końcu pod nosem. Nie miała już sił na żadne swary, zmęczyło ją to spotkanie.

– Wiem – zgodził się, odwracając ją ku sobie i podnosząc do góry jej podbródek.

Spojrzała na niego zdziwiona i dopiero teraz dostrzegła czułość, jaka malowała się w jego oczach. Niewiele myśląc, przytuliła się do jego masywnej piersi, a on objął ją ciasno ramionami.

– Byłaś bardzo dzielna – wymruczał w jej włosy, a ona westchnęła, czując, jak całe napięcie tego wieczoru powoli z niej uchodzi. Właśnie tego w tej chwili potrzebowała. Ciepłych ramion i wsparcia.

– Nie pomyśli pan, że jestem słabą kobietką? – Pociągnęła nosem.

– Jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam, Helen – zapewnił ją.

– Kobiet? – nastroszyła się. – To ile ich pan zna.

Ross podrapał się po głowie.

– Kilka... – zaryzykował, lecz widząc jej miażdżące spojrzenie, dodał: – ...naście?

Prychnęła z nagana, słysząc to oczywiste kłamstwo, lecz nie przejęła się tym zbyt.

– Z pana opinii wnoszę, że na tle mężczyzn wciąż wypadam nieprzekonująco – burknęła w jego pierś. – Inaczej powiedziałby pan nie najsilniejszą „kobietą”, jaką znam, tylko „człowiekiem”, jakiego znam.

Ross odsunął ją od siebie łagodnie i spojrzał jej w twarz.

– Helen, kochanie. Wysnuwasz zbyt daleko idące wnioski. Chyba to, jak udało ci się rozprawić z trzema oficerami naraz, mówi samo za siebie?

Dziewczyna uśmiechnęła się leciutko.

– Pana oficerowie to idioci.

– Zgadzam się z tobą w stu procentach. Prawdę mówiąc, żałuję, że podjąłem się tej wyprawy. Moja załoga, z którą podróżuję od lat, odznacza się znacznie większym taktem i – nachylił się ku niej – poczuciem humoru.

– I nie są przesadnie bogobojni, by rzucać mnie na stos? – dopytywała, odzyskując dobry nastrój.

– Broń Boże! – zawołał, unosząc dłonie.

Helen skrzywiła się.

– Nie jestem pewna, czy powinnam traktować pana słowa poważnie.

– Prędzej wyrzuciliby cię przez burtę – sprostował. – Pożar na statku nie jest najszcześniejszym pomysłem. – Zrobił minę, jakby właśnie to sobie wyobrażał.

Helen pacnęła go ręką w bark, ale wciąż się uśmiechała.

– Mógł mi pan chociaż pomóc!

– Po co? – zdziwił się. – Doskonale sobie radziłaś sama. Te cięte odpowiedzi i słodkie uśmieszki! Cios za ciosem, jak w szermierce!

Dziewczyna omal nie pękła z dumy, widząc jego zachwyty.

– Cóż, na salonach nauczyłam się tego i owego – odparła skromnie.

– Nie wątpię, że miała pani wiele okazji, by skorzystać ze swojego „słabego, kobiecego umysłu”. Wśród elity trzeba mieć oczy dookoła głowy.

– Jak widać i wśród mniej możnych jest podobnie.

– Straszna z pani grzesznica. – Udał, że gromi ją spojrzaniem, jak przed chwilą robił to Gibson.

Dziewczyna, widząc jego popis, uśmiechnęła się i przytknęła w dramatycznym geście dłoń do czoła.

– Och, proszę mi wybaczyć, że jeszcze żyję!

– Pani rodzina będzie w rozpacz, gdy pani wróci – zawtórował jej.

– Natychmiast to naprawię i rzucę się w odmęty morza.

– Podbiegła scenicznym truchtem w stronę okna.

– „Nie pochwalam odbierania sobie życia” – zacytował znów kaznodzieję przemądrzałym głosem. – Zabraniam pani tego.

– Och, w takim razie nie mogę tego uczynić – zrobiła efektowną pauzę – ponieważ pana urażę – zakończyła, po czym roześmiała się głośno.

Ross podszedł do niej wabiony radością widniejącą w jej oczach. Objął ją w tali, jakby to było coś naturalnego.

– Nie będziesz już chciała jadać z oficerami? – spytał cicho, gładząc ją po bokach kciukami.

– Raczej nie. – Skrzywiła zabawnie nosek, kładąc ręce na jego piersi i bawiąc się połami koszuli.

– W takim razie jeszcze przez kilka dni jesteśmy zdani tylko na siebie – mruknął, odsuwając kosmyk włosów opadający na jej policzek.

Helen zagładnęła mu w oczy i dostrzegając w nich pragnienie, przelknęła z wysiłkiem ślinę.

– Może się nie pozabijamy – powiedziała, czując, jak i w niej wzbiera ekscytacja.

– Nigdy nie wiadomo, z twoim temperamentem wszystko jest możliwe – zażartował.

– Pan też do uległych nie należy.

– Gdybym był uległy, nie lubiłabyś mnie tak bardzo – powiedział nad wyraz pewny siebie.

Helen już miała zaprzeczyć, ale przecież oboje wiedzieli, że nie byłaby to prawda.

– A pan? Co pan o mnie myśli? – spytała, tonąc w jego ciemnych jak głębinę źrenicach.

– Myślę, że gdybym był innym mężczyzną, w innym czasie... – zaczął melancholijnie i choć nie dokończył swojej wypowiedzi, Helen wiedziała, co chciał jej przekazać.

Gdyby oboje byli kimś innym, niż są, być może czekałaby ich wspólna przyszłość.

Dobrze się ze sobą dogadywali, jednak przedstawiali sobą dwa zupełnie różne światy. Panna Williams była na wskroś damą, z całym swoim bagażem zobowiązań i zasad, a Ross był charyzmatycznym wolnomyślicielem, kimś, kto nie ugiałby się pod pręgierzem ograniczeń.

Uśmiechnęła się smutno, gładząc w zamyśleniu jego pierś.

– Gdybyśmy oboje byli kimś innym... – wyraziła na głos swoje myśli, patrząc mu głęboko w oczy. – Niestety, jestem tylko „niewinną panną na wydaniu”...

– ...która „zaaklimatyzowała się w kajucie kapitana” – dokończył za nią, po czym schylił się, by ją pocałować.

– Bardzo milego kapitana – dodała jeszcze, po czym podarowała mu swoje usta.

~

Ross bardzo długo czekał na jej przyzwolenie. Na to, by sama z własnej, nieprzymuszonej woli otworzyła się na niego.

Kiedy jej dotknął, a ona go nie odrzuciła, cały aż zadrżał z radości.

Przycisnął ją do siebie mocniej i zagarnął jej wargi w głębokim pocałunku, czując, że nie potrafi ani nie chce być delikatny, ani ostrożny.

Ona również szybko dała się ponieść emocjom i przylgnęła do niego ciasno. Odetchnął głęboko, spijając słodycz, jaką dawały mu jej wargi. Zastanawiał się, ile razy, odkąd całowali się u Hamiltona na przyjęciu, marzył o tym, by znów to zrobić. Ile razy wpatrywał się w jej usta, wyobrażając sobie ich dotyk w najdrobniejszym szczególe, by potem zachować swoje myśli dla siebie.

Kiedy Helen w końcu poczuła na sobie jego wargi, omal nie rozplynęła się z rozkoszy. Przebywanie z nim we wspólnej kajucie, spanie w jednym łóżku, kąpiele i rozmowy, to wszystko bardzo zbliżyło ich do siebie.

Nigdy dotąd nie miała okazji z tak bliska przyjrzeć się mężczyźnie i jego zwyczajom. Kapitan był pogodnym, charyzmatycznym człowiekiem czynu, posiadał silny charakter i urok, który mógłby skruszyć niemal każde kobiece serce.

Choć bronila się przed tym długo, musiała w końcu przyznać sama przed sobą i przed nim, że jest w nim zadržona.

Beznadziejnie i nielogicznie, bo przecież nic nie mogło tłumaczyć budzącego się uczucia wytwornej damy do zuchwalego pirata, za jakiego go uważała. Był wszakże kompletnym jej przeciwieństwem. Tyle że w jakiś sposób byli też do siebie podobni. Cokolwiek łączyło ich charaktery, sprawiało, że Helen z każdym dniem coraz bardziej widziała w nim mężczyznę godnego uwagi.

Mężczyznę, dzięki któremu jej serce, jej zimne lodowate serce zabiło żywiej.

Świadomość tego, że potrafi, że czuje, dodała jej odwagi.

Być może była to straceńcza odwaga, przecież już wkrótce ich drogi miały się rozejść, jednak nie chciała teraz o tym myśleć.

W tym krótkim czasie kapitan stał się jej przyjacielem i kimś bliskim sercu. Nie chciała i nie zamierzała go odpychać.

Jej reputacja w Londynie i tak już była zbrukana, nie mogłaby pogorszyć jej jeszcze bardziej.

Przywarła do jego piersi, muskularnej i ciepłej, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Choć znali się krótko, miała wrażenie, że znają się od zawsze, a te kilka wspólnych dni zatarło między nimi wszelkie granice.

Uniosła się na palcach, by móc oddać mu pocałunek, co spotkało się z głębokim pomrukiem.

Chwycił w dłonie jej głowę, poluźniając elegancki węzeł, który zaplotła na przybycie gości.

– Tylko nie narzekaj, że psuję ci fryzurę – usłyszała jego głos i przypomniała sobie zaraz, jak się oburzyła, gdy zmierzwił jej włosy na przyjęciu Hamiltonów.

Uśmiechnęła się pod jego ustami.

– Nie zrobię tego – odparła, po czym zarzuciła mu obie ręce na szyję.

Ross przycisnął Helen do siebie mocniej, by chłonąć ją całym sobą. Pragnął jej od tyłu dni, udawał, odtrącał, aż w końcu się poddał.

Podniósł ją z ziemi i trzymając na rękach, podszedł do łóżka.

Gdy położył ją na miękkim posłaniu, nie protestowała. Patrzyła tylko na niego zamglonymi z pożądania oczami, jakby pragnęła go równie mocno co on jej.

– Helen – wychrypiał. – To jest ostatni moment, w którym byłbym w stanie się powstrzymać.

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

– Pragniesz mnie? Nie dla moich tytułów czy pozycji, lecz dla mnie samej? – spytała po prostu.

– Tak – powiedział z powagą, jakby składał jej jakieś przyrzeczenie. – A ty? Akceptujesz to, kim jestem i co zdecydowałem się odrzucić? – Ross miał na myśli odtrącone dziedzictwo.

– Tak – odparła i wyciągnęła ku niemu ramiona.

Położył się obok niej i przyciągnął do siebie. Jednomyslność i zgoda, jakie między nimi zapanowały, zdawały się wręcz nierealne. Helen zawsze drwiła z określeń takich jak „druga połówka” czy „bratnia dusza”, ale gdy kapitan obspypywał jej twarz pocałunkami, śmiała mieć nadzieję, że te bzdurne, romantyczne wyobrażenia młodych pańienek o idealnym kochanku mogą stać się prawdziwe.

Westchnęła, gdy jego pieśczęty stały się bardziej zmysłowe. Leżała na wznak, a on obcałowywał jej twarz, jakby miał do czynienia z czymś bardzo delikatnym i kruchym.

– Jest pan wyjątkowo delikatny jak na tak dużego mężczyznę – stwierdziła, przymknąwszy z zadowolenia oczy.

– Wierz mi, kochanie, przychodzi mi to z niemalym trudem – powiedział schrypniętym głosem. – Wiem jednak, że jesteś w tych sprawach nowicjuską. Nie chcę cię wystraszyć.

Przekręciła się na bok i nachyliła ku niemu, jednocześnie gładząc dłonią jego pierś.

– Moja wiedza w pewnym momencie rzeczywiście się kończy, ale liczę, że nauczy mnie pan wszystkiego, co sam umie – wyszeptala.

Kapitan wciągnął ze świstem powietrze.

– Wszystkiego? Jesteś pewna? – spytał oszołomiony jej oświadczeniem. Powolnym ruchem zsunął suknię i pocałował jej odsłonięte ramię z nabożnością.

– Skoro już zdecydowałam się mieć z panem romans, chyba szkoda byłoby go mieć tylko połowicznie? – powiedziała po prostu, co Rossa bardzo rozbawiło.

– Zdecydowała się pani mieć ze mną romans? – powtórzył jej słowa, owiewając oddechem jej szyję. – To brzmi bardzo niezależnie. Czy na pewno jest pani tą samą kobietą, którą spotkałem w klubie Hamiltona?

Zaśmiała się na to stwierdzenie i wplotła dłonie w jego włosy.

– Myślę, że teraz, na tym statku bardziej o sobie decyduję, niż kiedykolwiek będzie mi to dane. Dlatego wybrałam pana. W innych okolicznościach prawdopodobnie nigdy bym tego nie zrobiła – wyznała, odchylając głowę do tyłu, by dać mu do siebie lepszy dostęp.

– Biedny, delikatny kwiat arystokracji – zamruczał w jej szyję. – Cały mój.

– Do czasu, aż dopłyniemy do Portugalii. – Westchnęła, usiłując jednocześnie zdjąć z niego koszulę. – Mam nadzieję, że dobrze wykorzysta pan tę okazję.

– Kochanie, ja nie zamierzam cię wykorzystywać. Zamierzam się z tobą kochać – dodał, po czym pocałował ją z całą namiętnością, na jaką było go stać.

Dziewczyna jęknęła głucho, czując, jak jego dłonie oplatają jej kibić. Badał w skupieniu jej wargi, nie spieszył się, ale też nie pozwalał na zbytne rozleniwienie.

Był jak gorąca lava, cały aż wrzał od wstrzymywanego pragnienia. Nie pozwalał jej się odsunąć ani o centymetr, żądny tego, by ich ciała się splatały, by wyczuwała jego podniecenie.

– Musimy to zdjąć – powiedziała, denerwując się, że nie może dotykać jego skóry tak, jak by tego chciała.

– Jesteś bardzo niecierpliwa – zauważył z radością.

– Kiedy wiem, czego chcę, sięgam po to, a nie czekam na pozwolenie – powiedziała stanowczo.

– Och, cóż za siła charakteru! – zawołał, po czym odsunął się i jednym ruchem ściągnął z siebie koszulę. – Czy powinienem oddać się w pani ręce? – zażartował.

– Nie wiem, czy ze wszystkim bym sobie poradziła. – Spojrzała na niego rzeczowo, gdy usiadł obok niej.

– Nie wiesz? Ale spodziewasz się, że by ci się udało? – spytał zdziwiony. Z początku myślał, że powinien postępować z nią powoli, by się nie wystraszyła, natomiast ta niesamowita kobieta niemal sama pożerała go wzrokiem. Boże, była wspaniała.

Helen przyjrzała się metodycznie jego sylwetce.

– Mogłabym spróbować – powiedziała po chwili namysłu.

Ross uniósł w zdumieniu brwi. Był niezmiernie ciekaw, co też ta panna zamierza z nim zrobić. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie przystał na takie zaproszenie.

To zawsze on zajmował się uwodzeniem kobiet, a one lubiły jego stanowczość, to, że sięgał po nie bez wahania. Jednak sądząc po wyrazie twarzy Helen, miała ona w tym względzie odmienny pomysł.

– Jak sobie pani życzy. Co mam robić? – spytał usłużnie.

Dziewczyna zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

– Proszę położyć się na wznak – rozkazała, robiąc mu na łóżku więcej miejsca.

Ross wykonał zadanie, jednocześnie podkładając obie ręce pod głowę. Potężne mięśnie jego ramion naprężyły się pod skórą. Cała klatka piersiowa była teraz odsłonięta dla jej oczu. Gdy dostrzegł, że dziewczyna przesuwa zglodniałym spojrzeniem po jego torsie i brzuchu, zadrżał lekko w oczekiwaniu.

Zauważyła to i spojrzała na niego zdumiona.

– Przecież jeszcze nic nie zrobiłam! – zawołała.

– Nic nie poradzę, że tak na mnie działasz, złotko. –

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

Helen spojrzała mu w oczy i przygryzła wargę. Trochę peszyła ją ta sytuacja, ale znacznie bardziej była ciekawa tego, co może się między nimi wydarzyć. Dlatego nie mogła stchórzyć.

Poza tym, ona nigdy nie tchórzyła.

– Czy przeszkadzałoby panu, gdybym... – zaczęła trochę niepewnym tonem – ...gdybym robiła wszystko w swoim czasie?

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to, że... ja nie znam męskiego ciała – wyznała uroczo zarumieniona. – Tylko raz widziałam kiedyś pierś jakiegoś nieznanego mi mężczyzny, który nota bene wyglądał zupełnie inaczej niż pan – spojrzała znacząco na jego tors – i wszystko to jest dla mnie nowe.

– Kim był ten mężczyzna? – Ross zmarszczył brwi.

Zamrugła bezwiednie.

– Chyba nie jest pan zazdrosny?

– Oczywiście, że nie – odparł, odwracając wzrok.

Helen zaśmiała się w duchu, nie dała się na to nabrać.

– To był jeden z szermierzy, którego widziałam kiedyś podczas ćwiczeń, nic wielkiego. – Helen wzruszyła ramionami.

– Cóż, ja raczej do „niewielkich” nie należę – skonstataował osobiwie.

– Jest pan wielki jak góra – zgodziła się z nim. – Ale bardzo to w panu lubię, tym bardziej czuję się przy panu jak kobieta.

– Nie do końca o takiej wielkości mówiłem – wyznał i spostrzegł z rozbawieniem, jak na jej policzki wypływa krwisty rumieniec.

– Sir! – krzyknęła oburzona.

– Jeszcze masz czas uciekać – odpowiedział dobroduszenie.

– Ale czy... hmm... – Zniżyła wzrok w okolice jego pasa, przyglądając się mu ciekawie. Nigdy nie miała kogo zapytać o takie rzeczy, jej matka prędzej zjadłaby swój wachlarz, zanim cokolwiek by jej wyjaśniła, a zamężna już siostra mieszkała daleko od Londynu. Nie miała wyboru. – Czy to ma dla kobiety jakieś znaczenie?

– Co? – dociekał, choć doskonale wiedział, o co pytała. Musiał po prostu usłyszeć to z ust najelegantszej damy w Anglii.

– Czy ma znaczenie dla kobiety, jak eee... duży jest mężczyzna? – spytała nieporadnie.

Ross uśmiechnął się do niej. Choć potrafiła być wyrachowana i uszczypliwa, nie brakowało jej wrażliwości i uroku.

Wyciągnął dłoń spod głowy i sięgnął do jednego ze złoty kosmyków, które układały się wokół niej jak welon. Przesunął nim niespiesznie między palcami.

– Kobiecie można sprawić przyjemność na wiele sposobów – wyjaśnił. – Tak naprawdę nie rozmiar ma znaczenie, ale umiejętności.

– W takim razie to źle, że jest pan eee... hojnie obdarzony przez naturę?

Jego „natura” już od jakiegoś czasu pobudzona zaczęła dawać mu się we znaki coraz silniej. Jakby miała własny mózg, a nawet i uszy!

– Sprawdzasz moje kwalifikacje na kochanka? – spytał rozbawiony.

– Chyba mam prawo to wiedzieć?

– Myślę, że – udął, że się zastanawia – będziesz musiała dowiedzieć się o tym sama. Moje zdanie w tym względzie może nie być zbyt obiektywne.

– Zostało nam jeszcze kilka dni – podjęła rzeczowym tonem, nie zwracając uwagi na ironiczne błyski w jego oczach. – Z pewnością zdążymy.

– Obawiam się, że te kilka dni to będzie jedynie preludeum – westchnął.

Helen przez dłuższą chwilę badała jego twarz, sądząc, że sobie z niej żartuje. On jednak zdawał się mówić prawdę!

– Wydawało mi się, że TO jest proste. – Cmoknęła skonsternowana. – Moje zamężne koleżanki twierdziły, że wystarczy kwadrans, żeby było po sprawie.

Ross ledwie zdołał się powstrzymać, by się nie roześmiać, jednak zdawał sobie sprawę z tego, jak ważna jest ta wiedza dla niedoświadczonej panienki.

– Dla niektórych jest to kwadrans, natomiast innym nie wystarcza życia, żeby zgłębić wszystkie tajniki sztuki miłosnej – odparł tajemniczo.

Przytaknęła skrupulatnie, spijając każde słowo z jego ust. Widać było, że bardzo się stara to wszystko zrozumieć. Kłopot w tym, że według Rossa o sztuce miłosnej się nie mówi, tę sztukę się praktykuje.

– A pan należy do tej drugiej grupy, jak mniemam? – dopytywała niestrudzenie.

– Owszem – potwierdził, leniwie bawiąc się jej włosami i patrząc na nią spod przymrużonych powiek.

Naraz wydała z siebie niezadowolone sapnięcie.

– To jak ja mam się tego wszystkiego nauczyć w kilka dni?! – wyznała rozgoryczona.

Ross nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Nie mógł uwierzyć własnym uszom, co też ta cnotliwa panna wygaduje.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś bardzo ambitna? – spytał po chwili, patrząc na nią z nieskrywanym uwielbieniem.

Rzuciła mu chłodne spojrzenie.

– Mam to po matce – mruknęła wyniośle. – Poza tym, nie bawię się w półśrodki.

– I za to właśnie, moja droga panno Williams, powinienem dziękować Bogu na kolanach – zadrwił uroczo sam z siebie.

– Z pewnością znajdzie pan jakąś kapliczkę, gdy dopłyniemy do Portugalii – wyszeptala słodko. – Chętnie popatrzę.

– Diablica – rzucił i uśmiechnął się szeroko, na co Helen jedynie spuściła skromnie wzrok.

– Miło mi się z panem gawędzi, ale czeka na mnie teraz bardzo poważne zadanie – powiedziała, znów kierując spojrzenie na jego pierś. – Byłabym zobowiązana, gdyby pan nie przeszkadzał.

– Nie przeszkadzał w uwodzeniu mnie? – Zaśmiał się. Ta kobieta nieustannie go zdumiewała. Co za charakterek.

– Jak najbardziej, chyba że zmienił pan zdanie.

– Broń Boże! – zaprzeczył natychmiast, szczerząc się do niej.

– Jest pan bardzo bogobojny – zauważyła z przekąsem.

– Nie w tej chwili, moja kusicielko. Obiecuję współpracować.

Dziewczyna skinęła tylko głową, koncentrując się na swoim zadaniu. Podniosła ostrożnie dłoń i powoli, nieco trwożnie położyła ją na jego piersi.

– Jaka twarda – powiedziała bardziej do siebie, po czym rozsunęła palce i wplotła je w ciemne włoski. – I ciepła.

~

Ross nie śmiał już powiedzieć ani słowa, miał tylko nadzieję, że jej mała ekspedycja nigdy się nie skończy.

Oto spełniało się właśnie jego marzenie. Kobieta jego snów dotykała go niespiesznie, pragnąc zbadać każdy zakamarek jego ciała.

– Pana ciało jest zupełnie inne niż moje – kontynuowała swój monolog, a on poczuł się jak tropikalna wyspa, odkrywana po raz pierwszy przez jakiegoś śmialka.

Pogładziła ręką jego szerokie ramiona, obserwując, jak pod skórą naprężają się mięśnie, potem badała krzywiznę jego żeber i płaskiego brzucha. Gdy przez przypadek dotknęła jego sutka, wciągnął gwałtownie powietrze i aż zacisnął zęby.

Helen zauważyła to i zafascynowana powtórzyła proceder.

– Pana ciało jest bardzo wrażliwe. Podoba mi się to.

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, więc tylko skinął głową.

Po chwili, gdy dotknęła już każdej wypukłości jego piersi, podniosła się na kolana i nachyliła nad nim. Włosy rozsypały się wokół jego głowy niczym złota kotara, kiedy pocałowała go leciutko w usta.

Objął ją delikatnie, ale skoro zgodził się, by to ona prowadziła tę grę, nie pozwalał sobie na śmielszy dotyk.

Nie musiał długo czekać na rozwój akcji. Dziewczyna przygryzła delikatnie jego dolną wargę, po czym umknęła pocałunkami wzdłuż linii szczęki. Po chwili zsunęła się niżej, na jego szyję, i przywarła ustami do piersi, znacząc ją drobnymi pocałunkami.

Jego oddech znacznie przyspieszył. Nie sądził, że dziewczyna odnajdzie w sobie tyle odwagi, by otwarcie go pieścić. Jakże się mylił! Jej niewprawne, acz żarliwe ruchy, niemal doprowadzały go do szaleństwa!

– Czy dobrze to robisz? – spytała, podnosząc na niego wzrok. Spojrzał na nią i przelknął ślinę. W rozpuszczonych

włosach, które odgarnęła na jedno ramię, w czerwonej sukni na wpół zsuniętej z ramion wyglądała jak uosobienie marzeń każdego mężczyzny.

– Bardzo dobrze – wykrztusił, a ona uśmiechnęła się zadowolona.

– A co się stanie, jeśli zrobię... – zaczęła, po czym bez ostrzeżenia pocałowała jego sutek.

Ross zacisnął dłonie w pięści, a ona momentalnie odczytała reakcję jego ciała. Zachecona rozpostarła na nim swoje dłonie i polizła go lekko.

Kapitan wygiął się pod nią, wpatrując się w jej twarz rozognionymi oczami.

– Zdaje się, że pana ciało mnie lubi – zauważyła filuternie.

– Lubi – wychrypiał. To wszystko, co zdołał teraz powiedzieć.

Najlepsze jednak wciąż było przed nim. Kiedy posłała go lekko, chcąc sprawić mu jeszcze większą przyjemność, odchylił głowę w tył, poddając się rozkoszy.

– Masz do tego talent – powiedział zduszonym szeptem. Zaraz jednak przypomniał sobie, że to on miał być jej mentorem, więc dodał pouczająco: – Z reguły tam, gdzie przyjemność sprawiają dłonie, dobrze spiszą się również usta.

Dziewczyna skinęła głową, po czym podciągnęła wyżej suknię i usiadła na nim okrakiem.

Ross wstrzymał oddech.

– To było ryzykowne posunięcie.

– Nie, dopóki mamy na sobie ubrania – wymruczała, nachylając się i całując go mocno w usta. Kapitan przygarnął ją do siebie tak, że wpół zgięta leżała teraz na jego piersi. Wsunął język między jej wargi, pragnąc całować ją do utraty tchu. Wyszła mu na spotkanie,

splatając się z nim językiem i tańcząc w rytm melodii zmysłów.

Gdy oderwała się od niego, cały drżał z pożądania.

Jej nogi oplatały go w pasie i choć dzieliły ich warstwy materiału, był pewien, że dziewczyna wyczuwa jego podniecenie.

Poruszył się pod nią nieznacznie, wpatrując się badawczo w jej twarz. Ona rozwarła szeroko oczy, jakby zaskoczona tą intymnością, po czym odchyliła się nieznacznie do tyłu i przygryzła usta.

Wyglądała jak bogini.

Chwyił jej biodra, głaszcząc je przez materiał sukni. Dziewczyna przekrzywiła głowę na bok i patrząc na niego spod rzęs, sięgnęła do dekolту sukni.

Ross z wielkim napięciem śledził każdy jej ruch.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko... – powiedziała psotnie i zaczęła zdejmować z siebie suknię.

Prosty krój ubrania oraz brak niektórych bieliźnianych dodatków ułatwiały rozbieranie. Karminowy materiał poddawał się naciskowi jej palców, odsłaniając powoli miękkie wypukłości jej piersi.

Mortimer aż wstrzymał oddech, gdy materiał zahaczył o naprężone sutki dziewczyny. Po chwili prześliznął się po nich i opadł do talii.

Spojrzał z czcią na najpiękniejsze piersi, jakie kiedykolwiek widział. Były pełne i sprężyste, zakończone brodawkami w kolorze świeżych brzoskwiń.

Wąska talia dziewczyny potęgowała wrażenie doskonałości, odbierając mu resztki rozumu.

– Jesteś idealna – wychrypiał, po czym nie mogąc się powstrzymać, sięgnął po nią dłońmi.

Ujął w swoje szorstkie dłonie najpierw jedną, potem drugą pierś, jakby badał ich ciężkość i gładkość.

Helen rozchyliła usta i oddychała ciężko, wciąż wpatrując się w jego twarz.

On głaskał ją i pieścił nieprzerwanie, a gdy chwycił między palce koniuszek jej piersi, jęknęła zmysłowo.

– Oboje jesteśmy w tym miejscu wrażliwi – objaśnił jej, choć przecież nie było to już potrzebne. – Bardzo mi się podobało, jak mnie przed chwilą pieściłaś – wymruczał. – Chciałbym się zrewanżować – powiedział, przytrzymując ją przy sobie i siadając na materacu.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami, ich twarze znajdowały się ledwie centymetry od siebie, ale Ross nie pocałował jej, jak się tego spodziewała, tylko schylił się i ujął w usta jej sutek.

Zaskoczona odrzuciła głowę w tył i zacisnęła dłonie na jego ramionach. Widząc, jaką przyjemność jej to sprawia, kapitan zaczął ssać ją coraz mocniej, tak że wyla się niemal na jego kolanach. Wolną dłonią objął jej drugą pierś, pocierając kciukiem jej koniuszek.

Helen jeszcze nigdy nie przeżyła czegoś tak niesamowitego. Nie mogła sobie tego wyobrazić nawet w najśmielszych fantazjach!

Mortimer wprawiał jej ciało i umysł w taki stan błogości i pragnienia równocześnie, że ledwie była w stanie oddychać.

Podniósł głowę i zajął z bliska w jej zamglone pożądaniem oczy.

– Czujesz, co się dzieje z twoim ciałem? – spytał niskim barytonem.

Dziewczyna skinęła tylko głową. Między jej udami pulsowało, pojawiła się tam gorąca wilgoć, a napierająca na nią męskość z jednej strony ją fascynowała, a z drugiej przerażała.

– A z moim? – Poruszył biodrami, jednocześnie chwytając ją za włosy, by nie mogła się odsunąć.

Zadrżała na ten zaborczy chwyt, mocniej wyczuwając między połamami sukni jego nabrzmiałą męskość.

– Tak – wyznała cicho. Było to tak intensywne wrażenie, że po jej policzkach spłynęły pojedyncze łzy.

Mężczyzna odchylił jej głowę do tyłu i zlizzał je czubkiem języka.

Po chwili uniósł jej pośladki i przewrócił na plecy, tak że teraz to on znajdował się na niej.

Rękę, na której widniał srebrny pierścień, przyłożył do jej szyi i przesunął powoli w dół, między jej piersi, aż jego palce zatrzymały się na wysokości materiału, który wciąż opinał jej biodra.

– Masz taką jasną skórę, taką delikatną – wyszeptał w zamyśleniu.

– A pan ma takie twarde ręce – powiedziała, chwytając jego dłoń i przykładając ją sobie do ust.

Mężczyzna powiódł opuszkami po jej nabrzmiałych wargach, a ona wydała z siebie ciche westchnienie.

W niczym nie przypominała teraz chłodnej, niedostępnej damy, którą była, gdy się poznali. Miękkie pukle rozrzucone po pościeli, przyspieszony oddech, zaczerwienione od pocałunków piersi. Bardzo mu się podobała w tej odsłonie. W krnąbrnej, zadziornej pannie Williams znalazł wręcz niewyobrażalnie namiętną istotę. Reagowała na każdy, nawet najłżejszy jego dotyk.

Kochanka niewinna, słodka i zmysłowa.

Doskonała.

Nie mogąc już dłużej znieść tej powolnej tortury, wstał z łóżka i pomógł jej uwolnić się z sukni i bielizny. Pozostała teraz jedynie w uroczych pończochach zawiązanych na satynowe wstążeczki tuż nad kolanami.

Nie wstydziła się swojej nagości. Położyła się na boku, podparła dłonią głowę i obserwowała jego reakcję.

Ross wpatrywał się w piękne, zaokrąglone luki bioder, lekko wypukły wzgórek Wenery pokryty złotymi lokami oraz smukle kolumny ud, które zwęzły się ku zgrabnym łydkom.

– Helen – przelknął ślinę – nie jestem mówcą, ale...

– Ciii – uciszyła go dłonią. – Wszystkie komplementy widzę w twoich oczach.

Mortimer, nie mogąc wykrztusić ani słowa, przyklęknął obok łóżka i z nabożną czcią ukrył twarz na jej brzuchu. Ona otuliła go dłońmi i pogłaskała po ciemnych włosach. Gdy wkrótce jego ręce sięgnęły do tasiemek na jej udach, zatrzymała go.

– Nie zdejmuj ich – poprosiła. – Chcę je mieć na sobie, gdy będę to robić po raz pierwszy – powiedziała zmysłowym tonem.

Mężczyzna spojrział na nią zaskoczony.

– Białe, jedwabne pończochy. – Przesunął palcami po jej nodze. – Symbol czystości i dziewictwa. – Spojrział na nią roziskrzonym wzrokiem. – Jesteś, pani, rozkosznie przewrotna – zauważył, wstając.

Ona podniosła frywolnie stopę i oparła ją o jego twardy brzuch.

– Ale żądam, byś i ty zrzucił z siebie to, co niepotrzebne – zahaczyła palcem o brzeg spodni.

Ross wstrzymał na chwilę oddech zachwycony jej śmiałością. Nie trzeba było mu dwa razy powtarzać, zdjął odzienie i stanął przed nią w ciepłym świetle lamp, by mogła mu się przyjrzeć.

Widziała teraz jego pełne podniecenie w całej okazałości, przeżyło się przed nią dumnie i dopraszało uwagi.

Dziewczyna usiadła na brzegu łóżka i przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Boisz się? – spytał po dłuższej chwili.

– Troszeczkę – przyznała. – Ale chyba bardziej mnie to intryguje. Możesz podejść bliżej?

– Nie jestem pewien, czy... – Ruszył się, lecz zaraz się zatrzymał, gdy bez ostrzeżenia objęła jego męskość dłonią.

– O Boże – zaśmiał się ochryple – nie spodziewałem się, że...

– Że co? – spytała niewinnie z ustami tuż przy jego skórze.

– O Boże – wysapał znów.

Trzymanie go w dłoni, takiego gorącego i imponującego było niesamowitym doświadczeniem. Helen czuła się jak władczyni, od której zależy, czy da przyjemność swojemu kochankowi, czy nie. To ona tu decydowała i podobał się jej ten stan rzeczy.

Widząc, że jej dotyk sprawia mu przyjemność, poruszyła nieśmiało dłonią. Nagrodził tę inicjatywę głębokim pomrukiem, który przebiegł dreszczem wzdłuż jej kręgosłupa.

Przez chwilę przesuwała palcami po całej jego długości i obserwowała jednocześnie wyraz jego twarzy. Sam ten widok wprawiał ją w podniecenie. Jego usta, napięte z emocji, wyrażały teraz więcej niż słowa.

Wiedziona pokusą pochyliła się i pocałowała go na próbę w sam czubek. Nigdy nie słyszała, by jej zameżne koleżanki mówiły o czymś podobnym, ale chciała dać szansę swojej intuicji.

Gdy z ust Rossa wyrwał się jęk, wiedziała, że się nie pomyliła.

– Skąd wiesz, jak... – wykrztusił.

– Sam powiedziałeś, że tam, gdzie przyjemność sprawiają dłonie, dobrze spiszą się również usta – przypomniała mu jego własne słowa.

– Szybko się uczysz.

– Mówiłam – odparła zadowolona, jednak kiedy znów po niego sięgnęła, kapitan zatrzymał ją gestem dłoni.

– Wystarczy, kochanie.

– Nie podobało ci się?

– Podobało aż za bardzo. Jestem jednak już tak pobudzony, że nie wytrzymałbym długo – wyznał ze skruchą.

– Ach – powiedziała tylko.

Mężczyzna na powrót położył się w łóżku i przyciągnął ją do siebie tak, że znalazła się na nim. Helen zamruczała cicho.

– Lubisz być na mnie, prawda? – odgadł jej preferencje.

– Chyba tak. Podoba mi się też, że nie jestem zupełnie naga – wyznała, przesuwając dłonią po jedwabnej pończosze.

– Jesteś wyjątkowa. – Uśmiechnął się, przytulając ją mocniej. Jej pełne piersi dotknęły jego torsu, co spotkało się z kolejnym pomrukiem.

– Czy nadal chcesz prowadzić tę grę? – spytał.

Ona przygryzła wargę, po czym pokiwała głową z entuzjazmem. W innych okolicznościach roześmiałby się w głos, jednak on był bezbronny wobec zmysłowości, jaką roztaczała wokół siebie ta wspaniała kokietka.

– Pomożesz mi? – spytała zaraz słodko, a on byłby kompletnym półgłówkiem, gdyby odmówił.

Już miał odpowiedzieć, gdy dziewczyna wysunęła się z jego objęć i usiadła na nim okrakiem, obejmując jego biodra nogami. Syknął, gdy poczuł na swoim członku ciepło jej ciała. Ona instynktownie rozszerzyła nogi i patrząc wprost na niego, zakolysała się.

– Jeśli będę coś robić źle...

– Wszystko robisz znakomicie, kochanie – wysapał, czując, jak jego męskość przeży się pod nią.

Dziewczyna oszołomiona tymi nowymi doznaniem zaczęła się na nim zmysłowo poruszać. Wyglądała przy tym jak waleczna królowa, odważna i piękna, gotowa podbić serce kolejnego mężczyzny.

Pozwoliła się porwać swoim zmysłom, zauważała, jak narasta w niej podniecenie i coś, co pęczniało w niej od środka. Choć przecież jeszcze nie doszło do ostatecznego ich połączenia, już odczuwała niewymowną rozkosz. Postanowiła podążać za tą przyjemnością, ciekawa, gdzie ją zawiedzie.

Ross nie był w stanie odwrócić od niej wzroku. To niesamowite, z jaką ufnością i brakiem skrępowania ta kobieta czerpie radość z dotyku ich ciał. Wiedział, że nie ma doświadczenia w tych kwestiach, ale zdawała się intuicyjnie dążyć do tego, czego potrzebuje.

Kolysała się na nim coraz intensywniej, widział po na wpół przymkniętych powiekach Helen, że jej rozkosz przybiera na sile. On walczył ze swoim pożądaniem, starając się nad nim zapanować, by dać jej czas na poznanie swojego ciała.

Kiedy zmarszczyła brwi i zaczęła cicho pojękiwać, chwycił ją dłońmi za biodra i pomógł odnaleźć właściwy kąt. Jego członek ślizgał się teraz między wargami, drażnił czuły punkt tak, że dziewczyna aż przygryzała usta, by głośniejsze nie krzyknąć.

On przytrzymał ją przy sobie mocno i wciąż się wpatrywał z zachwytem w jej twarz, taką odmienną i zniewalającą, gdy malowała się na niej namiętność.

Gdy była już niemal u szczytu, odsunął ją od siebie stanowczo.

Zamrugła zdezorientowana.

– Co robisz? Ja chciałam... – zaczęła, ledwie chwytając oddech.

– Wiem, co chciałaś, ale jeszcze nie teraz – odparł tajemniczo.

– Ale ja już... chcę... – płatała się, nie wiedząc, jak wyrazić słowami to, czego pragnie.

– Ciii – położył jej palec na ustach i poruszył się pod nią. Dziewczyna syknęła cicho, była ledwie przytomna z żądz.

– Unieś się odrobinę – poinstruował ją.

Gdy to zrobiła, jego członek momentalnie znalazł się u wejścia jej kobiecości. Helen spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, po czym poruszyła zachęcająco biodrami.

– Nie musisz się spieszyć – powiedział, choć te słowa wiele go kosztowały. Chciał jednak pozwolić działać jej w swoim tempie, szczególnie za tym pierwszym razem, gdy wszystko było dla niej nowe i ekscytujące.

Położyła dłonie na jego brzuchu i zaczęła się nieznacznie obniżać. Z każdym ruchem, gdy Ross coraz bardziej ją wypełniał, jego zęby mocniej się zaciskały. Dziewczyna już od dłuższego czasu była na niego gotowa, jednak wiedział, że należy to zrobić delikatnie i z wyczuciem, tak by nie odczuła bólu związanego z utratą dziewictwa.

Gdy natknął się na niewielki opór wewnątrz jej ciała, spojrzał na nią wyczekująco. Helen przygryzła wargę i patrząc mu prosto w oczy, opadła na niego całym ciężarem.

Mortimer jęknął, czując, jak przyjmuje go w siebie całego. To było tak słodkie, satysfakcjonujące wrażenie, że nie sposób było go porównać z niczym innym.

Uniósł się na łokciach i pocałował ją mocno w usta. Ten pocałunek nie należał do zwykłych, znamionował uznanie dla jej odwagi i śmiałości, które tak w niej cenił.

– Boli? – spytał z czułością, gdy znieruchomiała. Pokręciła przecząco głową, a on przyjął to z uśmiechem. Podejrzewał, że nawet gdyby bolalo, nie przyznałaby się do tego.

Wkrótce zaczęła się na nim ostrożnie poruszać, z początku powoli kręcąc biodrami, jakby przyzwyczajala się do jego wielkości, a potem coraz szybciej.

To był moment, w którym Ross nie potrafił już myśleć. Jednym ruchem przewrócił ją na plecy, a ona objęła go ciasno nogami, jakby się bała, że zaraz ją opuści. Pochylił się i całował zachłannie jej piersi i szyję, jednocześnie poruszając się w niej stanowczymi pchnięciami.

Słyszał jej jęki tuż przy swoim uchu, niewyraźne słowa i szepty, które doprowadzały go do szaleństwa. Gdy wy czuł, że dziewczyna jest bliska spełnienia, wsunął pomiędzy nich dłonie, by odnaleźć wrażliwy węzeł jej kobiecości.

Krzyknęła głośno, gdy ją pogłaskał, zacisnęła się na nim, a on, czując jak drży w jego objęciach, skrył twarz w jej złoty ch włosach i naznaczył sobą.

Dwie godziny później

– Teraz możesz sama powiedzieć. – Kapitan gładził ramię kochanki tuż pod linią wody. Po miłosnych uniesieniach zaproponował Helen wspólną, gorącą kąpiel, sądząc, że przyniesie to ulgę jej mięśniom, na co chętnie przystała.

– Co takiego? – zamruczała sennie z głową opartą o jego bark.

– Wcześniej zapytałaś, czy ma dla kobiety znaczenie wielkość męskiego przyrodzenia – przypomniał jej. – I co myślisz?

Dziewczyna uśmiechnęła się psotnie. Kapitan wyraźnie dopraszał się komplementów. Oczywiście było, że niczego mu w tym względzie nie brakuje.

– Cóż... Prawdę mówiąc, ta wielkość... – udała, że się zastanawia – nie jest do końca poręczna – zakończyła oględnie, śmiejąc się w duchu. Jego palce przestały ją głaskać, co

pozwolilo jej wnioskowac, ze nie takiej odpowiedzi sie spodziewal .

– Nieporęczna? – spytał dla upewnienia.

– Tak, trochę jak... za duży wachlarz, którego nie da się włożyć do torebki – improwizowała.

– Jak za duży wachlarz?! – Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

– Poza tym musiałabym mieć jakieś porównanie. Może byłby bardziej funkcjonalny, gdyby go obciąć o – uniosła rękę, przedstawiając mu prowizoryczne przyrodzenie, a drugą kładąc na płask, jakby cięła je ostrzem – ...o, powiedzmy, połowę. – Złożyła palce, naocznie przedstawiając mu ten zabieg.

Ross przelknął ślinę. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy zauważył, że dziewczyna zaczyna drżeć od wstrzymywanego śmiechu.

– Panno Williams! – wykrzyknął niczym guwernantka niezadowolona z zachowania swoich podopiecznych.

– Wybacz, Ross, nie mogłam się powstrzymać – powiedziała, zaśmiewając się w głos.

Kapitan momentalnie jej wybaczył, położył jej za to na nos trochę piany.

– Musisz wiedzieć, mój kwiatuszku, że rozmowy o męskich przyrodzeniach to dla mężczyzny bardzo drażliwy temat – uświadomił ją, obejmując ją jedną ręką w talii.

– Nie podobało ci się moje przedstawienie? – nadaśala się.

– Nada się idealnie, jeśli będziesz chciała wystraszyć jakiegoś natręta.

Helen westchnęła, przylgnąwszy do niego z ufnością. Chyba jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa. Jej ciało było nieco obolale po niedawnych pieszczotach, lecz jednocześnie usatysfakcjonowane jak nigdy dotąd. Mężczyzna,

którego darzyła szczerą sympatią, trzymał ją w objęciach, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić. Statek kołysał się leniwie, półmrok otaczał ich gęstą chmurą, tworząc wokół intymną atmosferę.

Miała wrażenie, że znalazła się na drugim końcu świata, z dala od cywilizacji.

– Jest mi tak dobrze – powiedziała, obracając nieznacznie głowę, tak że pod ustami miała teraz skórę jego szyi. Ciało kapitana było niezwykle piękne, miała więc ochotę nieustannie go dotykać i pieścić.

Położyła mu dłoń na sercu, wyczuwając jego miarowe bicie.

– Naprawdę? – schylił się, odgarniając jej wilgotne włosy z ramienia.

– Gdybyśmy tak mogli zatrzymać czas...

– Nie tęsknisz do życia, jakie miałaś w Londynie? – spytał, a ona zrelaksowana zaczęła kreślić palcem na jego piersi jakieś wzory.

– Sama się temu dziwię, ale nie – wyznała.

– Dlaczego? Miałas tam przecież wszystko, czego można sobie zapragnąć. – powiedział, a ona wylapała w jego tonie nutę cynizmu.

– Moje życie w Londynie, u boku rodziców zdaje mi się takie... – szukała słowa – puste i bezcelowe. Kiedy zadebiutowałam trzy lata temu, czułam wielkie podekscytowanie. Wreszcie byłam na tyle dorosła, by sprawdzić się w towarzystwie – zaczęła mu się zwierzać. – Matka pękała z dumy, gdy niemal natychmiast okrzyknięto mnie najpiękniejszą debiutantką sezonu. Przyjmowałam to wszystko z chłodną wyniosłością, taką, którą nieraz widziałam u dam z wyższych sfer. Posypały się propozycje małżeństwa – zniżyła głos – i to liczne. Lady Amelia szybko zrozumiała, że jej kochana córeczka może wybierać do woli, więc zgodziła się na moją prośbę, żeby nie spieszyć się

zbyttnio ze wskazaniem odpowiedniego kandydata. – Zamilkła na chwilę, jakby wracała myślami do tamtych dni. – Od tamtej pory minęły już trzy sezony, a ja, choć jak to uroczu ująłeś, miałam „przecież wszystko, czego można sobie zapragnąć”, zaczęłam odkrywać, że nie znajduję w sobie ani krzty uczuć.

Ross nie przerywał jej wywodu, gdyż czuł, że mówi mu o tym wszystkim, bo pragnie zrzucić z siebie długo tłumiony żal. Znała jego opinię na temat jej domniemanej „oziębłości”, a ich niedawne zbliżenie jedynie potwierdziło jego teorię.

– Najgorsze jest to, że moja matka się spodziewa, że nie bez powodu odwlekam wybór kandydata. Myśli, że wkrótce zaskoczę ją przyjęciem oświadczyn lorda Cavendisha, księcia Colchester, który od zeszłego roku nieustannie ubiega się o moją rękę.

– Książę, rozumiem – nachmurzył się kapitan. – Czy coś do niego czujesz? – spytał, choć wiedział, że nie ma prawa ją o to pytać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Jest miły, przyjazny i nawet go lubię, tylko...

Ross zmarszczył brwi. Nie podobał mu się ten książę.

– Tylko co?

– Kiedy mnie dotyka, nie odczuwam niczego, co pozwoliłoby mi sądzić, że będę z nim szczęśliwa... no wiesz... intymnie – wyznała nieśmiało.

Te wynurzenia przychodziły jej z ogromnym trudem. Jeszcze nigdy z nikim nie dzieliła się swoimi wewnętrznymi rozterkami. Zawsze myślała, że wisi nad nią jakieś nieszczęsne fatum, które sprawia, że nie jest w stanie pokochać żadnego mężczyzny. Tyle balów, tańców i spotkań, a dla niej wszyscy dżentelmeni zdawali się tacy sami.

– Co to znaczy „kiedy cię dotyka” – warknął kapitan, sztywniejąc nieco. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że książe, który ubiega się o twoją rękę, próbuje...

– Nie, oczywiście, że nie – potrząsnęła głową – miałam na myśli te chwile, gdy dotyka mnie podczas tańca. Lord Cavendish zachowuje się wobec mnie bardzo szarmancko, nie sądzę, by kiedykolwiek przyszło mu do głowy, żeby... – podniosła głowę i spojrzała na niego – ...żeby na przykład pocałować mnie na pustym tarasie, tak jak ty to zrobiłeś – przypomniała mu.

Ross dostrzegł nieme uwielbienie w jej oczach, co sprawiło, że jego serce wywróciło niespodziewanego koziołka. Obrysował kciukiem linię jej szczęki, po czym schylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

– To była najlepsza decyzja, jaką w życiu podjąłem – zamruczał, laskocząc jej wargi.

Dziewczyna uśmiechnęła się i z cichym westchnieniem przytulili z powrotem do jego piersi.

– Wiesz, Ross, tak się zastanawiałam – podjęła znów. – Powiedziałeś, że żalujesz, iż wybrałeś się w tę podróż z nieznaną sobie załogą, ale gdybyś tego nie zrobił, być może już nigdy nie wróciłabym do Londynu.

Mężczyzna przygarnął ją do siebie mocniej. Nie chciał nawet myśleć, co by się z nią stało, gdyby została pojmana, a jego nie byłoby na statku.

– Nie ma po co się nad takimi rzeczami zastanawiać – powiedział, całując ją we włosy. – Jesteś bezpieczna.

– Dzięki tobie. – Uniosła się lekko między jego nogami i obróciła ku niemu. Jej nagie piersi wyloniły się połowicznie z wody, co natychmiast zostało zauważone.

– Jeśli pragniesz wyrazić mi swoją wdzięczność – mówił, patrząc na nią skrzącymi się, ciemnymi oczami – nie zatrzymam cię.

Helen spojrzała na niego, wielkoluda rozpartego w miedzianej wannie, który patrzył na nią, jakby była jedyną kobietą na ziemi.

Cale szczęście jej własne myśli podążały w dokładnie tym samym kierunku, co pomysły kapitana...

Następnego ranka

Panna Williams czuła się jak nowo narodzona. Wczorajszego wieczora kochali się jeszcze raz, i tym razem to Ross obdarzył atencją jej wdzięki, a ona się dowiedziała, że usta mężczyzny znajdują swoje zastosowanie również poniżej talii.

Wszystkie te nowości, którymi ją obsypywał, chłonęła całą sobą. Dotyk jego rąk i ust momentalnie ją rozpałał, a ona nie omieszkała wyrazić tego okrzykami rozkoszy, które on wprost spijał z jej warg. Po długich godzinach pieszczot opadli w końcu z wyczerpania i usnęli w swoich objęciach.

Helen spała tak twardo, że nawet się nie poruszyła, kiedy Ross wstawał na swoją poranną wachtę.

Czuła się tak ukontentowana, jak tylko może być kobieta, która otrzymała dogodną dla siebie dawkę rozkoszy. Przeciągnęła się leniwie w łóżku i z zadowoleniem stwierdziła, że minął już dyskomfort między udami.

Mortimer wyjaśnił jej, że tylko pierwszy raz bywa bolesny, a każdy kolejny jest już tylko pasmem niekończących się przyjemności.

Wstała z łóżka i włożyła na siebie ubranie. Właśnie spletała włosy w warkocz, gdy usłyszała, jak otwierają się drzwi.

Obróciła się i z wrażenia nie mogła wydobyć z siebie głosu.

W progu stał jej kochanek, emanując całym swoim urokiem ciemnych potarganych od wiatru włosów, błyszczących oczu i potężnej sylwetki, którą poznałaby niemal wszędzie. W świetle dziennym wszystko wydało jej się nagle jakieś inne, nierealne. Złękła się, że być może mężczyzna żałuje swojej decyzji i przyszedł jej o tym powiedzieć.

– Czy coś jest nie tak? – spytał, dostrzegając jej zatro-skana minę.

Podszedł do niej ostrożnie, jakby się bał, że ją spłoszy.

– Ja... to znaczy... – zaczęła się jąkać. Nie miała poję-cia, jak go o to zapytać, ale musiała to wiedzieć. – Czy ty... pan... żałuje tego, co się między nami wydarzyło? – spytała w końcu odważnie.

Kapitan przystanął w miejscu zupełnie zbity z tropu. Czyżby ta kobieta martwiła się, że to był tylko chwilowy poryw namiętności z jego strony?

Na Boga!

– Dlaczego tak myślisz? – spytał.

– Cóż... – Opuściła głowę, dłubiąc palcem w materiale sukni. – Sam pan mówił, że nie stroni od kobiet, a o mary-narzach wiele się mówi, że mają panny w każdym porcie...

Podszedł do niej i chwycił za ramiona, by na niego spoj-rzała.

– Kochanie – zaczął poważnym tonem. – Jeśli pytasz, czy miałem przed tobą inne kobiety, odpowiedź brzmi: tak. Ale jeśli pytasz, czy to, co do ciebie czuję, jest tylko chwilo-wym zauroczeniem, to nie. Nigdy wcześniej nie przeżyłem z kobietą czegoś tak niesamowitego – wyznał jej pokrótce.

Zdawała się przez chwilę zastanawiać nad jego odpowie-dzią, po czym skrzywiła się.

– Ale z mężczyzną już coś takiego pan przeżył?

Ross odchylił głowę i zaśmiał się serdecznie, co odrobi-nę rozluźniło Helen.

– Obawiam się, że to nie są moje preferencje – stwierdził gwoli ścisłości.

– To dobrze – powiedziała nagle rzeczowym tonem. – Bo ja też chciałam panu powiedzieć, że nie żaluję.

Kapitan, widząc jej pełną pruderii minę, omal znów się nie roześmiał. Przelknął jednak ślinę i skinął głową.

– Tylko znowu mówisz do mnie per „pan”, a wczoraj szło ci tak dobrze.

Dziewczyna odwróciła wzrok.

– Wczoraj... nie byłam do końca sobą – wyznała na swoją obronę.

Ross dostrzegł, że dziewczyna usiłuje się od niego odgrodzić, uniósł więc jej podbródek i spojrzał w oczy.

– Wczoraj byłaś bardziej sobą niż kiedykolwiek przedtem – powiedział niskim głosem, a to wystarczyło, by po jej ciele przebiegł dreszcz podniecenia.

Oblizła pospiesznie usta, a jej piersi stały się nagle ciężkie i nabrzmiałe. Momentalnie przypomniała sobie wczorajsze chwile, gdy kochali się pod osłoną nocy.

Ross śledził z uwagą każdy jej grymas, z łatwością odczytując znaki, jakie wysyłało mu jej ciało.

Bez słowa uniósł ją w rękach.

– Co pan robi! – Walnęła go pięścią w bark.

– Ross – przypomniał jej. – To jest moje imię.

– Będę mówić na pana, jak będę chciała! – wykrzyczała naraz, gdy z impetem posadził ją na krawędzi stołu.

– Trzeba to natychmiast zmienić – powiedział, podciągając jej suknię. Dziewczyna błyskawicznie odczytała jego intencje i choć targano nią teraz mnóstwo sprzecznych emocji, jej ciało zareagowało na niego silnym pulsowaniem. To było zaskakująco nagle uczucie, jakby jej skóra tylko czekała na to, by znów ją dotknął. Choć wczorajszy wieczór

powinien ugasić nieco jej temperament, ona okazała się jeszcze bardziej spragniona jego pocałunków, tym bardziej że już wiedziała, jak smakują.

– Ale... ale... ktoś może wejść – wysapała, patrząc na jego pospieszne ruchy.

– Nie obchodzi mnie to – wychrypiał. Pożądanie najwyraźniej odbierało mu zdolność myślenia. Choć przecież ledwie wczoraj spędzili długie godziny na pieszczotach, on potrzebował teraz, natychmiast przypieczętować ich relację w świetle dnia, by nie mogła już odgrodzić się od niego tym nieprzystępnym wyrazem twarzy.

Dostrzegł w jej oczach zaskoczenie i niepewność, ale również ogień, który trawił i jego. Nie zastanawiając się dłużej, zerknęła przez ramię na drzwi i sama drżącymi dłońmi sięgnęła do jego spodni, by jak najszybciej go uwolnić.

Gdy wkrótce jej się to udało, on przysunął się bliżej i podciągnął jej suknię aż do bioder. Chciał jeszcze spytać, czy jest gotowa, jednak ona już przyciągała go do siebie niecierpliwymi dłońmi.

Bez zwłoki zanurzył się w niej jednym, płynnym ruchem, a Helen zadrżała na całym ciele, obejmując dłońmi jego szyję.

– Cudownie... – jęknęła, gdy wysunął się z niej cały i znów zanurzył.

– Czy wciąż się upierasz, by nie mówić mi po imieniu? – wychrypiał niskim głosem w jej szyję i znów ją pchnął, jakby za karę.

– Zrobię, co... zechcę – wyjęczała, a on wysunął się z niej i zatrzymał u jej wejścia.

Wypchnęła lekko biodra, by wyjść mu na spotkanie, lecz on nie zareagował. Otworzyła oczy.

– Co pan robi? – spytała zakłopotana.

– Jestem twoim kochankiem, Helen. Chcę słyszeć w twoich ustach moje imię – powiedział z mocą, wpatrując się w nią intensywnie.

To oświadczenie wstrząsnęło nią dogłębnie. Było w nim coś tak zaborczego i męskiego, że aż wstrzymała oddech.

– Ross – powiedziała cicho, jakby dopiero w świetle dnia badała wydźwięk jego imienia.

Zanurzył w niej sam czubek, lecz znów się wycofał. Jej nogi drżały ze wstrzymywanego pragnienia.

– Ross! – powiedziała nieco głośniejszym pchnięciem.

Sama nie wiedziała, co nią kierowało, że wciąż upierała się przy zachowaniu etykiety. Duma? Upór? Jednak teraz, przy tym wszystkim, co ich połączyło, zdawało jej się to małostkowe i nieważne.

Przyłgnęła do niego całym ciałem i nachyliła się do jego ucha.

– Kochaj mnie, Ross – poprosiła błagalnym szeptem, oddając mu bez oporu całą siebie.

Mężczyzna momentalnie spełnił jej prośbę, zanurzając się w niej i spijając z jej ust jęk rozkoszy.

Gdy zaczęła wbijać paznokcie w jego kark, przechylił ją na błąt i uwięził obie jej dłonie tuż nad głową.

Krzyknęła głośno zaskoczona jego inwencją. Posyłając mu uwodzicielski uśmiech, oplótła go w pasie nogami, tak że wsuwał się w nią teraz jeszcze głębiej.

Jęknął gardłowo, wykonując coraz szybsze ruchy, które wprawiały ich oboje w mocniejsze drżenie. Gdy dziewczyna wyla się już pod nim bez opamiętania, wszedł w nią do końca i pocałował mocno w usta, pozwalając sobie i jej osiągnąć spełnienie.

Kilka godzin później

– Wyjątkowo cicho dzisiaj przy naszym stole – powiedział Ross, kończąc posiłek.

– Czyżbyś już tęsknił za swoimi oficerami? – Helen rzuciła mu znaczące spojrzenie.

– Niekoniecznie – zaprzeczył z uśmiechem. – Po prostu wciąż wspominam uroczę dźwięki, jakie dzisiaj rano z siebie wydawałaś.

Dziewczyna zgromiła go spojrzeniem.

– Wstydzilibyś się! – fuknęła niczym wściekła kotka.

– Wcale się nie wstydzę. – Rozparł się wygodnie, odkładając widelec. – Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi – wyszczerzył się.

– Chociaż to cię ratuje – dodała, udając urażoną, ale sama walczyła z próbującym wypłynąć na twarz uśmiechem.

Kiedy oboje skończyli jeść, Ross przyglądał się Helen przez dłuższą chwilę z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Nie miałabyś ochoty usiąść mi na kolanach? – spytał niewinnie.

Brwi Helen podjechały do góry.

– Czy ja wyglądam na małą dziewczynkę?

– Mała dziewczynka szuka na kolanach pocieszenia, ja oferuję ci teraz coś zupełnie innego. – dopytywał, przeciągając sylaby.

– Na pewno Danny zaraz przyjdzie. – Odwróciła wzrok.

– Ajajaj, nieładny unik – skarcił ją łagodnie. – Czy jest sposób, bym mógł cię do tego przekonać?

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. Patrzył na nią jakoś tak miękko i czule, że niemal do niego podeszła. Odsunął od siebie pusty talerz i złączył przed sobą dłonie.

Jej wzrok padł na pierścień, który podobno odziedziczył po przodkach.

– Jest sposób – powiedziała, wstając z fotela. Wiedziała, że może nie być zachwycony jej pomysłem, więc by go skuśić, nalala im obojgu po kieliszku wina, zamknęła drzwi na rygiel i podeszła do niego niespiesznie.

– A jakież to sposób? – spytał wielce zainteresowany jej działaniami.

– Usiądę ci na kolanach, jeśli zechcesz mi o sobie opowiedzieć – wyznała zachęcająco.

– Nie ma o czym opowiadać. Jestem człowiekiem, który kocha wolność i morze, to wszystko.

Dziewczyna pokręciła głową, po czym wyciągnęła rękę i ujęła dłoń, na której widniał srebrny pierścień.

– Wiem, kim teraz jesteś Ross, ale nie mam pojęcia, kim byłeś – wyjaśniła delikatnie.

Rysy kapitana momentalnie stężały. W źrenicach pojawił się nagle ból i wiele innych emocji, których nie potrafiła odczytać.

Zrozumiała, że pod tą powłoką nonszalancji kryje się dogłębnie zraniony człowiek.

Zanim zdolał jej uciec, usiadła mu na kolanach i pogłaskała czule po policzku, jakby chciała dodać mu tym gestem odwagi.

Ross spojrzał na nią z wahaniem, po czym westchnął ciężko.

Londyn, rezydencja państwa Williamsów

– Obawiam się, że nie mam najlepszych wieści. – Jasnówłosy detektyw, pan Peter Harris przesunął wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Pośrodku salonu na kanapie siedzieli państwo Williamsowie, naprzeciwko nich lord Nicolas Devon wraz z małżonką lady Catherine, siostrą zaginionej, a przy oknie stał lord Hamilton, mężczyzna, który

wynajął pana Harrisa. On sam zajmował centralne miejsce między kanapami, w pojedynczym fotelu.

– Co znaczy nie najlepszych! – krzyknęła rozhisteryzowanym tonem lady Amelia. – Proszę mówić prędko! Co z moim dzieckiem?

Mężczyzna odetchnął głęboko, nie lubił przekazywać ponurych wiadomości, jednak jego zawód po części na tym polegał. Z doświadczenia również wiedział, że osoby zaginione, których nie udało się odszukać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, rzadko już bywały odnalezione, w szczególności żywe.

– Mija kolejna doba od zaginięcia państwa córki. – Skierował wzrok na markiza, który zdawał się bardziej panować nad swoimi emocjami niż małżonka. – Mamy kilka poszlak i przypuszczeń, ale są one raczej luźno powiązane z panną Williams. Obawiam się, że zaczynam być wobec tej sytuacji coraz bardziej bezradny. – Przeniósł spojrzenie na Hamiltona, który sprawiał wrażenie, jakby nie pasował do pozostałych. – Szukamy igły w stogu siana, nie znamy powodów ani motywów, którymi kierował się porywacz. To może być niemal każdy z państwa licznych znajomych, a jednocześnie ktoś zupełnie obcy – dodał, gestykulując żywo dłońmi.

– W takim razie chce pan powiedzieć, że po prostu jej jeszcze nie znaleźliście. – Catherine uśmiechnęła się z wysiłkiem, choć w jej oczach czaiła się rozpacz. – Pewnie wkrótce się okaże, że Helen spotkała jakiegoś wymarzonego księcia, który porwał ją do Greta Green, niedługo do nas wróci i oświadczy, że niepotrzebnie się martwiliśmy! – wykrzyknęła głucho, potakując przy tym głową tak, jakby sama chciała sobie wmówić, że zaginięcie siostry jest tylko jedną z jej gier.

Kiedy nikt jej nie odpowiedział, Nicolas przysunął się do niej i chwycił pocieszająco za rękę.

Detektyw przyglądał się temu bez słowa.

– Przykro mi to mówić, ale... przeczesał mi cały Londyn w poszukiwaniu jakichkolwiek poszlak, bez skutku. – Pokręcił z roztargnieniem głową i zmarszczył brwi.

– Być może porywacz zabrał ją poza miasto, z pewnością to by było dla niego znacznie bezpieczniejsze – wtrącił lord Devon.

Pan Harris skrzywił się na to przypuszczenie i spuścił wzrok na dywan.

– Jest to możliwe, oczywiście – przyznał z niechęcią.

– Czegoś nam pan nie mówi – usłyszeli nagle głos milczącego dotąd lorda Hamiltona. Wszyscy zwrócili głowy w jego stronę. Bębnił palcami o parapet okna i wpatrywał się czujnie w twarz detektywa.

– Tak... – potwierdził pan Harris, mnąc w dłoniach sfa-tygowany notatnik.

– Niech pan wreszcie mówi, do licha! – wrzasnął nieoczekiwanie markiz, który przecież prawie nigdy nie podnosił głosu.

Mężczyzna spojrział na niego bacznie. Przedłużająca się cisza okryła wszystkich ponurym płaszczem.

– Dzisiaj rano wyłowiono z Tamizy ciało kobiety, które pasuje do rysopisu państwa córki – wyznał jednym tchem.

Przez kilka sekund wszyscy zdawali się zastygnąć w bezruchu. Choć pomieszczenie było pełne ludzi, uszy wypełniała jedynie nieprzyjemna głusza, w której odbijało się echo słów pana Harrisa.

Pierwszy ocknął się Hamilton.

– Skąd przypuszczenie, że to panna Williams? W Londynie mieszka mnóstwo kobiet z jasnymi włosami – spytał z powagą.

Lady Amelia, która po oświadczeniu detektywa patrzyła tylko tępo w dywan, podniosła nagle głowę.

– To na pewno nie moja córka! – Zerwała się na równe nogi. Jej oczy były pełne łez i bólu. Dłonie zwinęła w pięści i patrzyła na detektywa z takim uporem i determinacją, jakie może odnaleźć w sobie tylko matka.

– Niestety, trudno jest określić, ponieważ ciało... – szukał odpowiednich słów, by jeszcze bardziej nie wstrząsnąć bliskimi dziewczyny – ...ciało zostało dość mocno zdeformowane – dokończył rzeczowo. Nie było łagodnego sposobu na przekazywanie takich wieści.

Markiza zakryła dłonią usta, gdy wydobył się z nich nagły okrzyk rozpaczy. Lord Williams chwycił małżonkę za ramiona i ścisnął mocno. Usiedli z powrotem na kanapie.

– Trzeba jak najszybciej rozstrzygnąć ewentualne podobieństwo do panny Williams – stwierdził z powagą Hamilton.

Sam nie znalazł zbyt dobrze przyjaciółki swojej żony, ale wiedział, że Charlotte wiele jej zawdzięcza. Gdy tylko się dowiedział, że lady Helen została porwana i to prawdopodobnie jeszcze na jego przyjęciu, natychmiast wynajął najlepszego detektywa.

– Ralf, ja jestem pewna, że to nie ona. Czulabym, gdyby... gdyby... – Lady Amelia mamrotała coś niewyraźnie do męża, chwytając za kłapy jego surduta. Łzy kapły jej z policzków, a ona sama była jak w amoku.

– Uspokój się, kochanie. – Markiz przytrzymał obie jej dłonie i pocałował żarliwie. – To na pewno nie jest nasza Helen – pocieszał ją, choć i jemu głos się łamał.

Wszyscy przypatrywali się, jak kołysze ją w ramionach i próbuje uspokoić.

– Czy mogę jakoś pomóc, by zidentyfikować ciało... tej kobiety? – Catherine uniosła walecznie podbródek, który drżał jej od wstrzymywanego płaczu. Specjalnie użyła słów

„tej kobiety”, bo tak jak i matka była przekonana, że to nie jest ciało Helen.

Detektyw spojrzal na nią ponuro.

– To nie jest widok dla damy, lepiej by było, gdyby to pani ojciec... – Nie dokończył, tylko spojrzal na markiza, który wciąż trzymał żonę w objęciach.

Ralf wyprostował się nieznacznie, po czym skinął głową w stronę pana Harrisa. Mężczyźni wymienili się znaczącymi spojrzeniami.

Markiz Williams zrobi, co do niego należy.

Gdzieś w okolicach Portugalii

Helen cały wieczór w kajucie spędziła sama. Powoli zbliżali się do portu, w którym miało dojść do jednej z transakcji, więc kapitan miał teraz wiele obowiązków.

Nie przeszkadzało jej to, a nawet trochę ucieszyło, gdyż mogła w spokoju przeanalizować wszystkie swoje odczucia.

A było ich tak wiele i tak sprzecznych, że ledwie mogła się w nich rozeznąć.

Nakładaly się na siebie sprawy, te najnowsze i te z dawnych lat, które teraz przyprawiały ją o mętlik w głowie.

Już wkrótce miała opuścić Kasjopeję i udać się do domu najbliższym statkiem wyruszającym do Anglii. Z jednej strony nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy swoich bliskich, którzy z pewnością się o nią martwią, a z drugiej nie chciała opuszczać kapitana, który przez ten krótki czas nauczył ją więcej o sobie samej, niż kiedykolwiek wcześniej zdołała się dowiedzieć.

Kiedy wyznał jej historię z młodości, wszystko zaczęło się układać w całość. Teraz rozumiała, skąd wzięła się jego decyzja, by porzucić dziedzictwo. Przeczucia jej nie zmyliły,

Ross nie był zwykłym pyszałkiem, piratem i grabieżcą, którego jej rodzice nigdy by nie zaakceptowali, a mężczyznę z tytułem lorda, czy tego chciał, czy nie.

Z opowieści kapitana wywnioskowała, że jego ojciec jest właścicielem ziemskim i posiada liczne ziemie, które on jako najstarszy potomek Mortimerów powinien odziedziczyć, z tym że doszło między panami do konfliktu i senior rodu pozbawił go tej należności.

Choć nie był księciem ani nawet hrabią, jeśli jego rodzina należała do grona szanowanej szlachty, być może jej rodzice przymknęliby oko na pewne niedogodności, nade wszystko pragnąc szczęścia córki.

Jednak to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby Ross na powrót uczestniczył w życiu socjety, a tego, jak twierdził, nigdy nie zrobi.

Jej samej nie zależało na kosztownościach, mimo że matka uczyła ją, że majątek męża stanowi dla kobiety najlepsze bezpieczeństwo. Wielokrotnie uświadamiała jej też, że na świecie liczy się tylko pozycja. Czy w takim razie przyjąłaby na łono rodziny wydziedziczonego, byłego lorda?

Tak jak i cała elita, jej rodzice najprawdopodobniej by na to nie przystali. Helen była córką markiza, pięknoscią sezonów, której przyszłość zależała od tego, kogo poślubi.

Fale, które obserwowała za oknem dobrze odwzorowywały teraz jej emocje. Przetaczały się gwałtownie po tafli morza, jakby zamierzały wydobyć z głębin wszelkie tajemnice.

Już wkrótce znów miała wrócić na salony, lecz tym razem zrobi to w nowej odsłonie.

Jeśli pogłoska o zaginięciu na dobre się rozniosła, jej reputacja legła w gruzach. O dziwo, nie czuła się z tym źle, a nawet miała wrażenie, że z jej barków spadł jakiś ciężar.

Z pewnością lady Amelia nadal będzie chciała wyswatać ją jak najlepiej, jednak teraz, z jej nadszarpniętym dobrym imieniem, to zadanie będzie prawdopodobnie znacznie utrudnione.

Pomyślała kolejny raz o kapitanie, który swoje życie poświęcił wolności. W jego planach brakowało miejsca na tę jedną jedyną kobietę...

Choć byłoby to ze wszech miar trudne, być może udało by im się zaważczyć o to, co się między nimi zrodziło. Ona, lady Helen Williams tak łatwo się przecież nie poddawała, jednakże... tutaj nie chodziło tylko o nią.

Kapitan bowiem w żaden sposób nie zdradził się z tym, że coś do niej czuje. Oczywiście prawil jej słodkie słówka, ale one znajdowały się w repertuarze jego uroku, dlatego nigdy nie brała ich sobie do serca. Wypowiadanie słowa „kochanie” przychodziło mu z taką łatwością, jakby mówił zwykle „dzień dobry”. Jej samej chyba w ogóle nie przeszłoby to przez gardło, doskonale pamiętała, z jakim uporem broniła się przed mówieniem mu po imieniu.

Nie ludziła się, że jest dla niego kimś więcej. Sam przyznał, że nie stroni od kobiet, dlaczego więc miałaby być wyjątkowa?

Mimo to nie żałowała tego, co się między nimi wydarzyło, uważała się nawet za szczęściarę przez to, że los tuż przed zawarciem monotonnego, wypelnionego nudnymi obowiązkami małżeństwa ofiarował jej taki prezent.

Wiedziała, że chwile, które spędziła na Kasjopei z kapitanem, długo pozostaną w jej wnętrzu. Będzie je skrywać i wspominać podczas nocy spędzanych z obcym mężczyzną, którego nazwą jej mężem. Będzie pamiętać, że kiedyś, za młodu przez krótki czas zakosztowała prawdziwej wolności. Umysłu, ciała i serca.

Być może kapitan szybko o niej zapomni, do Indii czekało go jeszcze wiele mil morskich, a portów po drodze nie brakowało. Miną miesiące, nim znów go zobaczy. Jeśli w ogóle go jeszcze zobaczy.

Westchnęła ciężko, zastanawiając się, jakie życie czeka ją w Londynie. Kiedy zaczęła sobie przypominać swoje często chłodne oraz wyrachowane zachowanie, nawet względem bliskich, poczuła się nieswojo. Czy w ogóle za nią tęsknią? Czy można tęsknić za kimś, kto nie okazuje uczuć ani ciepła?

Z perspektywy czasu i miejsca zaczęła widzieć „dawną siebie” zupełnie inaczej. I to wprawilo ją w zakłopotanie, bo po dłuższych rozmyślaniach stwierdziła, że nie polubiłaby osoby, którą była w Londynie.

Późną nocą, kiedy Helen już dawno spała, do kajuty wrócił Ross. Perspektywa tego, że już jutro ta wspaniała kobieta od niego odejdzie, budziła w nim poczucie strachu i niepewności. Wyciągnął więc swoje ramiona ku niej, na co ona się rozbudziła i przyjęła go z westchnieniem.

Spojrzał na nią melancholijnym wzrokiem, a dziewczyna odgadła, że to już ostatni raz, że wkrótce czeka ich rozłąka. Nie było czasu na rozmowy, oboje bali się, że mogą powiedzieć za dużo, a niewłaściwe słowa mogłyby nieopatrznie sprawić jeszcze większy ból.

Kochali się więc powoli i z czułością, wyrażając swoimi ciałami wszystko, co chcieli przekazać. Było też w ich gestach coś rozpaczliwego, namiętność podsycona rychłą rozłąką wzmagala się w nich niczym sztorm.

Sycili się sobą, w nieskończoność przeciągając pieszczoty, ludząc się, że w ten sposób poranek nie nadejdzie.

Oto dwoje ludzi pośrodku morza odnalazło się, by już wkrótce się rozdzielić.

Bładym świtem

Ross był na pokładzie, gdy Kasjopeja dobijała do portu. Choć musiał przygotować się do zaplanowanych transakcji, jedyne, co zajmowało jego głowę, to kobieta, która wciąż spała w jego kajucie.

Bił się ze swoimi myślami do tego stopnia, że był o krok od tego, by wyznać Helen swoje uczucia.

Ale co miał jej do zaoferowania? Podróż na obcym statku przez wiele miesięcy, podczas gdy ona nie mogłaby nawet wychodzić z kajuty?

Byłby egoistą, proponując jej to. Przecież kobieta, na której mu zależało, była damą, córką markiza. Pierwszy raz wybór jego ścieżki życiowej tak bardzo nie współgrał z jego pragnieniami. Będąc dziedzicem, mógłby ubiegać się o jej rękę, ale z drugiej strony, gdyby nie był tym, kim jest teraz, z pewnością nie poznałby jej tak dobrze, jak przez ostatnie dni.

Jeszcze nigdy w całym swoim życiu rozłąka z kobietą nie przychodziła mu z takim trudem. Zazwyczaj jego kontakty z płcią piękną były burzliwe, namiętne i... krótkie. Nie oglądał się dwa razy za siebie, a twarze, które znalazł niemal w każdym porcie, zlewały się w jego świadomości w bezkształtny ogół, czyniąc go uczuciowo obojętnym.

Z Helen wszystko wyglądało inaczej, i było tak nie dlatego, że okazała się lepsza od wszystkich tych kobiet. Stanowiła zaskakującą mieszanekę dobrych i złych cech. Z jednej strony uszczypliwa, zbyt dumna i wyniosła. Bardzo szybko wpadała w złość. Z drugiej strony miała wiele dobrych cech, takich jak wrażliwość, inteligencja, odwaga. Lecz on, na Boga, uwielbiał ją za całokształt osobowości. Musiało być z nim już bardzo źle, skoro lubił nawet, jak się na niego złościła.

Z początku chciał po prostu miło spędzić ostatnie godziny pobytu Helen na Kasjopei, próbować cieszyć się jej szczęściem, tym, że wróci do Londynu, rodziny i do całego przepychu, który był nieodzowny jej klasie.

Ale kiedy zaraz po przycumowaniu i wydaniu odpowiednich rozkazów wszedł do kajuty i dojrzał ją jeszcze śpiącą w zmiętej pościeli, omal nie rzucił się ku niej prosić, by go nie opuszczala.

Wiedział oczywiście, że to głupie. Sama bardzo dobitnie określiła jego funkcję w swoim życiu. Doskonale pamiętał jej słowa: „Skoro już zdecydowałam się mieć z panem romans?”. Zaśmiał się wtedy w geście autoironii, dostrzegając, że tym razem role się odwróciły. Bo teraz to nie on był tą osobą, która odchodzi.

Prawdopodobnie nie brała nawet pod uwagę innej możliwości. Dlaczego by miała?

Należeli do zupełnie innych światów. Dziewczyna taka jak ona nigdy nie chciałaby spędzić życia, żeglując po najdalszych zakątkach kuli ziemskiej z takim szubrawcem jak on.

Nieraz podkreślała, że jest damą, a on nie mógł się z tym nie zgodzić. Był pewien, że nastęrczając się jej, tylko wprawilby ją w zakłopotanie. Dlaczego miałyby sobie komplikować życie dla takiego mężczyzny jak on?

W tym właśnie momencie, przyglądając się w jej pogrążonej w śnie twarzy, pomyślał, że choćby nie wiadomo jak pragnął jej u swego boku, nie mógł zniszczyć jej latami budowanego życia. Powinien zdecydowanie się od niej odciąć i po powrocie z podróży nie pozostawać zbyt długo w Londynie, bo świadomość, że ona gdzieś tam jest i tańczy w objęciach obcego mężczyzny, będzie doprowadzać go do szału.

Już wkrótce miała wyjść za mąż za jednego z tych strojnych adoratorów. Wspominała przecież, że jej matka chętnie zobaczy w roli jej małżonka księcia Cavendisha, a on, choć zapracował sobie na całkiem pokaźny majątek, nie mógł się z nim mierzyć.

Wciąż zagłębiany w rozmyślaniach usłyszał naraz, jak dziewczyna mamrocze coś przez sen. Od jakiegoś czasu znacznie rzadziej jej się to przydarzało, być może ich zażyłość działała na nią pokrzepiająco.

Podszedł bliżej, jakby czekał, aż powie coś, co zmieni jego decyzję.

– Nie... – usłyszał jej cichy głosik. Przerzuciła głowę na drugą stronę poduszki i zmarszczyła brwi – chcę... chcę już wrócić do domu – powiedziała i przewróciła się na drugi bok.

Ross zeszytywniał z poczuciem, że ostatnia jego nadzieja legła w gruzach. Jeśli z początku ludził się, że ma u niej jakiegokolwiek szansę, to teraz uzyskał od niej jasny przekaz.

Miejsce damy jest na salonach, nie na statku.

Zdawał się to wiedzieć niemal każdy marynarz, tylko nie on.

Pół godziny później w kajucie kapitańskiej

Ranek nastął nadspodziewanie prędko. Dziewczyna obudziła się nagle z dziwnym wrażeniem, że coś jest nie w porządku. Zmarszczyła brwi i usiadła na łóżku.

Statek.

Statek się nie ruszał.

Z nagłej paniki żołądek omal nie podjechał jej pod samo gardło.

Wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna, po czym... zamarła w odrętwieniu. Dłonie opadły jej bezwładnie po

bokach, gdy zrozumiała, że piękny sen, który tak krótko przyszło jej śnić, właśnie się skończył.

Kilka godzin później

– A oto właśnie pańska nowa pasażerka, lady Helen Williams. – Mortimer dokonał eleganckiej prezentacji.

Lord Stanley Baldwin, bardzo strojnie ubrany jegomość, skłonił się dziewczynie, na ile pozwalał mu dość pokaźny brzuch.

– Panno Williams – zaczął – to wielka przyjemność tu panią spotkać. Jak pani wie, znam się dobrze z pani ojcem, markizem Williamsem, będzie mi więc bardzo miło gościć panią w moich skromnych progach. – Zaprosił ją gestem na pokład, a ona uśmiechnęła się z wysiłkiem, lecz nie przesunęła do przodu ani o centymetr. Za plecami miała Kasjopeję i kapitana, a przed sobą rodzinę i przyszłość w Londynie. Przelknęła z wysiłkiem ślinę, wiedząc, że pora na ostateczną decyzję, lecz ona wciąż nie potrafiła jej podjąć.

Z samego rana zdążyła zjeść pospieszne śniadanie, po czym nagle ni stąd, ni zowąd zjawił się kapitan, oznajmiając jej, że znalazł jej transport do domu. Nie wydawał się ani trochę smutny z tego powodu, przez co Helen miała mieszane uczucia.

Jak się okazało, gdy tylko zacumowali w Porto, nakazał Danny'emu pilnować jej drzwi, a sam wkrótce wrócił z niewielkim tobołkiem, który teraz właśnie wręczał jednemu ze sług lorda Baldwina, by go zaniesiono do jej kabiny. Zdawał się faktem jej odejścia wręcz uradowany.

– Proszę mi wybaczyć. – Uśmiechnęła się do lorda, ciągnąc jednocześnie za ramię Mortimera. – Chciałam jeszcze kupić jakąś pamiątkę dla rodziny. O której odpływamy? – spytała, trzepocząc jasnymi rzęsami.

Mężczyzna obrócił się trochę nieporadnie, sprawdzając stan i gotowość załogi.

– Jak tylko będzie panienka gotowa – zapewnił, wpatrując się w nią z szacunkiem.

– Jest pan bardzo wspaniałomyślny! Pan Mortimer dostrzyma mi towarzystwa, wróć lada moment! – powiedziała, niemal ściągając Rossa z kładki prowadzącej na statek.

Gdy odeszli na mostek, mężczyzna nachylił się do niej.

– Co robisz? – syknął jej do ucha. – Wiesz, ile musiałem mu zapłacić, żeby cię zabrał? – natarł na nią. – Kolejny statek do Anglii odpływa dopiero pojutrze, ani tobie, ani mnie zwlekanie nie jest na rękę.

Dziewczyna szła szybkim krokiem, nie zważając na tłum ludzi dookoła, stragany, powozy i hałasy. Nie miała pojęcia, dokąd idzie. Była zdenerwowana i wytrącona z równowagi, ale wiedziała, że nie może, po prostu nie może pożegnać się z Rossem prostym „do widzenia”. Szła tak, ciągnąc go za sobą i mijając grupy ludzi, którzy z czasem zaczęli się przeredzać, aż w końcu zupełnie zniknęli.

Kiedy położył jej rękę na ramieniu, dostrzegła, że znajdują się w odosobnionej uliczce miastowego labiryntu. Odwróciła się do niego gwałtownie i obrzuciła wściekłym spojrzeniem.

– To tak się ze mną żegnasz?! – wypaliła, czując, że nie ma ochoty już nad sobą panować.

Smutek, łzy i rozpacz? Mogłaby to zrozumieć, ale całkowita obojętność, a nawet radość z tego, że odpływa? To się nadawało na zemstę.

– Helen, kochanie... – Wyciągnął do niej rękę.

– Nie kochaniu mi tutaj, ty pospolity marynarzynie! – warknęła, odtrącając go.

– Uznałem, że tak będzie lepiej... – tłumaczył się nieporadnie, choć w oczach błyszczały mu iskiereczki rozbawienia.

– Ciekawe dla kogo! – prychnęła, obrzucając go pogardliwym spojrzeniem. – Doprawdy nie rozumiem, dlaczego utarło się, że to mężczyźni podbijają świat, skoro brak im piątej kleпки. To, co pan chciał zrobić, było po prostu... – Ross uniósł jedną brew, czekając na zakończenie – nie-taktowne! – zakończyła, odchodząc kilka kroków dalej, po czym wróciła do niego, by dźgnąć go w pierś. – Nie jestem jedną z twoich portowych panienek, Ross! Pamiętałbyś chociaż o tym, że jestem damą!

Mężczyzna obracał głowę w jedną stronę i w drugą, patrząc, jak ta przekłeta złoźnica gani go za to, że chciał uczynić ich rozstanie możliwie najmniej bolesnym. Wczoraj cały wieczór i pół nocy spędził z marynarzami, pijąc podejrzenie słabe trunki i rozmyślając nad swoim celem, którym były teraz Indie Zachodnie.

Uwielbiał podróżować, stawiać oblicze nieznanemu, ale gdy wiedział, że wróci do kajuty, a na łóżku nie będzie spała mamrocząca przez sen śliczna blondynka, wszystko traciło na znaczeniu.

Westchnął zatopiony w swoich myślach, gdy naraz dojrzał wlepione w siebie wściekle spojrzenie lazurowych oczu.

Dziewczyna trzymała się pod boki i patrzyła na niego, jakby czekała na jego odpowiedź.

Ross podrapał się z konsternacją po policzku.

– Eee... nie dosłyszałem pytania? – wybąkał nieporadnie, na co ona rzuciła się ku niemu z pięściami. Przytrzymał je łagodnie i przytulił ją do siebie, jednym ruchem zamykając w objęciach. Zastygła w niepewności, czy mu na to pozwolić, czy nie.

– Ja też będę za tobą tęsknił – powiedział, po raz ostatni wtulając twarz w jej złote włosy. Ledwie to powiedział, usłyszał za plecami jakiś szelest i nagle ku swojemu zaskoczeniu poczuł ostry ból w okolicach żeber, jakby uderzenie noża,

którego siła zaczęła rozprzestrzeniać się szybko po całym ciele.

Krzyknął i odwrócił się szybko, szukając napastnika i jednocześnie usiłując ukryć za sobą Helen.

Dziewczyna odskoczyła od niego, unosząc dłonie do ust.

Przed nimi stało czterech marynarzy: Tally, oficer McFitz i dwóch innych ludzi, z którymi jeszcze wczoraj Mortimer spędzał wieczór.

– Oddaj dziewczynę, a nic ci się nie stanie – warknął Tally, trzymając w powietrzu zakrwawione ostrze.

– Już mnie dźgnąłeś, ty idioto – syknął Ross. – A dziewczyna nigdzie z wami nie pójdzie, wraca do Anglii, gdzie jej miejsce. – Zmierzył ich złowrogim spojrzeniem.

– Jest nasza, my ją sobie znaleźliśmy, oddaj ją, a wszyscy będą szczęśliwi. – McFitz rozłożył dłonie, jakby próbował uspokoić rozwścieczonego byka.

Ross zrobił jeszcze krok w tył, sprawdzając po omacku, czy dziewczyna wciąż za nim jest.

– Helen, uciekaj – rzucił w jej stronę przez zaciśnięte zęby, jednocześnie wciąż obserwując bandytów. – Oni chcą ciebie, nie mnie. Uciekaj na statek!

– Nie zostawię cię – odezwała się płacziwym głosem.

– Albo zginiemy oboje – powiedział twardo – albo tylko jedno z nas. Uciekaj, teraz! – wrzasnął ostatnie słowo, wykonał szybki gest, sięgając do cholewy buta, po czym rzucił się sam na czterech mężczyzn.

W uszach słyszał tupot stóp dziewczyny i uśmiechnąwszy się szeroko, przywalił w szczękę typowi, którego nie znosił od samego początku podróży.

Tymczasem w Londynie

Lady Amelia z niecierpliwością wyczekiwała powrotu męża do domu. Kiedy tylko usłyszała, jak wchodzi przez drzwi frontowe, zerwała się z fotela, trzymając wyciągniętą w dłoni filiżankę z wypitą do połowy herbatą.

Stała cała odretwiąła z nerwów, wiedząc, że teraz tylko sekundy dzielą ją od chwili, kiedy dowie się, czy jej córka wciąż żyje.

Strach paraliżował całe jej ciało. Niby pragnęła usłyszeć wieści od męża, ale z drugiej strony bała się tego.

Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów jego kroków w korytarzu, zaraz potem drzwi do bawialni otworzyły się i w progu stanął markiz.

Poszukał jej wzrokiem i gdy ich spojrzenia się spotkały, kobieta dostrzegła łzy w jego oczach. Wszystkie jej nerwy napięły się niczym struny.

– To... nie ona – powiedział tylko łamiącym się głosem i rzucił się ku niej.

Markiza wydała z siebie głośnie westchnienie ulgi i podbiegła do niego, wypuszczając z rąk filiżankę.

– Wiedziałam, po prostu wiedziałam! – Szlochala z ulgi, znikając w jego szerokich ramionach.

Mężczyzna tulił ją niczym zranione zwierzątko, sam przy tym nie szczędząc łez.

Cokolwiek działo się z Helen, gdziekolwiek teraz była, jej rodzice gorliwie się modlili, by nic się nie stało córce i by prędko wróciła do domu.

~

Dużo później, gdy już oboje szykowali się do snu, lady Amelię zaczęło męczyć poczucie winy.

– Ralf? – spytała, czesząc przed toaletką swoje włosy.
– Tak, moja droga? – Markiz kładł się już do łóżka.
– Czy myślisz, że byłam dla niej zbyt ostra?
– Co masz na myśli? Dla kogo? – dopytywał się.
– Dla... Helen. – Obróciła się do niego, opuszczając dłonie na kolana. – Wiesz, że zawsze była moim oczkiem w głowie.

Mężczyzna pokręcił głową i westchnął, zanim jednak cokolwiek powiedział, małżonka go w tym wyręczyła.

– Och, właśnie tak myślisz! – fuknęła zrezygnowana. – Widzę to po twojej twarzy!

– Amelio, nie trzeba od razu...

– Nie zniosę tej myśli. Ty naprawdę uważasz, że zbyt wiele od niej wymagałam! – Rzuciła mu zbolale spojrzenie.

Markiz spoglądał na nią czule. Dobrze znał dramatyczną naturę swojej żony. Nie było to w tym domu nowością.

– Helen zdawała się to akceptować. – Wzruszył ramionami. – Zawsze miałem wrażenie, że lubi uwagę i życie na świeczniku.

Te słowa przykuły uwagę markizy.

– Naprawdę tak myślisz – zmrużyła oczy – czy tylko chcesz mnie uspokoić?

– Naprawdę tak myślę – westchnął znów. – Mieliliśmy dzisiaj ciężki dzień, kładź się do łóżka – dodał, próbując jak najszybciej zakończyć dyskusję.

– Ale nie sądzisz, że zbyt mocno naciskałam na to, by tak dobrze wyszła za mąż? Czy to nie jest zbyt silna presja ze strony rodzica? – upierała się.

– O tym, za jakiego człowieka zapragnie wyjść Helen, zdecyduje tylko ona sama. Jeśli wybierze sobie kogoś z wysoką pozycją, bardzo dobrze. Jeśli będzie inaczej, dostosujemy się – powiedział, lecz kiedy po tych słowach zapadła

cisza, zmarszczył brwi i spytał raz jeszcze: – Dostosujemy się, prawda?

Kobieta przez chwilę maltretowała rączkę szczotki w dłoniach.

– Och, Ralf, wiesz przecież, że dla mnie liczy się teraz tylko to, by wróciła do domu cała i zdrowa – wyrzuciła z siebie płaczliwym tonem.

– Wiem, najdroższa – odparł cicho, widząc rozpacz na jej twarzy.

Kobieta pokiwała głową, jakby sama sobie musiała potwierdzić, że tylko to jest teraz dla niej najważniejsze.

Umilkła na dłuższy czas, więc markiz doszedł do wniosku, że temat został zakończony. Przyzwyczajony do jej wieczornego krzątania się po sypialni, zaczął powoli przysypiać. Kobieta zgasła lampę i umościła się w łóżku. W całej rezydencji zgasły już światła i dom pogrążył się w mroku.

– Naprawdę myślisz, że nie jestem złą matką? – wyszeptowała po chwili natarczywym szeptem.

– Mhmmmm – wymruczał w poduszkę na wpół śnięty.

Kobiety, pomyślał jeszcze, zanim zapadł w głęboki sen.

Tydzień później, w północno-wschodniej części Atlantyku

– Nasz medyk opatruje go każdego dnia, panienko, jego stan jest stabilny – powtórzył lord Baldwin chyba po raz setny. Odkąd wypłynęli, odpowiadał lady Williams na te same pytania.

Dziewczyna wydała się nieprzekonana.

– Chciałabym się z nim zobaczyć – upierała się.

– To jest wykluczone, żeby dama oglądała mężczyznę w takim stanie – odmówił jej stanowczo. – Znam dobrze pani rodzinę i wiem, że nie pochwalaliby tego.

Helen przymknęła oczy, próbując opanować wściekłość. Ten człowiek nie rozumiał, że ona MUSI go zobaczyć.

– A jaki to jest stan, jeśli wolno mi spytać? Chyba nie poczuł się gorzej? – Spojrzała, próbując wyczytać coś z mimiki jego twarzy.

– Ależ nie – zapewniał ją w kółko. – Pan Milner opiekuje się nim bardzo gorliwie. Proszę mi wierzyć, to najznajmniejszy lekarz, jakiego znam. Zanim wrócimy do Anglii, kapitan z pewnością stanie na nogi.

Helen westchnęła nieco uspokojona.

Kiedy parę dni temu zostali napadnięci w tej bocznej uliczce, w pierwszym odruchu pomyślała, żeby oddać się w ręce zbrojczyków, by go ocalić. Nie spodziewała się, że Ross podejmie decyzję za nią, gotowy poświęcić dla niej życie. Przecież równie dobrze mógł im ją po prostu oddać, a jemu nic by się nie stało.

Biegając z powrotem do portu, by poszukać pomocy, była tak wstrząśnięta jego czynem, że ledwie widziała drogę przez lzy. Całe szczęście lord Baldwin szybko zareagował i natychmiast wysłał swoich najlepszych ludzi, by pomogli kapitanowi.

Helen tylko raz zobaczyła Rossa, jak wnosili go na pokład statku. Cały był zbroczony krwią, nie wiedziała, czy swoją, czy swoich napastników. Pragnęła ku niemu pobiec, ale lord Baldwin powstrzymał ją, mocno ścisnąwszy dłoń na jej ramieniu. Przekonywał, że w tej chwili w niczym mu nie pomoże. Osoba, której kapitan potrzebował najbardziej, to doktor, a Bogu dziękując za ten cud, lord Baldwin bez medyka nigdzie się nie ruszał.

Helen nawet nie pomyślała w tej chwili, dlaczego medyk jest częścią załogi pana Stanleya. W innej sytuacji z pewnością zauważyłaby, jak lord utyka, i sama wyciągnęłaby wnioski.

– Dziękuję, lordzie Baldwinie, gdyby nie pan... – Jej głos zadrżał, a ona zasłoniła usta chusteczką, której ani na chwilę nie wypuszczała z dłoni.

Mężczyzna poklepał ją dobrodusznie po ręce, którą ku niemu wyciągnęła.

– Jestem pewien, że ta napaść mocno nadwyrężyła pani nerwy – podjął, opacznie rozumiejąc jej stan poruszenia.

– Oczywiście. – Wytarła nos i dodała: – Tak, to było naprawdę okropne.

Bądź co bądź nie było sensu zdradzać się ze swoim uczuciem do kapitana, które teraz, biorąc pod uwagę bohaterski czyn w jej obronie, wykraczało ponad wszelką miarę.

– Mam nadzieję, że pani samopoczucie wkrótce się poprawi – odrzekł Lord Baldwin i przeprosił ją na chwilę, by porozmawiać z załogą statku.

Dziewczyna obróciła się w stronę burty, czując, jak wiatr osusza jej lzy. Wciąż się bała o zdrowie Rossa, na szczęście po rozmowie z panem Milnerem, starszym i zdawało się doświadczonym lekarzem, jej wątpliwości znacznie zmalały.

Jak się okazało, Mortimer został dźgnięty w plecy, jednak nóż nie dostał się między żebra, tylko zatrzymał na nich, co prawdopodobnie uratowało mu życie, natomiast reszta ran po umyciu, nie licząc siniaków, okazała się powierzchowna.

Krew, którą widziała na nim, gdy wnoszono go ledwo przytomnego na statek, okazała się krwią przeciwników.

Helen uniosła głowę, dumna z kapitana niemal tak, jakby to ona sama walczyła. Wyjść cało z napaści, w której uczestniczyło czterech bandytów? Z pewnością znalazł się na walce wręcz.

Z jednej strony żalowała, że im się to przytrafiło, a z drugiej cieszyła, że kapitan płynie razem z nią z powrotem do Anglii.

Spodziewała się co prawda, że Ross pewnie nie będzie szczęśliwy z powodu zaistniałego przebiegu zdarzeń, ale dla niej liczyło się tylko to, że żyje.

Na statku otrzymała miejsce w niewielkiej, jednoosobowej kajucie i gdy pierwszego dnia ją tam skierowano, przypomniała sobie, że kapitan Mortimer zakupił dla niej kilka drobiazgów.

Gdy otworzyła tobolek, aż wstrzymała oddech z wrażenia. Ze środka wyjęła śliczną bladoróżową suknię z długimi rękawami i drugą jasnoniebieską z jedwabiu, z dekoltem przyozdobionym haftem i rękawkami. Obie musiały kosztować krocie. Helen nie miała pojęcia, gdzie Ross znalazł takie i wołała się nad tym nie zastanawiać.

W pakunku leżały też bielizna, podstawowe przybory toaletowe, szmizetka na chłodniejsze dni, rękawiczki i nowe, sznurowane buciki z miękkiej skórki.

Dziewczyna z uśmiechem wyciągała te przedmioty. Od razu przypomniała się jej ich rozmowa o tym, z czego zrobione są pantofle, które nosiła.

Ostatnią rzeczą znaną na dnie torby było malutkie, drewniane pudeleczko z polerowanego hebanu. Zacięka-wiona otworzyła wieczko i gdy zobaczyła, co jest w środku, nie potrafiła opanować wzruszenia.

Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom, że Ross się na to zdobył. W tamtym momencie jeszcze nie wiedziała, że rany nie zagrażają jego życiu, ale ten gest i dodatkowo stanięcie w jej obronie na dobre zapadły w jej sercu.

To wtedy, w obliczu niepewności i niebezpieczeństwa, zrozumiała, że go kocha. To odkrycie zarówno cieszyło ją, jak i smuciło.

Zdawała sobie bowiem sprawę, że rodowy pierścień Mortimerów był prezentem nie zaślubnym, a pożegnalnym.

Tymczasem w kajucie po drugiej stronie statku

Ross już kolejny dzień leżał na posłaniu i nie wierzył we własny los. Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż to sobie planował.

Choć będąc jeszcze na statku Kasjopeja, serce ścisnęło mu się z bólu, sądził, że robi to, co do niego należy.

Znalazł dla Helen statek, którym bezpiecznie mogłaby wrócić do Anglii. Lord Baldwin znany był w Londynie ze swojego zamiłowania do wina, toteż jego pobyt w Porto, mieście słynącym z tego trunku, zupełnie go nie zdziwił.

Mimo że mężczyzna wywodził się ze szlacheckiego rodu, sam podobno z wielką przyjemnością przyplýwał, by osobiście oglądać sławne winnice. Traktat handlowy sporządzony między państwem angielskim a portugalskim pozwalał mu swobodnie korzystać z uroków tego kraju, co skrupulatnie wykorzystywał.

Okazało się, że lord Baldwin dobrze znał rodzinę Helen. Nie przeszkadzało mu to jednak zażądać sobie za dodatkową pasażerkę okrągłej sumki. Najwidoczniej miał głowę do interesów.

Nie miało to dla Rossa znaczenia, pieniędzy mu nie brakowało, chciał natomiast jak najszybciej odprawić Helen, by nie widzieć w jej oczach żadnego pretekstu, który kazałby mu ją zatrzymać.

A był takim głupcem, że z pewnością by go dostrzegł, nawet gdyby wcale go tam nie było.

Nie mógł jednak wypuścić jej bez pożegnalnego prezentu. Pragnął, by miała coś, co by jej o nim przypominało. Oprócz podstawowej garderoby, którą zdobył dzięki znajomościom w niezbyt pochlebnych kręgach, znalazł na targu małe hebanowe pudełeczko.

Jeśli już nigdy nie miał jej zobaczyć, powinna zabrać ze sobą jego częśćkę, choć przecież i tak należał do niej całym ciałem i całą duszą.

Jak się jednak okazało, los szyderca miał inne plany i wszystko obrócił do góry nogami.

Po tym, jak z premedytacją się od niej odseparował i był już o krok od sukcesu (dosłownie o krok, wystarczyłoby tylko, gdyby ta uparta kobieta weszła na ten cholerny statek!), ona odciągnęła go na bok, w tę przeklętą uliczkę, żeby wygarnąć mu, co myśli o nim i o jego pożegnaniach.

Wciąż był na nią o to zły. Gdyby nie jej lekkomyślne zachowanie, wszystko przebiegłoby tak, jak to sobie zaplanował. To, że dopiero wkrótce przyszło mu się dowiedzieć, iż przez wiele miesięcy żeglowałby z nie jednym handlarzem kobiet, a co najmniej dwoma, zupełnie go teraz nie interesowało. Wolał skupić się na złości, dzięki której mógł oddzielić się od uczuć do dziewczyny.

Jeszcze zanim ludzie Baldwina przybyli mu na ratunek, udało mu się całkiem porządnie obić bużki napastników, jednak nawet gdyby zebrał wszystkie swoje siły i umiejętności, raniony nie dałby rady im czterem.

Nie oponował, gdy dotargano go na statek, wiedział, że nie ma już po co wracać na Kasjopeję, a w tym stanie i bez pieniędzy nie widział też wielkich szans na przeżycie w mieście.

Choć z trudem to przed sobą przyznawał, chciał też zobaczyć ją, całą i zdrową, na statku, na którym już nic jej nie zagrażało.

Medyk zajął się nim, lecz jego własny stan miał dla niego drugorzędne znaczenie. Kiedy się dowiedział, że odplynęli z portu i dziewczyna jest tutaj cała i bezpieczna, mógł odechnąć z ulgą.

Przez kolejne dni doniesiono mu, że nieustannie o niego pytała, lecz obawiał się, że jeśli pozwoli Helen się do siebie zbliżyć, jej i tak nadwyreżona już reputacja, całkowicie legnie w gruzach. Lord Baldwin nigdy nie zapytał, co dziewczyna robi sama z dala od domu. Był zbyt dobrym kupcem, by wiedzieć, że milczenie też można kupić.

Poza tym Ross jeszcze na Kasjopei podjął fundamentalną decyzję. Zamierzał trzymać się od panny Williams z daleka, dla jej własnego dobra, niezależnie od tego, czy będzie znajdował się od niej mile morskie stąd, czy tuż obok...

Kilka dni później

Dopiero kiedy statek lorda Baldwina wpływał do Tamizy, Helen na własne oczy ujrzała Rossa. Na jego widok, całego, zdrowego i swobodnie się poruszającego, miała ochotę rzucić mu się na szyję, jednak zdawała sobie sprawę, że ich swoboda, jaką mieli na Kasjopei, to przeszłość.

W Londynie panowały inne zasady i jeśli miała jeszcze jakąkolwiek reputację, musiała ją zachować.

Powściągnęła więc swoje emocje i przybrała przyjazny wyraz twarzy.

Zupełnie nie rozumiała, dlaczego zabroniono jej widzenia się z nim, ale podejrzewała, że wrodzona ostrożność lorda Baldwina kazała mu utrzymywać między młodymi dystans.

Wciąż się dziwiła, że nigdy nie zapytał, w jaki sposób znalazła się w tych niecodziennych okolicznościach, a ona o niczym mu nie wspominała. Pewnie i tak dowie się o wszystkim na którymś z przyjęć kończącego się sezonu, gdzie po jej powrocie będzie huczeć od plotek.

– Kapitanie – przywitała się grzecznie, czując na swoich plecach czujne spojrzenie lorda Baldwina.

Mężczyzna podszedł do niej niespiesznie. Miał na sobie świeże ubranie, prezentował się dość swobodnie, jak to on, ale biel koszuli i ciemny brąz spodni ładnie ze sobą kontrastowały. Skłonił się przed nią, zupełnie tak, jakby byli na jakimś balu.

– Mam nadzieję, że podróż minęła pani przyjemnie – zaczął niezobowiązująco. – Pragnę pani serdecznie podziękować za uratowanie mi życia. Gdyby nie pani interwencja, z pewnością byłbym już stracony.

Helen zmarszczyła brwi. Jego ton oraz manieri zupełnie nie pasowały do Rossa, którego знаła z Kasjopei. Obróciła się, by kątem oka dostrzec, że lord Baldwin odrobinę nachyliła się w ich stronę. Oczywiście, byli podsłuchiwan! Że też od razu się nie domyśliła.

Kapitan specjalnie grał wielkiego dostojnika, by nikt nie podważał jej honoru!

Uśmiechnęła się kącikami ust.

– Podróż była wyjątkowo przyjemna, choć nieco monotonna – odparła, obdarzając go znaczącym spojrzeniem, którym chciała przekazać, że za nim tęskniła.

– Przykro mi to słyszeć, madame. Mam nadzieję, że powróć do domu, za którym tak pani tęskniła, nieco panią ożywi – dodał z kurtuazją.

– Bardzo się cieszę, że znów zobaczę rodzinę, ale najpierw – podeszła do niego o krok, na co on zareagował usztywnieniem ramion – to ja chciałam panu podziękować. Obawiam się, że to pan najpierw podjął ryzyko i stanął w mojej obronie.

– Każdy mężczyzna zrobiłby na moim miejscu podobnie – wykręcił się, sprowadzając całe wydarzenie do błahostki.

– Nie sądzę. – Uśmiechnęła się skromnie. – Również i za wiele innych rzeczy mogłabym panu podziękować. – Tu przejechała dłonią po zdobionym rękawku jasnoróżowej

sukni, dając tym znać, że ma na myśli wszystkie prezenty, w tym, co najważniejsze, pierścionek Mortimerów, który trzymała zawsze w kieszeni sukni.

– Tak jak już wspomniałem, każdy dżentelmen, który ma choć krztę honoru, zrobiłby na moim miejscu to samo – powiedział znudzonym tonem, po czym odwrócił od niej wzrok, jakby ta rozmowa zaczęła go irytować.

Helen jednak uparcie ciągnęła dialog. Nie widziała Rossa przez tyle dni, nie mogła go teraz wypuścić tak łatwo. Poza tym, czy on przypadkiem nie za bardzo wczuwał się w rolę tego zobojętniałego opiekuna?

– Co więcej, pragnęłabym pana również przeprosić – dodała. – Wiem, że swoją obecnością pokrzyżowałam pana plany w związku z wyprawą do Indii. – Spojrzała na niego spod rzęs, jakby tylko czekała, aż zaprzeczy. On jednak skrzywił się, jakby to faktycznie była dla niego wielka niedogodność, ale zaraz uśmiechnął się z przymusem.

– Jeszcze będą inne wyprawy – odparł nieco protekcyjnym tonem.

Helen zaśmiała się perliście, jakby powiedział wyśmienity żart.

Rozumiała jego zachowanie, jednak czuła się trochę dziwnie, gdy przemawiał do niej w ten sposób.

Gdy dobili do portu, była tak podekscytowana, jak chyba jeszcze nigdy. Zdawała sobie sprawę, że rodzina nie ma pojęcia o jej powrocie i ciekawiło ją, jak zareagują, gdy pojawi się nagle w progu. Bardzo chciała zrobić im niespodziankę.

~

– Lordzie Baldwinie, jestem niezmiernie wdzięczny za pana gościnność i to, że przyjął mnie pan na statek w tak niedogodnym momencie. – Ross podszedł do mężczyzny,

by wyrazić mu swoje podziękowania. – Oczywiście, jak tylko wrócę do swojej rezydencji, ureguluję płatność, jaką musiał pan ponieść za dodatkowego pasażera, jak i również za leczenie go.

– Lordzie Mortimerze, proszę zapomnieć o dodatkowej zapłacie. Jestem pewien, że na moim miejscu zrobiłby pan to samo. – Stanley poklepał go jowialnie po ramieniu.

Ross podziękował mu skinieniem głowy.

– Jestem panu dłużny. Gdyby kiedykolwiek potrzebował pan mojej pomocy, może na mnie liczyć – zapewnił go.

– Młody człowieku – pokręcił głową – jedyne, o co bym pana prosił, to odprowadzenie bezpiecznie panny Williams do rezydencji rodzinnej. Wiem, że zostaliście państwo napadnięci, więc poproszę, by sprowadzono dla was powóz.

Kapitan jeszcze raz się sklonił.

– Nie wiem, jak panu dziękować.

– Nie trzeba – dodał Baldwin, znów patrząc na pannę Williams, która choć próbowała robić to dyskretnie, co rusz zerknęła na przystojnego kapitana. – Proszę mi wierzyć, panie Mortimer – spojrzal na niego z wszechwiedzącym uśmiechem – i ja kiedyś byłem młody...

Londyn, godzinę później

– Ross, tak się cieszę! – Helen nie mogła powstrzymać ekscytacji, gdy zostali już sami w powozie. – Nie mogę się doczekać, aż zobaczę swoją rodzinę. Ale będą mieli miny! Przecież nie mieliśmy czasu, żeby wysłać im list. – Niemal piszczala z podniecenia. – Czy nic ci nie jest? – zatroskała się zaraz na widok jego obojętnego wyrazu twarzy i wyciągnęła ku niemu ręce. – Nie najlepiej wyglądasz, chyba jesteś trochę blady. – Dotknęła jego czoła i zarzuciła go pytaniami: – Żle się czujesz? Czy rana wciąż cię boli?

Mężczyzna spojrzal na nią niechętnie.

– Na które z tych pytań mam odpowiedzieć najpierw? – spytał opryskliwie.

Ona jednak nie bardzo zwracała na to uwagę, widocznie wciąż był na nią zły za to, że pokrzyżowała mu plany. Z czasem mu przejdzie, pomyślała w duchu.

Nikt i nic nie mogło teraz zepsuć jej humoru.

Wróciła do Londynu, cała i zdrowa, a na dodatek Ross wrócił z nią. Nie było to oczywiście jego wyborem, ale liczył się fakt dokonany.

– Czy dobrze się czujesz? – spytała znów.

– Bywało lepiej – odburknął.

~

Ross nie bardzo wiedział, jak przygasić ten szalony entuzjazm Helen. Sam miał ochotę wziąć ją w ramiona i mocno przytulić. W końcu oboje byli już bezpieczni, a mając w pamięci to, w jakim stanie pozostawili bandytów, gdy już się z nimi rozprawili, i oni nie będą ich już więcej niepokoić. Poza tym, nawet gdyby przeżyli i mieli czelność wracać do Anglii, ryzykowałiby natychmiastowym pojmaniem i zapewne karą śmierci.

Wiedział, podjął tę decyzję już na Kasjopei, że gdy tylko znajdzie się na lądzie, zerwie z nią wszelkie kontakty. Niech tylko odstawi tę pannę do domu, a zniknie jej z oczu na zawsze.

Helen w końcu zauważyła jego podły humor i złowrogie nastawienie. Jej mina nieco spoważniała. Spojrzała na niego niepewnie.

– Czy mi się zdaje, czy ty... czy coś się zmieniło przez ten czas, kiedy płynęliśmy z lordem Baldwinem? Mam wrażenie, że odkąd się tam znaleźliśmy, zachowujesz się

zupełnie oziębłe. – Patrzyła na niego, marszcząc brwi. – Próbowałam się z tobą zobaczyć, ale wciąż mi odmawiano, zupełnie nie wiem dlaczego...

– Owszem, Helen – powiedział roztargniony. – Jesteśmy teraz w Anglii. Nasza przygoda była wspaniała, nie przeczę, ale miała trwać tylko, dopóki nie wrócisz do domu.

Dziewczyna spojrzała na niego tak, jakby co najmniej uderzył ją w twarz.

Ross obrócił głowę do okna, nie mogąc znieść wyrazu jej oczu.

– Chcesz powiedzieć, że... że... – zaczęła się płatać. Jej duma nie pozwalała wyrazić uczuć, które z taką chęcią chciała mu podarować. Jednak on najwyraźniej zupełnie ich nie odwzajemniał. – Ale... pierścień. – Wyjęła sygnet z kieszeni sukni, podsuwając mu go na dłoni.

Nawet nie rzucił na niego okiem.

– Myślałem, że lubisz błyskotki – odparł okrutnie, co całkowicie zamknęło jej usta.

Wpijała w niego wzrok z niedowierzaniem, lecz zaraz się opamiętała. Była przecież mistrzynią w ukrywaniu emocji.

– Rozumiem, że mój powrót do Anglii wszystko zmienia? – spytała jeszcze, by się upewnić.

– Wszystko – przytaknął. – Gdy tylko odwiozę cię do domu, już nie będę ci się nastęczał.

– Ach – zdołała tylko wykrztusić, po czym opuściła głowę. Przesunęła się nieco dalej na przeciwległej stronie siedzenia i schowała z powrotem do kieszeni swój skarb.

Kiedy mijali znajome budynki i ulice, widziała je jak za mgłą. Ostatecznie nie sądziła, że i jej się to kiedyś przytrafi.

Teraz wyraźnie czuła, że w jej piersi bije serce.

Bo boleło to tak bardzo, że ledwie mogła oddychać.

Rezydencja państwa Williamsów

Ross już do końca drogi pozostał milczący, liczył tylko minuty, aż będzie mógł uwolnić się od tego cholernego poczucia winy, że sprawia ból ukochanej dziewczynie.

Wydawała się taka radosna, że on jest przy niej i że wróciła do Londynu. Grał jednak swoją rolę, tak jak sobie przykazał.

Wkrótce podjechali pod rezydencję Williamsów. Czuł się w obowiązku wprowadzić ją do domu i na własne oczy zobaczyć, że jest już bezpieczna między bliskimi.

Drzwi otworzył im majordomus.

– Dzień dobry, jestem kapitan Ross Mortimer, zdaje się, że znalazłem zgubę państwa Williamsów – powiedział, siłąc się na pogodny ton, by chociaż nie zepsuć dziewczynie radości z powrotu do domu.

Mężczyzna wybaluszył oczy to na jedno, to na drugie, po czym podskakując komicznie, rzucił się w głąb domu, krzyknąwszy tylko przez ramię:

– Proszę wejść, proszę wejść, jaśnie panieeee! – Jego głos rozległ się we wszystkich pomieszczeniach. – Panienska Williams wróciła! Lady Amelio!!! Panna Helen! Panna Helen jest w domu!

Ross chciał się wycofać, ale Helen zakleszczyła dłonie na jego lokciu i niemal wepchnęła go do środka.

Zaraz dał się słyszeć stukot jednej pary butów, dwóch, a potem i więcej. Miał wrażenie, że zaraz wypadnie na nich stado słoni. Przelknął tylko ślinę, gdy do korytarza wparowało naraz kilka osób, z których jak sądził, dwoje musiało być rodzicami Helen, a pozostali kuzynostwem lub rodzeństwem.

Dziewczyna rzuciła się ku matce, a wokół nich natychmiast zaczęli zbierać się inni. Ściskali się i śmiali, lały się łzy wzruszenia i rozlegały okrzyki radości.

Będąc świadkiem tego rodzinnego momentu, poczuł się nieswojo, ale patrząc na twarz Helen, całą moką od łez wzruszenia, i on poczuł się szczęśliwy.

Dopiero gdy usłyszał ciche chrząknięcie majordomusa, które miało przekierować uwagę markiza na niego, wyprostował się jak struna.

– A kimże jest ten człowiek, Helen? – spytał pan Williams pogodnie. – Czy mogłabyś go nam przedstawić?

Helen podeszła do Rossa, niemal pękając z dumy, a on spojrzał na nią ostrzegawczo.

– To jest, papo, człowiek, który uratował mi życie – wyjawiała wszem i wobec.

Niecałą godzinę później

Ross od ponad pół godziny tkwił usadzony w fotelu, odpowiadając tylko czasem krótkimi zdaniami lub kiwając potakująco głową, podczas gdy Helen snuła wielką opowieść o porwaniu.

I co tu dużo mówić, potrafiła ubarwić to i owo.

Oczywiście tematy związane z ich bliską relacją pominęła, stawiając go w świetle bohatera, którym wcale się nie czuł.

Siedziała wciśnięta między siostrę a matkę, które nie kryły zachwyty, ale i przerażenia na wieść o strasznych bandytach i bohaterskich czynach pana Mortimera.

Helen naturalnie nie pominęła swojej heroicznej roli porwanej piękności, co bardzo kapitana bawiło, ale też wprawiało w pogodny nastrój.

Dobrze było widzieć ją w domu, między bliskimi, na których jej widocznie bardzo zależało.

Kiedy po dłuższym czasie wstał z fotela, podziękował za ugoszczenie i chciał oddalić się do swojej samotni, jego zamiarowi kategorycznie odmówiono.

– Chyba nie mówi pan poważnie, lordzie Mortimerze.
– Lady Amelia uniosła się, jednocześnie rozplywając się w uśmiechach. Według niego wyglądała całkiem podobnie do Helen, miała tylko nieco ciemniejszy kolor włosów i trochę inny kształt twarzy. – Musi pan zostać z nami jeszcze trochę. Ostatecznie ocalił pan naszą kochaną córeczkę od straszego losu! Kto by pomyślał – uniosła dłoń do policzka – porwanie arystokratki!

Ross uśmiechnął się wymuszenie i z powrotem usiadł w fotelu. Czy to była ta straszna kobieta, przed którą Helen tak bardzo go ostrzegęła?

Nie uszło jego uwagi również spojrzenie jej ojca, markiza Williama, który nie odzywał się wiele, kiwał tylko czasem głową i śmiał się z żartów córki, ale też przypatrywał mu się dyskretnie, jakby jako jedyny wyczuwał, że coś między nimi zaszło.

Nie powiedział jednak w tej kwestii ani słowa.

~

Pół godziny później, gdy był już po samo gardło zapchany wszelkimi kanapeczkami, ciasteczkami i herbatą, do rezydencji zawitał jego przyjaciel lord Nicolas Devon, mąż siostry Helen, którego znał jeszcze z czasów przedmałżeńskich.

To oni we trójkę, Hamilton, Devon i Mortimer, prześiadali nieraz w Hamilton's Club, do późna rozmawiając i grając dla rozrywki w karty.

Helen szybko przypomniała sobie o swojej przyjaciółce, lady Charlotte Hamilton, więc posłano do niej liścik powiadamiający o jej odnalezieniu i powrocie.

Ku kompletnemu przerażeniu Rossa do rezydencji wkrótce przyjechali Hamiltonowie i teraz wszyscy tłoczyli się w salonie, tworząc aż nadto radosną atmosferę.

Niedługo potem utworzyły się trzy mniejsze grupki. Ojciec Helen poprosił ją do swojego gabinetu, lady Amelia i lady Devon poszły przebrać się do kolacji, a Mortimer, Devon i Hamilton ruszyli do palarni.

Ledwie zdolali zapalić cygara i rozsiaść się ze szklaneczkami whisky w fotelach, a już przyjaciele zalali go lawiną pytań.

– Ross, na litość boską, coś ty zrobił?! – wyraził swoje zdanie jako pierwszy Nicolas, przystojny blondyn, mąż Catherine, która spodziewała się właśnie pierwszego dziecka. – Nie chce mi się wierzyć, że to wszystko, co mówiła panna Williams jest prawdą.

– Cóż, w większości jest – przyznał, wykrzywiając w grymasie usta. Zapalone cygaro lekko drżało nietknięte w jego dłoni.

– Co to znaczy w większości i dlaczego... – Devon zaczął się denerwować.

– Przede wszystkim powiedz mi – przerwał mu ponurym głosem Hamilton – czy to ty ją porwałeś?

Kapitan, widząc zaciśniętą pięść przyjaciela, cieszył się, że choć na to pytanie mógł odpowiedzieć przecząco.

– Nie. To, co opowiadała Helen, było prawdą – wyznał spokojnie.

– Helen? – Hamilton uniósł jedną brew. – Mówisz do panny Williams po imieniu?

– No cóż... eee... oboje przeżyliśmy trudne chwile... pewne wydarzenia zbliżają do siebie ludzi... – odparł, uśmiechając się z zawstydzaniem.

Jezu! Czuł się niemal jak na przesłuchaniu w sądzie!

– Rozumiem – odparł Hamilton, wciąż bacznie go obserwując. – A co to dokładnie znaczy zbliżają?

Ross przelknął z wysiłkiem ślinę. Teraz już nie wymknie się im tak łatwo...

W gabinecie, w tym samym czasie

– Usiądź w fotelu, drogie dziecko. – Markiz zaprosił Helen ruchem dłoni, a sam podszedł do niewielkiego barku z alkoholem. – Porto? – spytał, nieopatrznie proponując jej wino.

– Nie, dziękuję – skrzywiła się. Tego wina miała już serdecznie dość. – Poproszę kieliszek sherry.

Lord Williams skinął głową i nalał alkoholu do dwóch niewysokich kieliszków, podał jej jeden, sam przysiadając na krawędzi biurka.

– Za twój powrót, kochanie! – Ujął smukłą nóżkę rżniętego kryształu i uniósł w górę.

– Za mój powrót – dołączyła do niego, po czym oboje wychylili po lyczku.

Uśmiechnęli się do siebie, by zaraz westchnąć ukontentowani tą chwilą.

– Bardzo za tobą tęskniliśmy – wyznał po chwili markiz. – Twoja matka odchodziła od zmysłów. Nawet nie chcę się zastanawiać, co by było, gdybyśmy cię stracili. Jestem z ciebie taki dumny, że udało ci się to wszystko przetrwać!

Helen uśmiechnęła się szeroko, słysząc tę szczerą pochwałę ze strony ojca. Wiedziała jednak, że jest czas na świętowanie i czas na omówienie innych sytuacji. Była przekonana, że właśnie o tym drugim chciał z nią porozmawiać, zapraszając do gabinetu.

– Nawet przez chwilę nie myślałam, że tutaj nie wrócę. Gdyby ten wstrętny bandyta wywiózł mnie jakimś sposobem aż na Czarny Łąd, znalazłabym sposób, by stamtąd uciec – powiedziała hardo.

– Nie wątpię w to, kochanie. Jesteś równie waleczna co twoja matka. – Posłał jej czule spojrzenie.

Helen nie skomentowała tego, bo zupełnie nie widziała podobieństwa między sobą a matką, ale tego wieczora nie miała zamiaru wdawać się w dyskusję o tym. Za to, a propos podobieństw, naszła ją myśl, że jej ojciec jest w zasadzie całkiem podobny w prawieniu słodkich słówek do kogoś innego znajdującego się w tej rezydencji...

– Czuję, papo, że chcesz porozmawiać ze mną o czymś innym – zmieniła zaraz temat. – Nie zaciągałbyś mnie z byle powodu do gabinetu – dodała, przypominając sobie jednocześnie, że od kiedy sięga pamięcią, wszystkie poważne rozmowy z ojcem przebiegały właśnie w tym pomieszczeniu.

Markiz skinął głową, odchrząkując nieznacznie.

– Znasz mnie zbyt dobrze, kwiatuszku – zaśmiał się serdecznie – ale jeśli chcesz, przełożymy tę rozmowę na jutro. Może jesteś zbyt zmęczona i wolisz odpocząć, położyć się, nie będę nalegał...

– Ale ja będę – przerwała mu stanowczo. – Poza tym, umieram z ciekawości, jak towarzystwo przyjęło moje nagle zaginięcie. – Uśmiechnęła się psotnie, jakby jej porwanie było tylko małym psikusiem, który sprawiła swoim znajomym.

– Helen, na litość boską, nic się nie zmieniłaś – wypalił, już widząc, jak w jej ślicznej główce powstaje sieć domysłów.

– Myślę, że zmieniłam się bardziej, niż myślisz, papo – powiedziała, opuściwszy skromnie wzrok na kieliszek, by nie zobaczyć jej uśmiešku, i wychyliła kieliszek sherry.

– Dobrze – westchnął, podchodząc bliżej i siadając naprzeciw niej na niewielkiej otomanie. – Od czego tu zacząć...

– Ile wiesz? – Poprawiła się zaraz na fotelu, jakby czekała na smakowite nowinki.

– Sporo – wyznał z konsternacją. – Mogliśmy skłamać, udając, że wyjechałaś na prowincję do kuzynostwa, sezon właściwie już się skończył, więc nikogo by to nie zdziwiło, jednak nam przede wszystkim zależało na tym, by jak najprędzej cię odnaleźć.

– Zatrudniliście śledczego, tak? – Spojrzała na niego podekscytowanym wzrokiem, czując się jak prawdziwa bohaterka powieści.

– Lord Hamilton polecił nam pana Harrisa. To współpracownik śledczego Davisa, który czasem pomaga... a zresztą wiesz przecież... Tego, który badał sprawę podpalenia sierocińca panny Charlotte Summer. W każdym razie rekomendowany przez niego pan Harris wydawał się kompetentny, a nam zależało na czasie – wyjaśnił pokrótce.

– I to właśnie on przesłuchiwał wszystkich i szukał moich śladów? – zgadywała.

– Owszem. Napisałszy do najbliższych znajomych, czy byłiby tak uprzejmi poświęcić mu chwilę. Każdy, kto tylko przyszedł nam na myśl, był na liście.

– Ach, w takim razie ogólnie wszyscy wiedzą, że zostałam uprowadzona?

– Zgadza się.

– Rozumiem – dodała w zamyśleniu, stukając palcem o usta. – To znaczy, że... moja reputacja stoi pod znakiem zapytania? – spytała ostrożnie.

Markiz zrobił niepewną minę, zanim jednak odpowiedział, Helen sama się odezwała.

– Nie musisz nic mówić, papo – cmoknęła – widzę po twojej minie, że tak właśnie jest.

Markiz uśmiechnął się do siebie, przypominając sobie, że ostatnio słyszał podobne zdanie z ust jej matki.

– Tak, dziecinko. Trudno powiedzieć, jak zareaguje towarzystwo, słysząc twoją historię. Z jednej strony mogą wykazać się wzgardą, a z drugiej podziwiać cię – stwierdził.

– Racja. Myślisz, że lepiej po prostu nie mówić im wszystkiego?

Markiz namyślał się dłuższą chwilę, analizując to, co Helen opowiedziała im wszystkim wcześniej w salonie.

– Znam lorda Baldwina, to dobry człowiek, ale nie sądzę, żeby utrzymał twoją tajemnicę za zębami zbyt długo. Czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby potwierdzić, że widział cię na statku lub za granicą w tym czasie?

– Hmm... miałam kontakt tylko z załogą Kasjopei, a potem na statku lorda Baldwina, gdzie nie znajdował się już nikt nobliwy. Nawet jeśli ktokolwiek z marynarzy będzie chciał sprzedać komuś historyjkę o mnie, nikt mu nie uwierzy. Słowo prostego człowieka przeciwko słowu szanowanej, arystokratycznej rodziny? – parsknęła. – Nawet nie miałoby dostępu do naszych kręgów.

– A czy w samym mieście Porto ktoś mógł cię zauważyć? – dopytywał.

– Na to trudno mi odpowiedzieć – przyznała. – W tłumie, między ludźmi byłam zaledwie chwilę. Jest oczywiście możliwe, że komuś mignęłam przed oczami, ale raczej w to wątpię. A nawet jeśli tak było, trwało to tak krótko, że z pewnością by pomyślał, że tylko mu się to zdawało.

Markiz kiwał głową, słuchając jej wywodów.

– Dobrze. Bardzo dobrze. W takim razie jeszcze jedno istotne pytanie. – Spojrzał na nią badawczo. – Czy lord Baldwin ma jakiegokolwiek powody, by sądzić, że do czegoś doszło między tobą a kapitanem Rossem?

Dziewczyna nawet nie mrugnęła, wytrzymując jego badawczy wzrok.

– Nie – odparła pewnym głosem. – Przez całą podróż nie było momentu, w którym zamienilibyśmy choćby słowo, dopiero przed samym cumowaniem miałam okazję z nim porozmawiać, a i wtedy było to w obecności lorda Baldwina – wyznała prędko.

– Doskonale – zawyrokował markiz, a wychyliwszy resztkę trunku, odstawił pusty kieliszek na stolik obok. – W takim razie twoją historię uprowadzenia możemy podać bardzo okrojona, nieco naginając fakty.

– Tak uważasz? – Przechyliła głowę, zastanawiając się intensywnie.

– Coś musimy im powiedzieć. Będą pytać, a zgadywanie i ludzkie domniemania są często dużo gorsze niż rzeczywistość.

– Och, zdaję sobie z tego doskonale sprawę – zachnęła się, poprawiając chaotycznie fałdy sukni. – Plotki to największa pożywka wysoko urodzonych. A o czym najlepiej plotkować, jak nie o popularnej panience na wydaniu? Lepiej trafić nie mogli. Pewnie i teraz, nie wiedząc nawet, co się ze mną stało, plotkują, zastanawiając się, czy nie uciekłam przypadkiem z jakimś gołowąsem do Greta Green. – Helen na koniec tego potoku słów znów prychnęła.

– Dokładnie to samo powiedziała jakiś czas temu twoja siostra – stwierdził Ralf rozbawiony tym, jak żeńska linia jego rodziny jest w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobna. Przemknęło mu nawet przez myśl jedno zgryźliwe pytanie, dlaczego żadna z córek nie przejęła po nim charakteru. W rezydencji Williamsów byłoby przynajmniej nieco spokoju.

– Dobrze znów ją widzieć. – Uśmiechnęła się nagle do siebie, przypominając sobie, z jaką miłością patrzyła na nią siostra, gdy znów się zobaczyły. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego kiedyś traktowała ją jak piąte koło u wozu.

– Myślę, że szczegóły tej opowieści omówimy jutro z matką, co ty na to? Nie ma powodu układać wszystkiego naprędce – zaproponował markiz.

– W porządku. Możemy tak zrobić. Przecież i tak wszyscy najbliżsi wiedzą już, że wróciłam, a ja nie podejrzewam ich o plotkowanie – zauważyła spokojnie.

– I ja tak sądzę. – Skinął głową, lecz wciąż wyglądał tak, jakby nie wydusił z siebie wszystkiego.

Helen zaczęła się denerwować, widząc, jak zwleka z zapytaniem.

– Kochanie, powiedz mi jeszcze tylko jedną, malutką rzecz – zaczął, powoli dobierając słowa. – Czy ty... i kapitan... – Nie dokończył zdania, zostawiając resztę w domyśle.

Panna Williams obawiała się, że o to zapyta. Wciągnęła gwałtownie powietrze i zacisnęła usta, jakby bała się cokolwiek wyznać.

– A więc jednak. Jest tak, jak myślałem – odparł markiz, natychmiast odczytując z jej twarzy odpowiedź. Helen odechnęła.

– Po czym to wywnioskowałeś? – Zmarszczyła zaraz brwi.

– Kochanie, znam cię aż nazbyt dobrze. Nigdy nie byłaś zbyt wylewną osobą – odpowiedział łagodnie. – Natomiast to, z jakim zachwytem patrzysz na kapitana, jasno mówi mi o twoich uczuciach do niego. Jeszcze nigdy cię takiej nie widziałem. Dodatkowo – uniósł dłoń, gdy chciała mu przerwać – każdy widzi, że jesteś niesamowicie piękną i mądrą kobietą. Jaki mężczyzna zdołałby ci się oprzeć?

Helen przelknęła ślinę, słysząc tę zrównoważoną wypowiedź. Kamień spadł jej z serca, że ojciec nie jest przerażony prowadzeniem się córki.

– Muszę przyznać, że podoba mi się twój tok myślenia, papo. Szczególnie to ostatnie zdanie. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Ja bym się tak nie cieszył na twoim miejscu. Niech tylko dowie się o tym twoja matka. – Spojrzał na nią znacząco.

Dziewczyna momentalnie zbladła, tym bardziej że markiz zaczynał podnosić się z otomany, jakby miał zamiar zaraz zawołać swoją żonę.

– Czy musimy... – zaczęła słabo.

– Tak – stwierdził stanowczo. – Musimy jej o tym powiedzieć.

Helen przymknęła powieki.

Strach, jaki ją teraz obleciał, nie mógł się równać nawet z tym, który czuła w chwili, kiedy odkryła, że została porwana.

Piętnaście minut później

– Helen, powiedz mi proszę, że się przesłyszałam. – Lady Amelia wpatrywała się w nią natarczywie, jakby chciała wzrokiem wypalić w jej twarzy dziurę.

Dziewczyna siedziała skulona na fotelu, spuszczać głowę jak ostatni szubrawiec.

– O Boże – sapnęła markiza, widząc jej minę. – Ja chyba zemdleję – szepnęła, przystawiając dłoń do czoła.

– Szklanekę wody? – zaproponował markiz, przewidziawszy taką reakcję.

– Nie chcę żadnej wody! Jak mogłaś to zrobić, Helen? – Spojrzała na nią ostro, po czym klapnęła gwałtownie na otomanę obok markiza.

– Kochanie, rozumiem twoje oburzenie, ale chyba sama zapominasz, jaka byłaś w młodości – napomniął ją łagodnie mąż.

Helen podniosła nagle głowę.

– Słucham? Chcesz powiedzieć, papo, że ty... że wy... jeszcze przed ślubem... – Nie dokończyła, bo wciąż nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Cóż. – Markiz uniósł ramiona, jakby był zupełnie bez winy. – Twoja matka była, i wciąż jest, bardzo piękną kobietą. Jaki normalny mężczyzna mógłby się jej oprzeć? – Wyszczerył się.

Helen wybałuszyła na niego oczy, po czym przeniosła wzrok na swoją matkę. Ta, cała purpurowa na twarzy, wyglądała, jakby chciała się dopasować do koloru otomany.

– To... ja... my... – dukąca bez sensu kompletnie skonfundowana zaistniałą sytuacją. – To wszystko przez ciebie! – natarła zaraz na męża.

– Przeze mnie? – Uniósł wysoko brwi do reszty rozbawiony zachowaniem Amelii. – Chcesz powiedzieć, że nie brałaś w tym udziału?

– Na Boga, Ralf! Jak możesz mówić takie rzeczy przy Helen? – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Nastala krępująca cisza. Dopiero po chwili do młodej lady Williams dotarł niezaprzeczalny fakt.

– Czy to znaczy, że ja – wskazała na siebie palcem jak nieporadny trzylatek – zostałam poczęta jeszcze przed waszym ślubem?! – Ostatnie słowa wypowiedziała coraz bardziej skrzekliwym tonem.

Markiz odchrząknął i poprawił się na kanapie, natomiast lady Amelia zwinęła usta w ciup i wyglądała tak, jakby próbowała udawać martwą.

Helen wyrwało się z gardła krótkie parsknięcie, potem kolejne, a potem zaczęła się już po prostu śmiać.

Dawno nic jej tak nie rozbawiło.

Markiza obrzuciła męża posepnym wzrokiem, a ten znów wzruszył tylko bezradnie ramionami.

Gdy dziewczyna w końcu się uspokoiła i wytarła łzy z kącików oczu popatrzyła na nich uradowana.

– To doprawdy wspaniała nowina – skonstatowała.
– W takim razie najpierw wy – wyciągnęła jeden palec
– następnie Catherine – potem drugi – a teraz i ja – doszła do prostej kalkulacji. – Wygląda na to, że to u nas rodzinne!

Markiz fuknął cicho od wstrzymywanego śmiechu, ale lady Amelia zaraz dźgnęła go łokciem w żebra, sycząc nazbyt donośnie:

– Mieję człowieku choć trochę przyzwoitości.
– Obawiam się, kochanie, że przyzwoitości w naszej rodzinie właśnie brak – przypomniał jej, po czym sam uśmiechnął się do Helen.

Dla lady Amelii był to zbyt duży cios w jej wrodzoną łatwość do zachowywania pozorów. Udała, że zupełnie tego nie słyszy i zaczęła układać fałdy swojej sukni.

Helen odetchnęła głęboko.

– W takim razie rozumiecie mnie.
– Nic nie rozumiemy.
– Tak.

Usłyszała dwie różne odpowiedzi w tym samym czasie. Zwróciła więc głowę w stronę matki, która wyraziła oczywiście tę pierwszą.

– My w tym czasie byliśmy już w sobie zakochani, a dodatkowo zaręczeni. Nasz ślub był w zasadzie kwestią czasu – zauważyła rezolutnie. – A jak jest z tobą i z... eee, tym kapitanem?

Helen zacisnęła dłonie na podolku.

– Ja... on... nie wiem, to znaczy ja wiem, ale on... nie – wydukała nieskładnie, jakby właśnie uczyła się mówić.

Rodzice kiwali głowami, próbując zrozumieć, co ich inteligentna córka chce im przekazać.

– Czy ten mężczyzna wyraził jakkolwiek chęć posłużenia ciebie? – spytał markiz.

– Eee... nie – mruknęła skwaszona.

– Markizie! – Lady Amelia nastroszyła się zaraz. – Dlaczego w ogóle o to pytasz, prawie nie znasz tego człowieka, widziałeś, jak wygląda. Jego ubiór był zdecydowanie mało odpowiedni.

– Kochanie – markiz uśmiechnął się do niej przesadnie słodko – czy zapomniałaś może, że ten człowiek w zasadzie dwukrotnie uratował życie naszej córki? – spytał.

– Ale przecież...

– A czy pamiętasz, kiedy obiecałaś mi, że dostosujemy się do sytuacji? – naciskał dalej.

Matka Helen wyglądała w tej chwili, jakby za chwilę miała wybuchnąć.

– To jest... oburzające! – krzyknęła, mrugając prędko. – Prawie jak w tej bajce, w której to król oddaje połowę królestwa i księżniczkę za żonę biednemu pastuszkowi, co zabił tylko jednego smoka. – Skrzywiła się, jakby sądziła, że to zadanie było banalnie proste. – Nie znoszę tej bajki. Poza tym jest zupełnie nierealna. Żaden król nie oddałby połowy swego majątku, choćby się paliło i waliło.

Mężczyzna uniósł tylko oczy do nieba i pokręcił głową, wzdychając.

– A wolałabyś, żeby to smok ożenił się z księżniczką? Brednie pleciesz, najdroższa.

– Co właściwie wiemy o tym człowieku? Skąd się wywodzi? Skąd jest? Kim jest jego rodzina? – Matka wbiła spojrzenie w Helen.

Dziewczyna już otwierała usta, ale zaraz sobie coś przypomniała. Włożyła dłoń do kieszeni i wyjęła z niego pierścień Mortimerów.

Trzy twarze pochylili się nad nim.

– To chyba sygnet. Dobrze widzę? Ralf, popraw mnie, jeśli się mylę – dumiała lady Amelia.

Mężczyzna uniósł pierścień pod światło, baczenie mu się przyglądając.

– Na taki mi wygląda. To jego? – zwrócił się do Helen.

Przytaknęła żywo.

– Dzięki Bogu, ma chociaż błękitną krew. Już myślałam, że będziesz musiała wyjść za pastuszka – dramatyzowała.

– Chyba nie wygląda aż tak źle? – Helen skrzywiła się z niesmakiem.

– Zdziwiłabyś się, jak wyglądają dzisiaj pastuszkowie. – Matka spojrziała na nią spod oka, a markiz obrócił gwałtownie głowę w jej stronę.

– Co proszę?! – krzyknął cicho, na co jego małżonka odchrząknęła delikatnie i udala, że nic nie powiedziała.

Markiz zmarszczył brwi wyraźnie niezadowolony.

– Powiedz, Ralf, mój kochany, jedyny – gruchala do niego jak nigdy przedtem, próbując zakamufłować poprzednią gafę. – Czy znamy jakichś Mortimerów? Bo to jego rodowe nazwisko, czy tak? – spytała, patrząc na Helen.

Dziewczyna skinęła głową.

Markiz podrapał się po brodzie.

– Znam jednego, ale on już umarł i raczej nie zostawił po sobie dziedzica – zaczął zastanawiać się na głos. – Znam jeszcze innych, i oni... hm... wydaje mi się, że kojarzę jeszcze jednego, który przychodzi do Izby Lordów ze swoim młodszym synem. Niech sobie przypomnę... Gabrielem, o ile się nie mylę.

– Tak, tak, to jego brat! – wykrzyknęła rozpromieniona Helen.

Markiz na chwilę zamilkł, po czym cmoknął głośno.

– W takim razie nie mam najlepszych wieści – powiedział po chwili.

– O Boże! – Lady Amelia zakryła usta dłońmi, patrząc na markiza wyczekująco. – Co z nim? Jest biedny? – zapiszczała, jakby to była najstraszniejsza rzecz pod słońcem.

– Nie do końca – wykręcał się pan Williams. Helen siedziała cicho z zasznurowanymi ustami.

– Problem w tym, że chodzą słuchy, iż jego starszy syn został wydziedziczony – wyznał w końcu całą prawdę.

Lady Amelia przeżegnała się nabożnie.

– To nawet jeszcze gorsze niż bieda – wymamrotała jak słowa modlitwy.

– Natomiast sam lord... hm... jak on miał na imię... Francis? Felix? – pstrykał palcami – coś na literę F.

– Frederic – wyręczyła go usłużnie Helen.

– O właśnie. To on ponoć, choć nie dzierży żadnego znacznego tytułu, posiada wielkie obszary ziemskie. Nie jest zubożałym arystokratą, w zupełności!

– To dlaczego ten stary dziad wyrzekł się syna?! Teraz mamy kłopot – powiedziała zgryźliwie lady Amelia. – Swoją drogą, Helen, ciekawe, czemu nie wspomniałaś nam o tym w trakcie opowiadania swojej heroicznej przygody? Wygląda, jakbyś o tym wiedziała.

Dziewczyna przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

– Tak, tak, wyszło szydło z worka! – Matka pogroziła jej karcąco palcem.

– Może ma podobną zdolność jak ty, kochanie, ukrywania niewygodnych faktów – mruknął kąśliwie, wciąż nawiązując do tego pastuszka.

Lady Amelia, jak na nią przystało, znów udala, że tego nie słyszy.

– Czy on chociaż wyznał, że jest w tobie zakochany? – zaczęła znów drażnić.

– Obawiam się, że nie – odparła Helen cicho.

– A ty? Powiedziałaś mu, co do niego czujesz? – spytał markiz.

– A po co miałaby to robić! – wtrąciła lady Amelia – Nie powinna się kompromitować dziewczyna. Powiedz, że tego nie zrobiłaś – zwróciła się zaraz do niej.

– Nie. Nie zrobiłam – wyznała z ulgą, ciesząc się, że chociaż w tej kwestii nie zawiedzie matki.

– I bardzo źle zrobiła – uparł się markiz.

– Bardzo dobrze – sprzeczała się kobieta.

– Czy możemy wszyscy się uspokoić? – Helen uniosła obie dłonie, próbując przerwać ten bezcelowy spór. – Jakie to teraz ma znaczenie, skoro on i tak nie chce mnie za żonę?

– Jak to nie chce? – Matka zamrugła, jakby coś jej wpadło do oka.

– Zwyczajnie. Nie chce. Powiedział mi w powozie, że nie zamierza już dłużej mi się nastęrczać – wyjawiała ponuro.

– To zaraz zechce – wygarnęła markiza, wstając powoli z otomany.

– Ja z nim porozmawiam, kochanie – powstrzymał ją markiz.

– Nie, kochanie, ja powinnam – upierała się kobieta.

Lecz kiedy wszyscy ruszyli do salonu, w którym spodziewali się zobaczyć kapitana, już go tam nie zastali.

Tydzień później

Ross sam nie wiedział, co go popchnęło do tego, by odwiedzić okolice swojego domu rodzinnego. Zawsze omijał go szerokim łukiem, przyrzekł sobie nawet nigdy tu nie wracać.

A jednak był tutaj. I to wcale nie po to, by oglądać widoki, zresztą raczej mierne.

Stał nie inaczej jak przed domem, który tak mocno wyryl mu się w pamięci.

Gdy zastukał kołatką do drzwi, nikt mu nie otworzył.

Zaklął pod nosem, pamiętając doskonale, że ojciec zawsze skąpił na służbę. Jak widać, od tamtego momentu niewiele się zmieniło.

Po dłuższej chwili drzwi uchylily się odrobinę i w szparze zobaczył starca podobnego do swojego ojca. W rzeczywistości podobizna okazała się samym panem Mortimerem, lecz znacznie posuniętym w latach, dlatego Ross nie od razu go poznał.

Włosy zupełnie już mu posiwiałły, przygarbił się mocno, lecz spojrzenie miał wciąż tak samo posępne jak zawsze.

– Witaj, ojcze – powiedział po prostu, czując jakiś dziwny ucisk w piersi.

Mężczyzna stał przez dłuższą chwilę w zupełnym bezruchu, dopiero potem otworzył szerzej drzwi, a jego wyraz twarzy zmienił się nagle o sto osiemdziesiąt stopni, gdy zrozumiał, kim jest ten dostojny młodzieniec, który stoi u progu jego drzwi.

Zanim kapitan zdążył zareagować, lord Mortimer rzucił się ku niemu i objął go tak mocno, jak tylko zdołał.

Ross dopiero po chwili początkowego oszołomienia objął starca niedźwiedzim uściskiem, a nawet podniósł go lekko.

Staral się. Bardzo staral się nie pokazywać wzruszenia. Do diabła, był przecież mężczyzną i nie powinien się mazać, kiedy jednak obaj odstąpili od siebie nieznacznie, w ich podobnych do siebie oczach błyszczały łzy.

Oczywiście gdyby ktoś ich potem zapytał, jak wyglądał ten moment, nigdy by się do tego roztkliwienia nie przyznali.

Mortimerowie wszak nie należeli do tchórzy.

To, czego mieli raczej w dostatku, to upór i duma. A zraniona duma karmiona uporem potrafiła dręczyć długie lata.

Kiedy obaj weszli do środka, Ross dostrzegł, że niewiele od jego wyjazdu się zmieniło. Wciąż te same kamienne ściany, nieco wyblakłe z biegiem czasu obrazy i ogólnie niewielka ilość ozdób.

O tej porze roku w posiadłości Mortimerów panowało już przenikliwie zimno. Posesja znajdowała się niemal w samym centrum pustkowie, wokół wiał tylko gwizdzący wiatr, który nieopatrznego wędrowca potrafił nielitościwie wysmagać.

Wkrótce ojciec zawołał Gabriela, który zszedł prędko, a zobaczywszy brata, przebiegł ostatnie stopnie schodów, przeskakując po dwa naraz.

Mężczyźni uścisnęli się, poklepując po plecach. Po chwili na wyższym piętrze dał się słyszeć stukot obcasów. Ross spodziewał się ujrzeć matkę, jednak gdy popatrzył w górę, dostrzegł młodą, ładną kobietę i przytulające się do jej spódnicy małe dzieci.

Ojciec i Gabriel przyglądali mu się bacznie w oczekiwaniu jakiejś reakcji.

– A matka? – spytał niepewnie, ale szybki ruch głowy Gabriela potwierdził tylko najsmutniejsze przypuszczenie.

– Odeszła trzy lata temu – powiedział brat, na co Ross bardzo zmarkotniał.

Milczał przez krótką chwilę, ale zaraz wziął się w garść, czując, że kobieta na piętrze wciąż czeka na to, jak ją przywita. Skłonił się więc szarmancko.

– Pani musi być żoną mojego brata – powiedział mocnym głosem, który odbił się głucho od wszystkich ścian.

– Nie mogę się doczekać, żeby panią poznać – dodał, co spotkało się z głośnym okrzykiem obu mężczyzn.

~

Godzinę później, po zjedzeniu wspólnej uczyty na cześć powrotu Rossa, lady Mortimer oraz jej dwóch synów, siedmioletni George i czteroletni Hugon oddalili się, by mężczyźni mogli porozmawiać sami.

Przez dłuższy czas opowiadali sobie różne historie, niektóre z czasów młodości, a inne opisujące to, co zdarzyło się przez te lata rozłąki. Każdy chciał powiedzieć coś od siebie, coś dodać, szczególnie Gabriel, któremu niemal nie zamykały się usta. Ojciec zdawał się młodnieć w oczach.

Rozmawiali cały wieczór, racząc się winem i przysłuchując trzaskaniu ognia w kominku. Kiedy wszystkie głosy zaczęły powoli gasnąć, Ross stwierdził, że czas poruszyć poważne kwestie. Czuł, że przyszła pora na wyjaśnienia.

– Gabrielu, ojciec – zaczął znacznie mniej swobodnym tonem. – Chcę, żebyście wiedzieli, że nie przyjechałem tu po to, żeby czegokolwiek się domagać. To ja was opuściłem i wciąż uważam, że było to w tamtym czasie jedyne odpowiednie wyjście, jednak nie mam tobie, Gabrielu, za złe, że zająłeś moje miejsce. Zostałeś tu i zapracowałeś sobie na miano dziedzica rodu. Poza tym, nadal jest dla mnie jasne, że ty pasujesz do tych murów znacznie bardziej niż ja – powiedział, rozkładając ręce.

– Myślałem, że może... – Brat pociągnął nosem i choć starał się ukryć poruszenie, niewiele zdołał wykrztusić. Ojciec natomiast tylko pokiwał głową z aprobatą.

– Masz piękną żonę i wspaniałe dzieci – kontynuował Ross. – Obyście długo żyli w zdrowiu – zakończył uroczysto, podnosząc jednocześnie kieliszek z winem.

Mężczyźni zawtórowali mu ochoczo.

– Chyba nawet nie wiedziałem, jak bardzo potrzebowałem tego zapewnienia – wyznał łamiącym się głosem młodszy brat. – Przez całe lata żyłem w przeświadczeniu, że może niesłusznie zająłem twoje miejsce. Miałem wrażenie,

że to przeze mnie nie wracasz, bo nie czujesz i nie będziesz się tu czuł jak w domu. Myślałem, że to z mojego powodu opuściłeś to miejsce. – Gabriel nie krył swoich uczuć.

Ross pokręcił głową.

– To niezupełnie tak było, bierzesz na siebie zbyt dużą odpowiedzialność, bracie. Nie ma sensu już o tym wspominać, sprawa się wyjaśniła. Lepszy dziedzic z wyboru niż dziedzic z przymusu – zakończył filozoficznie.

Gabriel zaśmiał się na te słowa, jednak wciąż walczył ze wzruszeniem.

– Ty zawsze byłeś wolnym duchem – powiedział powoli ojciec, wystawiając w górę palec. – To ja byłem uparty, bo nie chciałem tego dostrzec. Widzisz, synu, ludzie są jak skały. Niektórzy kruszą się pod naciskiem palców, inni zmieniają swój kształt pod wpływem wody, a jeszcze inni pozostają twardzi jak diament. – Zacisnął dłoń w pięść. – Ty jesteś diamentem. Po prostu zbyt późno to zrozumiałem.

– Ty również nim jesteś. – Ross spojrział na niego z powagą.

Mężczyzna nie zaprzeczył, wpatrując się w syna równie ciemnymi co on źrenicami.

– W takim razie chyba wypada mi przytoczyć powiedzenie, że jaki ojciec, taki syn? – Uśmiechnął się szeroko i wyglądał przy tym, jakby ubył mu dziesięć lat.

Ross przyglądał się starcowi, którego przez taki szmat czasu nie chciał nawet nazywać ojcem. Patrzył na niego, czując, że cała jego latami gromadzona nienawiść powoli zanika, jakby już się przedawniła, karmiona jedynie zbyt ubarwionymi fragmentami dawnych wydarzeń.

– Tak, ojcze – powiedział, po raz pierwszy zrozumiałszy prawdziwe znaczenie tego słowa. – Można by to tak określić.

– Bardzo mnie to cieszy, synu. Bardzo. – Pokiwał głową, znów chowając pod powiekami wzruszenie.

– A w sprawie dziedzictwa Gabriela chciałem jeszcze wspomnieć o naszym sygnecie rodowym... – zaczął w poczuciu, że jest im winien wyjaśnienia.

– Pierścień powinien nosić najstarszy syn w rodzinie, a jesteś nim ty – zaproponował ojciec, zanim jeszcze Ross dokończył zdanie.

– Ale powinien go też nosić dziedzic – przypomniał mu kapitan.

– Nie można być dwoma osobami naraz. Gabriel dostał to, co mu się należało, do ciebie natomiast należy pierścień i połowa moich ziem, kiedy odejdę.

– Ale... przecież mnie wydziedziczyłeś. – Ross zmarszczył brwi, niczego nie rozumiejąc.

– Nigdy tego w rzeczywistości nie zrobiłem, synu – wyznał mu. – Tylko w kółko o tym mówiłem.

Kapitan patrzył na niego w niemym oszłomieniu. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czy to mogła być prawda?

– A wracając do kwestii pierścienia – dodał zaraz starzec. – Jeśli będziesz chciał, możesz podarować go kiedyś kobiecie, którą pokochasz.

Ross uśmiechnął się nieznacznie na te słowa, po czym spojrzał ojcu prosto w oczy.

– Rzec w tym, że już jej go dałem.

Następnego dnia w rezydencji państwa Hamiltonów

– Och, nie mogę w to uwierzyć! Dosłownie jakby zapadł się pod ziemię! – powiedziała Helen, ledwie panując nad swoimi nerwami.

Składała właśnie wizytę Charlotte, bo prawdę mówiąc, w domu, gdzie rodzice i służba wciąż próbowali jej dogadzać, czuła się trochę nieswojo.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że dopiero teraz, mając porównanie z warunkami, w jakich żyła na statku, zdolała dostrzec, jak niewiele potrzeba człowiekowi do szczęścia. Mogłaby się nawet pokusić o stwierdzenie, że wcale nie przepada za przepychem.

Doceniała rzecz jasna pomoc rodziców i pracę służby, ale obecnie, gdy niemal na każdym kroku ktoś jej towarzyszył, odrobinę ją to męczyło, przez co zatęskniła za szumem fal i rytmicznym kołysaniem statku.

Oczywiście bardziej niż samego okrętu brakowało jej kapitana, na którego w tym momencie była po prostu po prostu twornie zła.

Ten mężczyzna miał jedną niewybaczalną wadę.

Już drugi raz dowiódł, że nie ma wyczucia czasu, a już na pewno brakuje mu pojęcia o tym, jak mężczyzna powinien żegnać się z kobietą.

Miała nadzieję, że po ostatniej nauczce w Porto coś zaświta mu w głowie, jednak on znów, ni stąd, ni zowąd po prostu wyszedł z domu Williamsów i już więcej się nie pokazał.

Po rozmowie, którą odbyła tydzień temu z rodzicami, dojrzała światelko w tunelu, dzięki któremu pojawiła się szansa, by ich związek zyskał rację bytu. Zarówno ojciec, jak i matka brali pod uwagę jego kandydaturę do jej ręki, jeśli tylko:

- 1) Ross przekona ich, że jest w stanie zapewnić Helen stabilne życie na odpowiednim poziomie,
- 2) upewnią się, jakie relacje łączą go z jego rodziną i wyjaśnią temat wydziedziczenia,

3) kapitan w ogóle się pojawi i oficjalnie poprosi ich o jej rękę.

Helen, znając już te trzy warunki, była przede wszystkim wściekła na Rossa za to, że nie było go wtedy, kiedy go najbardziej potrzebowała.

Te podpunkty pojawiły się dopiero później, w kolejnych dniach, przez co dziewczynę opuściła już pewność, czy Mortimer zdołałby przebrnąć przez nie obroną ręką.

W głowie miała istną płataninę myśli, z którymi już od tygodnia biła się zupełnie sama!

Bo po pierwsze, czy rodzice byliby w stanie zaakceptować to, że skoro potencjalny mąż jest kapitanem, pewnie sporą część życia spędzaliby na morzu?

Po drugie, co powiedzą, jeśli historia o wydziedziczeniu potwierdzi się i Ross pozostanie synem wykreślonym z rodu Mortimerów?

A po trzecie, kto w ogóle powiedział, że ten mężczyzna ją kocha, tęskni za nią lub chce się z nią ożenić?!

– Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zamiar skisnąć od środka – zauważyła Lotty, przypatrując się z troską przyjaciółce.

Siedziały naprzeciw siebie w bawialni, która znajdowała się gdzieś pomiędzy prywatnymi częściami rezydencji Hamiltonów a sierocińcem, lub raczej szkółką dla sierot, stanowiącą jednocześnie część ich domu.

– Och, Charlotte, to wszystko jest nie do zniesienia – sapnęła z goryczą, opadając wcale nieelegancko na oparcie fotela.

Ciastko, którym poczęstowała ją przyjaciółka, wciąż leżało na talerzyku nietknięte.

– Mężczyzny nie powinno się naciskać w takich momentach – powiedziała pani Hamilton, próbując dodać jej otuchy. Jako najbliższa przyjaciółka Helen doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co naprawdę łączyło ją z kapitanem.

– Kto tu w ogóle mówi o jakimkolwiek nacisku. – Wyrzuciła z impetem dłoń w powietrze. – Przecież równie dobrze mogę być dla niego jedynie przelotną miłostką. To by tłumaczyło, dlaczego po wizycie w naszym domu tak nagle zniknął. Po prostu wystraszył się konsekwencji – fuknęła, zdmuchując niecierpliwie wciąż ten sam opadający na czoło kosmyk.

Charlotte spojrzała na nią ostrożnie.

– A co do konsekwencji... Czy ty masz jakiś konkretny powód, by... hmm... odnaleźć go jak najszybciej? – spytała delikatnie, nie bardzo wiedząc, jak inaczej ubrać to w słowa.

Helen popatrzyła na nią bez większego entuzjazmu. Ze spuszczonymi ramionami sprawiała, sprawiała wrażenie, jakby uchodziło z niej powietrze. Lotty zastanowiło też, gdzie podziała się ta idealna, olśniewająca kobieta, która roztaczała blask wszędzie tam, gdzie postawiła nogę.

– Masz na myśli, czy nie spodziewam się dziecka? – spytała wprost, unosząc brew, tak jak nieraz robił to Ross, gdy nie był pewny jej intencji.

– Przepraszam, że o to pytam, ale zgodzisz się ze mną, że jest to bardzo istotna kwestia – broniła się przyjaciółka, wylamując w konsternacji palce u rąk.

– Temat jest już od dołu do góry przewalkowany przez moich rodziców. Podobnie jak ty pierwsze, czego najbardziej się obawiali, to nieplanowanego potomka, który wyraсталby bez ojca. – Westchnęła, jakby to wszystko nie sprawiało jej już żadnej różnicy. – Wierz mi – nachyliła się do niej po chwili – matka podstawiała mi najohydniejsze dania w próbach wywołania u mnie mdłości. Ale mój żołądek – wskazała na siebie – ani drgnął.

– To chyba nie jest wystarczający powód, by sądzić, że...

– Nie wspominając już o tym – przerwała jej Helen – że niedawno dostałam swoich miesięcznych słabości – uspokoiła ją zaraz.

Charlotte głośno wypuściła powietrze z płuc.

– To już jest bardziej miarodajne.

– Być może, chociaż – spojrzała na dobrze widoczne z jej fotela drzwi do klasy dziecięcej – ostatnimi czasy polubiłam dzieci.

– A czemużby ich nie lubić. Dla mnie są całym światem – odparła Lotty, niemal rozplywając się w swoim szczęściu.

– Całym? – zdziwiła się Helen. – A twój mąż?

Kobieta rozpromieniła się na samo jego wspomnienie i już brała głęboki oddech, żeby...

– Dobrze, dobrze. – Helen wyciągnęła ręce przed siebie, jakby chciała się bronić przed tym promieniującym teraz od przyjaciółki szczęściem. – Oszczędź mi, proszę, szczegółów.

Lotty wstrzymała oddech, obrzucając ją szybkim spojrzeniem.

– To chcesz wiedzieć, czy nie – spytała w końcu, wypuszczając całe powietrze z płuc.

– Nie – odparła. – Idylla innych ludzi, podczas gdy ja tu więdnę i marnieję, niespecjalnie mnie teraz podniesie na duchu.

– Masz teraz tak wiele na głowie. Jeśli mogłabym cię w czymś odciążyć, zrobię to z przyjemnością – zaoferowała się Charlotte, ale widząc markotną minę przyjaciółki, postanowiła poprawić jej humor w inny sposób. – Z pewnością ucieszy cię fakt, że historia o twoim powrocie bardzo dobrze przyjęła się w towarzystwie.

Już kilka dni temu Helen wspólnie z rodzicami od początku ułożyła opowieść o swoich przygodach. W trosce o reputację panny Williams postanowili, że ukryją niewygodne

fakty, a rozpowiecą o tym, jaką to dzielnością i jakim charakterem się wykazała w całej tej historii.

Tak jak można się było tego spodziewać, nowiny rozniosły się pędem błyskawicy.

O jej niesamowitej przygodzie napisano nawet w „The Times”, gazecie, którą w Londynie czytali niemal wszyscy.

Helen była w tym względzie zadowolona, przecież wcześniej spodziewała się nawet, że towarzystwo nie przyjmie jej chętnie z powrotem na swoje łono. Na szczęście plan, który omówiła wspólnie z rodzicami, okazał się na tyle dobry, że odnieśli sukces. Teraz nie tylko okrzyknięto ją mianem „walecznej panny Williams”, ale również stała się bohaterką dla młodych panien, którym brakowało śmiałości i odwagi.

Postać kapitana postanowiono zataić. Mówiono jedynie o tajemniczym arystokracie, który wybawił ją z opresji i dwukrotnie uratował życie. Sama ta niewiadoma wywołała liczne spekulacje dotyczące identyfikacji owego mężczyzny.

Ktoregoś wieczora panna Williams dowiedziała się nawet, że między damami prowadzone są zakłady, czy zagadkowy bohater kiedykolwiek się ujawni.

– Poniekąd, przyznam, cieszy mnie intryga, jaka się rozwinęła. – Helen wyprostowała się naraz w fotelu, odzyskując humor. – Znowu powróciłam na salony. – Zaśmiała się frywolnie i dodała: – I to w jakim stylu!

Przyjaciółka zerknęła na nią pobłażliwie.

– Niektórzy ludzie dobrze się czują nawet w ostrym świetle słonecznym – stwierdziła tylko spokojnie. Jeśli ktokolwiek poradziłby sobie z presją życia na świeczniku, z pewnością byłaby to Helen.

– Myślę, że faktycznie jestem w stanie dopasować się do różnych warunków – odparła, wspominając przede wszystkim, z jaką łatwością poruszała się na statku bez jakichkolwiek luksusów. – Ale ty również wiele przeżyłaś.

– Stare dzieje. – Lotty zbagatelizowała sprawę, choć tak naprawdę przecież całkiem niedawno przeżyła sprawę ze spłonieniem budynku sierocińca, którym się opiekowała.

Zerknęła przez ramię Helen, zauważając, że za otwartymi drzwiami na korytarzu pojawiła się lady Annabel Brooke.

– Wygląda na to, że lekcja dla najmłodszych już się skończyła – powiedziała, podnosząc się z fotela. – Poppy na pewno zaraz tu przybiegnie, chyba jakimś siódmym zmysłem wyczuwa, kiedy przychodzisz ją odwiedzić.

– Bardzo za nią tęskniłam – przyznała Helen. Odkąd wróciła do Londynu, wyrażanie uczuć przychodziło jej znacznie swobodniej. Los bardzo dobitnie jej pokazał, co mogłaby stracić. Rodziców i przyjaciół, którzy kochali ją i martwili się o nią. Nie mogła popełnić tego samego błędu i znów odgrodzić się od nich murem oziębłości. – Przepraszam, że nie jestem w tej chwili bardziej pomocna – wspomniała zaraz, również wstając na nogi. – Zupełnie nie czuję się teraz na siłach, żeby uczyć dzieci czegokolwiek.

Charlotte chwyciła ją za rękę i ścisnęła mocno.

– O nic się nie martw – odrzekła uspokajająco. – Najważniejsze, że jesteś już w domu.

Pół godziny później

– Chyba za ciepło je poubierałyśmy, pani Simson. Jest chłodno, ale znowu nie aż tak. – Lady Annabel Brooke wskazała dłonią na zawiązanego pod samą szyję chłopca, któremu spod szalika ledwie było widać nos. Rudowłosa piękność, którą matka skrywała pod ubraniami godnymi matrony, dwa razy w tygodniu przychodziła, by charytatywnie uczyć dzieci arytmetyki i geografii.

Wspólnie z Helen, Charlotte oraz przyzwoitką panny Anabel, panią Simson, postanowiły wybrać się z najmłodszymi dziećmi do parku. Miały teraz przerwę w zajęciach, więc szkoda było tracić czas w budynku, gdy na niebie świeciło słońce.

O tej porze w Londynie zazwyczaj pogoda znacznie się pogarszała, nastął już przelom jesieni i przeważały dni deszczowe nad słonecznymi.

– Może faktycznie trzeba zdjąć mu ten szalik. – Kobieta podeszła do chłopca i zatrzymawszy jego bieganinę, ściągnęła mu go z szyi. Pani Simson bardzo lubiła dzieci, więc nie miała nic przeciwko, by pomagać czasem w szkółce, a jednocześnie mieć oko na młodą pannę Brooke.

– A ja mam nowe buciki! – pochwaliła się sześćioletnia Poppy, która idąc za rękę z Helen, podskakiwała wesolo.

– Od razu je zauważyłam – powiedziała panna Williams, kiwając z podziwem głową. – Wyglądasz jak prawdziwa dama! – zawołała.

– Jak będę dorosła, chcę być taka piękna jak pani – wyznała dziewczynka, wpatrując się z uwielbieniem w swoją „wróżkę”, jak to kiedyś ją nazwała, gdy spotkały się po raz pierwszy.

Helen trąciła ją palcem w czubek nosa.

– Wygląd to nie wszystko – zaczęła. – Najważniejsze jest twoje wnętrze. – Schyliła się i położyła jej dłoń na małym serduszku.

– Nie wiem, czy w moim wnętrzu można znaleźć coś ciekawego. – Dziewczynka skrzywiła się, opacznie ją rozumiejąc. – Tom mówi, że człowiek jest pełen flaków i rozkładającego się mięsa.

– Ten Tom ma zdecydowanie zbyt krwawą wyobraźnię – skonstatowała Charlotte, nie po raz pierwszy słysząc, że próbuje przerazić małą.

– Ale kiedy ja lubię takie straszne opowieści! – Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko, a jej nieco demoniczna wypowiedź mocno kontrastowała z tym, jak wyglądała. Przypominała bowiem od stóp do głów jasnowłosego aniołka.

Jak się okazało, bardzo krwawego aniołka...

Wkrótce kobiety przysiadły na jednej z żeliwnych parkowych ławek, naprzeciw mając ścieżkę dla pieszych, a za plecami stopy liści, w których dzieci uwielbiały się bawić.

Pani Simson jako pasjonatka ornitologii udała się do sklepiku, by zakupić jedzenie dla kaczek, które można będzie karmić w drodze powrotnej, natomiast Annabel, skrzętnie wykorzystując fakt nieobecności przyzwoitki, postanowiła pobawić się z dziećmi. Podciągnęła suknię do kostek i biegała z nimi, piszcząc radośnie, gdy któreś zdołało ją trafić morderczym pociskiem wykonanym z liścia.

Helen i Charlotte przyglądały się dzieciom, które raz po raz wyskakiwały im zza pleców, zataczając wokół ławki koło i przemykając między pozostałymi spacerowiczami.

– Annabel jest zupełnie inną osobą, kiedy nikt jej nie poucza i moralizuje – zauważyła Helen, słysząc jej radośny śmiech.

– O tak, myślę, że jej wizyty w naszej szkółce znacznie ją odmieniły. Oczywiście tylko wtedy, kiedy nie ma przy niej lady Brooke. – Mrugnęła do niej znacząco.

– Nie wiem, jak ty to znosisz, ja nie wytrzymałabym w jej towarzystwie kilku minut – wypaliła Helen, przypominając sobie toksyczną osobowość aż nazbyt bogobojnej matki Annabel.

– Podobno chce wydać naszą kochaną przyjaciółkę za dalekiego kuzyna, który niedługo będzie wikarym – napomknęła, uśmiechając się jednocześnie do jednego z dzieci, które przyniosło jej w prezencie liść.

– Dlaczego mnie to nie dziwi – westchnęła Helen. – Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że nie dojdzie do tego ślubu, ta dziewczyna potrzebuje kogoś, kto pobudziłby ją do życia. Przy swojej matce tylko coraz bardziej pograża się w niepewności, a tutaj... Zobacz – wskazała za siebie, obserwując ją kątem oka – w życiu nie widziałam radośniejszej i bardziej urokliwej kobiety.

Charlotte obróciła się przez ramię, by dostrzec, jak dzieci zawiązują pannie Brooke chustę na oczach, najwidoczniej zamierzając bawić się w ciuciubabkę.

Rudowłosa kobieta pogubiła już szpilki wetknięte w ciasny kok. Włosy poszarpane przez wiatr wily się gęstą falą jaskrawych loków, upodabniając ją do radosnego słońca. Śmiała się i wystawiała ręce przed siebie, udając, że już łapie któreś z dzieci.

– To prawda – zgodziła się Charlotte, współczując dziewczynie w duchu, jeśli będzie musiała związać się z wybranym przez matkę mężczyzną. – Obawiam się jednak, że ona sama nie będzie miała tyle odwagi, by sprzeciwić się swojej rodzicielce. Zawsze była w stosunku do niej taka uległa.

Przez chwilę obie milczały, obserwując tę sielankową scenę.

– A ja myślę – dodała Helen – że nasza Annabel jeszcze nas wszystkich zadziwi.

Nieopodal, w tym samym czasie

Postawny mężczyzna o gęstych brązowych włosach i rozbieganym spojrzeniu przemierzał szybkim krokiem chodnik parku.

Pod pachą niósł mnóstwo planów związanych z dekoracjami do nowej sztuki. Spacerowicze, którzy przyszli tutaj,

by odetchnąć od miejskiego zgiełku, usuwali mu się z drogi, widząc jego zaciętą minę i pośpiech.

Dyrektor Royal Theatre pan Jonathan Hawkins był wściekły na to, że znów któryś z jego ludzi nie wywiązał się należycie z zadania, przez co on nawet po sezonie musiał gnać do teatru, by ratować sytuację.

Gdyby tego jeszcze było mało, jego nowy dekorator, zatrudniony, by projektował scenografię do spektakli, miał gust gorszy od jego babki, która nie ruszała się nigdzie, póki nie była cała wystrojona w kilometry koronki. Najchętniej różowej.

Wszystko, co wychodziło spod pióra tego szumnie zwanego dekoratora, wołało o pomstę do nieba.

A on miał za to wszystko potem brać odpowiedzialność.

Kiedy usłyszał nieopodal dziecięce piski, jego ciągle czymś zaaferowany umysł ledwie to przyswoił. Lawirując między, według niego sunącymi jak żółwie, przechodniami, przez przypadek potrafił jakiegoś starszego jegomościa, toteż popatrzył za siebie, nie zwalniając kroku, i naprędce przeprosił.

Nie zdążył się jeszcze obrócić, gdy wpadł na kogoś tak gwałtownie, że wszystkie jego plany rozsypały się po ziemi. Usłyszał jeszcze stłumiony kobiecy okrzyk i zdążył tylko wyciągnąć ręce, by chwycić damę i uchronić ją od upadku.

Udało im się złapać równowagę, ale wtedy jego umysł jakby wrócił na miejsce i dostrzegł, z kim się właściwie zde-rzył.

Zamrugał kilkukrotnie, bo przez chwilę miał wrażenie, że gra w jakiejś sztuce.

Kobieta przed nim była bez wątpienia młoda i urodziwa. Choć miała na sobie zapiętą pod samą szyję staromodną suknię i wyglądała na pierwszy rzut oka jak snobka, jednak to, co zobaczył, gdy przesunął wzrok wyżej, całkowicie od-mieniło jego zdanie.

Burza niesamowitych, rudych splotów wila się na jej głowie, a słońce, które wychodziło zza jej pleców, sprawiło, że wokół niej pojawiła się wręcz niebiańska aureola.

Jonathan zaniemówił zdjęty tym objawieniem, tak że ledwie słyszał głosy wokół nich.

Bezwiednie zsunął wzrok na usta dziewczyny, które rozchylone i uśmiechnięte zdawały się stworzone do pocałunków i pieszczot.

To, co go niepomierne zdziwiło, to fakt, że oczy miała przewiązane chustą. Momentalnie zrozumiał, dlaczego się z nią zderzył.

Wciąż trzymał ją za ramiona, gdy ona znów się uśmiechnęła.

– Tym razem to chyba nie drzewo?

Wypowiedziała ledwie jedno zdanie, ale gdy usłyszał jej głos, lekko zachrypnięty i głęboki, w myślach zobaczył obrazy, które z pewnością zszokowałyby nieznajomą.

Zaraz jednak potrząsnął głową, próbując się opamiętać. Co ona właściwie powiedziała?

Nie zdążył jeszcze się odezwać, kiedy dziewczyna wyciągnęła przed siebie dłonie i zaczęła dotykać badawczo jego klatki piersiowej.

Jonathan gwałtownie wciągnął powietrze.

– Ups – powiedziała tylko, po czym natychmiast zabrała dłonie. – To z pewnością nie jest drzewo.

– Słucham? Jakie drzewo? – spytał w końcu Jonathan, po czym kątem oka dostrzegł bawiące się dzieci i zrozumiał, że to była część zabawy. Zsunął jej chustę z oczu.

Dziewczyna odgarnęła włosy z twarzy, które naelektryzowane niemal stanęły dęba, po czym mrugnawszy kilka razy, jakby przystosowywała się przez chwilę do jasnego światła, spojrzała do góry wprost na niego.

Oddech zamarł mu w piersi. Dziewczyna miała śliczne, lekko skośne, okolone burzą ciemnorudych rzęs, zielone oczy, które teraz zaczynały robić się okrągłe ze strachu.

– To pan!

– To pani!

Krzyknęli w tym samym momencie, odskakując od siebie.

Dziewczyna rozejrzała się nerwowo, jakby szukała wsparcia, na co tuż obok niej znalazły się zaraz dwie inne kobiety oraz gromadka ciekawskich dzieci.

– Proszę przeprosić damę – warknęła blondynka, która patrzyła na niego tak wyniośle, że musiała być arystokratką.

Jonathan sklonił się nisko, jednocześnie zyskując tym sposobem czas do zastanowienia. Jego umysł zaczął pracować z niezwykłą prędkością.

Pamiętał tę rudowłosą kobietę.

To była ta dziwna nieznajoma, która jakimś cudem dostała się kiedyś do Royal Theatre i jak gdyby nigdy nic zaczęła bazgrać sobie po planach jego niewydarzonego dekoratora, po czym, gdy tylko ją zawołał, uciekła w popłochu. Jak się potem okazało, jej bazgroły były luźno nakreślonymi ulepszeniami wizji projektanta, które w jego mniemaniu znacznie poprawiły efekt wizualny dekoracji.

Nie miał pojęcia, kim jest i co tutaj robi, ale poczuł, że nadarzyła się okazja, której nie może przepuścić.

~

– Przepraszam najmocniej za swoją nieuwagę – usłyszała Annabel, która wciśnięta między przyjaciółki wciąż stała jak sparaliżowana, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że włosy sterczą jej na wszystkie strony.

Pamiętała tego człowieka! To on krzyczał na nią w teatrze, gdy towarzyszyła Charlotte przy wyborze strojów na przedstawienie dla dzieci.

– Kimkolwiek pani jest, proszę nie uciekać – powiedział ostrożnie, widząc w jej oczach lęk. – Dzień dobry paniom – sklonił się zupełnie poniewczasie pozostałym damom, po czym zerknął na dzieci, które powczepiały palce w ich spódnice i obserwowały go, jakby był jakimś nadprzyrodzonym zjawiskiem.

– Pamiętam pana – powiedziała czarnowłosa kobieta. – Jest pan dyrektorem Royal Theatre, zgadza się?

Sklonił głowę.

– Proszę mi wybaczyć, Jonathan Hawkins, do usług. – Sklonił się chyba po raz setny, zorientowawszy się po ich wypowiedziach, że ma do czynienia z damami z wyższych sfer. Cóż, mogły patrzeć na niego z góry, ponieważ on nie wywodził się z arystokracji.

– Miło nam pana poznać – wymamrotała blondynka, po czym przeszła do prezentacji. To zachowanie było oczywiście naganne, jednak w tych okolicznościach równie niegrzecznym byłoby nieprzedstawienie się w ogóle.

– Lady Annabel Brooke, lady Charlotte Hamilton, lady Helen Williams – wskazywała kolejno, zaczynając od rudowłosej piękności, która wciąż zdawała się bardzo speszona tą sytuacją, a kończąc na sobie.

– Proszę mi wybaczyć, drogie panie, nie mam wiele czasu, ale chciałbym wyrazić uznanie dla talentu panny Brooke – wyznał, wpatrując się w nią.

Wydawała się nie mieć pojęcia, o czym on mówi, jak zresztą i pozostałe damy.

– Kiedy gościła pani kilka miesięcy temu w teatrze, zostawiła pani po sobie pamiątkę na moich planach dekoratorskich – przypomniał delikatnie.

Oczy dziewczyny jeszcze bardziej się rozszerzyły i wyglądała teraz tak, jakby znów miała ochotę uciec.

– Poprawki, które wprowadziła pani na szkicach mojego projektanta, były bardzo trafne. Zrobiliśmy dokładnie tak, jak pani zasugerowała, i sztuka wypadła wyśmienicie – wyjaśnił pokrótce, wciąż czekając na jej reakcję.

Dzieci zdążyły znudzić się rozmową dorosłych, odbiegły i na nowo obrzucały się liśćmi, natomiast on pospiesznie pozbierał szkice już nazbyt długo tarasujące chodnik.

– Ja... co... – Dziewczyna zmarszczyła brwi, jakby nie takiej odpowiedzi się spodziewała. – Naprawdę pan to zrobił? – spytała zaraz z niedowierzaniem, przesuając się razem z przyjaciółkami w stronę ławeczki.

– Jak najbardziej. Od razu dostrzegam talent, gdy go widzę. Potrzebuję właśnie kogoś takiego do pomocy.

– I nie chce mnie pan zamknąć w więzieniu? – rzuciła, ale zaraz chyba pożałowała tych słów, bo przygryzła wargę i spuściła wzrok.

Jonathan obserwował to ucieleśnienie niewinności i czuł, jak zaczyna gotować się w nim ekscytacja. Oczywiście na tle profesjonalnym!

– Jakim więzieniu, co też pani mówi? – odparł trochę niemrawo. Zaraz jednak przypomniał sobie, że w momencie, w którym się spotkali, wszystkie plany związane z przygotowaniem spektaklu waliły się właśnie na leb na szyję. Skrzywił się, zdając sobie sprawę z tego, jak mógł się wtedy zachowywać. Gdy był zły, wszyscy jego pracownicy schodzili mu z drogi...

– Bardzo pan wówczas krzyczał i nawet kłął – wytknęła mu bezlitośnie, potwierdzając jedynie jego najgorsze obawy.

– To... nie był mój najlepszy dzień – przyznał.

– Dzisiaj chyba też nie – mruknęła, spoglądając na pomięte plany, które trzymał teraz byle jak w dłoniach.

Mężczyzna omal się nie uśmiechnął, słysząc w jej ustach ten lekki przytyk. Widać pod płaszczem nieśmiałości krył się rogaty charakterek. Wpatrywał się w pannę Brooke przez chwilę, wciąż oczarowany jej aparycją, kiedy jedna z kobiet im towarzyszących chrząknęła znacząco. W końcu oderwał od niej wzrok.

– Wraca pani Simson – zakomunikowała jasnowłosa dama, co sprawiło, że naraz zaczęło się dziać mnóstwo rzeczy.

Dziewczyna, nie zważając na jego obecność, zaczęła w pośpiechu przyglądać swoje włosy, po czym przykucnęła, jakby szukała czegoś na ziemi. Czarnowłosa dama ściągała z jej sukni resztki liści, natomiast blondynka podeszła do pana Hawkinsa szybkim krokiem i uśmiechnęła się promiennie.

– Proszę wziąć mnie pod rękę i udawać mojego znajomego – poinstruowała go natarczywym tonem. – Szybko!

Jonathan, nie mając wielkiego wyboru, zrobił, o co poprosiła. Niemal natychmiast został odciągnięty od swojego upragnionego pracownika.

Dopiero kiedy oddalili się nieznacznie, dostrzegł, że w dłoni wciąż trzyma zieloną chustę.

– Panno eee... Williams – przypomniał sobie zaraz jej nazwisko – bardzo mi miło, że chce pani ze mną pospacerować, ale...

– Proszę mnie posłuchać – przerwała mu, oglądając się przez ramię. – Z tego, co zrozumiałam, jest pan dyrektorem teatru, czy tak?

– Zgadza się. Dlaczego...

– Wspomniał pan też, że odkrył w panie Brooke niezwykły talent i chciałby prosić ją czasem o radę, czy tak? – znów mu przerwała.

– Powiedzmy. – Skinął głową, bo nie do końca o to mu chodziło, ale to mógł być obiecujący początek.

– Cóż, to może być nieco utrudnione. – Spojrzała na niego poważnie. – Annabel jest damą, a do tego panną na wydaniu.

– Nie rozumiem, w czym to przeszkadza, przecież na spektakle do teatru zjeżdża się pół elity... to znaczy, ekhm... właśnie damy z dzentelmenami – zauważył. Royal Theatre to nie jakiś wiejski teatrzyk, to największy teatr w Londynie!

– Co nie znaczy, że damie o jej pozycji wypada mieć z panem jakąkolwiek styczność, a tym bardziej pomagać panu w dekoracjach – wyjaśniła.

– Brzmi to co najmniej tak, jakby panna Brooke trzymana była pod kloszem – stwierdził z irytacją. Nigdy nie był entuzjastą wszystkich tych zasad, których tak usilnie trzymała się arystokracja. Jego zdaniem zbyt wiele przepisów tylko wszystko utrudniało, a jemu teraz utrudniało dostęp do kogoś, kto w przyszłym sezonie mógłby wprowadzać korekty do planów jego nieszczęsnego projektanta!

– Nie zna pan jej matki – zachnęła się blondynka. – Gdyby mogła, miałaby całą fabrykę kloszy. Mam jednak pewien pomysł...

Helen przysunęła się do pana Hawkinsa, by omówić z nim szczegóły naprędce wymyślonego planu. Uśmiechnęła się pod nosem, przypomniawszy sobie, jakim spojrzeniem obrzucił skromną Annabel, gdy na siebie wpadli.

Podobał jej się. Był przystojny, inteligentny i bystry.

Z pewnością znacznie ciekawszy niż jakiś ponury wikary...

W tym samym czasie na północ od Londynu

Ross jeszcze przez kilka dni gościł w posiadłości Mortimerów. Z dala od londyńskiego zgiełku, ludzi i przede wszystkim Helen, która wniosła do jego życia wiele zmian. Czuł, że potrzebuje odosobnienia, by przemyśleć sobie pewne kwestie, a dom jego przodków był do tego celu wręcz stworzony.

To nadspodziewanie mile przyjęcie, gdy zjawił się po tylu latach, również mocno nim wstrząsnęło. Nie sądził, że wszystko, co wydarzyło się w przeszłości, można po prostu wybaczyć i zapomnieć.

A jednak nie czuł już chęci, by do tego wracać.

Któregoś dnia razem z Gabrielem odwiedził też grób matki, by i z nią należycie się pożegnać. Choć w jego wspomnieniach zdawała się cieniem, który jako chłopiec widywał raczej rzadko i z daleka, odczuł jej brak, gdy nie było jej już na tym świecie.

Resztę jego myśli wypełniała po brzegi Helen. Kiedy nie miał jej przy sobie, czuł, jak powoli uchodzi z niego życie, a cele, podróże, które sobie zaplanował, tracą na znaczeniu.

Pomyślał nawet, że to wizyta w domu Williamsów wpłynęła na niego tak rodzinnie, że sam zdecydował się odwiedzić ojca.

Cokolwiek to było, poukładało w jego głowie wiele spraw, naprawiło relacje i zmieniło priorytety.

Im dłużej pozostawał w tym miejscu, tym częściej w jego myślach pojawiała się zasadnicze pytanie: Jak mógł być takim głupcem, by wypuścić z rąk kobietę swojego życia?

Kiedy wrócił do Londynu, udał się prosto do swojego domu niedaleko Berkeley Square. Było to od lat jego ukochane miejsce odpoczynku, regeneracji, której nieraz potrzebował po długim przebywaniu na morzu.

Nigdy nie przyprowadzał tutaj żadnych kobiet, uważając to miejsce za swoją samotnię.

Życie w Londynie traktował jedynie jako przystań, do której raz po raz wracał, dlatego w domu zawsze czekała na niego jedynie podstawowa służba: jego oddany, czarnoskóry sługa Habib oraz gospodyni, starsza pani Plum, która nieustannie starała się utrzymywać posiadłość w należytej gotowości na jego powrót.

Jakież zdziwienie zdjęło go, gdy podjechawszy wynajętym powozem pod rezydencję, na progu spostrzegł kobietę.

Stała nieco przygarbiona, tyłem do niego, za rączkę trzymając małego chłopca.

Gdy tylko usłyszała zatrzymujący się powóz, odwróciła się, a on od razu ją rozpoznał.

Tylko co po tylu latach robiła tu Anette?

Kilka dni później, przyjęcie u państwa Balfour

– Wygląda na to, że sezon jednak nieco się przedłuży – zauważyła lady Hamilton, wkraczając wraz z mężem do salonu.

– Myślisz, że ma to coś wspólnego z panną Williams? – spytał James, trzymając ją pod rękę.

– Kto wie – przyznała. – Historia jej porwania wciąż nie schodzi ludziom z ust. Ci, którzy nie wyjechali jeszcze na prowincję lub wciąż się wahają, chcą osobiście zobaczyć naszą piękną bohaterkę.

– Nie wiem, jak twoja niezwykła przyjaciółka potrafi znieść całą tę uwagę – pokręcił głową – to musi być naprawdę męczące.

– Też tak uważam, a w szczególności teraz, kiedy musi robić dobrą minę do złej gry. Kapitana Rossa ani śladu, a ona zdaje się do niego przywiązana znacznie bardziej,

niż moglibyśmy się tego po Helen spodziewać. Cokolwiek wydarzyło się na statku, musiało mieć na nią bardzo silny wpływ, bo odkąd straciła kontakt z kapitanem, jej samopoczucie jest z dnia na dzień gorsze.

– Obiecuję, kochanie, że jak tylko spotkam Rossa na swojej drodze, z chęcią skrucę mu kark – odparł spokojnym tonem małżonek.

Charlotte pacnęła go dłonią.

– Lepiej, żeby dotarł do Helen w jednym kawalku.

– Postaram się.

Charlotte coraz bardziej się o nią martwiła.

Panna Williams znacznie częściej przychodziła teraz do niej w odwiedziny, by zobaczyć się z nią i z dziećmi, natomiast liczne zaproszenia, z których kiedyś byłaby taka dumna, zupełnie bagatelizowała.

Nie interesowały jej już plotki, niekończące się herbatki i liczne towarzystwo.

Wyglądało na to, że dziewczyna po prostu usycha z nieodwzajemnionej miłości. Ledwie udało jej się namówić ją na dzisiejsze przyjęcie, co kiedyś było wszak nie do pomyślenia!

– Jesteś pewien, że kapitan nie pojawił się jeszcze w twoim klubie? Może warto podpytać służbę?

– Niestety. Nikt go nie widział – westchnął.

– Wciąż nie chce mi się wierzyć, że nie znacie jego adresu – prychnęła, lecz zaraz uśmiechnęła się do jednej z dam, która pozdrowiła ją skinieniem głowy. – Przecież zdaje się, że jesteście przyjaciółmi.

– Przyjaźń męska znacznie różni się od przyjaźni damskiej – zauważył. – My nie odwiedzamy się bezustannie, nie ofiarowujemy sobie prezentów ani nie pytamy o sprawy prywatne. Zawsze spotykaliśmy się u mnie w klubie, to wszystko.

– To jest, uważam, bardzo krzywdzący opis kobiecych relacji. – Spojrzała na niego z uporem.

– Czyżby? – Hamilton popatrzył na nią tak, że Lotty momentalnie uwolniła się od jego ramienia.

– A nawet jeśli tak jest, to przynajmniej w razie potrzeby wiemy, gdzie szukać pomocy czy kontaktu – burknęła. – O, widzę, że Helen już jest. – Domyśliła się tego, gdyż dostrzegła zgromadzonych po przeciwległej stronie sali ludzi.

– Spiesz więc na ratunek. – James posłał jej rozbawione spojrzenie.

Małżonka zgromiła go tylko wzrokiem i uniósłszy rąbek sukni, podążyła w stronę tłumu.

Z daleka już słyszała perlisty śmiech Helen i jej nadzwyczaj melodyjny głos, gdy odpowiadała na czyjeś pytanie. Jak zwykle była pełna wdzięku.

Lotty z trudem zaczęła przepychać się między ludźmi, którzy zachłannie spijali z ust panny Williams każde słowo.

– Reakcja mojego wybawcy była błyskawiczna – opowiadała. – Gdy napadli na nas zbójcy, schował mnie za siebie i zaczął wykrzykiwać groźby w ich stronę. Byłam przerażona, kiedy zdałam sobie sprawę, że bandytów jest niemal tuzin! Ale mój wybawiciel dzielnie walczył z każdym z osobna i robił to z taką lekkością, jakby nie walczył, lecz wykonywał figury jakiegoś wyjątkowego tańca. – Tu zrobiła elegancki skłon, jakby naocznie przedstawiała jego ruchy.

Charlotte zachichotała, słysząc tę żarliwą, przerysowaną opowieść.

– Jakie to romantyczne – zawołała jedna z kobiet. – Gdyby to mnie się przytrafiło, na pewno bym zemdląła – stwierdziła ożywionym z podniecenia głosem.

– A najlepiej wprost w ramiona tego tajemniczego wy-
bawiciela – dodała inna, na co wszystkie panie z entuzja-
zmem pokiwały głowami.

– Musi nam pani zdradzić, kim on jest, panno Williams,
po prostu musi. – Tuż obok niej podskakiwała niecierpliwie
jakaś ciemnowłosa panienka.

Lotty omal nie wywróciła oczami, obserwując te damskie
egzaltacje. Przeniosła wzrok na Helen, która uśmiechnęła
się skromnie.

– Nie mogę tego zrobić ze względu na jego życie – po-
wiedziała, co raczej mijalo się z prawdą. – Bandyci wciąż
są na wolności i mogą szukać zemsty. Muszę dbać o jego
anonimowość.

Ledwie skończyła mówić, na sali dał się słyszeć donośny
anons służącego:

– Lord Ross Mortimer i pani Anette du Barry!

Charlotte natychmiast przepchnęła się do Helen, wie-
dząc, że zaskoczenie malujące się teraz na jej twarzy zosta-
nie wkrótce zauważone.

– Panna Williams musi teraz odpocząć. – Wzięła ją na-
tychmiast pod ramię i odwróciła tyłem do ludzi, by obronić
ją przed wścibskimi spojrzzeniami.

Helen ledwie była w stanie oddychać. Wpatrywała się
w lśniące kafelki na podłodze, łapiąc powietrze jak ryba wy-
ciągnięta z wody.

Gdy tylko usłyszała imię Rossa, serce niemal wyrwało jej
się z piersi ze szczęścia, lecz kiedy nad głowami ludzi zdo-
łała dostrzec na podwyższeniu towarzyszącą mu kobietę,
którą zaanonsowano „Anette”, poczuła się, jakby dostała
pięścią w brzuch.

– Helen, Helen! – Ktoś szturchał ją delikatnie w ramię.
Obróciła się, by dostrzec swoją przyjaciółkę.

Dzięki Bogu, że miała wsparcie.

– Czy wiesz, kim jest ta kobieta? – wyszeptała Charlotte, a ona, nawet nie pytając, kogo ma na myśli, doskonale wiedziała, o kim mowa. Choć zraniona duma i złamane serce kludy ją niemilosiernie, przelknęła ślinę i uniosła wysoko podbródek.

– Wiem – odparła lodowatym tonem. – To ukochana Rossa sprzed lat.

Po drugiej stronie sali

– Ralf, proszę, trzymaj mnie, bo chyba zaraz zemdleję. – Lady Amelia wbiła paznokcie we frak męża, jakby była tonącym chwytającym się ostatniej deski ratunku. – Powiedz mi, czy ja dobrze widzę?

Markiz Williams obrócił się wraz z małżonką w stronę wejścia, po czym uśmiechnął się nieznacznie.

Był pewien, że kapitan wróci. To była tylko kwestia czasu.

Nie wiedział jedynie, że przyprowadzi ze sobą jaką obcą kobietę...

– Dobrze widzisz, moja droga – odparł, ścisnąwszy mocno jej rękę.

– Znalazła się nasza zguba. – Pani Williams ściszyła głos, żeby nikt jej nie słyszał.

– Nie jestem tylko pewien, na ile ona jest faktycznie nasza. – Popatrzył z powątpiewaniem na kobietę trzymającą go pod ramię.

– A kimże ona jest? – rzuciła wyniośle markiza. – Pierwszy raz ją na oczy widzę.

– Ja również. A widzisz gdzieś Helen? – spytał, rozglądając się ukradkiem po sali.

– Tak, była po drugiej stronie, o tam... – Wskazała dyskretnie palcem i wyciągnęła szyję, ale że nie należała do zbyt wysokich, nie zdołała dostrzec córki.

– Jest z nią lady Hamilton, bardzo dobrze – odparł, kiedy zobaczył obie kobiety.

Był dość zadowolony z efektu, jaki dał ich plan. Helen nie tylko nie straciła reputacji, ale jej popularność znacznie wzrosła! Dostawała teraz codziennie o wiele więcej zaproszeń, a dżentelmeni starali się o jej względy jeszcze bardziej.

Jednak, jak zauważył, niewiele to dla niej znaczyło. Ledwie zauważała ludzi wokół siebie, dbała oczywiście o to, żeby utrzymywać pozory szczęśliwie uratowanej od bandytów kobiety, ale Ralf widział po jej zmęczonych oczach, że cierpi.

Odwrócił się z małżonką w drugą stronę, by nikt nie dostrzegł zaniepokojenia na ich twarzach.

– Cokolwiek się teraz wydarzy – powiedział – będzie to dla naszej córki znacznie lepsze, niż to, gdy kapitan zupełnie zniknął.

– Zgadzam się z tobą, choć dla mnie to wszystko jest trochę nazbyt skomplikowane – zachnęła się markiza. – Zupełnie nie wiem, co ten człowiek sobie myśli.

– Miłość jest skomplikowana, moja droga – odparł filozoficznie markiz, sięgając po kieliszki szampana i wręczając jeden małżonce.

Kobieta spojrzała na niego z matczyną niepewnością.

– Oby nasza Helen w końcu szczęśliwie ją odnalazła...

Po drugiej stronie sali

Gdy Helen usłyszała pierwsze dźwięki kadryla, z niedowierzaniem obserwowała, jak lord Mortimer kroczy ze swoją damą na parkiet.

Do niej samej podeszło kilkoro chętnych, lecz wszystkim odmówiła.

Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Jego przemiana z zuchwałego kapitana, który gotów był podbić cały świat, w dostojnego, pełnego uroku lorda była absolutnie oszalamiająca.

O ile uważała, że strój rozbójnika-pirata doskonale do niego pasował, to gdy zobaczyła go w czarnym fraku, śnieżnobiałej koszuli związanej na szyi eleganckim węzłem, z wrażenia niemal ugięły się pod nią nogi.

Tak jak zresztą i większości dam, które nie spuszczały z niego oczu, zastanawiając się pewnie między sobą, kim jest ten mężczyzna.

Co niektóre, nieco starsze kobiety, musiały go pamiętać, bo potakiwały głowami, dzieląc się od razu tą wiedzą z innymi.

Tak czy owak, pojawienie się na sali kapitana wprowadziło ją w ruch. Helen nawet zdążyła pomyśleć, że o ile ona była ulubioną panną na wydaniu większości kawalerów, to Ross zdecydowanie zabierał uwagę debiutantek.

Poczuła ukłucie zazdrości, widząc wlepione w niego spojrzenia.

Stała jednak jak jedna z tych oszolomionych panienek i wpatrywała się w mężczyznę, który skradł jej serce.

Rozzłoszczona tym, że jest jedną z wielu podziwiających jego imponującą sylwetkę kobiet, nie mogła uwierzyć w to, że on nawet nie rozejrzał się po sali, by ją odnaleźć.

Była bliska załamania, sądząc, że nie zależy mu na niej do tego stopnia, iż podczas gdy ona wyplakiwała sobie nocami oczy, on pobiegł na drugi koniec kraju, by odszukać dawną miłość.

A ta kobieta?

Była taka... pospolita. Wcale nie piękna ani jakaś wyjątkowa. Niewielka, urocza i słodka, mogła podobać się mężczyznom, ale zdaniem Helen wyglądała przy boku olśniewającego kapitana bardzo niepozornie.

– Nie pasują do siebie – powiedziała do Lotty, która razem z nią przyglądała się tańczącym parom.

Przyjaciółka spojrzała na jej zacietrzewioną minę. Nie bardzo wiedziała, jak ją pocieszyć.

– Moim zdaniem ubiera się znacznie gorzej od ciebie – powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy. Helen swego czasu bardzo dbała o stroje.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Niech by nawet założyła na siebie worek, Ross tańczy z nią, nie ze mną – powiedziała, nerwowo tupiąc nogą. – A na dodatek zbyt blisko ją trzyma.

– Mnie się wydaje, że podobnie jak wszyscy inni. – Lotty zmarszczyła brwi. – Swoją drogą nie sądziłam, że twój kapitan potrafi tańczyć.

– Ja też – mruknęła ponuro. – Wparował tu jak jakaś primabalerina!

Charlotte zaśmiała się cicho.

– Musisz przyznać, że robi imponujące wrażenie. Jest w tym nieco podobny do ciebie, nie sądzisz? – Zerknęła na przyjaciółkę.

– Nawet nie mów takich rzeczy – westchnęła. – A najgorsze jest to, że nawet się nie rozejrzał po sali! Z pewnością wiedział, że mnie tutaj zastanie – lamentowała przyciszonym głosem, bo jej poruszenie zaczęło przyciągać spojrzenia.

Odwróciła się więc plecami właśnie wtedy, gdy taniec się skończył.

– Chyba wolalabym wyjść na taras – zwróciła się do Lotty, która wciąż wpatrzona w rozchodzące się pary, dziwnie ucichła.

– Lady Williams, czy mógłbym panią prosić do tańca? – usłyszała zaraz za plecami i jej serce zamarło.

Odwróciła się bardzo powoli, po czym podniosła wzrok na wpatzonego w nią kapitana. Z bliska prezentował się jeszcze lepiej, niż pamiętała. Jego oczy niemal pochłaniały ją całą, badały każdy szczegół twarzy i przyprawiały o żywsze bicie serca. Lśniące, ciemne włosy błyszczwały od blasku świateł. Była przekonana, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

– Z przyjemnością – powiedziała słabym głosem, wyciągając do niego dłoń w satynowej rękawiczce.

Zadrżała na całym ciele, gdy ujął jej palce. Ten jeden dotyknął i emanująca od niego energia wystarczyła, by momentalnie przypomnieć sobie noce, które spędziła w jego ramionach, pieszczoty, którymi obdarzał jej ciało, oraz wsparcie, które znalazła w jego objęciach.

To wszystko zalało ją niczym ogromna fala, pochłaniając bez reszty jej strapioną duszę.

Kiedy orkiestra znów zaczęła grać, okazało się, że będzie to walc.

Nie mogło trafić się lepiej, pomyślała w oczekiwaniu, podczas gdy on bez słowa wziął ją w ramiona. Zdawało jej się, że ta drażniąca odległość jest jakby parodią ich wcześniejszej bliskości, która swego czasu całkowicie łączyła ich ciała.

Chociaż wiedziała, że powinna zacząć jakąś rozmowę, nie potrafiła nic z siebie wykrztusić. On, również milczący, sprawiał wrażenie nieco spiętego.

Gdy wykonali pierwszy krok, porwał ich taniec. Wirowali po parkiecie, między innymi parami, ich ciała doskonale zgrane budziły zachwyt w oczach innych ludzi. Tworzyli idealną parę i widać to było gołym okiem. Ona, wysoka i jasna, niemal płynęła w objęciach mężczyzny, którego skórę przez lata nagrzewało słońce i smagał wiatr.

Helen, napięta jak struna, czuła na swojej talii jego dłoń i choć znajdował się przy niej tak blisko, dla niej było to i tak niewystarczające.

Podniosła na niego wzrok, by dostrzec, że i on się w nią wpatruje. Teraz nic innego się dla niej nie liczyło, tylko wyraz tak dobrze jej znanych oczu.

Kobieta, z którą przyszedł, już dla niej nie istniała, wszystko czego potrzebowała, miała przed sobą.

– Tęskniłam za tobą – wyznała łamiącym się ze wzruszenia głosem. Nic nie mogła na to poradzić. Jej uczucia były tak silne, że duma przestała być w tym momencie ważna.

Mężczyzna zacisnął mocniej dłoń na jej talii, przyciągając ją do siebie bliżej. Jego twarz wyrażała poruszenie.

– Helen, wyjdiesz za mnie? – spytał napiętym głosem, a to pytanie było tak niespodziewane, że panna Williams wypadła z rytmu, krzywo postawiła stopę i krzyknęła głośno z bólu.

Zaniepokojone pary przerwały taniec, zwracając się w ich stronę. Orkiestra ucichła.

Kapitan zdołał podtrzymać partnerkę, ale kiedy dojrzał jej twarz wykrzywioną w bólu, bez słowa podniósł ją z ziemi i niosąc na rękach, zmierzał do wyjścia.

Czujna gospodyni wieczoru natychmiast do nich przypadła, prowadząc ich do odosobnionego pokoju. Zaraz pojawili się rodzice Helen, którzy ustalili naprędce z lady Balfour, że trzeba posłać po lekarza i przyłożyć lód do zwichniętej kostki.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, w sali runęła lawina komentarzy.

Wszyscy zastanawiali się, czy to lord Mortimer jest mężczyzną z opowieści panny Williams. Wiadomości szybko się roznosiły, więc każdy, kto wiedział, że mężczyzna jest

jednocześnie wilkiem morskim, połączył fakty i doszedł do słusznych wniosków.

Młode, niezamężne jeszcze panny relacjonowały sobie w kółko taniec tych dwojga, skupiając się na tym, jak wspaniale wyglądała lady Williams, gdy lord Mortimer niósł ją w ramionach.

Każda z nich zapisała sobie to wydarzenie w pamięci jako ideał romantycznej miłości.

Tymczasem w pokoju obok

– Proszę położyć pannę Williams tutaj, a ja sprowadzę lekarza. – Lady Balfour weszła do jednego z pomieszczeń, otworzywszy szeroko drzwi, i gestem zaprosiła wszystkich do środka.

Pierwszy wszedł Ross ze swoim blond ekwipunkiem, a potem pozostali. W korytarzu pojawiła się zaraz lady Hamilton, która już niosła w rękach naczynie wypełnione lodem.

– Kto to pani dał? – zdziwiła się gospodyni, gdy ta mijala ją w progu.

Dziewczyna przystanęła na chwilę i wzruszyła ramionami.

– Nikt, chłodził się w tym szampan – wyjaśniła, po czym weszła do środka, nie czekając na jej odpowiedź.

– Gdzie mam ją posadzić? – spytał Ross, rozglądając się dookoła.

– Tutaj na sofie! – zawołała lady Amelia rozgorączkowanym tonem.

Ross zbliżył się do wskazanego miejsca szybkim krokiem i przystanął, by spojrzeć Helen w twarz.

– Żyjesz? – spytał rozedrganym głosem.

– Oczywiście, że żyje, tylko nie może złapać oddechu! – warknęła jej matka.

Dziewczyna oddychała prędko, źrenice miała mocno rozszerzone.

– Mam lód. – Przypadła do nich zaraz Charlotte. – Niech ją pan położy – zarządziła.

– Tylko ostrożnie! – pisnęła lady Amelia, która zaraz przytuliła się do stojącego obok męża.

Ross bardzo powoli ułożył dziewczynę na sofie i nie bacząc na pozostałych, zaczął podwijać materiał jej sukni.

Lady Amelia uniosła brwi wysoko do góry, ale nie skomentowała jego zachowania.

– To kostka – powiedział poważnie. – Musiała źle postawić stopę – dodał, zdejmując delikatnie jej pantofel.

Wszyscy nachylili się nad leżącą, która wciąż z trudem oddychała. Ich oczom ukazała się zaraz niewielka opuchlizna, która zaczęła rosnąć pod kremową, delikatną pończochą.

– Musimy to zdjąć – powiedziała Lotty.

Ku zaskoczeniu wszystkich Ross bez wahania wsunął dłonie pod fałdy sukni Helen, odwiązał tasiemkę przytrzymującą pończochę i zrolował ją w dół.

– Niech pani znajdzie jakiś materiał, żeby można było owinać nim lód – polecił, na co Charlotte wyjęła z kieszeni spódnicy dużą płócienną chustkę i nałożyła do niej lodu.

– Nie wygląda to dobrze – zaskomlała lady Amelia, widząc wokół kostki mocne zaczerwienienie.

– Nie wygląda też tak źle – powiedział Ross, badając powoli palcami całą stopę, od palców, aż po łydkę.

– Czy pan się na tym zna? – wtrącił się markiz, który był pod wrażeniem szybkości działania młodego człowieka.

– Poniekąd – powiedział tylko. – Nie widzę żadnego złamania – dodał po chwili.

– Jest pan pewien? – spytała Charlotte, wpatrując się w niego zaniepokojonym wzrokiem.

Mężczyzna badał jeszcze nogę przez moment, podczas gdy oddech Helen zaczynał się normować. Nie reagowała gwałtowniej, gdy naciskał mięśnie wokół opuchlizny.

– Helen, powiedz, bardzo cię boli? – Nachylił się ku niej z zatroskanym wyrazem twarzy, po czym przyłożył lód do zaczerwienionego miejsca. Dziewczyna przymknęła na chwilę oczy i dopiero po chwili na niego spojrziała.

– Nie, nie boli mnie bardzo – warknęła tak zimnym głosem, że jej rodzice aż się odsunęli.

– Nie? Możesz ruszać stopą? – spytał znów czule.

Helen podparła się na łokciach i zaczęła ostrożnie poruszać stopą raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Mogę – stwierdziła, a wszyscy odetchnęli z ulgą.

– To czemu tak głośno krzyknęłaś? – spytała zatroskana lady Amelia. – Myślałam, że mi serce wyskoczy!

– Może po prostu z zaskoczenia, kochanie. Ty też wydajesz z siebie różne dziwne dźwięki. – Markiz próbował ją nieporadnie uspokoić.

– Lepiej zapytajcie o to lorda Mortimera – syknęła dziewczyna, posyłając mu miazdzące spojrzenie.

Ross zbladł, widząc jej minę.

– Co pan zrobił mojej córce? – spytała lady Amelia melodramatycznym głosem.

Wszyscy wbili w niego spojrzenie.

– Tańczyłem z nią? – odparł ostrożnie.

Głowy znów zwróciły się w stronę Helen, czekając na jej odpowiedź. Dziewczyna jednak nie skomentowała, lecz można było dostrzec, że na twarzy robi się coraz bardziej purpurowa.

Jej klatka piersiowa zaczęła się unosić i opadać w ciężkim oddechu, wyglądała niemal tak, jakby gotowała się od środka.

Gdy spojrziała na kapitana nieruchomym wzrokiem, wszyscy wstrzymali w płucach powietrze.

– Najpierw znikasz na wiele dni bez wieści, potem przychodzisz z jakąś kobietą na przyjęcie i z nią tańczysz, a potem ni stąd, ni zowąd pytasz mnie, czy za ciebie wyjdę?! – wrzasnęła rozwścieczona jak jeszcze nigdy dotąd.

Drzwi do pokoju otworzyły się na oścież i do środka wsunęła się głowa lady Balfour.

– Przyjechał lekarz.

– Nie teraz! – krzyknęli równocześnie markiz i markiza.

Kobieta podskoczyła jak oparzona, szybko chowając się za drzwiami.

– A co miałem powiedzieć? „Kochanie, wróciłem”? – spytał Ross, a w jego oczach błysnęło rozbawienie.

– Czy ty masz choć odrobinę, ociupinkę wyczucia czasu?! – Zmrużyła oczy, pokazując między palcami wąską szczelinę.

– Lepiej późno niż wcale – mruknęła pod nosem Charlotte, za co natychmiast została obdarowana chłodnym spojrzeniem.

– Rozumiem, że moja propozycja wprost zważyła cię z nóg? – skwitował kapitan, walcząc z uśmiechem.

Rodzice dziewczyny zachichotali, choć wciąż starali się grać poważnych.

Kapitan patrzył z czułością na Helen. Zbyt dobrze ją znał, by wiedzieć, że w jej wypadku wściekłość to dobry znak. Gdyby jej na nim nie zależało, odprawilaby go bez wahania, na zimno i bez emocji. A jego śliczna złościca dawała właśnie prawdziwy pokaz uczuć do niego.

– Jestem na ciebie wściekła! – wrzasnęła kolejny raz, wyrwała nogę spod jego palców i usiadła sztywno na sofie.

– Ale szczęśliwa? – podpowiedział.

– Czy ja wyglądam na szczęśliwą? – Wskazała na siebie dłonią, kiwając jednocześnie głową.

– Będziemy musieli porozmawiać, młody człowieku – wtrącił się nagle markiz, lecz o dziwo jego małżonka złapała go pod ramię i rozplywając się w uśmiechach, zaczęła się z nim cofać w stronę drzwi.

– Chyba potrzebujecie chwili, żeby porozmawiać – powiedziała, dając gwałtowne znaki Charlotte, żeby do nich dołączyła.

– Naturalnie... – Pani Hamilton zerwała się z miejsca i po chwili wszyscy wyszli, zostawiając Helen i Rossa samych.

Po chwili, na korytarzu

– Jesteś pewna, moja droga, że chcesz zostawiać ich samych? – spytał z powagą markiz, patrząc na małżonkę. – Nie jesteśmy u siebie na prowincji, ludzie od razu dostrzegą, że Helen została z kapitanem bez przyzwotki.

Kobieta ujęła go pod ramię, wydawała się całkowicie zrelaksowana. Spacerowali po korytarzu, nie oddalając się zbyt od pokoju, w którym została ich córka z Mortimerem.

– Nie ma to większego znaczenia, i tak już wszyscy się domyślili, kim jest, gdy tylko poprosił Helen o taniec. A jak oni pięknie razem wyglądali – westchnęła, składając ręce, jakby wciąż miała przed oczami tę wizję.

Markiz zmarszczył czoło. To, jak zachowywała się Amelia, było zupełnie do niej niepodobne.

– Tak, bardzo pięknie, ale rozumiesz, że nie to jest teraz najważniejsze...

– A kiedy ją wziął w ramiona! Och! – przerwała mu, wydając z siebie dziwaczny odgłos, który jak zrozumiał markiz, był okrzykiem zachwytu.

– Rozumiem, że teraz ważniejsze niż reputacja naszej córki jest dla ciebie fakt, że dobrze się razem prezentują? – zauważył cynicznie.

– Nie bądź śmieszny, Ralf – ofuknęła go. – To, jak będą prezentować się później nasze wnuki, też jest bardzo ważne.

– Wnuki? – Mężczyzna przystanął, wpatrując się w nią szerokimi oczyma.

Kobieta przybrała zdziwiony wyraz twarzy.

– Przecież będą kiedyś mieli dzieci. – Wzruszyła ramionami, jakby wszystko było już przesądzone.

– Czy to przypadkiem nie ty naciskałaś wcześniej, żebyśmy, jeśli nadarzy się ku temu okazja, gruntownie porozmawiali z lordem Mortimerem, zanim o czymkolwiek zadecydujemy? – przypomniał jej zaraz zszokowany tym, jak kilka romantycznych scen może zawrócić kobiecie w głowie.

– Owszem – podeszła do niego i strzepnęła z kłapy jego fraka jakiś paproch – jeszcze z nim porozmawiamy, nie martw się – wyjaśniła, bagatelizując jego obawy. – A poza tym za bardzo się tym wszystkim przejmujesz, wybrała kogo wybrała, nie masz na to wpływu – dodała, a mężczyzna miał dziwne wrażenie, jakby zamienili się na chwilę rolami.

– A jeśli Helen nie zgodzi się za niego wyjść? Co wtedy z jej reputacją, o którą tak się staraliśmy? – Wskazał dłonią na zamknięte w oddali drzwi pokoju.

– Ralf – zaprzestała poprawiania i spojrzała na niego stanowczo – czy ty aby na pewno widziałeś, jak oni na siebie patrzą? Naprawdę sądzisz, że Helen mogłaby mu odmówić?

Bo chyba nikt w tym budynku nie miałby takich wątpliwości. Wierz mi. Poznam miłość, kiedy ją widzę. – Pokiwała dumnie głową, jakby to wszystko było jej zasługą.

– Aha – odparł tylko markiz.

Cóż mógł innego dodać?

W pokoju obok, chwilę wcześniej

Gdy tylko zostali sami, Ross przykucnął przed Helen i ujął obie jej dłonie.

– Kochanie, wiem, że chwilę mnie nie było, ale musiałem...

– Chwilę?! – wybuchła, lecz nie wyszarpnęła dłoni z uścisku. – Ładna mi chwila! Zdażyłam dwa razy zejść do piekła i wrócić.

– To znaczy, że za mną tęskniłaś? – spytał, co było raczej oczywiste, bo jeszcze gdy tańczyli, sama mu to powiedziała.

– Jak za zgubionym kapeluszem!

– Bo ja za tobą bardzo – powiedział czule, na co ona znów fuknęła i odwróciła twarz w bok.

– Doskonale to widzę – warknęła. – I właśnie dlatego pognałeś prosto do swojej dawnej miłości – przyszpiliła go.

Ross pokręcił głową.

– To nie tak. Anette...

– Anette? – Spojrzała na niego ostro. – Mówisz do niej po imieniu?

Kapitan wziął głęboki oddech i westchnął ciężko. Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Znamy się bardzo długo, jeszcze w dzieciństwie...

– Nie interesuje mnie, co robiłeś w dzieciństwie – odpowiedziała lodowato, po czym znów wbiła wzrok w drzwi.

– Nie musimy rozmawiać o moim dzieciństwie, jeśli nie chcesz – zaczął rozbawionym tonem – ale musisz wiedzieć,

że ta kobieta pojawiła się u mnie wraz z jej czteroletnim synkiem zaledwie kilka dni temu, by prosić o pomoc.

Helen zerknęła na niego kątem oka, ale nic nie odpowiedziała, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Jej mąż został niesłusznie oskarżony o kradzież i przebywa w więzieniu Newgate, a jest ich jedynym źródłem utrzymania, toteż pani du Barry poprosiła mnie, bym postarał się o zaproszenie na dzisiejsze przyjęcie. Po to, żeby porozmawiać z oskarżającym na osobności, Helen – wyjaśnił spokojnym tonem.

– Kim on jest? – dopytywała. – Ten oskarżający.

– To młodszy syn lorda de Clare’a, Andrew.

– Znam go doskonale. – Skrzywiła się. – Rozmowa z nim raczej niewiele da. Lepiej porozmawiać z jego ojcem, to on trzyma nad nim pieczę.

– Przekażę to pani du Barry.

Dziewczyna skinęła głową, po czym zamilkła na dłuższą chwilę.

– Czy to wszystko, co mówisz, to prawda? – spytała z nadzieją, obdarzając go w końcu spojrzeniem lazurowych oczu.

– Słowo dżentelmena – przysięgł, na co ona prychnęła pod nosem.

– Lepiej przysięgnij na słowo kapitana! – nakazała, znając jego naturę aż nazbyt dobrze.

– Przysięgam na słowo kapitana, że to prawda.

Helen zdawała się usatysfakcjonowana tą odpowiedzią.

– Czy ona i jej mąż mieszkają w Londynie? – spytała zaraz całkiem niewinnym tonem.

– Nie, jakieś pięćdziesiąt mil na północ, dlaczego pytasz?

– To gdzie ona teraz mieszka? – dociekała, wbijając w niego natarczywe spojrzenie.

Ross przelknął z wysiłkiem ślinę, przeczuwając, że za chwilę rozpęta się piekło.

– U mnie – przyznał. – Ale nic już nas nie łączy...

– Nie chcę o tym słyszeć! – przerwała mu Helen, zrywając się bez ostrzeżenia z sofy. Skrzywiła się lekko, gdy poczuła ból w kostce. Ross podtrzymał ją natychmiast w pasie, by mogła ją odciążyć.

– Zabierz ode mnie te łapy! – krzyknęła znów ze złością.

Kapitan westchnął utrapiony. Zdawał sobie sprawę z tego, że w tej chwili Helen jest na niego wściekła, ale wiedział też, że jest to spowodowane zazdrością o inną kobietę, a to, był bardzo dobry znak.

Doskonale pamiętał, jak na niego patrzyła, gdy poprosił ją do tańca.

– Jeszcze przed chwilą drżałaś w moich ramionach – przypomniał jej, ponownie się do niej zbliżając.

– Z obrzydzenia! – palnęła.

– Twoje odruchy są zaskakująco ciekawe – zamruczał, obdarzając jej obnażone ramię szybkim pocałunkiem, co spotkało się z natychmiastową reakcją jej ciała.

– Musisz się na mnie oprzeć, żeby nie naruszać stopy – powiedział, po czym przechylił ją sobie nieznacznie przez ramię, tak że właściwie znalazła się w jego objęciach. – Czy tak jest ci wygodnie? – spytał zmyslowym szeptem, patrząc jej z bliska w oczy.

Helen oblizwała bezwiednie usta, jej oddech przyspieszył.

– Może być – wydukała powściągliwie.

– Jutro, jeśli mi na to pozwolisz, złożę wizytę twoim rodzicom i zrobię wszystko tak, jak należy – powiedział, jednocześnie wpatrując się w jej usta.

Dziewczyna zastygła w bezruchu, słowa ledwie docierały do jej uszu, a kiedy uniósł rękę i przesunął kciukiem po jej dolnej wardze, poczuła jak przenika ją dreszcz podniecenia.

– Ross, pocałuj mnie – wyszeptala bezwiednie, na co on wstrzymał oddech i pochylił głowę.

– Nie dzisiaj – odparł i pocałował ją lekko w nos.

Spojrzała na niego oszłomiona, podczas gdy on już sadowił ją z powrotem na sofie.

– Zawiadomię twoich rodziców i spotkamy się jutro – powiedział, skinąwszy energicznie głową, po czym ruszył do drzwi.

Gdy je otworzył, odwrócił się jeszcze, by spytać.

– Nosisz go cały czas przy sobie, prawda?

Helen zamrugala, zupełnie nie rozumiejąc, co się właściwie wydarzyło, ale gdy usłyszała jego pytanie, pojęła je w mig.

Sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła z niej pierścień Mortimerów.

– Tak.

A potem zobaczyła jeszcze tylko biel jego zębów i już go nie było.

Rezydencja państwa Williamsów, następnego dnia rano

Lord Mortimer siedział sztywno na obitym granatowym brokatem fotelu, mając naprzeciw siebie markiza i markizę Williams, a po prawej pannę Williams.

W powietrzu czuło się nerwowe oczekiwanie. Nawet mucha nie śmiała przerywać ciszy przetykanej jedynie stukaniem wahadła zegara stojącego w rogu pokoju.

Ross wiele przeszedł w swoim życiu, sztormy, burze i nawalnice, ale nic nie przygotowało go na tę rozmowę.

Choć z początku sądził, że spotkanie odbędzie się, jak to było przyjęte w tych kwestiach, jedynie z ojcem dziewczyny, to okazało się, że ani lady Amelia, ani Helen nie zamierzały przepuścić tej okazji i teraz obie, trzymając dłonie na podolkach, wpatrywały się w niego wyczekująco.

Na stoliku z orzechowego drewna pomiędzy nimi ustawiono poczęstunek i herbatę, którą już wcześniej rozlano do filiżanek, jednak nikt po nią dotąd nie sięgnął.

– Z tego, co dowiedziałem się wczoraj na balu, poprosił pan moją córkę o rękę – zaczął stanowczym głosem lord Williams, przechodząc od razu do sedna.

– Tak, to prawda – odparł niskim barytonem kapitan.

– Cóрка twierdzi, że... nie jest to jej niemiłe – dodał ostrożnie markiz, zerkając na przygryzającą usta Helen. Gdy tylko poczuła na sobie wzrok mężczyzny, przyjęła pozę rozluźnionej i uprzejmie zainteresowanej. Matka zawsze uczyła ją, że dama w każdej sytuacji powinna zachować spokój i klasę.

– Owszem, biorę to pod uwagę – powiedziała więc skromnie.

– Rozumiem, że nie dała panu jeszcze swojego przyzwolenia?

Ross zastanowił się chwilę.

– W dosłownym tego słowa znaczeniu, nie.

Helen zarumieniła się lekko i spuściła wzrok, udając, że nie widzi uważnego spojrzenia ojca.

– W takim razie najpierw, jeśli jako rodzice mielibyśmy wyrazić na to zgodę, musimy zadać panu kilka pytań.

Lady Amelia podała zaraz mężowi niewielki notatnik, który mężczyzna otworzył, oddalił od siebie znacznie i zmrużył oczy.

– Czy jest... – czytał – pan... zdrowy? – zakończył, marszcząc brwi, po czym zerknął na lady Amelię z przyganą w oczach.

Usta Rossa zadrżały, gdy zdał sobie sprawę, że markiza sama przygotowała dla niego listę pytań, lecz nie zamierzała ich zadać. Sprytna kobieta, stwierdził.

Odchrząknął.

– Tak, o ile mi wiadomo, jestem zdrowy – odparł.

– A pana rodzina? Ma pan braci? Siostry? – Kobieta nie mogła się powstrzymać i włączyła się do rozmowy.

– Tak, brata Gabriela, który ma już dzieci w wieku czterech i siedmiu lat. Wszyscy są w dobrym zdrowiu.

– A pana rodzice? – dopytywała, nie czekając, że mąż będzie za nią mówił.

– Mój ojciec jest już w podeszłym wieku, a matka zmarła trzy lata temu.

– Czy to była choroba psychiczna?

– Mamo! – oburzyła się Helen, a markiz obrzucił żonę karcącym spojrzeniem.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi. – Uniosła dumnie głowę. – To bardzo istotne pytanie.

Ross uśmiechnął się do niej szeroko. Zaczynał lubić tę kobietę.

– Z tego, co pamiętam, moja matka popadała czasem w melancholię, ale nie było to nic przewlekłego.

– Rozumiem – odparła markiza, nie dając po sobie znać, czy ta odpowiedź ją satysfakcjonuje, czy też nie.

Lord Williams znów zerknął w notatnik, by przeczytać kolejne pytanie.

– Czy lubi pan dzieci? – odczytał, po czym westchnął, jakby godził się z tym, że będzie służył teraz za majordomusa.

Kapitan zerknął na Helen, która zarumieniała się uroczo.

Dzieci... Musiał przyznać, że nawet nie zdążył jeszcze o tym pomyśleć, a przecież mogło się stać, że jeszcze wtedy, na pokładzie statku...

Spuścił wzrok.

– Trudno powiedzieć, nigdy żadnego nie miałem – zdobył się na żart.

– To też dobra nowina – odparła wcale nie skrepowana markiza. – Czytaj dalej, kochanie – ponagliła go zaraz.

– Mamo, ile jest tych pytań? – zaniepokoiła się Helen. – Chcesz nas tu trzymać cały dzień?

– Kilka... – Pani Williams machnęła dłonią, bagatelizując jej obawy, podczas gdy markiz przekartkował notatnik, dodając „naście”.

Wszyscy jęknęli.

– Nie możemy tego zrobić szybciej? – dopytywała dziewczyna.

– Spiesz ci się gdzieś? – Matka uniosła brew, tym samym uciszając ją.

– Teraz już wiem, po kim Helen ma taki charakterek. – Ross nie mógł się powstrzymać.

Markiz parsknął cicho, kamuflując śmiech, natomiast lady Amelia spojrzała na niego nagle odmieniona. Poprawiła dłonią włosy i poruszyła się na siedzeniu.

– Dziękuję – powiedziała. – Urodę również odziedziczyła po mnie – odparła pysznie.

– Mamo, wcale nie jestem do ciebie podobna. – Helen naperzyła się.

– Z pewnością bardziej niż do mnie – wtrącił markiz, z premedytacją gładząc się teraz po brodzie.

– Jeśli miałabym brodę, byłabym bardzo wyjątkową panną na wydaniu. – Dziewczyna uśmiechnęła się i w pokoju od razu zrobiło się raźniej.

Markiz zamknął kategorycznie zeszytik i zwrócił się do kapitana znacznie swobodniejszym tonem.

– To, czego naprawdę potrzebujemy się o panu dowiedzieć, to po pierwsze tego, czy jest pan w stanie zagwarantować naszej córce dom i bezpieczeństwo.

– Tak – odparł stanowczo. – Zanim wróciłem do Londynu, wyprostowałem wszystkie sprawy z moją rodziną. Jak pewnie już państwo wiecie, jestem najstarszym synem, ale nie zostałem dziedzicem – przyznał. – Czego się jednak ostatnio dowiedziałem, nigdy mnie ojciec nie wydziedziczył, i choć moje miejsce w rodzinnej posiadłości Mortimerów zajął mój brat, to wciąż jestem właścicielem połowy ziem moich przodków.

Lady Amelię wyraźnie ucieszyła ta nowina, bo kiwała powoli głową, jakby wyrażała aprobatę.

– Nawet jeśli jednak by się tak nie stało, podczas mojego życia poza domem sam zdobyłem majątek wystarczający do tego, by zapewnić państwa córce długie i bardzo wygodne życie – dokończył oficjalnym tonem.

Był nieco skrępowany tym, że rozmawia o finansach przy damach, lecz, jak widać, w domu Williamsów wszyscy mieli równe prawa.

Helen na jego słowa wyraźnie się ucieszyła. W zasadzie nigdy nawet się nie zastanawiała, czy kapitan jest zamożnym człowiekiem, czy też nie.

Była przekonana, że i w jednym, i drugim przypadku jakoś by sobie poradzili.

– Czy mieszka pan na stałe w Londynie?

Ross wziął głęboki oddech, lecz w tej odpowiedzi wyrezytowała go Helen.

– Mamo, a propos mieszkania w Londynie na stałe... – zerknęła szybko na kapitana. – Nie wiem jak lord Mortimer, ale ja nie chciałabym mieszkać tutaj po ślubie przez cały rok – wyznała jednym tchem.

– Masz na myśli wyjazdy na prowincję? To chyba nic nowego dla naszej klasy, szczególnie po sezonie.

– Nie to mam na myśli. – Zaciśnęła mocniej dłonie.

– A cóż takiego? – Markiza zmarszczyła brwi. – Czy jest gdzieś na świecie lepsze miejsce niż Londyn?

– Tak. Środek oceanu. Na statku – odparła odważnie, na co Ross aż oniemiał z wrażenia.

Prosząc Helen o rękę, nie śmiał nawet marzyć o tym, że pragnęłaby odbywać z nim podróże morskie. Wywodziła się przecież z arystokracji, a miejsce damy było między innymi damami. Skłaniał się nawet ku temu, by na stałe osiąść na lądzie, jeśli ona by tego pragnęła.

Teraz jednak tak go zaskoczyła swoim wyznaniem, że miał ochotę podejść do niej i przy wszystkich ją pocałować.

– Ale... ale... to niebezpieczne! – dodała naprędce matka.

– Tak jak i życie w Londynie. Przypominam, że to stąd zostałam uprowadzona – stwierdziła całkiem logicznie.

Jej ojciec przytaknął, trudno było nie zgodzić się z tym faktem.

– Ale w morzu... mieszkają potwory. – Markiza wciąż usiłowała znaleźć jakiś argument.

– Podobnie i na lądzie, choć to raczej potwory na dwóch nogach – wstawił się za Helen kapitan, mając na myśli bandytów, którzy ją porwali.

– A... – Kobieta nie dawała za wygraną. – Jak coś na ciebie...eee... spadnie?

Lord Williams uniósł rozbawiony brwi.

– Na przykład co? Deszcz? – spytał, po czym zaczął się trząść ze śmiechu. Helen i Ross dołączyli do niego, natomiast markiza zmarszczyła tylko złowrogo brwi.

– To wcale nie jest zabawne! – powiedziała, próbując ich uspokoić, jednak nikt jej nie słuchał.

Sięgnęła więc po filiżankę i siorbnęła głośno herbatę, jak gdyby ich reakcja wcale jej nie obchodziła.

– Mamo – powiedziała po chwili Helen, przechylając się w jej stronę i chwytając za rękę. – Nie zniknę nagle z waszego życia, możesz mi wierzyć. Zbyt wiele dla mnie oboje znaczą – wyznała z miłością.

Oczy markizy momentalnie zrobiły się mokre od łez. Jej córeczka, kochana, piękna i podziwiana przez wszystkich córeczka jeszcze nigdy w tak swobodny sposób nie mówiła do niej o swoich uczuciach.

– Ross? – spytała dziewczyna, patrząc na niego tkliwie. – Czy zgodzisz się, byśmy część roku spędzali w Londynie, a tylko część w podróży?

– Oczywiście, kochanie – powiedział swobodnie, nie bacząc już na to, że odnosi się tak do Helen przy wszystkich.

Dziewczyna przeniosła jeszcze wzrok na ojca, jakby szukała u niego aprobaty, a gdy on skinął z zadowoleniem głową, zwróciła się do kapitana:

– To poprosisz mnie wreszcie oficjalnie o tę rękę, czy nie? – wytknęła mu z uśmiechem.

– Nie jestem pewien. – Zmarszczył brwi, jakby się namyślał. – Martwię się o twoje zdrowie. Ostatni raz, kiedy cię poprosiłem, skrzyłaś kostkę.

Helen zmrużyła ostrzegawczo oczy, jednak zaraz zrozumiała, że się z nią droczy.

– Mój drogi – westchnęła lekko. – Nigdy nie wykazywałeś się odpowiednim wyczuciem czasu. Jak widzisz, siedzę wygodnie w fotelu, nic mi się nie stanie. – Uśmiechnęła się do niego przekornie, a on odpowiedział jej tym samym.

– Markizie Williams. – Ross wstał, zwracając się do niego oficjalnym tonem. Mężczyzna również podniósł się

z sofy. – Czy wyraża pan zgodę, bym poprosił pana córkę o rękę?

Helen wstrzymała oddech.

– Tak – odparł krótko.

– Ja również. – Markiza poderwała się gwałtownie, jakby czuła, że jej pozwolenie jest równie ważne.

Ross uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję zatem wam obojgu – powiedział i sklonił się z szacunkiem.

Zaraz po tym rodzice Helen wyszli, zostawiając młodych samym sobie.

~

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, kapitan wstał z fotela i wziął Helen w objęcia.

– Ross, ja... – zaczęła, ale nie dał jej skończyć, bo już zapamiętale całował jej usta, jakby chciał włożyć w ten pocałunek całe swoje uczucie.

Zaskoczona Helen przywarła do niego mocno, a jej stęsknione ciało wyprężyło się ku niemu.

Zaraz jednak oderwał się od niej i chwyciwszy jej twarz między drżące ręce, spojrzał na nią skrzącymi się z radości oczyma.

– Omal tego nie zrobiłem przy twoich rodzicach, kiedy usłyszałem, że chcesz ze mną podróżować – powiedział wezbranym od emocji głosem.

Helen objęła go w pasie.

– Nie spodziewałeś się tego po mnie, prawda? – Zrobiła zadowoloną minkę. – Pewnie myślałeś, że nie obędę się bez tuzina służących i stosu poduszek?

Ross zachichotał.

– Coś w tym rodzaju, chociaż jeśli tak kochasz poduszki, mogę wyścielić ci nimi cały pokój – zażartował.

– Pomyślę o tym – odparła tylko zuchwale. – Jednak bardziej zależałoby mi na wygodnej kajucie.

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

– Jak tylko uporamy się z wszystkimi formalnościami, zakupimy własny statek. Co ty na to?

Helen zrobiła wielkie oczy i wyglądała teraz jak dziewczynka, która dostała do rąk małego kotka.

– Naprawdę? – zapiszczała, jakby nie wierzyła we własne szczęście.

Mężczyzna skinął głową.

– Jesteś pewien, że – odchrząknęła – będziemy mogli pozwolić sobie na taki wydatek?

– Kochanie – zsunął dłonie na jej ramiona – możemy sobie pozwolić na pięć takich statków albo i więcej – wyznał, na co ona znów pisnęła z zachwytu i rzuciła mu się na szyję.

Ross złapał ją i przytrzymał przy sobie tak mocno, że dziewczyna ledwie mogła oddychać. Po chwili odstawił ją na ziemię.

– Nie boli cię już kostka? – spytał, bo nie zauważył, by utykała.

– Jaka kostka? – Machnęła niedbale dłonią. – Kogo teraz ona interesuje.

Kapitan spojrzał na nią z przyganą.

– Chcesz mieć drewnianą nogę? – postraszył ją na niby. – Jak tak będziesz bagatelizować swoje zdrowie, to na tym się skończy.

Helen uniosła do góry wzrok, próbując to sobie zobrażować.

– Dama z drewnianą nogą. To brzmi nawet całkiem ciekawie, nie sądzisz? Z pewnością byłabym w towarzystwie rozchwytywana!

Mortimer zaśmiał się krótko.

– Tak, zauważyłem, że lubisz być w centrum uwagi.

– Niektórym ludziom jest to po prostu pisane – odparła nieco melodramatycznie, przypominając teraz jota w jote swoją matkę.

Mortimer pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jesteś pewna, że nie będzie ci tego wszystkiego brakować? – spytał. – Tej uwagi, zachwytów?

– Jak tylko ty będziesz na mnie patrzył tak jak teraz, obejdę się bez nich z łatwością. – Przesunęła wzrok na jego usta. – Ross. – Jej ton głosu nagle stał się lekko ochryply. – Szalenie cię pragnę.

Mortimer wciągnął ze świstem powietrze.

– Kochanie... – mruknął, próbując opanować reakcję swojego ciała. – Jeśli będziesz mnie teraz prowokować, nie zdołam utrzymać przy sobie rąk.

– A kto ci każe? – spytała cicho, przysuwając się do niego bliżej, jednak on powstrzymał ją stanowczo.

– Jesteśmy w domu twoich rodziców. – W głosie mężczyzny dało się wyczuć napięcie. – Gdybyśmy teraz zaczęli, nie potrafiłbym się zatrzymać – wyznał, a ona, dostrzegając w jego oczach hamowane pożądanie, cała zapłonęła.

Przez chwilę patrzyli na siebie, wyrażając to, czego nie mogli w tej chwili zrobić.

Dziewczyna sapnęła w końcu z rezygnacją, wiedząc, że Ross ma rację.

– Dobrze. – Z niechęcią zwiększyła odległość między nimi.

– Ale to nie znaczy, że nie możesz mi powiedzieć, jak bardzo mnie kochasz – zaproponował lekkim tonem.

– Ja?! – krzyknęła, patrząc na niego, jakby oszalał.

– Nie widzę tu nikogo innego. – Wyszczерzył się do niej, ale kiedy odpowiedź nie nadchodziła, dodał: – Dla ciebie

złożyłem nawet halsztuk – przekonywał, wskazując dłonią na eleganckie wiązanie pod szyją.

– Też mi poświęcenie – prychnęła, ale w jej oczach pojawiły się figlarne błyski.

Kapitan zrobił zaraz zmartwioną minę i westchnął ciężko.

– Kochanie, nie mogę się z tobą ożenić, jeśli nie upewnię się, że mnie kochasz – igrał z nią.

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę, czując, jak wzbiera w niej zakłopotanie. Zaczerwieniła się na twarzy, ale nic nie powiedziała, jakby zatkała się od środka.

– Czy to aż takie trudne?

– Tak! – wybuchła. – Jeszcze nigdy tego nikomu nie powiedziałam – przyznała się z konsternacją.

Ross zamarł z wrażenia.

– Mówisz poważnie?!

Helen posłała mu mordercze spojrzenie.

– Nie waż się tak na mnie patrzeć – warknęła, nerwowo tupnąwszy stopą o dywan. – Czy nie możesz po prostu spytać, czy cię kocham, a ja odpowiem, że tak? – spróbowała po chwili.

Mężczyzna patrzył jakoś dziwnie, jego usta drżały od wstrzymywanego rechotu.

– Mogę – wydukał, siląc się na spokój.

– To do dzieła – fuknęła. – Miejmy to już za sobą.

– Nie jestem pewien, czy...

– Pytaj! – przerwała mu ostro, a on omal nie wybuchnął śmiechem. Widząc jednak, jak jest zdenerwowana, opanował się i spojrzał na nią z czułością.

– Helen, czy ty mnie koch...

– Tak. Bardzo – odparła stanowczo, zanim jeszcze do końca wypowiedział.

– A czy zostaniesz moją żoną...

– Tak, z przyjemnością.

Kapitan przyglądał się jej ciepło.

– Chodź do mnie. – Otworzył ramiona, a ona uśmiechnęła się szeroko i wpadła w nie bez wahania. Tulił ją do siebie, a ona westchnęła, jakby spadło z jej barków ciężkie brzemie.

– To było bardzo trudne – poskarżyła się.

– Co? Mówienie tego, co do mnie czujesz?

– Mhm – potwierdziła, kiwnąwszy głową.

Ross odsunął ją od siebie delikatnie, by zobaczyć, że w jej oczach błyszczą łzy wstydu.

– Obiecuję, że z czasem będzie coraz łatwiej – powiedział łagodnie, całując jej czoło, powieki i policzki.

– A ty nie zapytasz, czy ja kocham ciebie? – zamruczał, zniżając się do jej ust.

Helen stanęła na palcach, by go dosięgnąć.

– Dla mnie to dość oczywiste – wyszeptala, po czym sama pokonała dzielącą ich odległość i pocałowała go w usta.

Dwa tygodnie później, Hamilton's Club

– Wygląda na to, że mój klub straci wkrótce drugiego stałego bywalca.

Lord James Hamilton pokręcił głową, jak jeden z tych cyników, którzy we wszystkim dopatrzają się czegoś negatywnego.

Było przed południem. Klub dla dżentelmenów nie otworzył się jeszcze dla gości, ale właśnie o tej porze mężczyźni najchętniej lubili się spotykać. Po sali i między stolami wciąż się krzątał jeden służący, który porządkował krzesła po uprzedniej nocy.

– Wyglądasz, jakbym cię zawiódł. – Ross zerknął na przyjaciela, który w spokoju przyglądał się dymowi tłącemu się z cygara.

– Jesteś ostatnim mężczyzną, po którym spodziewałbym się ustatkowania – zauważył. – Przecież to ty z nas wszystkich najbardziej kochałeś wolność.

Kapitan rozparł się na fotelu i swobodnie skrzyżował nogi.

– Grunt właśnie w tym, że wcale nie musiałem z niej zrezygnować. – Uśmiechnął się przebiegle.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Hamilton.

– Helen ma dość życia na salonach, ustaliliśmy więc, że zaraz po ślubie wypływamy w podróż poślubną.

James spojrział na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tego po córce markiza. – Pokiwał z uznaniem głową.

– Jest bardzo odważna – Ross wypiął dumnie pierś – i zupełnie inna, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje.

– Na przyjęciach robiła wrażenie zawsze takiej chłodnej i wyniosłej. Wyglądała, jakby nie wyobrażała sobie życia gdziekolwiek indziej. Idealna osoba w idealnym miejscu – rozmyślał James, jakby przyjemność sprawiało mu dostrzeżenie w człowieku kontrastowych zachowań.

– Cóż. – Ross uśmiechnął się krzywo. – Dopóki nie spotkała mnie.

Hamilton popatrzył na niego ponuro.

– Wiedziałem, że to powiesz.

Kapitan zaśmiał się niskim głosem.

– Ale to tobie, przyjacielu, muszę podziękować najbardziej. Bo to ty mnie z nią wyswatałeś i to właściwie dwukrotnie! – powiedział, unosząc do góry palce.

James wykrzywił twarz w odruchu obrzydzenia.

– Nawet nie mów takich rzeczy. Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy? Przecież ja jej prawie nie znam, jest przyjaciółką Charlotte, to wszystko.

– Pierwszy raz zobaczyłem ją tam – wskazał na główne wejście klubu – i od razu się zaczęło.

– Ach, musiała odwiedzać Lotty – domyślił się Hamilton. – Nie mam pojęcia, jak udawało jej się to ukrywać przed rodzicami.

– Jest sprytna – pochwalił ją Ross. – A drugi raz też zupełnie przypadkiem spotkałem ją właśnie u ciebie, ale na przyjęciu, które wydawałeś.

– Na którym została porwana... – mruknął, domyślając się dalszego ciągu.

– I znów trafiła prosto w moje ręce! – Ross zaśmiał się, rozkładając ramiona.

James nie mógł nie podzielać tak jawnej radości przyjaciela.

– Cieszę się, że wszystko dobrze się skończyło. Ile jeszcze do ślubu? – spytał i włożył cygaro do ust.

– Tydzień. – Ross westchnął ciężko.

– Jakoś to wytrzymasz. – Hamilton zaśmiał się, widząc jego minę. – Wszyscy przez to przechodziliśmy. Ja, Devon...

– A mam jakiś wybór? Lady Amelia się uparła, że teraz wszystko musi być, jak należy. Wolno mi spotykać się z Helen tylko na herbatce, na której ona również jest, chodzić na spacerzy też w jej towarzystwie i ewentualnie pojeździć trochę konno po Hyde Parku – narzekał z grymasem na twarzy. – Na jutro zaplanowana jest wizyta. Na herbatkę. U mnie! – Każde słowo wypowiadał z coraz większym naciskiem.

James nie mógł nie zauważyć podenerwowania przyjaciela.

– U ciebie? – Przechylił nieznacznie głowę i zaczął się namyślać. – Czy ty kiedykolwiek przyjmowałeś jakichś gości?

- Właśnie nie! – krzyknął strapiony.
- To może być w takim razie bardzo ciekawe spotkanie – zauważył Hamilton. – Wierzę jednak, że wszystko pójdzie jak z płatka – dodał natychmiast, spostrzegłszy markotną minę przyjaciela.
- Tak. Jak z płatka... – powtórzył Ross, choć jego twarz nie wyrażała zbyt dużego entuzjazmu.

Rezydencja lorda Mortimera, następnego dnia

Kiedy państwu Williams drzwi otworzył czarnoskóry mężczyzna przebrany w liberię lokaja, pomyśleli, że pomylili adresy.

– Dzień dobry, my zapraszać do domu pana Mortimera – przywitał ich łamaną angielszczyzną.

Wymamrotali ciche podziękowania i weszli do środka. Gdy tylko rozejrzeli się po wnętrzu, ich oczom ukazały się piękne rzeźbione schody, wzorzyste tapety na ścianach i długie egzotycznie wyglądające lampy powieszony wzdłuż całego holu.

Państwo Williams przyzwyczajeni raczej do architektury klasycyzmu czy rokoka, mieli wrażenie, że znaleźli się nagle w jakimś tematycznym muzeum.

– Zaraz pan przyjsć. On się stroić na piętrze. Ja się bardzo cieszyć, że poznać wreszcie panienska i rodzice panienska – zwrócił się swobodnie do Helen, która przyzwyczajona do niecodziennych zachowań kapitana, nie zdziwiła się, że i jego służba wylamuje się spod ram konwenansów.

– Ja również się cieszę, panie...

– Habib. – Skłonił się nisko i wziął od wszystkich po kolei okrycia. – Kapitan uratować mnie podczas strasznego burza na morzu. Ja być mu bardzo wdzięczny i teraz tu mieszkać – opowiedział pokrótce, a lady Amelia

przyglądała się mu jak egzotycznej roślinie, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Markiz odchrząknął znacząco, na co jakby się opamiętała.

– Musisz więc dobrze znać kapitana – stwierdziła panna Williams, bardzo ciekawa jego zdania.

– On dobry, ale w gorąca woda kąpany. – Westchnął i pokręcił głową. – Dzisiaj biegać na leb na szyja i krzyczeń na Habiba. Bardzo się denerwować, że panienka przyjechać.

Helen uniosła brew, Ross zestresowany jej przyjazdem? No, no...

– Witam serdecznie w mojej skromnej rezydencji. – Kapitan pojawił się zaraz i zszedł ze schodów. – Habib, proszę, wprowadź państwa do salonu – powiedział, stając u podnóża stopni.

Kiedy rodzice Helen ruszyli za lokajem, sam zbliżył się do ich córki.

– Mój dom nie należy może do zbyt konwencjonalnych, ale ty również. Mam nadzieję, że ci się spodoba – dodał, unosząc jej dłoń i całując szarmancko.

– Jeśli jest choć w połowie tak niekonwencjonalny jak ty, to z pewnością mi się spodoba. – Uśmiechnęła się do niego czule.

Przenieśli się od razu do salonu, który wyglądał jeszcze bardziej niesamowicie niż hol. Na podłodze pysznił się ogromny turecki dywan, meble zdawały się pochodzić z najróżniejszych zakątków świata. Można było dostrzec przeróżne style i wzory, począwszy od chińskich, ręcznie malowanych szafek i parawanu, po wysokie wazy oraz rzeźby z drewna przedstawiające egzotyczne zwierzęta.

Ross przyglądał się twarzom gości, którzy nawet nie ukrywali, że są zafascynowani niesamowitym wnętrzem.

– Proszę tutaj, na miękkie siedziska – poinstruował ich Habib, wskazując na dopasowaną kolorystycznie sofę i dwa mniejsze fotele z nóżkami w kształcie głów smoków. – Zaraz gospodyni przynieść przysmaki i ta brązowa woda – dodał, co wywołało uśmiech na twarzy Helen.

Rodzina Williamsów usiadła z ociąganiem, ledwie mogąc odwrócić wzrok od wszystkich tych różności.

– Czyżby Habib nie lubił herbaty? – spytała Helen, zajmując miejsce w fotelu obok Rossa.

– On jej nie uznaje – przyznał z uśmiechem. – Uważa, że coś tak ohydneho nie zasługuje na własną nazwę.

– Pana lokaj to wyjątkowy człowiek – zauważyła lady Amelia, która wyglądała, jakby nie bardzo wiedziała, czy podobają jej się te nowości, czy też nie.

– Właśnie dlatego znajduje się w tym domu. – Kapitan posłał jej znaczące spojrzenie, na co, ku konsternacji Helen, lady Amelia się zarumieniła.

Wkrótce do pokoju weszła gospodyni z wózczykiem i przyszykowanymi na nim przekąskami. Postawiła go obok stolika umieszczonego w centralnej części między siedzeniami i zaczęła przekładać na niego liczne talerzyki z najróżniejszymi smakołykami.

Trwało to wyjątkowo długo, ponieważ kolejne dania zdawały się nie mieć końca. Wszyscy przyglądali się z coraz większym osłupieniem, jak stół powoli uginał się od ciężaru jedzenia.

– Pani Plum, to chyba dość dużo jak na dodatek do herbaty – zauważył Ross, uśmiechając się nerwowo. On sam chyba nigdy nie widział w tym domu tyle jedzenia naraz!

Kobieta nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, w końcu gdy zobaczyła, że państwo Williams się jej przyglądają, dygnęła przed nimi nieporadnie.

– Jaśnie panie, przepraszam najmocniej, nie mogłam się powstrzymać, kiedy usłyszałam, że będziemy gościć rodziców pańskiej narzeczonej – wyznała, czerwieniąc się cała. – My nigdy nie mamy tu gości! – dodała nieśmiało gwoli wyjaśnienia.

Po jej słowach zapadła niezręczna cisza, którą przerwały słowa markizy.

– Jest nam niezmiernie miło, że tak nas pani ugościła – odparła przyjaźnie, uśmiechając się do kobiety. Wyglądało na to, że przestała już zwracać uwagę na to, że w domu lorda Mortimera służba rozmawia z gośćmi. – Z przyjemnością się poczęstujemy, prawda, Ralf?

Lord Williams spojrzal zdumiony na małżonkę, która dla dodania wiarygodności swoim słowom, zaczęła nakładać sporą porcję pasztecików na talerzyk.

– Tak, oczywiście – przytaknął dopiero po chwili.

Gospodyni pojaśniała na twarzy, jakby lady Amelia sprawiła jej największy komplement, po czym zajęła się rozlewaniem herbaty.

Gdy wszyscy zostali obsłużeni i zaspokoili pierwszy apetyt, już z wolna rozkoszowali się kolejnymi pysznościami, coraz bardziej odprężeni na swoich miejscach.

– Czy to wszystko przywiózł pan z podróży? – spytał w pewnej chwili markiz, zataczając w powietrzu ręką.

– Tak – odrzekł Ross. – Można powiedzieć, że jestem pod tym względem kolekcjonerem. Lubię także odkrywać kulturę innych państw. Fascynowała mnie ona od dziecka.

– Wspaniała kolekcja – przyznał ojciec Helen, kiwając z uznaniem głową. – Nie sądzisz, kochanie?

– Zgadza się – powiedziała tylko, bo usta miała wypchane pasztecikami. – Dość niezwykła.

– Myślę, że to do pana pasuje, lordzie Mortimerze – zwróciła się do niego Helen. – Wszystko, czym się pan otacza, jest niezwykle i niekonwencjonalne.

– Jeśli masz na myśli również siebie, to całkowicie się z tobą zgodzę – odparł, patrząc z przekorą w jej oczy.

Słyszając te słowa, markiza aż się zakrztusiła i zaczęła gwałtownie pokasływać. Mążonek natychmiast się do niej obrócił.

– Wody – wykrztusiła, wstając z kanapy. – Potrzebuję szklanki wody.

– Poproszę gospodynię – zaoferował się Ross, lecz ona już szła do wyjścia, ciągnąc za sobą męża. – Nie, nie, sami ją znajdziemy, dziękuję – dodała już normalnym głosem. Trzasnęły drzwi.

Helen i Ross spojrzeli na siebie kompletnie zdezorientowani.

– To jest chyba najdziwniejsza herbatka, na jakiej w życiu byłam – powiedziała zdumiona.

– To tak nie jest zawsze? – spytał nieco skrępowany tym, że wszystko, co przygotował, znacznie odbiega od normy.

– Zawsze? – Uniosła brwi, ledwie hamując uśmiech. – Raczej nieczęsto się zdarza, że wprost z angielskiego chodnika wkraczamy w inny, egzotyczny świat, poznajemy fascynujących służących, zostajemy obsypani górami jedzenia, które mojej matce tak smakuje, że opycha się nim aż do zakrztuszenia – wyrzuciła z siebie naprędce.

Mortimer skrzywił się na te słowa.

– Nie wypadło to najlepiej – przyznał zrezygnowany. – Właśnie tego się obawiałem.

– Ross. – Wstała z fotela i przykucnęła przy jego nogach. – Jesteś najbardziej niesamowitym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jestem pewna, że nigdy nie będę się przy tobie nudzić – wyznała natchniona.

Oczy kapitana momentalnie rozbłysły. Korzystając z nieobecności państwa Williamsów, przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach.

– Chcesz powiedzieć, że podoba ci się twój nowy dom? Jeśli będziesz chciała, możemy kupić coś innego... – zapewniał ją.

– Absolutnie nie. – Zarzuciła mu ręce na szyję. – Chcę mieszkać tutaj. Z Habibem, twoją gospodynią i tobą. Oczywiście tylko wtedy, gdy nie będziemy na morzu – odparła wesoło.

Mortimer objął ją ciasno w pasie.

– Akceptujesz to wszystko? Przecież nie do czegoś takiego przywykłaś – zauważył, nie wierząc we własne szczęście.

– Dokładnie – zamruczała, schylając się do niego. – To jest znacznie więcej, niż mogłabym sobie wyobrazić...

Miesiąc później

– Pani kapitanowo! – zawołał rudowłosy marynarz w skórzanej kamizelce. – Mam pani przekazać, że kapitan chciałby panią widzieć na pokładzie rufowym.

Helen uśmiechnęła się, słysząc, jak jest teraz nazywana.

Odkąd związała się z Rossem, wszystko się w jej życiu zmieniło. Ich ślub został okrzyknięty wydarzeniem sezonu. Kościół, w którym zorganizowano nabożeństwo, był po brzegi wypełniony ludźmi. Większość śmietanki towarzyskiej przelożyła nawet swoje plany wyjazdu na prowincję, tylko po to, by być świadkiem tej ceremonii.

Każdy chciał zobaczyć najpiękniejszą pannę młodą i bohatera, który ocalił jej życie, ryzykując swoim.

Jej matka z pewnego źródła dowiedziała się, że niemal każda z dam brała udział w jakimś zakładzie związanym z jej historią. Bardzo się pyszniła uwagą, która przypadła córce.

Choć z początku pragnęła, by Helen wyszła za mąż za księcia, z czasem sama przyznała, że nie mogła trafić na kogoś bardziej czarującego i charyzmatycznego od Rossa.

~

Państwo Mortimerowie na krótko zamieszkali przy Berkeley Square, wspólnie przygotowując się do podróży statkiem. Pragnęli, by to był ich drugi, a może pierwszy dom, całkowicie więc poświęcili czas na urządzenie wnętrza kajuty, która miała im od tej pory służyć za raj na ziemi.

Nie mieli za to żadnych szczególnych planów co do trasy. Ross chciał pokazać Helen miejsca, w których jeszcze nigdy nie była, stawić z nią czoła sztormom i gorącemu słońcu, a i schodzić na ląd tylko wtedy, kiedy mieli na to ochotę.

Dla lady Mortimer było to wszystko, czego kiedykolwiek mogła zapragnąć.

– Już idę! – odkrzyknęła po chwili, schodząc z dziobu statku, na którym często lubiła przebywać.

Przeszła przez pokład, a gdy wspięła się na schodki prowadzące do nadbudówki rufowej, dostrzegła, że tam czekał już na nią mąż.

Aż wstrzymała oddech, gdy dojrzała szeroki uśmiech na jego twarzy, który zawsze sprawiał, że stawał się jeszcze bardziej przystojny.

Mężczyzna wyciągnął do niej dłoń.

– Kochanie, nie mogę wyjść z podziwu, jak doskonale wyglądasz w spodniach – powiedział z uznaniem, zerkając na jej długie nogi obleczone w specjalnie dopasowany materiał.

– Całe szczęście, że moja matka tego nie widzi. – Zaśmiała się, odrzucając warkocz na plecy. – Jest mi w nich tak wygodnie, że chyba nigdy nie będę chciała już wrócić

do tych krępujących nogi sukni – odparła, chwyciwszy jego rękę.

– W takim razie, gdy wrócimy do Londynu, będziesz miała szok i zgorszenie – zauważył.

– Och, skąd. W Londynie będę damą, od czubka nosa, po pantofelki. – Uśmiechnęła się psotnie, gdy przystanęli przy burcie na tylnej stronie statku. – A ty, mój drogi kapitanie – przesunęła palcem po jego śniadej, do połowy odkrytej piersi – będziesz takim samym lordem, jak ja damą – zamruczała.

– Nie podobam ci się w takim stroju? – Przyciągnął ją do siebie i poczuł, że oboje zaczynają szybciej oddychać.

– Podobasz mi się i taki, i taki – zawyrokowała. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale w Londynie przyciągasz wzrok wszystkich panien na wydaniu.

– Tylko tych na wydaniu? – przekomarzał się z nią, a ona obdarzyła go znaczącym spojrzeniem.

– Właśnie dlatego jesteśmy na statku, gdzie mam cię tylko dla siebie – odparowała i puściła do niego oko.

Ross pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Więc to był twój plan od początku? Kochanie, jesteś nieprzewidywalna!

– Och, Ross, myślę raczej, że wyświadczyłam ci przysługę – dodała, trzepocząc rzęsami.

– Jestem bardzo ciekaw jaką.

– Po prostu nie wiem, czy bylbys w stanie wytrzymać, że twoja śliczna małżonka jest tak rozchwytywana, iż nie mógłbys się do niej nawet zbliżyć. – Uśmiechnęła się leciutko, skubiąc jednocześnie jego kołnierzyk.

– Kochanie – podjął zaraz surowym tonem. – Oświadczam, iż w Londynie będziemy gościć w tym roku bardzo krótko.

Helen zaśmiała się i przytuliła do jego piersi.

– Nie potrzebuję Londynu, potrzebuję ciebie – zamruczała cicho ukontentowana chwilą. – Wciąż nie wierzę, że nam się to udało. Wyrwać się z tego świata.

– A mnie wciąż zadziwia, że chciałaś go opuścić. Dobrze pamiętam, jaka wtedy byłaś. – Jego pierś pod jej głową poruszyła się od śmiechu.

– Niby jaka wtedy byłam? – Podniosła głowę i obrzuciła go baczny spojrzeniem.

– Może powiem inaczej. – Odchrząknął, unikając jej wzroku. – Pamiętasz, jak się nazywał statek, na którym się poznaliśmy?

– Kasjopeja – zmarszczyła brwi – i co w związku z tym?

– A pamiętasz, jaka była Kasjopeja z mitologii? – podpowiadał jej.

– Z tego, co pamiętam, bardzo urodziwa, ale też niezwykle arogancka i próżna – przypominała sobie powoli.

– I... coś ci to mówi?

Helen zamarła w bezruchu, po czym z jej oczu posypały się iskry.

– Czy ty coś insynuujesz? – wycodziła przez zaciśnięte zęby. Ross uśmiechnął się szeroko.

– Insynuuję tylko, że spotkaliśmy się na statku o takiej nazwie nie bez powodu. To było przeznaczenie! – dolewał oliwy do ognia.

– Czy ty chcesz powiedzieć, że jestem arogancka i próżna?! – krzyknęła, zagłuszając fale.

– Teraz już nie – zaoponował natychmiast. – Ale kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, właśnie tak o tobie myślałem – zaczął wyjaśniać. – Zdawało mi się, że jesteś damą próżną i samolubną, a teraz spójrz tylko na siebie. Przypominasz stuprocentową panią kapitanową – zakończył z dumą.

Dziewczyna wywróciła oczami.

– Ty to masz czasem przemówienia – skwitowała, ale widać było, że jego wywód sprawił jej przyjemność. – Poza tym... przeznaczenie? – prychnęła. – Jest w tobie więcej romantyzmu niż w niejednej debutantce.

– Ktoś musi wyrównać tę rażącą różnicę między nami – odpalił.

– Ross! – krzyknęła zaraz oburzona, lecz nie zdołała powiedzieć już ani słowa, bo kapitan przytulił ją i pochylił głowę, by ją pocałować.

Cóż mógł na to poradzić. Był obrzydliwym romantykiem.

Tymczasem w Londynie

Jonathan Hawkins kończył właśnie porządkować dokumenty na swoim biurku, kiedy do jego myśli przedarł się obraz roześmianej kobiety o najbardziej niezwykłych, rudych włosach, jakie kiedykolwiek widział.

Jego ruchy zwolniły, a wzrok wbił się w przestrzeń, gdy kolejny raz wrócił pamięcią do ich niespodziewanego spotkania.

Bezwiednie wyciągnął z szuflady zieloną chustę, która była jej własnością i przez chwilę znów miał wrażenie, że dziewczyna stoi na wyciągnięcie ręki.

Jej wizerunek zaskakiwał go w najdziwniejszych chwilach i jedynie utwierdzał w przekonaniu, że ta kobieta byłaby rozwiązaniem nurtującego go problemu związanego z teatrem.

Miał nosa do takich rzeczy.

Na kilometr wyczuwał talent, posiadał wręcz niezwykłą intuicję, która kierowała go ku ludziom o niezwykłych możliwościach i potencjale.

Lady Williams twierdziła, że uzyskanie przychylności matki dziewczyny wiązało się z zadaniem wręcz karkołomnym. Porównała panią Brooke do Cerbera, żeby miał świadomość ryzyka, jakie podejmie, gdy zgodzi się na realizację jej pomysłu.

A on był zdeterminowany, by uzyskać to, czego pragnie. Wielokrotnie dokonywał już rzeczy niemożliwych.

Dlaczego więc tym razem miałoby mu się nie udać?

„Kapitan Ross” jest czwartą książką z cyklu „Niepokorni”.
Wkrótce pojawi się kolejna, ostatnia powieść z tej serii,
której bohaterami będą
lady Annabel Brooke i pan Jonathan Hawkins!

Drodzy Czytelnicy!

Dziękuję, że z takim zapalem śledzicie losy kolejnych bohaterów moich powieści. Mam nadzieję, że Helen nie zawiodła Was swoim temperamentem i pokazała, na co ją stać, a kapitan stworzył obraz mężczyzny, który nie tylko wywołał przyspieszone bicie serca, ale też dostąpi zaszczytu uzyskania statusu kolejnego „książkowego męża” 😊

Do następnego!